

# DIANE CHAMBERLAIN

## *Cień matki*

Czy można być gotowym na macierzyństwo?  
Czy człowiek może się zmienić?  
Czy można wyjść z cienia własnej matki?



Prószyński i S-ka

DIANE  
CHAMBERLAIN

*Cień matki*

PRZEŁOŻYL  
MICHAŁ JUSZKIEWICZ

Prószyński i S-ka

*Pamięci Nan Chamberlain Lopresti*

BYŁA CIENIEM SWOJEJ MATKI

STANEŁA W KUCHNI,

MA OCZY SWOJEJ MATKI,

JAK STARE SZAFIRY

I ŚWIEŻE BŁAWATKI.

I WŁOSY MA PO NIEJ,

TEJ SJENĘ, TEN SZKARŁAT.

I USTA JAK ONA,

I DŁONIE MIĘKKIE JAK PIÓRA.

LECZ...

KIEDY OBRÓCI GŁOWĘ,

CHOĆ TROCHE,

W JEJ CHABROWYCH OCZACH LŚNIĄ KROPLE BURSZTYNU,

WŁOSY

MIENIĄ SIĘ ZŁOTEM.

TO JUŻ NIE JEST JEJ MATKA.

ANI NA JOTE.

PAUL MACELLI

## Prolog

Boże Narodzenie 1990

Dom stojący w samym sercu niewielkiego Manteo był pełen radości. Mieścił schronisko dla kobiet doświadczających przemocy i chociaż był duży, piętrowy, nie rzucał się w oczy. Żadnych świątecznych światełek pod okapami czy gwiazdkowego wieńca na drzwiach – jakby personel bał się zwrócić czyjąś uwagę. I pewnie o to właśnie chodzi, myślała Lacey. Pod ten dach trafiały kobiety i dzieci, które uciekły przed okrucieństwem mężczyzn. Trudno jej było nawet to sobie wyobrazić, bo nigdy w życiu nie miała do czynienia z takimi mężczyznami, ale strach wypisany na twarzach kobiet ze schroniska był dowodem, że oni naprawdę istnieją. Szczerze mówiąc, Lacey wołała nie wiedzieć nic więcej.

Oglądając dom z zewnątrz, nikt nie domyśliłby się, że są święta, ale w środku – to było już zupełnie co innego. Na poręczy schodów prowadzących na piętro, do sypialni, wisiały świeże czerwonozielone girlandy, a na potężnym gzymsie starego kominka leżał wysoki stos gałązek ostrokrzewu, obsypanych czerwonymi jagodami. Zapach sosnowych igieł był tak intensywny, że gdy Lacey weszła do środka, w pierwszej chwili aż zakręciło ją w nosie. W rogu pokoju dziennego stała olbrzymia choinka obwieszona sznurami białych światełek i kolorowymi bombkami. Na czubku zawieszono witrażowego aniołka, jednego z wielu wykonanych przez jej matkę. Choinka była żywa, a Lacey dobrze wiedziała, kto za tym stoi. Oczywiście ona. Dla Annie O’Neill choinka zawsze musiała być żywa. W domu też taką mieli. A po świętach oba drzewka zostaną wywiezione w głąb łądu i zasadzone z dala od słonych gleb regionu Outer Banks1.

Nie chciała jechać do schroniska w wieczór Bożego Narodzenia. Wolałaby zostać w domu, posłuchać swoich nowych płyt i przymierzyć nowe dzinsy, jakie sobie wymarzyła, z nitami wzdłuż całych nogawek. A potem zadzwonić do Jessiki, swojej najlepszej przyjaciółki, opowiedzieć o prezentach i uzgodnić, na jaki film pójdą po południu drugiego dnia świąt. Ale mamie bardzo zależało, żeby jednak wybrała się z nią do Manteo.

– Ty masz tak wiele – powiedziała córce tydzień wcześniej. – Tego dnia dostaniesz prezenty i usiądziesz do świątecznego stołu ze swoją rodziną, ze mną, tatą i Clayem. A te kobiety i ich dzieci nie mają nic. Dla nich święta kojarzą się ze strachem, Lacey – przekonywała z żarem, jak to ona. – Ich rodziny się rozpadły. Przygotować dla nich świąteczny posiłek, zaśpiewać razem kilka kolęd... Możemy zrobić przynajmniej tyle.

I tak Lacey znalazła się za długim stołem w schronisku, a napełniając talerze w dłoniach samotnych kobiet i ich dzieci, cieszyła się, że jednak przyjechała. Miała dopiero trzynaście lat i z całą pewnością była tutaj najmłodszą wolontariuszką, więc czuła się dumna, że jest taka szlachetna i uczynna. Wdała się w swoją mamę, a to jej mamę zawsze pytały o zdanie wszystkie inne wolontariuszki. Annie O’Neill była tutaj najważniejsza. Gdyby nie ona, nie byłoby tej choinki w rogu, a na stołach znalazłoby się pewnie dwa razy mniej jedzenia. Gdyby nie Annie, być może w ogóle nie byłoby tego schroniska. Lacey nie wiedziała, czy to prawda, ale brała pod uwagę taką ewentualność.

Nakładała fasolkę szparagową, uśmiechając się serdecznie do podopiecznych schroniska. Było ich sześć. Niektóre wciąż jeszcze nosiły na twarzach ciemne sińce – znaki, które otworzyły przed nimi drzwi domu w Manteo. Wzdłuż stołów dreptało też rządkiem kilkanaścioro dzieci. Wszystkie miały w dłoniach talerze z prawdziwej porcelany. To Annie O’Neill namówiła wolontariuszki, żeby przyniosły na ten wieczór własną zastawę.

– Przecież nie mogą jeść świątecznej kolacji na tekturze. – Lacey słyszała na własne uszy, jak jeszcze w listopadzie powiedziała tak do jednej z koleżanek pracujących w schronisku. Wtedy wydawało jej się, że mama żartuje, ale teraz rozumiała, że piękne talerze, prawdziwe materiałowe serwetki i migoczące światełka na choince wiele znaczą dla tych kobiet. Że w tej chwili nawet odrobina piękna

i ludzkiej życzliwości jest im bardzo potrzebna.

Po deskach, którymi wykończono ściany piętrowego domu, bębnił lodowaty deszcz. Krople wybijały miarowe staccato na okiennych szybach. Padało od rana, a ponieważ było zimno, w drodze do Manteo samochód Annie O'Neill dwa razy wpadł w lekki poślizg.

– Rok temu w święta padał śnieg, pamiętasz? – powiedziała mama, kiedy Lacey zaczęła marudzić, że jest mokro. – Wyobraźmy sobie, że ten deszcz to śnieg.

Mama jak nikt potrafiła udawać. Cokolwiek się działo, umiała tak odwrócić kota ogonem, że sytuacja wyglądała lepiej niż w rzeczywistości. Lacey była już za duża, żeby się nabrać, ale mama zawsze umiała ją zaczarować i namówić na prawie wszystko. Teraz też. Zaczęły opowiadać sobie o śniegu: że pięknie wygląda biały krajobraz za oknami samochodu i puszyste czapy na dachach domów, że grzywy fal bijących o brzeg całkiem niedaleko, po lewej stronie szosy, to koktajl ze śniegu i lodowatej piany. Wydmy w Jockey's Ridge było ledwie widać za grubą zasłoną deszczu, ale mama i tak powiedziała, że wyglądają jak wysokie białe wzgórza o gładko ściętych wierzchołkach. Deszcz bijący o szyby auta to były dla nich płatki śniegu. Lacey musiała, co prawda, zatkać uszy palcami, żeby to sobie wyobrazić, ale podziałało – naprawdę zobaczyła, jak wycieraczki zrzucają z przedniej szyby zlepiony śnieg i odrzucają go na bok. Obok okna, przy którym siedziała, co chwilę przemykały obłoczki lotnej bieli, podobne do kłębow pierza.

– *The first Noel...* – zaintonowała mama, szczypcami do sałatki nakładając niedużą porcję zieleniny na talerz w ręczce małej dziewczynki, a pozostałe wolontariuszki podchwyciły słowa kolędy. Lacey z początku trochę się wstydziła i dołączyła dopiero po chwili, a zgnębione kobiety ze schroniska milczały jeszcze dłużej, ale wkrótce śpiewali już prawie wszyscy, a wokół rozbłysły uśmiechy. Jedne były nieśmiałe i lękliwe, inne – przepełnione wdzięcznością. Lacey szybko przełknęła łyżę, które niespodziewanie stanęły jej w oczach.

Wysoka kobieta stojąca po drugiej stronie stołu uśmiechnęła się do niej i trąciła łokciem swojego syna, żeby podsunął talerz po trochę fasolki szparagowej. Śpiewała razem ze wszystkimi kolędę o zielonej choince, ale jej syn rozglądał się tylko dookoła wielkimi sarnimi oczami, zaciskając usta z całej siły, jakby chciał dać do zrozumienia, że już nigdy niczego nie zaśpiewa. Był niższy od Lacey, ale na oko mniej więcej w podobnym wieku; uśmiechnęła się do niego, nakładając mu fasolki na talerz. Spojrzał na nią przelotnie, ale w tej samej chwili jego wzrok przykuło coś za jej plecami. Otworzył szeroko usta ze zdumienia albo, jak później myślała Lacey, ze strachu. Jego matka zaraz ucichła, a piękny porcelanowy talerz napełniony indykiem i ziemniaczanym purée wysunął jej się z dłoni i uderzył z brzękiem o podłogę. Patrzyła ponad głowami wolontariuszek na drzwi do pokoju dziennego. Lacey bała się obejrzeć, widząc paniczny strach w jej oczach, ale wszyscy dookoła, podopieczne schroniska, ich dzieci i tak samo wolontariuszki, wszyscy po kolei zaczęli odwracać głowy w kierunku wejścia, aż w końcu kolęda ucichła. Gdy Lacey ostatecznie zmusiła się, by spojrzeć w tamtą stronę, słychać było już tylko deszcz bijący o szyby.

W drzwiach do pokoju dziennego stał potężny, zwalisty mężczyzna. Nie był otyły, ale wydawało się, że jego sylwetka szczelnie wypełnia całą framugę. Miał na sobie krótki marynarski płaszcz w zielonym kolorze, obszerny, ociekający wodą. Brązowe włosy lepiły się do mokrego czoła, a oczy błyszczały szkliste spod ciężkich, gęstych brwi. W dygoczących dłoniach o pulchnych palcach, obciążonych bladą jak płótno skórą, trzymał pistolet.

Zadna z kobiet nie krzyknęła. Wydawało się, że po tych wszystkich razach, które musiały znieść, nie mają już siły krzyczeć. Rozległo się jednak kilka zduszonych szeptów: „O Boże”, „Kto to jest?”. Wystraszone matki chyłkiem złapały swoje dzieci i wepchnęły je pod stoły albo wyciągnęły na korytarz. Lacey zmartwiła, jakby wrosła w ziemię, zastygła z łyżką zielonej fasolki w uniesionej dłoni. Wysoka kobieta, która przed chwilą upuściła talerz, też chyba nie mogła się ruszyć. Stojący obok niej chłopak o sarnich oczach powiedział: „Tata”, i chciał podejść do nieznanego, ale ona złapała go za ramię i zatrzymała w miejscu. Kostki jej dłoni błysnęły bielą na tle granatowej bluzy, którą miał na sobie jej syn.

Nagle Lacey poczuła, jak mama wyjmuje jej łyżkę z dłoni.

– Na korytarz – rozkazała i popchnęła ją stanowczym ruchem. Dziewczyna ruszyła w tamtą stronę, ale widząc, że mama nie idzie za nią, złapała ją za rękaw bluzki.

– Ty też chodź – powiedziała, siląc się na tak samo spokojny ton, co zresztą na nic się nie zdało. Mama chwyciła ją za przegub i wyciągnęła rękaw z jej zaciśniętych palców.

– Już! – warknęła ostro. Lacey wycofała się powoli. Nie była w stanie poruszać się nawet odrobinę szybciej, nie mogła też oderwać oczu od stojącego w drzwiach mężczyzny.

Na korytarzu jakaś kobieta objęła ją ramieniem i przygarnęła do siebie. Przez drzwi widać było część pokoju dziennego. Jej matka, tamta wysoka kobieta oraz jej syn stali tam, gdzie przedtem, przy stole z jedzeniem, spoglądając w stronę wejścia, którego Lacey nie mogła już zobaczyć z miejsca, gdzie stała. Z tyłu dobiegł ją cichy, lecz nagły głos innej kobiety, mówiącej do telefonu: „Proszę się pospieszyć, on ma broń”.

Mężczyzna wszedł dalej. Widać go już było w drzwiach na korytarz. Wysoka kobieta złapała chłopca o sarnich oczach za ramiona i schowała go za sobą.

– Zachary – powiedziała, starając się panować nad głosem, który mimo wysiłków drżał lekko, co Lacey wyraźnie słyszała. – Zachary. Przepraszam, że zniknęliśmy z domu. Nie rób nam nic złego. Proszę cię.

– Ty dziwko! – wrzasnął jej mąż, unosząc pistolet, który kołysał się i podskakiwał w jego drżących dłoniach. – Szmato!

Matka Lacey weszła pomiędzy niego a kobietę z dzieckiem, rozkładając ręce, jak gdyby w ten sposób mogła ich lepiej osłonić.

– Proszę, niech pan odłoży ten pistolet – powiedziała. – Dziś jest Boże Narodzenie.

Każdy, kto usłyszał te słowa, pomyślał sobie pewnie, że jest opanowana, ale Lacey dobrze ją знаła i słyszała trwożliwą nutę w jej głosie.

– Suka! – szepnął mężczyzna, błyskawicznie unosząc broń, zmrużył oczy i pociągnął za spust. Ogluszający huk wystrzału rozdarł ciszę i w końcu zmusił oniemiałe kobiety do krzyku. Lacey nie spuszczała wzroku ze swojej mamy. Jej twarz wyrażała tylko zwyczajne zaskoczenie: ciemnoniebieskie oczy otwarte szeroko, usta rozchylone, jakby chciała coś powiedzieć. Na białej bluzce, tuż nad lewą piersią, pojawiła się maleńka czerwona plamka. W następnej chwili osunęła się na podłogę, powoli, jak zerwana z karnisza zasłona.

Mężczyzna opadł na kolana, potem usiadł. Wypuścił pistolet z palców i zaczął szlochać, zakrywając twarz dłońmi. Jedna z wolontariuszek wyskoczyła z korytarza i podniósłszy broń z podłogi, wycelowała w niego, ale ten człowiek, chociaż prawdziwy olbrzym, stracił cały swój groźny wygląd, był już tylko słaby, zmęczony i mokry.

Lacey wyrwała się kobiecie, która ją trzymała, podbiegła do mamy i uklękła obok niej. Mama nie otwierała oczu. Była nieprzytomna, ale żyła. Z całą pewnością żyła. Kula musiała ją ledwie drasnąć, bo krwi na bluzce było tylko tyle, ile może pocięknąć z palca skaleczonego ostrym kolcem.

– Mamo! – zawołała Lacey, chcąc, żeby się ocknęła. – Mamo!

Obejrzała się na nieznajomego, który dalej siedział skulony na podłodze.

– Dlaczego pan to zrobił?! – krzyknęła, ale on nawet nie uniósł głowy.

Kobiety ciasnym kręgiem otoczyły jej mamę. Jedna z nich przyklękła tuż obok Lacey i ujęła w palce przegub nieprzytomnej Annie O'Neill.

– Żyje – powiedziała.

– No jasne, że żyje – prychnęła dziewczyna, zła na nią, bo taki komentarz mógł oznaczać, że to wcale nie jest jasne. Przez bębnienie deszczu o szyby słyhać było już auta jadące na sygnale. – Po prostu bardzo się wystraszyła i organizm musi teraz odpocząć.

Jakbym ją słyszała, pomyślała. Mama w tej sytuacji powiedziałaby właśnie coś w tym stylu.

Kobieta, którą chciał zabić intruz w zielonym płaszczu, siedziała wciśnięta w kąt, obejmując ramionami swojego syna.

– Przepraszam. Przepraszam – powtarzała raz po raz. Powietrze przesycone zapachem sosnowych igieł niesło jej głos aż do uszu Lacey.

– To nie twoja wina, kochana – uspokajała ją inna kobieta. – Dobrze zrobiłaś, że od niego odeszłaś i schroniłaś się tutaj.

A właśnie że jej wina, pomyślała Lacey. Zjawiała się tutaj z tym swoim synem i dlatego ten szalaniec przyjechał za nimi i strzelił do mojej mamy.

Nagle w pokoju zaroilo się od ludzi obu płci, w mundurach i uniformach. Lacey nie widziała ich wyraźnie, rozmazywali się jej w oczach. Wykrzykiwali różne słowa podniesionymi, szczekliwymi głosami. Ktoś chciał odciągnąć ją od mamy, ale nie dała się ruszyć z miejsca, przesiadła się tylko o krok dalej, nie wstając nawet z podłogi. Przyglądała się, jak jakiś mężczyzna rozerwał bluzkę mamy i rozciął jej stanik, odsłaniając lewą pierś tak, że wszyscy widzieli. W piersi widniało małe wgłębienie. I nic więcej: kilka kropli krwi i jeden dołeczek. Lacey poczuła, że wstępuje w nią nadzieja. Sama nie raz gorzej się urządziła po kraksie na rowerze.

Podniosła się z podłogi, chcąc lepiej widzieć, i wtedy ta kobieta, która przed chwilą próbowała ją odciągnąć, objęła ją od tyłu, krzyżując ręce na jej ramionach i piersi, jakby się bała, że Lacey znów rzuci się do mamy. I to właśnie dziewczyna chciała zrobić, ale szok i ciężkie ręce dorosłej osoby przykuły ją do miejsca. Patrzyła, jak ludzie w uniformach kładą mamę na noszach i zabierają z pokoju. Mężczyzny w zielonym płaszczu już nie było; nikt nawet nie zauważył, kiedy zabrała go policja.

– Chcę z nią jechać – oznajmiła, wykręcając się z uścisku.

– Zawiozę cię – powiedziała kobieta. – Pojedziemy za karetką. Nie chcesz jechać razem z nią.

– Właśnie że chcę! – upierała się Lacey, ale tamta trzymała ją mocno, aż w końcu dziewczyna uległa i dała się wyprowadzić na zewnątrz, głównym wejściem. Widziała, jak nosze z mamą znikają za drzwiami karetki. Nagle poczuła, jak coś zimnego dotyka jej nosa, policzków i warg. Uniosła głowę ku ciemnemu niebu i dopiero wtedy dotarło do niej, że pada śnieg.

1 Outer Banks (Ławice Zewnętrzne) – wąski pas półwyspów oraz wysp barierowych ciągnący się wzdłuż wybrzeży Karoliny Północnej i częściowo Wirginii. Ma długość ponad trzystu kilometrów i oddziela od wód Atlantyku trzy główne cieśniny: Currituck, Albemarle i Pamlico (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).



## Rozdział pierwszy

Czerwiec 2003

Łańcuch, wiszący zazwyczaj w poprzek zwirowej drogi, leżał luźno obok słupka. Miło, że Clay pamiętał o mnie i nie zamknął wjazdu, pomyślała Lacey.

– Zawiesz łącuch w drodze powrotnej? – poprosiła Toma, z którym była na kolacji.

– Nie ma sprawy – odparł, wjeżdżając pomiędzy niskie słupki, na drogę z obu stron zarośniętą bujnym lasem. Prowadził zdecydowanie zbyt szybko na tej wyboistej i zrytej koleinami drodze.

Lacey wparła dłonie w deskę rozdzielczą, aby nie rzuciło ją tak bardzo. Dopiero zmierzchało, ale w tym lesie, za którym była już tylko latarnia w Kiss River, a dalej ocean, zapadł już zmrok.

– Lepiej zwolnij – poradziła. – Wczoraj wieczorem o mały włos nie rozjechałam w tym miejscu oposa.

Tom posłusznie zdjął nogę z gazu.

– Cieszę się, że nie mieszkasz tutaj sama – powiedział ojcowskim tonem, którego czasami używał wobec Lacey, odkąd przed dziesięcioma laty dowiedział się, że jest jego biologiczną córką. – Zamartwiałbym się o ciebie bez przerwy.

– No cóż – westchnęła. – Długo już tutaj nie pomieszkam.

Wbrew jej nadziejom władze Straży Wybrzeża podjęły w końcu decyzję o zagospodarowaniu odrestaurowanego domu latarnika i otwarciu w nim muzeum.

– Żałujesz, co? – zagadnął Tom.

– Trochę – rzuciła lekko, ale tak naprawdę dręczył ją strach, chociaż nie umiałaby powiedzieć, czego się boi. Dom latarnika był świetnym miejscem odosobnienia, które było jej potrzebne, a wręcz konieczne, zwłaszcza przez ten ostatni, trudny rok. – Renowacja dobiega końca. Został już tylko salon i przeszklona weranda na tyłach.

Mieli wspólną pracownię w Kill Devil Hills, ale na tamtej jasnej werandzie Lacey urządziła nieduży warsztat, aby robić swoje witraże także w domu.

– Kiedy się wyprowadzę, weranda też zostanie odrestaurowana, a w salonie powstanie sklepik i punkt informacyjny.

– A kiedy masz się wyprowadzić? – zapytał Tom. Droga powoli dobiegała końca. W nikłym wieczornym świetle, sączącym się pomiędzy drzewami, widać już było wyraźnie, że długie włosy Toma, związane w kucyk cienki jak postronek, przetykają siwe pasma, a w jego uchu połyskuje małe złote kółeczko.

– Po Nowym Roku – odparła Lacey.

– I gdzie będziesz... Cholera jasna. – Tom urwał w pół słowa, bo właśnie zwirowa droga wyrzuciła samochód na parking pod domem latarnika, który niespodziewanie wyrósł przed maską. Zapadał już zmierzch i wszystkie okna płonęły barwami. Wisiały w nich witraże, a każdy był dziełem Lacey.

Odwróciła głowę, podążając za spojrzeniem ojca.

– Mieszkam w tym domu ponad rok, prawie półtora, a ty jeszcze nigdy nie widziałeś go po zmroku? – zdziwiła się.

Tom zatrzymał wóz na środku parkingu, a jego usta powoli rozciągnęły się w uśmiechu. Potrząsnął głową, po czym pochylił się w stronę Lacey i przygarnął ją do siebie. Gdy pocałował ją w głowę, poczuła bijący od niego zapach tytoniowego dymu. Pomogła mu zerwać z alkoholem, ale nie zdołała go namówić, aby rzucił papierosy.

– Cała matka – westchnął. – Dokładnie coś takiego by zrobiła, Lace. Zmieniła swój dom w... sam nie wiem. W miejsce magiczne.

Lacey upadła na duchu, słysząc od niego takie słowa. Miała ochotę powiedzieć, że nie przypomina już w niczym swojej matki, że przez cały rok ciężko pracowała nad tym, żeby przestać ją naśladować, nie iść w jej ślady. Niestety, jak widać, nie udało się. Trudno jest odrzucić czyjąś tożsamość, nie mając własnej, która mogłaby ją zastąpić.

Nagle zauważyła, że obok jeepa, którym jeździł Clay, stoi furgonetka jej ojca. Zaskoczyło ją to trochę.

– Tata przyjechał – mruknęła. – Dziwne.

– Tak rzadko was odwiedza? – zapytał Tom lekko zaczepnym tonem. Często zdradzał przejawy milczącej zazdrości, że to Alec O'Neill miał zaszczyt wychowywać jego córkę, a nie on sam.

– Rani kompletnie zawróciła mu w głowie – odparła Lacey, chociaż w zasadzie nie była to odpowiedź na jego pytanie. – Spodobało mu się, że ma wnuczkę.

Tom zaśmiał się pod nosem.

– Twoje rodzinne relacje to prawdziwy labirynt, wiesz o tym?

– Owszem – przytaknęła, rozpinając pas bezpieczeństwa. Wychowała się w niedużej, zżytej, dwupokoleniowej rodzinie, ale z biegiem lat dołączyło do niej wiele nowych osób i niemało też się odłączyło; rzeczywiście trudno było połączyć się w tym wszystkim. A Lacey, jakby nie mając dość komplikacji we własnym życiu, codziennie widywała obu swoich ojców: rano pracowała w przychodni weterynaryjnej prowadzonej przez tego, który ją wychował, a po południu w atelier wynajmowanym na spółkę z tym, który dał jej życie.

– Czy to jest wybieg dla psów? – Tom wskazał spory kawałek ogrodzonej ziemi tuż pod lasem.

– Clay wrócił do szkolenia?

– Mhm – przytaknęła. – Zaczął już kilka miesięcy temu.

Kiedy w jego życiu pojawiła się Gina, a potem Rani, brat Lacey przeszedł całkowitą przemianę. Stał się oddanym mężem i praktycznie z dnia na dzień zaczął się wykazywać umiejętnościami wychowawczymi, o które nigdy by go nie podejrzewała. Lecz dopiero gdy zobaczyła, jak zwozi do lasu kłoc drewna i kawały betonowego gruzu – przeszkody do treningu psów poszukiwawczo-ratowniczych – zrozumiała, że Clay na dobre pogodził się ze światem i znów jest sobą.

Rozejrzała się i zauważyła, że samochód dalej stoi na samym środku parkingu.

– Zaparkuj i wejdź na chwilę – zaproponowała Tomowi, ale on pokręcił głową.

– Nie, pojedę do domu.

– Wiesz, że jesteś tutaj mile widziany.

– Wiem, kochana. Ale jakoś... nigdy nie czuję się swobodnie, kiedy widzę Aleca. Twojego ojca.

Lacey uśmiechnęła się do niego.

– Tom, ja mam już prawie dwadzieścia sześć lat – powiedziała. – To, co było między tobą a mamą, to zamierzchnia przeszłość. A tata dawno się z tym pogodził, dobrze o tym wiesz.

– Może innym razem.

– W porządku. – Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. – No to do jutra.

Pomachała mu jeszcze, kiedy zawracał i ruszał w kierunku zwirowej drogi, a potem zdjęła sandały i podniósłszy je z piasku, poszła do domu. Powietrze mocno czuć było solą, a gwar cykad niemalże zagłuszał miarowe bicie fal o brzeg oceanu.

Lacey często się zastanawiała, czy powinna powiedzieć Tomowi prawdę o swojej matce. Nie podejrzewał Annie o inne romanse, jakby był jedynym mężczyzną na świecie, któremu nie mogła się oprzeć, jakby tylko on jeden był w stanie skusić kobietę tak wielkiej szlachetności. O ile mogła się zorientować, jej biologiczny ojciec przez te wszystkie lata nie znalazł sobie nikogo, ponieważ duch Annie nie dawał mu spokoju. Tom Nestor w dalszym ciągu był święcie przekonany, że żadna kobieta nie jest w stanie jej zastąpić, a mimo to Lacey nie umiała się przemóc, aby wyznać mu bolesną prawdę o jego ubóstwianym ideale.

Gdy weszła do kuchni, wybiegł jej na spotkanie Sassa, czarny labrador Claya. Upuściła sandały na podłogę i pochyliła się, aby podrapać psa za uszami. Czuć było aromatyczne potrawy Giny – pachniało kardamonem i kurkumą, olejem kokosowym i imbirem. Z salonu dobiegał radosny gwar

głosów.

– Kto tam jest, Saszka? – zapytała psa, jak gdyby naprawdę nie wiedziała. – Chodź, zobaczymy.

Ruszył przodem, merdając ogonem, a Lacey zatrzymała się w progu i przypatrywała toczącej się w najlepsze zabawie. Gina leżała na kanapie, wyciągnięta wygodnie z rękami pod głową, i patrzyła, jak Alec i Clay bawią się z Rani jej lalkami. Cała trójka siedziała na podłodze: Clay miał w dłoniach ciemnoskórą Barbie Hinduskę, wystrojoną w różowe sari, i prowadził ją po dywanie w stronę plastikowego domku dla lalek.

– Chodźmy do domu Rani! – powiedział ciekim głosem.

Alec prowadził lalkę dzidziusia o czekoladowej skórze – wielką kluchę w porównaniu ze szczupłą, zgrabną Barbie.

– Ja chcę iść na ryby! – zaproponował coś innego.

Rani obejrzała się niespokojnie i wyciągnęła rączkę, żeby zabrać dziadkowi brązowego dzidziusia.

– Nie, nie, nie! – oznajmiła. – Wszyscy idom do mojego domku.

Lacey zaśmiała się. Dziewczynka niedługo kończyła dwa i pół roku, więc naturalnie domagała się, żeby wszystko było tak, jak ona powie. Przez pierwsze dwa lata życia miała znikomy wpływ na to, co się z nią dzieje, i teraz starała się nadrobić stracony czas. Słyszając śmiech dobiegający od strony kuchni, uniosła główkę i zerwała się z podłogi.

– Lejsi! – zawołała i podbiegła do niej. – Kocham cię!

Lacey pochyliła się, wzięła ją na ręce. Nie ważyła prawie nic, a ileż radości było w tej drobince, wymarzonej, wyczekanej, wyęsknionej.

– Cześć, maleństwo – uśmiechnęła się do niej. – Ja też cię kocham.

Rani urodziła się w Indiach. Gina stoczyła ciężką walkę, żeby ją adoptować, a Clay, gdy zakochał się w Ginie, przyłączył się do sprawy całym sercem. W lipcu zeszłego roku wyjechali razem do Hajdarabadu i wrócili dopiero we wrześniu: aż tyle czasu zajęło użeranie się z urzędami i uzyskanie sądowego zezwolenia na adopcję. Dziewczynka miała chore serce i koniecznie potrzebowała operacji, a Gina obawiała się, że umrze, zanim uda się ją sprowadzić do nowego domu, bo tak wiele przeszkód stało im na drodze. Kiedy sąd wydał wreszcie zezwolenie, umożliwiono im szybki wyjazd; uciekli, nie czekając, aż zainteresują się nimi indyjscy przeciwnicy adopcji zagranicznej. Rani była już wtedy tak słaba, że ledwie mogła unieść główkę. Gina i Clay obawiali się, że jest dla niej za późno na pomoc. Gina od razu zabrała małą do Seattle, gdzie czekał na nią umówiony wcześniej kardiochirurg. Operacja przebiegła pomyślnie i na czas rekonwalescencji obie zostały na miejscu. Clay wrócił do Outer Banks i snuł się po domu latarnika, rozmyślając o kobiecie i dziecku, które pokochał. Godzinami rozmawiał z Giną przez telefon, aż Lacey zażądała, by zainstalował sobie drugi numer. W lutym Gina przyjechała z Rani do Kiss River i następnego dnia wzięli ślub, a dziecko, wcześniej nieśmiałe, cichutkie i chude jak patyczek, błyskawicznie rozkwitło i zmieniło się w rozszczebiotanego berbecia doskonale świadomego, że jest pępkiem świata. Nikomu nie przeszkadzało, że jest rozpieszczana – o ile można rozpieścić dziecko, które pierwsze dwa lata życia spędziło w nędzy i brudzie.

Lacey usiadła na kanapie, obok bosych stóp Giny. Wzięła małą na kolana i spojrzała na ojca, który wciąż siedział na podłodze z pulchną laleczką dzidziusiem w dłoni.

– Coś się stało, tato? – zapytała.

Alec O'Neill położył lalkę na dywanie i, odchyliwszy się w tył, podparł się na rękach.

– Mam sprawę do ciebie i do Claya – odparł tak poważnym tonem, że aż się zaniepokoiła i obejrzała na brata, ale on wzruszył tylko ramionami; wiedział, zdaje się, dokładnie tyle samo, co ona, czyli nic. Obaj byli do siebie bardzo podobni. Wysocy i smukli, wręcz tyczkowaci, o jednakowych, przejrzyście błękitnych oczach. Różniło ich tylko to, że ojciec miał twarz pożłobioną zmarszczkami, a włosy przetykane siwizną. Patrząc na niego, Clay widział siebie za dwadzieścia lat.

Gina podniosła się i wyciągnęła ręce po Rani.

– Położę ją spać – powiedziała, domyślając się, że Alec wolałby porozmawiać ze swoimi dziećmi sam na sam.

– Dobranoc, motylku. – Lacey cmoknęła dziewczynkę w policzek i podała ją bratowej.

Kiedy Gina wyszła, Alec wstał z podłogi.

– Chodźmy na dwór – zaproponował.

Wyszli za nim przez kuchnię i werandę. Piasek był już chłodny, ziębił bosc stopy Lacey. Wiedziała, że za kilka tygodni, gdy przyjdą upały, nie zdąży ostygnąć nawet do rana. Cała trójka, jakby włączył im się jakiś autopilot, ruszyła ramię w ramię do zniszczonej latarni morskiej. Księżyc lśnił w górze jak przecięta na pół moneta: biała ściana wieży jaśniała, obmyta jego blaskiem, a ostry zrąb zburzonego muru sterczał wbity w nocne niebo. Lacey była w domu tylko kilka minut, ale w tym czasie zdążył zerwać się wiatr, który teraz rozrzucał jej długie włosy i wciskał je do oczu. Gdyby wiedziała, że pogoda się zmieniła, związałaby je przed wyjściem na zewnątrz. Ludzie często jej mówili: twoje włosy są zachwycające. Lacey uważała raczej, że są zniechęcające.

– O co chodzi, tato? – zapytał Clay. Być może, tak samo jak ona w tej chwili, wspominał ostatni raz, kiedy ojciec poprosił ich o rozmowę sam na sam; usłyszeli wtedy, że ich matka była niewierną żoną i zdradzała go przez wszystkie lata, które spędzili razem.

– Dostałem dzisiaj list – powiedział Alec. – Zapomniałem go zabrać, ale w skrócie chodzi o to, że Zachary Pointer złożył wniosek o zwolnienie warunkowe. Termin rozpatrzenia wyznaczono na wrzesień.

Clay przystanął, odwrócił się do ojca.

– Zwolnienie warunkowe? – powtórzył ze zdumieniem, które podzielała też Lacey. – Przecież odsiedział dopiero... Ile, dwanaście lat?

– Widać tyle wystarczy, aby się o to ubiegać.

Lacey zebrała włosy i skupiła się na zaplataniu ich w warkocz z tyłu głowy. Nie miała ochoty myśleć o Zacharym Pointerze ani też przypominać sobie tamtego wieczoru, chociaż te wspomnienia zawsze były tuż obok i wystarczyło, że usłyszała jego nazwisko, aby stanęły jej przed oczami. Nic nie mogło zatrzeć w pamięci jego twarzy i wściekłego, obłąkanego spojrzenia. Słyszała, jak z niepohamowaną złością wyzywa swoją żonę, i widziała, jak jej mama szlachetnie – i skutecznie – staje w jej obronie.

Nie chciała pójść na rozprawę, kiedy go sądzą; mogła wtedy myśleć wyłącznie o tym, jak radzić sobie z bólem po stracie matki. Raz, tylko jeden raz, zobaczyła Pointera w telewizji; nie wiedziała, co to za program, i nie zdążyła zamknąć oczu. Potężny, zwalisty mężczyzna wychodził ze swoim adwokatem z sądu. Lacey patrzyła jak urzeczona. Nie mogła oderwać wzroku, a kiedy rozmawiał z dziennikarzami, płakała. Uderzyło ją, jak bardzo ludzka była ta twarz. Ujrzała w niej absolutnie szczerą – co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości – rozpacz, skrucę i wstyd. A teraz, gdy ojciec powiedział im o wyznaczonym posiedzeniu sądu, wyobraziła sobie te wszystkie lata, które Pointer spędził w więzieniu, sam ze swoim cierpieniem i żalem za winę. Ten człowiek był chory. Chory na umyśle. Dla Lacey wydawało się to całkiem oczywiste, ale ława przysięgłych kategorycznie orzekła, że nie ma mowy, aby oskarżony powołał się na brak poczytalności. Może powinniśmy wysłuchać uzasadnienia jego wniosku o zwolnienie warunkowe, pomyślała. Dwanaście lat to kawał czasu.

Przestań, skarciła się natychmiast. To właśnie były geny jej matki; czy tego chciała, czy nie, Lacey była skazana na współczucie dla wszystkich.

– Szkoda, że nie trafił na krzesło elektryczne – powiedziała na głos. W jej ustach zabrzmiało to tak obco, że brat i ojciec jak jeden mąż obejrzel się, by obrzucić ją zaskoczonym spojrzeniem.

– A więc jesteśmy zgodni – odezwał się po chwili milczenia Alec O'Neill. – Staramy się nie dopuścić, żeby wyszedł z więzienia. Zatrudnię adwokata i dowiem się, jaki powinien być nasz następny krok.

Wieczorem Lacey poszła do siebie, otworzyła okna na oścież i usiadła na skraju łóżka. Prostą, niewymyślną firanką koloru morskiej piany szarpał mocny wiatr. Z pokoju Giny i Claya dobiegały śmiechy. Lacey kochała ich oboje i cieszyła się bardzo, że są razem, ale słysząc, jak się śmieją, jeszcze dotkliwiej przeżywała uczucie, które często dręczyło ją wieczorami: samotność. A gdy tylko przykrywała się kołdrą, doskwierało jeszcze bardziej. Nigdy nie czuła się tak samotna jak nocą w swoim

łóżku, gdy otaczała ją ciemność, a za jedyne towarzystwo miała własne myśli. Pustka towarzyszyła jej od dawna. Zaczęło się po śmierci matki. Lacey straciła wtedy także ojca, który pogрузzył się w żałobie, a gdy poznał Olivię, nowy związek pochłoniął go bez reszty. Olivia ostatecznie została jego żoną i chociaż zawsze okazywała Lacey wiele życzliwości, nie zdołały się naprawdę zaprzyjaźnić, bo musiała poświęcić się własnym dzieciom, a do tego zaprzętała ją rozkwitająca coraz mocniej miłość do męża.

W tamtym roku Lacey odkryła, że dobrym sposobem, aby przynajmniej na chwilę wypełnić wewnętrzną pustkę, jest towarzystwo chłopaków. Potem dojrzała i stała się kobietą, a oni wyrosli na mężczyzn, ale pustka pozostała, przepastna, nienasycona otchłan. Lacey знаła tylko ten jeden sposób, aby ją wypełnić, więc stosowała go w dalszym ciągu. Nie, nie miała aż tak wielu kochanków. Na pewno mniej, niż wydawało się Clayowi, kiedy wypominał jej rozwiązły tryb życia, ale wybierała sobie mężczyzn odpowiadających jednemu wzorcowi: „niegrzecznych chłopców”, dusze rogate i przez to fascynujące. Nie oczekiwali od Lacey niczego poza tym, żeby była dobra w łóżku, choćby tylko przez jedną noc. A w łóżku akurat była dobra, nawet bardzo. Oprócz tego miała niewiele mocnych stron. Możliwe nawet, że żadnej.

Po śmierci matki Lacey zaczęła ją naśladować, lecz nie była to świadoma decyzja. Starła się tylko robić to, co mama by pochwaliła: udzielała się jako wolontariuszka, uczyła dzieci, odwiedzała seniorów w domu opieki w Manteo, gdzie czytała im książki i gazety, oddawała krew tak często, jak pozwalały przepisy. Robiła to wszystko, ale i tak wciąż czuła pociąg do niewłaściwych mężczyzn. Budziło to jej niepokój, ale do głowy jej nie przyszło, że także w tym względzie naśladuje matkę. Przeżyła szok, gdy się dowiedziała. Okazało się, że Annie O’Neill była po prostu fałszywa.

Odkąd Lacey poznała prawdę o matce i jej pozamałżeńskich przygodach, nie miała ani jednego kochanka. Nie umówiła się z żadnym mężczyzną. Zaczęła ich unikać, straciwszy wiarę we własną intuicję. Podobnie musiał czuć się Tom, jej biologiczny ojciec, który od lat walczył z pociągami do picia. Stronił od alkoholu, bo gdyby wziął do ust choć kropelkę, w jednej chwili wróciłby do punktu wyjścia. Lacey tak samo miała z facetami.

Porzuciła też inne rzeczy, w których widziała wpływ swojej matki, zrezygnowała z wolontariatu, zamknęła się w sobie. Clay i Gina namawiali ją, żeby wybrała się do psychologa, więc w końcu ich posłuchała – i trafiła do kobiety, która, jak na jej gust, była zbyt wnikliwą obserwatorką. Lacey oznajmiła jej, że jest seksoholiczką. Pasowała jej taka etykieta, bo to było w jakiś tam sposób pokrzepiające, że można wszystko ładnie uporządkować i załatwić za pomocą czegoś w rodzaju programu dwunastu kroków, tak jak Tom leczył się z alkoholizmu. Tymczasem psychologka miała inne zdanie.

– Depresja: tak – przyznała. – Problemy z poczuciem własnej wartości: tak. Seksoholizm: nie. Nie spełniasz kryteriów.

Zmusiła Lacey, aby przyjrzała się swoim czynom, a potem wybrała akurat takie, których pacjentka nie miała najmniejszej ochoty analizować.

– Wszystko robisz dla innych – powiedziała. – Jak gdybyś uważała, że sama na nic nie zasługujesz. Koncentrujesz uwagę na ludziach, aby nie czuć własnego bólu. A zanim go wyleczysz, Lacey, musisz go poczuć. Pozwól sobie na to.

No cóż, teraz go czuję, pomyślała Lacey, kładąc się do łóżka i okrywając kołdrą.

## Rozdział drugi

Studio witrażu w Kill Devil Hills z zewnątrz wyglądało dokładnie tak samo jak w czasach, kiedy pracowała tam matka Lacey. Mieściło się w budynku stojącym tuż przy samej Croatan Highway. W wysokich oknach, zajmujących przestrzeń od podłogi do sufitu, jak zawsze migotały witraże, choć wprawne oko natychmiast dostrzegłoby różnice, jakie pojawiły się w ciągu minionych lat. Prace Toma zmieniły charakter, przeważały w nich obecnie geometryczne kształty, ale było ich już mniej, ponieważ z biegiem czasu stopniowo przerzucał się na fotografię. Jego prace wisały wraz z pracami Lacey, która zawsze była zdania, że w tej dziedzinie nigdy nie dorówna swojej mamie; Annie O'Neill miała wyjątkowy talent, umiała tchnąć w swoje witraże uczucie, które nie miało nic wspólnego z techniką. Niemniej jednak prace Lacey cieszyły się popularnością. Miała własny styl, a w jej witrażach dominowały motywy zwierzęce i kwiatowe, nie zaś, jak u matki, piękne kobiety w długich sukniach. Lacey od samego początku pracowała przy tym samym stole, co kiedyś Annie, stojącym obok warsztatu Toma. Dostała też do dyspozycji narzędzia po matce. Długo używała jej starych, zielonych okularów ochronnych, nie zwracając uwagi na to, że są wysłużone i porysowane. Ale kiedy w zeszłym roku kupiła sobie nowe, nie mogła się nadziwić, że nagle widzi tak wyraźnie swoje witraże i świat dookoła.

Dwie turystki zajrzały do pracowni, aby obejrzeć wystawione prace. Zachwytem nie było końca. Trzecia stała przy warsztacie Toma, który akurat wyszedł na lunch. Oczarowana przyglądała się pracy, która tam powstawała. Lacey kątem oka dostrzegła, że jedna z kobiet stojących pod oknem wyciągnęła rękę, aby musnąć palcem skrzydło białej czapli na witrażu. Sprzedane, pomyślała. Klienci nie mieli przed nią tajemnic. Ci, którzy przyszli tutaj z nudów, krążyli po pracowni z rękami założonymi na piersiach i chociaż mieli otwarte oczy, to tak naprawdę nic nie widzieli. Innym, takim jak ta kobieta, która dotknęła czapli, wpadała w oko jakaś konkretna praca i nie mogli się już od niej oderwać. Oglądali ją uważnie, ze wszystkich stron. Wyciągali ręce, dotykali. Wyobrażali sobie, jak taka kolorystyka odnalazłaby się w ich domu. I wracali z jakimś znajomym, który koniecznie musiał zobaczyć dzieło, które tak ich zachwyciło. Znajomy potakująco kiwał głową. Sprzedane.

I rzeczywiście, turystka podeszła do Lacey, uśmiechając się przyjaźnie.

– Chciałabym kupić białą czaplę – powiedziała. – Pani jest autorką?

Lacey odłożyła nóż do szkła i zdjęła okulary ochronne.

– Tak – potwierdziła, podnosząc się z krzesła. – Cieszę się, że wybrała pani ten witraż, bardzo go lubię.

To nie było kłamstwo ani sposób na klienta, aby zrobiło mu się miło, że kupuje coś wyjątkowego. Naprawdę jej się podobały odcienie zieleni mieniącej się w wysokich trawach otaczających olbrzymiego ptaka. Wiedziała, że skoro witraż się sprzedał, dobrze będzie zrobić następny w podobnym stylu, ale na pewno nie identyczny. Wołała myśleć, że każda z jej prac jest jedyna w swoim rodzaju.

Gdy czapla była już starannie zapakowana, a trzy turystki wychodziły z pracowni, w drzwiach pojawił się mężczyzna. Oczy mu rozbłyły, kiedy omiótł wzrokiem Lacey, a potem zatrzymały się na dużej czarno-białej fotografii wiszącej na ruchomej ścianie, ustawionej na samym środku pomieszczenia. Odkąd tylko Lacey sięgała pamięcią, to zdjęcie zawsze tam było.

Mężczyzna przystanął w pół kroku. Włożył ręce do kieszeni i zapatrzył się na fotografię, po czym znów skierował spojrzenie na Lacey.

– Przepięknie pani wyszła na tym portrecie – powiedział.

– To moja mama – wyjaśniła.

– Aha. – Twarz nieznanego ściągnęła się w grymasie zakłopotania. – Uderzające podobieństwo.

– Wszyscy myślą, że to ja – wyjaśniła Lacey. W zeszłym roku miała ochotę zdjąć ten portret, ale jego autorem był Tom, a ona wiedziała, że nie jest w stanie wyjaśnić mu, dlaczego fotografia, którą do tej pory uwielbiała, nagle zaczęła jej przeszkadzać.

– Pani zrobiła to zdjęcie? – zapytał gość.

– Nie. Miałam wtedy dopiero dziesięć lat.

– Aha. Oczywiście. – Zatrzymał się pod oknem, przy stoliku z wyrobami na sprzedaż, i ostrożnie wziął do ręki jeden z jej kalejdoskopów. – Jakie to piękne – powiedział, ważąc w dłoniach ciężki cylinder z witrażowych płytek.

– Proszę zajrzeć do środka.

Mężczyzna uniósł kalejdoskop, przystawił do lewego oka i odwrócił się w stronę okna.

– Piękne – powtórzył, obracając go w palcach. Lacey wiedziała dobrze, co widzi: lustrzane wzory złożone z trójkątów wypełnionych szklanymi paciorkami o żywych, jaskrawych kolorach.

Opuścił szklany bibelot, spojrzał na nią.

– To pani dzieło?

– Mhm – przytaknęła.

Był elegancki, wręcz wymuskany, wyglądał jak żywcem wyjęty z katalogu mody męskiej. Krótko obcięte brązowe włosy i ciemne oczy o rzęsach tak długich, że Lacey widziała je wyraźnie z drugiego końca pracowni. Jasne chinosy i sportowa koszula w kratę – o jego stroju można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że nadaje się na plażę. Nie był w jej typie, chociaż większość kobiet uznałaby go pewnie za zabójczego; ulżyło jej, gdy to sobie uświadomiła, bo widać było na pierwszy rzut oka, że jest nią zainteresowany. Świetnie, pomyślała, nie będzie mnie kusiło. Ją pociągał mniej subtelny typ: lekko niechlujny, bez idealnych rysów, za to z nieodgadniętym uśmiechem i spojrzeniem, które przesywa na wskroś, do samej duszy. Nowy znajomy nie miał w sobie nic takiego, i bardzo dobrze.

– Jak się pani nazywa? – zapytał.

– Lacey O'Neill.

– To pani prace? – Wskazał gestem okna.

– Większość. Pozostałe wykonał Tom Nestor. – Skinęła w stronę pustego warsztatu. – Wszedł na lunch. Zrobił też wszystkie fotografie.

Mężczyzna obejrzał się jeszcze raz na duży czarno-biały portret jej matki.

– Tę również – przytaknęła Lacey.

Podszedł do stołu, przy którym pracowała. Przełożył kalejdoskop do lewej dłoni i wyciągnął do niej prawą.

– Rick Tenley – przedstawił się.

Uścisnęła jego dłoń.

– Przyjechałeś na tydzień? – Turyści najczęściej spędzali w Outer Banks około tygodnia.

– Na dłużej. – Znow uniósł kalejdoskop do oka i delikatnie obrócił w palcach. – Piszę książkę, a mój znajomy ma tutaj domek. Tak się złożyło, że wyjechał do Europy, a ja potrzebuję ciszy i spokoju.

Lacey parsknęła śmiechem.

– Cisza i spokój tutaj? W lecie?

Uśmiechnął się, opuszczając kalejdoskop.

– W każdym razie oderwałem się od codziennego życia. Od wszystkiego, co rozprasza mnie w domu.

Lacey dostrzegła przez okno Toma, który właśnie wchodził po schodkach. Rick też obejrzał się w stronę drzwi.

– To jest właśnie Tom Nestor, autor pozostałych prac – powiedziała, kiedy wszedł do pracowni.

– A to jest Rick...

– Tenley. – Rick podał Tomowi rękę. – Tworzy pan piękne rzeczy.

– Dziękuję.

Po tych słowach na chwilę zapadła niezręczna cisza. Rick odwrócił się z powrotem do Lacey, a w oczach miał pytanie, którego nie umiała odszyfrować, ale to wystarczyło, aby zrozumieć, że ten człowiek czegoś od niej chce i nie tylko jej witraże go interesują.

– Rick spędzi tutaj lato. Pisze powieść – odezwała się, żeby przerwać milczenie.

– Nie powieść – uściślił Rick. – Same fakty, żadna beletrystyka.

– Aha. – Tom nalał sobie kawy z dzbanka na stoliku pod ścianą i uniósł kubek do ust, spoglądając na niego ponad krawędzią. – Gdzie pan mieszka? – zapytał.

– W Chapel Hill. Wykładam na Uniwersytecie Duke’a.

Tym udało mu się zaimponować Lacey. Z wyglądu był bardzo młody, za młody nawet na nauczyciela ze szkoły średniej, a co dopiero z wyższej.

– Co wykładasz? – zainteresowała się.

– Prawo.

– O! Nieźle.

Tom usiadł przy swoim stole, założył okulary ochronne i zabrał się do pracy. Najwidoczniej uznał, że szkoda czasu na drętwą rozmowę.

– Jak długo tutaj mieszkasz? – zapytał Rick Lacey.

– Od urodzenia.

– Chciałbym to kupić. – Uniósł kalejdoskop, który wciąż trzymał w dłoni.

– Dobry wybór – powiedziała, nie wiedząc, czy naprawdę tak mu się spodobał, czy po prostu usiłował się jej podlizać. Zawinęła kalejdoskop w bibułę, przez cały czas czując na sobie taksujący wzrok nowego znajomego.

Nie patrz tak na mnie, poprosiła w myślach, kątem oka dostrzegając, jak Rick Tenley spogląda na Toma, po czym znów odwraca wzrok w jej stronę. Może próbował zgadnąć, czy są parą? No, to dopiero byłby dziwaczny związek: dwudziestokilkuletnia kobieta i facet po pięćdziesiątce, dawny hipis z włosami w kucyk. Po chwili przekonała się, że gość doszedł do właściwej konkluzji.

– Czy mógłbym zaprosić cię dzisiaj na kolację? – zapytał. – Znasz tutaj pewnie wszystkie najlepsze lokale.

– Nie mogę, przykro mi – odparła szybko, bo spodziewała się zaproszenia w tym stylu. Chciała mu wyjaśnić, zresztą zgodnie z prawdą, że wybiera się na siłownię, ale on wtedy mógłby powiedzieć, że też chętnie by poćwiczył. Włożyła zapakowany kalejdoskop do torebki i podała mu. – Ale mogę ci coś polecić.

– Jesteś... Masz kogoś? Przepraszam – zmytygował się. – Nie zamierzałem być wścibski. To nie moja sprawa.

Mogła skłamać, ale przy Tomie, który słyszał każde słowo, jakoś nie potrafiła.

– Właściwie nie – odparła wykrętnie. – Po prostu... mam plany na wieczór.

– No dobrze. – To mu chyba wystarczyło. – W takim razie może innym razem. Dziękuję za kalejdoskop. – Na pożegnanie uniósł dłoń, w której trzymał torebkę.

– Bardzo proszę.

Gdy wyszedł, patrzyła za nim przez okno. Wsiadł do bmw, które idealnie pasowało do koloru jego spodni. Czowała na sobie wzrok Toma i wiedziała, że kiedy się obejrzy, zobaczy na jego twarzy uśmiech.

– On tu wróci – powiedział, wstając od stołu, żeby nalać sobie jeszcze jedną kawę. – Tacy faceci nie przyjmują odmowy do wiadomości.



## Rozdział trzeci

Domek, w którym mieszkał Rick Tenley, był zaszyty głęboko w lesie nad brzegiem cieśniny, ale z niedużego i mocno już nadpróchniałego tarasu widać było, że pomiędzy gałęziami sosen taeda pobłyskują nasycone słońcem fale obmywające brzegi wyspy. Mógł wycelować swój nowy kalejdoskop w tamtą stronę, złapać w okularze jedną ze srebrzystych plamek, obracać powoli i patrzeć, jak szklane koraliki malują coraz to nowe wzory.

Powiedział Lacey O'Neill, że mieszka w domku przyjaciela. Nie wiedział, czemu skłamał. Może na próbę, dla wprawy, gdyż czekało go jeszcze wiele kłamstw. W rzeczywistości wynajął ten dom, który miał dwa maleńkie pokoje, czyli o jeden więcej, niż potrzebował. Bez telewizora, bo przeszkadza w pisaniu. I bez klimatyzacji, ale umiał radzić sobie z upałem. Wystarczyło, że jest prąd i telefon zapewniający dostęp do internetu i poczty elektronicznej. Przyjechał tutaj przed czterema dniami i kiedy poczuł unoszącą się w powietrzu woń stęchlizny, pomyślał, że tego domu chyba nigdy nie odnawiano, chociaż na oko miał już z siedemdziesiąt lat. Meble były w podobnym wieku. Większość turystów przyjeżdżających do Outer Banks na lato pogardziłaby taką kwaterą. Przeważnie szukali domów z łózkami dla dziesięciu osób, telewizorem w każdym pokoju, basenem, jacuzzi, atrakcyjnym widokiem. A on dzięki temu wynajął tę rudere za grosze. Idealnie.

Nad brzegiem cieśniny znajdował się splechetek plaży. Spod samego tarasu prowadziła tam krótką, zarośniętą ścieżką biegnącą przez las. Każdego dnia Rick zabierał z domu leżak i siadał sobie nad samą wodą, żeby poczytać, popracować albo chociażby poobserwować łodzie opływające wyspę, samemu będąc niewidocznym. Zeszłej nocy było tak gorąco, że nie dało się spać, wziął więc latarkę i ruszył na plażę, a gdy już tam dotarł, wszedł do wody. Płynął w ciemności i ciszy. Obiecał sobie potem robić to codziennie. W pobliżu brzegu było sporo wodorostów i kiedy ocierały się o niego, dostawał gęszej skórki, lecz dalej, poza zasięgiem ich macek, niosła go już czysta woda, chłodna i ciemna, przyjemnie obmywająca ciało. Obrócił się na plecy, wspominając Lacey O'Neill. Jej rude włosy. Ciepło bijące z niebieskich oczu. To była dobra, życzliwa osoba; widział to wyraźnie, jeszcze zanim otworzyła usta. Należało zrobić kolejne podejście. Rick nie należał do tych, którzy się poddają. Tacy nie kończą studiów prawniczych.

Pracował w zawodzie tylko rok, bo szybko został wykładowcą. Braki w doświadczeniu nadrabiał wiedzą, dlatego władze uczelni zgodziły się przymknąć na to oko. Bardzo się z tego cieszył. Wolał uczyć, niż być praktykującym adwokatem. Prawdę w tym fachu przedstawia się tak, aby spełnić oczekiwania klienta, i że czasami jest to konieczne, a wręcz potrzebne, a jemu to się nie podobało. Zawsze, gdy musiał skłamać, przypominał sobie przy tym pewną radę, której kiedyś udzielił mu ojciec. Otóż kiedy był jeszcze mały, miał osiem albo dziewięć lat, usłyszał przypadkiem, jak tata mówi cioci, starszej już pani, że do twarzy jej w nowym stroju, choć w rzeczywistości wyglądała jak zasuszona kobieta, która desperacko usiłuje odjąć sobie lat. Chłopiec zapytał go potem na osobności, czy naprawdę uważał, że ciocia wyglądała korzystnie.

– Czasem kłamstwo to prezent – odparł ojciec. Rick postanowił trzymać się tej maksymy i mówić nieprawdę tylko wtedy, gdy może ona być przysługą.

\* \* \*

Dwa dni później wrócił do pracowni i na szczęście zastał Lacey samą. Niezręcznie się czuł w towarzystwie tamtego starszego faceta z kucykiem. Zdecydowanie za bardzo go interesowało, co Rick ma jej do powiedzenia.

Kiedy wszedł, artystka stała na drabinie i wieszała w oknie kolejny witraż.

– Cześć, Lacey – powiedział.

Zerknęła w dół i uśmiechnęła się, czym zrobiła mu sporą przyjemność.

– Hej, Rick. – Zaczepiła uszko przy witrażu na haczyku wkręconym nad oknem.

– Potrzebujesz pomocy? – zaoferował się.

– Nie, ciągle to robię – odparła, schodząc z drabiny. Stała na podłodze i zabrała się do jej składania, ale Rick ją ubiegł.

– Sporo o tobie myślałem – wyznał, po czym wyjął jej drabinę z rąk i złożył ją sam. – Za każdym razem, kiedy spoglądam w twój kalejdoskop, przypominasz mi się ty i twoje rude włosy. Naprawdę chciałbym zaprosić cię na kolację. W dowolny dzień. Sama możesz wybrać.

Lacey westchnęła, ale wciąż się uśmiechała; wiedział, że trudno jej grzecznie odmówić takiej prośbie.

– Wybacz – powiedziała. – Szczerze mówiąc, na razie postanowiłam odpuścić sobie spotkania z mężczyznami.

– Aha. No dobrze, rozumiem.

Zdawało się, że jest z nim szczerą, i szarpnęły nim wyrzuty sumienia.

– Sam tak kiedyś zrobiłem, może ze dwa razy – przyznał. – Domyślam się, że dochodzisz do siebie po nieudanym związku?

– Coś w tym rodzaju – przytaknęła, biorąc od niego złożoną drabinę, po czym odstawiła ją pod ścianę.

– A gdybyśmy umówili się inaczej? – zaproponował. – Nie tak jak na randkę. Nie będziemy się stroić. Nawet po ciebie nie przyjadę. Spotkamy się gdzieś, gdzie jest mnóstwo ludzi. I w ogóle nie będzie nam miło.

Udało mu się ją rozbawić.

– No dobrze – zaśmiała się i potrząsnęła głową. – Wygrałeś.

Umówili się na następny wieczór i Rick opuścił pracownię bardzo zadowolony. Wsiadł do samochodu i zapiął pas.

Tak jest! – pomyślał, obracając kluczyk w stacyjce. Wygrałem.

## Rozdział czwarty

Na terenie szpitala znajdowała się siłownia dla pracowników. Faye Collier miała tam swój ulubiony orbitrek. Zawsze na nim ćwiczyła, jeśli tylko był wolny, ponieważ z tego miejsca, na samym środku wysokiej, przeszklonej ściany, nic nie zasłaniało widoku na wzgórze San Diego. Stała na pedałach, po bokach mając Judy i Ledę, dwie fizjoterapeutki pracujące w programie leczenia bólu przewlekłego, a bardziej prywatnie – koleżanki z treningu. Ciekawe, jak wyglądamy od tyłu, przemknęło Faye przez głowę. Miała tytuł magistra pielęgniarstwa i była przełożoną Judy oraz Ledy. Poza tym była blondynką, a one obie brunetkami, ale też miały dobre dwadzieścia pięć lat mniej, więc zdawała sobie sprawę, że jeśli chodzi o nogi, a konkretnie uda od tyłu, nie mogła się równać ze swoimi podwładnymi fizjoterapeutkami.

– Co sądzisz o nowym pacjencie? – Judy wcisnęła kilka klawiszy na pulpicie maszyny i po chwili wykonywała długie, płynne ruchy jednocześnie rękoma i nogami.

– Pytasz o chłopaka z rakiem kości? – upewniła się Faye. – Moim zdaniem potrzeba mu...

– Cześć, Faye. – Tuż obok niej niespodziewanie wyrósł Jim Price, który stanął pomiędzy jej orbitrekiem a maszyną Ledy. Na jego widok Faye natychmiast się uśmiechnęła. Miała tylko nadzieję, że nie zaczęła się rumienić.

– Cześć – odpowiedziała, zwalniając kroku. – Nie wiedziałam, że trenujesz, zamiast iść na lunch.

– Nie trenuję, ale właśnie skończyłem twój artykuł, ten, który dałaś mi do przeczytania. Chciałem złożyć ci gratulacje. Jest świetny.

– To miło, że ci się podobał – odparła, czując, że zaczyna się pocić. Trening plus uderzenie gorąca, oczywiście w fatalnym momencie. Słone krople spływały jej po szyi i dalej, między piersiami. Otarła czoło wierzchem dłoni.

– Zanotowałem sobie kilka spostrzeżeń – dodał Jim. – Powiem ci wieczorem, dobrze?

Nadzieja okazała się płonna: na takie słowa Faye zarumieniła się po same uszy. Judy i Leda milczały jak zakłete. Obie zmniejszyły opór swoich orbitreków, żeby koła zamachowe nie hałasowały; wiedziała, że łowią każde zdanie tej rozmowy.

– Jasne, świetnie – odparła. W świetle bijącym z okien oczy Jima lśniły subtelnym odcieniem brązu. Nigdy wcześniej tego nie zauważyła.

Skinął, żeby pochyliła się do niego.

– Wyglądasz bosko – szepnął jej do ucha.

Oddechem miękko musnął jej skórę. Faye wyprostowała się, uśmiechnięta szeroko, i podziękowała mu samym ruchem warg.

Jim wycofał się spomiędzy orbitreków. Na szczęście Judy i Leda wykazały się przytomnością umysłu i odczekały, aż oddalił się na tyle daleko, że nie mógł ich usłyszeć.

– No mów – zaczęła Judy. – Kiedy następna randka?

– Dziś wieczorem – odpowiedziała Faye, zauważając, że wskazanie pulsometru jest wyższe niż wcześniej, choć znacznie zwolniła tempo. Nie do wiary, że dopuściła, by jakiś mężczyzna tak na nią działał.

– Szczęściara – mruknęła Leda.

Faye zdawała sobie sprawę, że Jim Price podoba się wielu kobietom w szpitalu, jak również niektórym mężczyznom. Nawet młodsze robiły do niego słodkie oczy. Jego żona zmarła przed dwoma laty. Był chirurgiem, ale wycofał się z zawodu, aby opiekować się nią podczas ostatnich miesięcy życia; ten dowód miłości i poświęcenia budził powszechny podziw. Doktor Price miał pieniądze i był przystojny, co w wieku pięćdziesięciu pięciu lat u mężczyzn należy raczej do rzadkości, a do pacjentów i personelu szpitala odnosił się z niezwykłą uprzejmością. Faye знаła się z nim od lat, ponieważ często kierował pacjentów do jej programu leczenia bólu – jej, bo sama go opracowała i wdrożyła – ale do tej pory nie zwracał na nią uwagi. Wydawało się, że dostrzegł ją dopiero przed kilkoma tygodniami, gdy

ukazała się jej książka o terapii bólu przewlekłego. Ktoś musiał mu powiedzieć, że ona też jest wdową, i to tym bardziej rozbudziło jego ciekawość. Podczas ich pierwszej prawdziwej rozmowy wyszło na jaw, że łączy ich coś jeszcze: oboje wychowali się w Karolinie Północnej. To przypieczętowało sprawę i postanowili się lepiej poznać.

– Czy to już coś poważnego? – chciała wiedzieć Leda.

– Co to znaczy poważnego?

– Poszłaś z nim do łóżka?

– Oczywiście, że nie. Zresztą, nie wasza sprawa.

– To trzecia randka? – wtrąciła Judy.

– Tak. I co z tego?

Leda zaśmiała się.

– Na twoim miejscu ogoliłabym sobie nogi.

– Czemu? – Faye poczuła się jak kretyńka. Stara, zacošana i głupia. Poza tym zaczynało jej brakować tchu, podczas gdy koleżanki bez najmniejszego wysiłku rozmawiały w trakcie treningu.

– Na trzeciej randce idzie się do łóżka – wyjaśniła Leda.

– Kto tak powiedział? – prychnęła.

– Tak się teraz robi, Faye.

Sięgnęła po butelkę z wodą, tkwiącą w uchwycie na poręczu, i wypila jeden łyk.

– Nie sądzę, żeby on wiedział lepiej ode mnie, „jak to się teraz robi” – powiedziała.

Faye zdawała sobie sprawę, że jako przełożonej nie wypada jej rozmawiać z Judy i Ledą o życiu intymnym, ale akurat w tej jednej kwestii one lepiej znały się na rzeczy i chciała się czegoś od nich dowiedzieć.

– Tak się składa, że poruszyliśmy ten temat – dodała. – Że dla nas obojga randki to coś zupełnie nowego.

Mogła mieć tylko nadzieję, że nikt nie powiedział Jimowi o tej regule „trzeciej randki”.

– Zależy, jakie były dwie poprzednie. – Judy puściła uchwyty i zsunęła z włosów gumkę, by schować ją do kieszeni szortów. – Gdzie byliście?

– Za pierwszym razem w Starbucksie, a potem na kolacji – wyznała Faye. Tamta pierwsza randka była od początku do końca dziełem przypadku. Wpadli na siebie na szpitalnym korytarzu; doktor Price powiedział, że przeczytał jej nową książkę i zrobiła na nim spore wrażenie, a potem zaproponował jej drinka po pracy. Ostatecznie zamiast do baru trafili do Starbucksa, a chociaż weszli tylko „na kawę”, spędzili tam bite cztery godziny. Mówił głównie on, a jej to nie przeszkadzało, wręcz sama go podpytywała o różne rzeczy, żeby nie musieć opowiadać o sobie. Zwieranie się ze swoich życiowych perypetii nigdy nie było dla niej łatwe. Jim za to nie robił z niczego wielkiej tajemnicy: dowiedziała się o jego dzieciństwie w Karolinie Północnej, o małżeństwie i dwóch córkach. Rozmawiał z nią tak otwarcie, że aż było jej wstyd, gdy pomyślała, jak wiele ona będzie musiała przemilczeć. On jednak, jak się zdawało, nie widział problemu. Chciał, aby ktoś go wysłuchał, a Faye słuchała go bardzo chętnie.

– Starbucks się nie liczy. – Judy pociągnęła łyk wody ze swojej butelki.

– Jak długo tam siedzieliście? – spytała Leda.

– Cztery godziny. – Zostaliby pewnie jeszcze dłużej, ale już zamykali.

– Aha. – Koleżanki jak na komendę skinęły głowami.

– W takim razie to się liczy – zawyrokowała Leda. – Pierwsza randka jak nic.

– Często rozmawiacie przez telefon? – chciała wiedzieć Judy.

– Nie bardzo. – Jim dzwonił dwa razy i napisał do niej mniej więcej tyle mejli, ale ten kontakt był raczej lakoniczny i zdawkowy.

– Bo długa rozmowa telefoniczna liczy się jako randka.

– No, wy jak coś powiecie... – zaśmiała się Faye.

– U mnie cztery godziny przez telefon równa się jedna randka – przekalkulowała Judy.

Przewróciła tylko oczami, bo zabrakło jej tchu. Mięśnie ud paliły i piekły.

– A na drugiej randce gdzie byliście? – zainteresowała się Leda.

– W Sky Room – wykrztusiła z wysiłkiem.

Znów mówił głównie Jim. Kiedy spotkanie dobiegało końca, Faye uprzytomniła sobie, że nie zadał jej ani jednego pytania, poza tym, co chciałyby zjeść. Inną kobietę mogłoby to urazić, ale ona była zadowolona.

– Nieźle, nieźle. – Judy z uznaniem skinęła głową. – Zapłacił za ciebie?

– Tak... ale właściwie nie wiem, czy powinnam mu na to pozwolić – przyznała. – Może powinnam była zapłacić za siebie?

– Nie – sprzeciwiła się Leda. – Zawsze pozwalaj facetowi płacić.

– A moim zdaniem – wtrąciła Judy – trzeba przynajmniej zaproponować, że każde płaci za siebie. Albo następnym razem zapłacić cały rachunek. Możesz tak zrobić dzisiaj.

– Ja bym nigdy nie zapłaciła za kolację z facetem – upierała się Leda. – Zwłaszcza takim nadzianym jak doktor Price.

– Dokąd cię zabiera? – zainteresowała się Judy.

Faye zawahała się i sięgnęła do klawisza zmniejszającego opór orbitreka. Naprawdę za dużo im już powiedziała.

– Idziemy na przyjęcie – wyznała wreszcie. – Do jego znajomych.

– A przed snem mały drink u niego? – domyśliła się Judy.

– Nie planowałam jeszcze, co będzie dalej.

– O, kochana – zaśmiała się Leda. – Dzisiaj pójdziecie do łóżka. Nie widzę tego inaczej.

– Przecież prawie go nie znam – wykręcała się Faye. – Już raczej on mnie.

– Więc o czym tyle godzin gadaliście w Starbucksie?

– On mówił, ja się prawie nie odzywałam.

Leda skrzywiła się z niesmakiem i jęknęła, kręcąc głową.

– No tak, typowy facet. Najważniejsze, żeby ktoś go słuchał.

– Zanim pójdziesz z nim do łóżka, musisz dać mu się poznać – doradziła Judy. – Pokazać mu się jako osoba. – Znów puściła drażek, żeby napić się wody. – Inaczej będziesz się czuła wykorzystana – podjęła. – Bo on może sobie pomyśleć tak: „No fajnie, przespałem się z laską i nawet nie musiałem wysłuchiwać, jak to ona ma ciężko w życiu”.

Faye milczała, delektując się epitetem „laska”. O ile to nie było ze strony Judy zdawkowe pochlebstwo.

– Jak długo tego nie robiłaś? – zagadnęła Leda.

– Hej! – Potrząsnęła głową. – Jestem twoją przełożoną, zapomniałaś?

– To jest rozmowa poufna, prywatna. – Leda zniżyła głos do porozumiewawczego szeptu. – Może tak być? Ktoś ci musi pomóc.

Faye odetchnęła głęboko. Zrozumiała, że i tak wszystko im powie. Bo naprawdę nie poradzi sobie bez pomocy.

– Moim pierwszym i jedynym był mąż – wyznała.

– O Boże. – Judy zatrzymała się na orbitreku. – A on umarł... odszedł... kiedy? Dziesięć lat temu?

Faye nie mogła powstrzymać uśmiechu, słysząc, jak koleżanka się poprawiła. Judy nigdy nie mówiła, że ktoś „odszedł”, a przecież pracowała w szpitalu, na miłość boską. Zmarły mąż siostry Collier był jednakże tematem tabu i pod tym względem wszyscy obchodzili się z Faye jak z jajkiem.

– Już prawie trzynaście – uściśliła.

– No, no... – mruknęła Leda. – Pewnie czujesz się, jakbyś znów była dziewicą.

Faye nie odpowiedziała. Nie określiłaby tego w ten sposób. Czuła się raczej niezręcznie, była zdeprymowana i wystraszona myślą, że będzie musiała rozebrać się przed mężczyzną, nie wiedząc, co ma zrobić i czego on od niej oczekuje. Nikt nie mógł jej zarzucić, że jest gruba – taką przynajmniej miała nadzieję – ale pomimo regularnych ćwiczeń i zdrowej diety jej figura nabrała już tęgawych kształtów typowych dla kobiet w średnim wieku. Wcięcie w talii zniknęło prawie całkowicie, uda zrobiły się pełne, pulchne. Kiedy leżała na boku, czuła, jak brzuch i piersi poddają się sile grawitacji, i trudno jej było

wyobrazić sobie, że mężczyzna obejmuje ją w takiej pozycji. A właśnie takie myśli nachodziły ją ostatnio: zastanawiała się, jak by to było leżeć w łóżku z Jimem Price'em.

Judy pogładziła ją po ręce, spoglądając ze współczuciem.

– Będzie dobrze – zapewniła. – Taki facet jak on pomyśli o zabezpieczeniu i zadba, żeby... No wiesz, żeby ci było dobrze.

– Nie musimy się zabezpieczać – odparła Faye. – On nie miał nikogo od śmierci żony, a u mnie zaczęła się menopauza.

– Boże! – zaśmiała się Leda. – Lepiej weź od nas z magazynku jakiś lubrykant.

– Dość tego dobrego! – Faye poczuła, że policzki ją pieką, lecz mimo to uśmiechała się szeroko. Zatrzymała maszynę i zeszała. Nieco zbyt szybko, bo przez chwilę miała wrażenie, że podłoga się chwieje. – Skończyłam – powiedziała. – Zobaczmy się na dole.

\* \* \*

Jim przyjechał po nią o wpół do ósmej wieczorem. Wyglądał zabójczo: z czarnym garniturem i ciemnym krawatem stylowo kontrastowały szpakowate włosy. Miał to być właściwie bankiet, impreza na cele charytatywne. Faye starała się ubrać odpowiednio do okazji. Półoficjalnie, tak powiedział Jim, włożyła więc bordową sukienkę wizytową z krótkim rękawem, do połowy łydki. łydki miała ładne – tego akurat była pewna. Gdy stanęła w drzwiach, dostrzegła błysk w jego oczach, więc uznała, że dokonała właściwego wyboru.

W drodze na przyjęcie Jim jak zwykle dużo mówił, ale rozmowa obracała się wokół jej artykułu o wykorzystaniu medytacji w leczeniu przewlekłego bólu. Faye chciała zasięgnąć opinii lekarza przed wysłaniem tekstu do publikacji w czasopiśmie medycznym. Wszystkie jego uwagi były celne, wręcz bezbłędne; odniosła wrażenie, że ten temat jest mu niemalże tak samo bliski jak jej. Gdy wyliczał, co warto by zmienić jego zdaniem, zastanawiała się, czy myśli o swoich cierpiących pacjentach, czy może o żonie.

Bankiet odbył się na jedenastym piętrze śródmiejskiego hotelu, w olbrzymim penthousie z bajecznym widokiem na rozświetloną aglomerację i most nad zatoką Coronado. Atmosfera była trochę sztywna, a goście – lekarze, politycy oraz ich żony – nieco przesadnie wystrojeni. Mrużąc oczy od blasku kobiecej biżuterii, Faye zastanawiała się, czy dla wszystkich jest oczywiste, że kamienie w jej kolczykach to cyrkonie, a sukienkę kupiła w sieciówce.

Jim wziął ją za rękę i wsunął sobie jej dłoń pod ramię, jakby chciał tym gestem dodać jej odwagi. Wielu lekarzy obecnych na przyjęciu Faye znała osobiście; kilku uniosło brwi na znak zdziwienia, widząc ją u boku doktora Price'a. Goście krążyli po przestronnym, otwartym pomieszczeniu, a fotograf z „San Diego Magazine” pstrykał im zdjęcia. Ciekawe, pomyślała Faye, czy zobaczą się w rubryce towarzyskiej. Nigdy nie zależało jej na rozgłosie, splendorze ani na wszelkich atrybutach bogactwa, ale takie towarzystwo jednak robiło nieodparte wrażenie. Zastanawiała się, ile Jim zapłacił za zaproszenie, ale po chwili przypomniała sobie, że dochód z imprezy ma wspomóc chorych na raka. Price najprawdopodobniej nie przepuszczał okazji, aby wesprzeć ten cel, ponieważ właśnie rak zabrał mu żonę. Faye była mu wdzięczna, że nie zapytał, jak zmarł jej mąż.

Ku swemu zaskoczeniu szybko znalazła wspólny język z gośćmi na bankiecie. Kilka osób wiedziało, kim jest, i znalazło się nawet paru lekarzy, którzy słyszeli o jej książce. Jim z dużą biegłością dokonywał prezentacji: o każdym, z kim rozmawiali, opowiadał jej co nieco i podobnie miał też zawsze kilka słów do powiedzenia o niej. Wydawało się oczywiste, że imprezy w wyższych kręgach to dla niego chleb powszedni.

W połowie wieczoru ktoś poprosił go na stronę, żeby porozmawiać o jakichś interesach, a jedna z kobiet zaopiekowała się Faye. Przeszły razem do salonu zajętego przez panie.

– Wszyscy bardzo się ucieszyliśmy, że Jim nie przyszedł sam – wyznała.

Była bardzo atrakcyjna. Ciemne włosy nosiła upięte z tyłu głowy, a chociaż na oko dobiegała sześćdziesiątki, cerę miała nieskazitelną.

– Zbyt długo był w żałobie... – dodała.

Te słowa ujęły Faye, ale jednocześnie poczuła, że powinna stanąć w obronie Jima.

– Dziękuję – powiedziała. – Uważam jednak, że żałoba nigdy nie trwa ani za długo, ani za krótko.  
– Oczywiście – zgodziła się kobieta. Faye wychwyciła teraz nieznaczący ślad obcego akcentu. Mógł to być włoski. – Po prostu od dawna Jim nie wyglądał na szczęśliwego. A dzisiaj wygląda. – Uśmiechnęła się. – Martwiliśmy się, że kiedy w końcu kogoś sobie znajdzie, będzie to jakaś młoda pielęgniarka z jego szpitala. Przykro patrzeć, jak dojrzały panowie zostawiają żony, które wytrzymały przy nich wiele lat, bo wpadła im w oko młodsza.

– Więc chyba wypada mi się cieszyć, że wyglądam na swój wiek – zauważyła Faye żartobliwym tonem. Umiała zrozumieć aluzję.

– Och, proszę mi wybaczyć! – Kobieta zaśmiała się ze swojej gafy i chwyciła jej dłoń. – Nie chciałam powiedzieć, że wygląda pani staro, tylko że...

– Wiem. – Faye uspokoiła ją ciepłym spojrzeniem.

– Chodzi o dojrzałość. To naprawdę miła odmiana. Mój mąż jest onkologiem, prowadzi przychodnię w Escondido. Czytał pani książkę i uznał, że jest pani konkretną, rzetelną osobą.

– Bardzo się cieszę – odpowiedziała Faye, chociaż była też zaskoczona.

– Ach, no właśnie: nazywam się Rosa Stein.

– Bardzo mi miło.

– Proszę mi więc powiedzieć: czy panią i Jima łączy coś poważnego? – Znow to pytanie.

– Jeszcze nie.

– No cóż. – Rosa Stein położyła jej dłoń na ramieniu. – Mam nadzieję, że do tego dojdzie.

– Ja też – odparła Faye ku własnemu zdziwieniu.

Kiedy wychodziły razem z salonu, dostrzegła Jima w głębi pomieszczenia, niedaleko okna. Rozmawiał z dwojgiem nieznanym jej ludzi, a na jego widok zrobiło się jej ciepło na sercu. Boże, pomyślała, on naprawdę mi się podoba.

\* \* \*

– Dziękuję, że ze mną poszłaś – powiedział Jim w samochodzie, kiedy odwoził Faye do domu. – Takie imprezy bywają sztywne, wiem, ale to wszystko w szczytnym celu.

– Podobało mi się – zapewniła, ale przede wszystkim zaprzętało ją to, co zrobić z dalszą częścią wieczoru. Cały czas myślała o „regule trzeciej randki”, którą zdradziły jej Leda i Judy.

Jim zajechał pod jej skromny, parterowy dom, wyłączył silnik i z uśmiechem spojrzał na Faye. Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził ją po karku, po krótkich włosach z tyłu głowy. Tętno jej przyspieszyło – tak podziałał na nią dotyk, ale też niepewność, co powinna teraz zrobić. Albo powiedzieć.

– Jeśli zaproszę cię do siebie – przerwała ciszę – czy to będzie wyglądać tak, jakby chodziło mi o coś więcej niż kawa i rozmowa?

Zaśmiał się cicho, wziął ją za rękę.

– I to mi się w tobie podoba – powiedział. – Bezpośredniość. Żadnego kombinowania. Otóż bardzo chętnie wstąpiłbym na kawę i rozmowę, ale uważam, że chyba lepiej nie. Nie jestem gotowy na... na...

Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby zabrakło mu słów, ale zrozumiała, co chciał powiedzieć.

– Ja też nie – przyznała szczerze.

Jim odprowadził ją do drzwi, a kiedy przystanęli, pochylił się i lekko pocałował w usta.

– Nie do wiary, że pracujemy razem tyle lat, a ja wcześniej nie zwróciłem na ciebie uwagi – mruknął, prostując się i ogarniając ją spojrzeniem.

– Myślałeś o pacjentach – pospieszyła z odpowiedzią. – I o żonie.

Z namysłem skinął głową.

– Chyba właśnie to mnie do ciebie przyciągnęło. – Odgarnął kosmyk włosów, który opadł jej na czoło. – To, że straciłaś męża. Że wiesz, jak to jest.

– Wiem – przytaknęła, chociaż to wcale nie była prawda.

Tylko udawała, że wie.

## Rozdział piąty

Lacey nie miała najmniejszego zamiaru informować Claya i Giny, że wychodzi na spotkanie z mężczyzną. Wyszła z domu o wpół do siódmej wieczorem. Brat i jego żona wiedzieli tylko tyle, że umówiła się na kolację w restauracji. Z kim? Na pewno z koleżanką, przecież Lacey nie myślała teraz o randkach. Byli z niej dumni, zresztą nie tylko oni, ale wszyscy – jakby wygrała walkę ze swoimi demonami. W sumie można przecież tak powiedzieć i zdawała sobie sprawę, że na razie powinna unikać pokus.

Z Rickiem Tenleyem mogła się jednak spotkać, nie naruszając warunków rozejmu, który zawarła ze sobą, aby ukrócić swoją rozwiąłość. Taki facet mógłby pewnie zawrócić w głowie wielu kobietom, ale ona była nieczuła na jego wymuszaną urodę. To był po prostu miły człowiek, z którym można było bezpiecznie pójść na kolację, jak ze znajomym. Lacey miała też własny interes do załatwienia, ponieważ Rick był prawnikiem. Zamierzała skorzystać z jego wiedzy i zapytać, co jej rodzina powinna zrobić w sprawie warunkowego zwolnienia Zachary'ego Pointera.

Długo zastanawiała się, dokąd pójść, aż w końcu wybrała Blue Point Grill w Duck. Wolałaby spotkać się w mniej obleganym przez turystów miejscu, ale Shorty's Grill, jej ulubiona restauracja, nie pasowała do takiego faceta jak Rick. Poza tym w Shorty's wszyscy ją znali i od razu rozeszłyby się plotki, a do tej pory, na całe szczęście, nikt nie nagabywał jej pytaniami typu „Dlaczego ostatnio nie pokazujesz się z żadnym facetem?”, co jej pasowało. Po co siał zamęt? Z Rickiem najlepiej więc było spotkać się w takim miejscu, gdzie wtopią się w tłum.

Przyjechał pierwszy i czekał na nią. Zauważyła go, gdy skręciła na parking pod Blue Point Grill: stał na tarasie obok niewielkiego budynku restauracji i oparty o barierkę, patrzył w wodę. Miał na sobie sportową marynarkę i świeżo wyprasowane spodnie. Może to moja wina, przemknęło jej przez głowę, może to ja mu tak opisałam tę knajpę, że musiał się odpicować jak na przyjęcie. Zapomniał, gdzie jest? Na plaży nikt nie nosi wizytowych strojów. I to jeszcze w taki upał. Przecież on musi się gotować w tej marynarce.

Wyjęła z torebki szeroką spinkę i chwyciła w nią tyle włosów, ile tylko się zmieściło. Pozostałe opadły luźno na ramiona. Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę tarasu. Jej letnia sukienka na ramiączkach była długa, sięgała aż do obutych w sandały stóp, i luźna, ale nie tak, żeby wyglądać w niej jak matrona. Przynajmniej taką nadzieję miała Lacey. Jej garderoba przeszła ostatnimi czasy radykalną metamorfozę. Szafa świeciła pustkami, gdy Lacey wyrzuciła swoje prowokujące ciuchy; spory szok, który zakończył się najbardziej dołującymi zakupami w jej życiu. Przez cały zeszły rok pokazywała tak mało ciała, że w zasadzie mogła wyjąć kolczyk z pępka i pozwolić, żeby wszystko zarosło.

Rick odwrócił się w momencie, gdy stanęła na ostatnim stopniu prowadzącym na taras. Powitał ją szerokim uśmiechem.

- Świetny lokal. – Skinął ręką w stronę restauracji. – Dania specjalne prezentują się fantastycznie.
- Polecam go z czystym sumieniem – odparła. – Tutaj serwują tylko dobre rzeczy.

Chwilę czekali na stolik, a dopóki się nie zwolnił, stali na tarasie, oparci o barierkę, i przyglądali się żaglówkom na wodach cieśniny.

- Dziś będzie piękny zachód słońca – powiedział Rick, zauważywszy chmury na horyzoncie.

Lacey skinęła głową.

- Wychowałam się nad tą zatoką.

– Jest czego pozazdrościć – mruknął z uznaniem, po czym wskazał palcem na południe. – Mieszkam mniej więcej półtora kilometra stąd. Mój mały domek też ma taras nad wodą, ale ze znacznie mniej spektakularnym widokiem. Stoї tak głęboko w lesie, że widać go dopiero z bliska, ale ścieżka prowadzi nad samą cieśninę.

- Idealne warunki do pisania, prawda?
- Owszem.



Kierowniczką sali wyszła na taras, aby zaprosić ich do środka. Gdy maszerowali do drzwi, za którymi czekała upragniona klimatyzacja, dłoń Ricka spoczęła na plecach Lacey. Szczęście dopisało im tego wieczoru, ponieważ dostali stolik pod oknem. Mężczyzna odsunął krzesło, aby jego towarzyszka mogła usiąść.

– Napisałeś coś dzisiaj? – zapytała, kiedy zajął miejsce naprzeciwko.

– Mniej, niż powinienem – przyznał się. – Pogoda była taka piękna, że nie zdołałem się oprzeć i zagrałem w golfa.

– Tak? – zdziwiła się. – A często grywasz?

– Staram się jak najczęściej. – Rick uśmiechnął się do kelnerki, która przyniosła im wodę, a młoda kobieta dosłownie się rozpląnęła, wpatrzona w jego długie, ciemne rzęsy i lśniąco białe zęby.

Przejrzeli menu i zgodnie wybrali krewetki i przegrzebki. Kelnerka wróciła i przyjęła zamówienie, a gdy zostali sami, Rick skierował wzrok z powrotem na Lacey.

– A więc – zagadnął, rozkładając serwetkę na kolanach. – Opowiesz mi o tym rozstaniu?

Przez chwilę wydawało jej się, że powiedział „rozstroju” – a jeśli o rozstroju, to oczywiście nerwowym – i drgnęła wystraszona. Osobiście nie powiedziałyby, że wiedza o notorycznej niewierności jej matki przyprawiła ją o rozstrój nerwowy, ale skąd w ogóle takie pytanie? Niepokój szybko minął; dotarło do niej, że po prostu się przesłyszała.

– O jakim rozstaniu?

– No, wiesz. O tym, po którym postanowiłaś przez jakiś czas z nikim się nie spotykać.

– Aha. To nie tak.

I od razu pożałowała swojej szczerości. Mogła przecież powiedzieć: „Tak, to było bolesne rozstanie, ale dochodzę już do siebie”. Tylko że ona od dziecka nie umiała kłamać.

– Po prostu na razie dałam sobie spokój z facetami – odparła.

– Bo jakiś facet cię zranił?

– Nie, to ja sama. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Nietrafnymi wyborami. Niewłaściwym postępowaniem. Mam tendencję do lekkomyślnego działania. Nie uważam na siebie. I wybieram złych facetów.

Wystarczy, upomniała się. Więcej szczegółów mu nie potrzeba.

Kelnerka przyniosła butelkę wina i napelniła ich kieliszki. Milczeli, dopóki się nie oddaliła.

– A zły facet to jaki? – zapytał wreszcie Rick.

– No... – Poczula się nieswojo, najchętniej zmieniałaby temat. – Tak jakby twoje przeciwieństwo. Uniósł brwi, a Lacey zrozumiała, że nieświadomie mogła dać mu jakąś nadzieję.

– Chodziło mi o to, że wydajesz się nieszkodliwy – wyjaśniła.

– Dlaczego to zabrzmiało obraźliwie? – zaśmiał się Rick, unosząc kieliszek do ust.

– W żadnym wypadku – zapewniła. – A w każdym razie nic złego nie miałam na myśli.

Rick wypił łyk wina i odstawił kieliszek na stół, a następnie pochylił się lekko w jej stronę.

– Bez obaw, Lacey – powiedział. – Postawiłaś sprawę jasno. Wiem, że nie szukasz przygody, i uszanuję to.

– Dziękuję. – Była mu wdzięczna, że wyraził się tak jednoznacznie. To naprawdę czarujący facet. Przyszło jej do głowy, że ma jedną czy dwie znajome, z którymi warto go poznać. Na pewno przypadnie im do gustu bardziej niż jej.

– No dobrze. – Rick wyprostował się z powrotem. – To teraz opowiedz mi o sobie. Chcę wiedzieć wszystko.

– Wszystko?

– Jak mówisz, wychowałaś się tutaj, nad cieśniną. Czyli jesteś dzieckiem fal i piasku.

– Zgadza się – przytaknęła.

– Twoja rodzina wciąż mieszka w okolicy?

– Tata i jego druga żona, moja macocha, mieszkają niedaleko, w Sanderling. Ja, mój brat, jego żona i ich córka mieszkamy w Kiss River, w domu latarnika, pod samą latarnią morską.

– Żartujesz. Mieszkasz w domu latarnika?

Lacey skinęła głową.

– Jak to sobie załatwiłaś?

– Miałam sporo szczęścia. Pomagaliśmy z bratem przy renowacji tego domu. Problem w tym, że w przyszłym roku otwierają tam muzeum i, niestety, musimy się wyprowadzić.

– Niesamowite. – Rick upił kolejny łyk wina. – Ale nic nie mówisz o swojej mamie – zauważył.

– O tej pięknej kobiecie z portretu, który wisi w pracowni. Masz identyczne dołeczki w policzkach. Ona też mieszka w okolicy?

– Nie – odparła. – Umarła, kiedy miałam trzynaście lat.

– Och. Bardzo ci współczuję.

Widząc jego zakłopotaną minę, Lacey od razu poczuła potrzebę, żeby jakoś go uspokoić.

– To było już dawno temu – powiedziała.

– Śmierć mamy to traumatyczne przeżycie, zwłaszcza dla nastolatki. Długo chorowała?

– Nie chorowała, ktoś ją zabił.

– O Boże, nie! Jak to się stało? – zapytał, ale uniósł dłoń, zanim zdążyła odpowiedzieć. – Przepraszam. Nie musimy o tym rozmawiać. Rozumiem, jeśli nie chcesz.

– Prawdę mówiąc, chcę, bo jesteś prawnikiem i możesz doradzić mi coś jako fachowiec.

– Mianowicie? – Wyraźnie go zaciekawiła, lecz umilkł nagle i wyprostował się, bo w tym momencie kelnerka postawiła przed nimi talerze z krewetkami i przegrzebkami.

Lacey też odczekała, aż zostaną sami, po czym wzięła z koszyka kromkę chleba.

– Kilka dni temu – zaczęła, smarując chleb masłem – dowiedzieliśmy się, że morderca mojej mamy może dostać zwolnienie warunkowe. Zamierzamy temu zapobiec. Tata ma skontaktować się z jakimś adwokatem, a mnie przyszło do głowy, że może ty wiesz, co trzeba zrobić, aby go nie wypuścili.

Ugryzła kęs chleba, przyglądając się Rickowi, który zastanawiał się przez chwilę, a potem westchnął.

– To nie moja działka – odparł. – W ogóle się na tym nie znam. Zajmuję się prawem podatkowym. Ale mam paru znajomych i mogę popytać.

– O nie, szkoda twojego czasu – zapewniła szybko Lacey, bo nagle poczuła wyrzuty sumienia, że zawraca mu głowę.

– Co się stało? – zapytał Rick. – Z twoją mamą?

Lacey sięgnęła po nóż i przy jedzeniu opisała mu, jak w Boże Narodzenie, w schronisku dla kobiet, jej matka uratowała życie żonie Zachary'ego Pointera. Rick słuchał z uwagą, rzadko spotykaną u mężczyzn; dopóki mówiła, nie tknął niczego, co miał na talerzu.

– Serce się kraje – powiedział w końcu. – Z tego, co mówisz, to była wyjątkowa kobieta. Bardzo mi przykro. – Wyciągnął rękę i położył dłoń na jej dłoni. Lacey nie cofnęła ręki. To był przyjacielski, braterski gest. Wydawało jej się, że dostrzegła w jego oczach łzy, nie była pewna. Mogła za to być pewna czegoś innego: ten mężczyzna dawał jej autentyczne poczucie bezpieczeństwa. Czyżby rzeczywiście nadawał się na przyjaciela? Możliwe, ale pozwoliła mu się dotykać tylko przez chwilę i w końcu delikatnie cofnęła dłoń.

– Co zamierzasz osiągnąć? – zapytał Rick. – Chodzi o rozprawę w sądzie. Chcesz, aby ten człowiek odbył dłuższą karę, czy uważasz, że stanowi zagrożenie i nie można go wypuścić?

– Uważamy – mój ojciec, brat i ja oraz wszyscy miejscowi, którzy znali i kochali moją mamę – że dwanaście lat to za mało. On wyjdzie na wolność, cały i zdrowy, a ona nie wróci już nigdy.

– Sprawdź, co można zrobić – obiecał jej Rick z nagłą determinacją. – Odezwę się do znajomych, którzy znają te przepisy lepiej ode mnie.

– To bardzo miło z twojej strony.

– Ale najpierw muszę ci zadać jedno ważne pytanie – dodał.

Lacey położyła widelec na brzegu talerza, spojrzała na niego wyczekująco.

– Może to zabrzmieć... Z góry przepraszam za niedyskretne pytanie, ale... Zastanawiałaś się nad tym, ile cię to będzie kosztować?

Już chciała odpowiedzieć, ale nie dał jej dojść do słowa.

– Nie chodzi mi o pieniądze – wyjaśnił. – Tylko o koszty emocjonalne. Ta sprawa może się ciągnąć miesiącami. Moim zdaniem ty i twoja rodzina powinniście to poważnie przemyśleć. Musicie być pewni, że sobie poradzicie, bo trzeba będzie przeżyć to wszystko od nowa.

– Uważam, że musimy to zrobić – oznajmiła Lacey.

Rick przesunął nożem muszlę przegrzebka na talerzu.

– Odgrywam teraz rolę adwokata diabła – wyjaśnił. – Rozumiesz? Nie wiem i nie mogę wiedzieć, co czuje osoba, która straciła matkę... Ale czy myślałaś kiedyś, aby... po prostu dać spokój? Zostawić to za sobą? A może nawet wybaczyć temu, kto to zrobił?

Zauważył, jak się zjeżyła.

– Dobrze, może nie do końca wybaczyć – dodał szybko. – Chociaż ja z całego serca wierzę w moc przebaczenia. Kto wybaczy winowajcy, odzyska spokój ducha. Rozumiem, że może to dla ciebie zbyt wiele, zastanów się jednak, czy nie byłoby warto. Może szkoda marnować energię na tamtego człowieka? Jeśli komisja orzeknie, że resocjalizacja się powiodła i on już nikomu nie zagraża, czy umiałabyś dać sobie spokój?

Lacey potrząsnęła głową.

– Nie.

– Posłuchaj, chodzi o to, żebyś zrobiła to dla siebie, nie dla niego. – Rick uważnie wpatrywał się w jej twarz. – Jeśli postanowicie walczyć, będziesz musiała przeżyć to wszystko od nowa.

– I tak zawsze będę to przeżywać – odparła, ale jego słowa szczerze ją ujęły. Był życzliwym człowiekiem i miał sporo racji. – Mówisz tak, jakbyś znał to z własnego doświadczenia – zauważyła.

– Nie. – Rick potrząsnął głową. – Aż tak to nie.

Otarł usta serwetką i znów się uśmiechnął.

– Znam cię krótko – powiedział cicho. – Ale już w twojej pracowni, kiedy rozmawiałaś z tamtymi klientkami, zdążyłem zauważyć, że jesteś czułą, wrażliwą osobą, a twoja serdeczność wobec mnie tylko mnie w tym utwierdziła. Założę się, że zazwyczaj przebaczasz ludziom.

– No cóż... – Lacey westchnęła, biorąc w palce widelec oparty o brzeg talerza. – Cała ironia w tym, że moja mama pierwsza by mu wybaczyła. – Nadziała przegrzebka na metalowe zęby. – Niestety, ja jestem zupełnie inna niż ona.

## Rozdział szósty

Na stole zabiegowym leżał spory berneńczyk. Lacey przytrzymała go, opierając dłonie na jego obojczyku i grzęznąc palcami w gęstej czarnej sierści. Jej ojciec pochylał się nad bokiem psa, gdzie w kilku miejscach sierść wygolono aż do samej skóry, i wyciągał stamtąd szwy.

– Grzeczny piesek – przemawiała pieszczotliwie Lacey do zwierzęcia, które nie zwracało na nią uwagi. Berneńczyk patrzył prosto przed siebie, w ścianę, ze stoickim spokojem znosząc zabieg, który, jak wiedział, był konieczny, aby mógł wrócić do swojego ukochanego pana. Należał do rodziny, która wynajęła domek nad samym oceanem; natychmiast po przyjeździe chciał ochłodzić się w wodzie i tak mu się spieszyło, że staranował płótek z cienkich deszczulek.

Nagle ktoś uchylił drzwi; do gabinetu zajrzała Suzy, recepcjonistka.

– Ktoś przysłał ci bukiet pięknych żółtych róż, Lacey – oznajmiła. – Przed chwilą je przywieźli.

– Żartujesz! – Lacey obejrzała się na nią. – Kto?

Odpowiedź mogła być tylko jedna. Suzy uniosła w palcach małą kopertę.

– Masz zajęte ręce – powiedziała. – Otworzyć?

Skinęła głową, a recepcjonistka wyjęła z koperty karteczkę i podała jej. Lacey wyciągnęła po nią jedną dłoń, bo drugą wciąż przytrzymała leżącego na stole psa, i przeczytała po cichu kilka skreślonych odręcznie słów: „Jesteś największą atrakcją moich tegorocznych wakacji. Z wyrazami sympatii, Rick”.

– No i co? – Suzy uśmiechnęła się szeroko, zaciekawiona.

– Aha, znam nadawcę. – Wsunęła karteczkę do kieszeni fartucha. – Dzięki za wiadomość.

Gdy Suzy zniknęła za drzwiami, Lacey czuła na sobie badawczy wzrok ojca.

– Róże, tak? – zapytał. Dwa krótkie słowa, ale ona dokładnie rozumiała wszystko, co się za nimi kryło: Co ty wyprawiasz, Lacey? Uważasz na siebie? A może wracasz do dawnego stylu życia?

– To nikt ważny, tato – uspokoiła go.

Bez słowa kontynuował zdejmowanie szwów, wiedziała jednak dobrze, że to jeszcze nie koniec, że ojciec nie wytrzyma. I miała rację.

– Jeszcze żaden nie był dla ciebie ważny – powiedział. – I w tym problem, prawda? Że brałaś co popadnie. Że bliskość nie była dla ciebie...

– Tato... – przerwała mu. Kochała go nad życie, ale bywał strasznie upierdliwy. – Nie chcę o tym rozmawiać, w porządku? Róże przysłał mi pewien miły facet, z którym się ostatnio widuję. Platonicznie – dodała z naciskiem. – A róże nie są czerwone, tylko żółte. Proszę cię, zaufaj mi. – Umilkła na chwilę, po czym dodała: – Gina i Clay go poznali i przypadł im do gustu.

Jak dotąd umówiła się z Rickiem trzy razy, a poprzedniego wieczoru zgodziła się w końcu, aby przyjechał po nią do Kiss River. Denerwowała się, że będzie musiała go przedstawić bratu i jego żonie, ale od razu się zorientowali, że jest zupełnie inny niż mężczyźni, z którymi do tej pory się spotykała. Tak się złożyło, że gdy przyjechał, dom był pełen ludzi; martwiła się, że to go onieśmieli. Odwiedzili ich Henry, dziadek pierwszej żony Claya, oraz Walter, rodzony dziadek Giny. Starsi panowie przeżywali niewesołe chwile, ponieważ zimą zmarł ich drogi wieloletni przyjaciel Brian Cass, jednakże pojawienie się Rani przywróciło im radość życia.

Rick poznał wszystkich po kolei i zachowywał się przy tym swobodnie, a rano, przy śniadaniu, Clay i Gina wystawili mu zaocznie ocenę celującą i wyrazili swoją aprobatę.

Ojciec wyciągnął ostatni szew i wyprostował plecy.

– Przepraszam cię, kochanie – powiedział, sięgając do stojącej pod ręką miski z psimi przysmakami.

– Czuję się jak dziecko, które przyniosło ze szkoły piątkę z minusem i dostało ochrzan za minus – dodała Lacey, wciąż urażona.

Alec uśmiechnął się na takie porównanie.

– Wiem, że bardzo starasz się zmienić, Lace – przyznał. – Podziwiam cię za to. I mam do ciebie zaufanie, po prostu mnie poniosło.

Wycofywał się tak szybko, że aż zrobiło jej się go żal.

– W porządku, nic się nie stało – powiedziała.

Razem podnieśli berneńczyka ze stołu i postawili na podłodze. Pies natychmiast podbiegł do drzwi i zaczął drapać w nie łapą, domagając się, żeby go wypuścić. Lacey przypięła mu smycz do obroży.

– Wyprowadzę go. – Alec wyjął jej smycz z ręki. – Ty zaraz kończysz zmianę.

– Dzięki. Do jutra.

Róże w szklanym wazonie stały w recepcji, na blacie biurka. Były przepiękne, lada chwila z pąków rozwiną się kwiaty. Zazwyczaj Lacey w przerwie między zmianą w przychodni a wieczorem w pracowni jadła lunch w jakiejś restauracji. Zazwyczaj U Sama i Omie, ale dzisiaj chciała zabrać swoje róże do domu, bo w samochodzie zostawionym na parkingu zwiędłyby w mgnieniu oka. Poszła więc do Subwaya za rogiem, kupiła sobie kanapkę i wróciła z nią do przychodni. Była tam mała kuchnia, gdzie mogła usiąść, żeby w spokoju zjeść i poczytać książkę.

*Sztukę dobrego wyboru. Kompendium wiedzy o związkach dla kobiet* poleciła Lacey terapeutka pośród wielu tytułów. Pozostałe były pełne specjalistycznego bełkotu i nie trafiały do niej zupełnie, ale ta stanowiła wyjątek. Lacey odnajdywała się w anegdotach, którymi autorka ilustrowała swoje tezy. Ogólne założenie było takie, że zamiast oglądać się na przeszłość, należy patrzeć przed siebie. To właśnie przemawiało do Lacey, której wcale nie uśmiechała się psychoanaliza. Nie miała ochoty sprawdzać, jaki to dziwaczny splot okoliczności sprawił, że podążyła w ślady swojej matki, chociaż nie miała najmniejszego pojęcia o jej rozwiązłym życiu. Chciała tylko zejść z tej drogi. Ta autorka pisała z sensem: „Znacznie łatwiej jest zerwać ze starym wzorcem zachowania, kiedy ma się nowy, którym można go zastąpić”, radziła w swojej książce. Udowadniała też, że związki warto zaczynać od przyjaźni, że nie należy spieszyć się z fizycznym zbliżeniem i lepiej zadbać o głębokie, szczere porozumienie. Aby nawiązać taką relację, warto rozejrzeć się za osobą odmienną od typu, do którego zazwyczaj nas ciągnęło, brzmiała kolejna porada. Niech to będzie ktoś, kto nie uruchomi w nas starych wzorców. Lacey wiedziała, że właśnie kimś takim jest Rick.

Zeszłego wieczoru pierwszy raz ją pocałował. Nigdy nie czekała z tym do trzeciej randki. Prawdę mówiąc, na trzeciej randce zawsze miała już za sobą seks z nowym facetem. Tymczasem ich pierwszy pocałunek był niewinny, nie otworzyli nawet ust, co zresztą jej odpowiadało. Mogłaby na tym poprzestać. Zaczęła się trochę niepokoić, że swoimi staraniami trwale zdusiła w sobie libido, ale po zastanowieniu uznała, że może to i lepiej. Wiedziała, że w zasadzie powinna się cieszyć jak szalona z poznania Ricka właśnie na tym etapie swojego życia. Przyzwoity, porządny mężczyzna, który rozumiał, że Lacey nie chce się spieszyć, i potrafił to uszanować, który niczego się od niej nie domagał. Miała wrażenie, że to dar, dar z nieba, jak gdyby jakaś siła wyższa jej mówiła: „Lacey, byłaś grzeczna przez cały rok, zasłużyłaś na porządnego faceta z krwi i kości”. Ale czegoś tutaj brakowało.

Rozdział, który właśnie zaczęła czytać, nosił tytuł *Odkryć fascynację tam, gdzie jej nie ma*. Znalazła w nim odpowiedzi na wiele dręczących ją pytań. „Często bywa tak”, pisała autorka, „że kobietę pociągają tak zwani niegrzeczni chłopcy, którzy stanowią wyzwanie, którym »trzeba pomóc«. Dla takiej kobiety »grzeczny chłopiec« nie jest ani interesujący, ani atrakcyjny. Tymczasem ten wybór rodzi uczucia. Jeśli masz wrażenie, że spotkałaś właściwego mężczyznę, ale nie ma między wami chemii – nie zwracaj uwagi na ten brak, a zamiast tego wyliczaj sobie jego zalety. Gwarantuję, że jest wam to pisane, miłość się w Tobie obudzi”.

To jest idealny moment, pomyślała Lacey. Mam takiego mężczyznę. Grzecznego chłopca. I nawet całkiem atrakcyjnego. Wybór rodzi uczucia. Wstała od stołu i sięgnęła po wiszący na ścianie telefon, aby podziękować Rickowi za róże.

## Rozdział siódmy

Rick zauważył swoje róże, gdy zajechał na parking przed pracownią Lacey. Wazon stał w jednym z szerokich okien od ulicy. A więc zabrała je ze sobą z przychodni. Doceniła jego gest. Mógł to być dobry znak, chociaż wcale niekoniecznie.

Co dalej? Na pewno musiał zachować ostrożność. Kobiety zwykle za nim szalały, tymczasem na Lacey, o dziwo, jego urok nie działał. A przecież był przystojnym prawnikiem, jeździł bmw. Dla niej jednak taka efekciarska ornamentacja nie miała znaczenia, co szczerze go zaintrygowało. Wiedział natomiast, że musi dawkować jej siebie z umiarem, wstrzemięźliwie.

Wyłączył silnik. Na siedzeniu obok leżała książka. Wziął ją do ręki, ale potem położył na udzie, zastanawiając się, czy wizyta akurat w tej chwili, po kwiatkach i rozmowie przez telefon przed godziną – wizyta i jeszcze jeden prezent – to przypadkiem nie za dużo. Był jednak skłonny zaryzykować. A róże wystawione w oknie dodały mu odwagi.

Zdążył się już nauczyć, że lepiej zaglądać do pracowni pod nieobecność Toma Nestora. Dowiedział się, że witrażysta i fotografik jest biologicznym ojcem Lacey. Uspokoiła go ta informacja, ponieważ wyjaśniała, dlaczego tak bardzo się interesuje jej sprawami. Mimo wszystko Rick wolał jednak odwiedzić ją, kiedy była sama.

Zabrał książkę i wszedł do środka, gdzie czekało go zaskoczenie: Lacey wstała od stołu, podeszła i uściskała go lekko.

– Miło cię widzieć – powiedziała.

– Ciebie też.

Nie spodziewał się po niej tak serdecznego powitania. Czemu zawdzięczał ten przełom? Chyba właśnie kwiatom, odpowiedział sobie. Wazon stał pod oknem, na stoliku z kalejdoskopami, a przez cieniutkie płatki przenikał blask popołudniowego słońca.

– Idealne miejsce na róże – zauważył Rick. – Wyglądają tam jak witraż.

– To samo pomyślałam – przytaknęła Lacey, siadając z powrotem za stołem roboczym. Z bladą, piegowatą cerą było jej bardzo ładnie, wyglądała delikatnie, krucho. Miał nadzieję, że uda mu się jej nie skrzywdzić.

– Zainspirowały mnie – dodała. – W następnym witrażu przedstawię żółte róże.

Rick usiadł na krześle obok jej warsztatu.

– Cieszę się, że pobudziłem twój artystyczny zmysł – powiedział. – Mam wrażenie, że zbyt rzadko dostajesz kwiaty.

– Chyba nigdy nie dostałam – przyznała szczerze. – W każdym razie nie od mężczyzny. No, oprócz taty i Toma.

– Nie do wiary – zdziwił się. – Taką kobietę jak ty powinno się obsypywać kwiatami.

Lacey skwitowała komplement wzruszeniem ramion. Przesadziłem, uświadomił sobie.

Do pracowni weszło dwoje klientów. Przechadzali się pomiędzy witrażami i fotografiami. Rick zniżył głos.

– Rozmawiałem ze znajomym, który zna się na prawie karnym lepiej ode mnie. Podsunął mi kilka sposobów na to, jak możecie wystąpić przeciwko wnioskowi o zwolnienie warunkowe.

Lacey nadstawiła ucha.

– Co wymyślił?

– Musicie nawiązać kontakt z komisją orzekającą w sprawach o zwolnienie warunkowe – wyjaśnił Rick. – To są ludzie, którzy zadecydują, czy ten facet... Jak on się nazywa, bo zapomniałem?

– Zachary Pointer.

– Czy powinien wyjść na wolność, czy nie. Komisja bierze pod uwagę, czy był uprzednio karany i jak zachowywał się w więzieniu. Wiesz coś na ten temat?

Lacey obejrzała się na parę klientów, którzy przystanęli przed jednym z witraży i omawiali dobór

kolorów.

– Chyba nie był wcześniej karany – powiedziała bez entuzjazmu. – Nie mam natomiast pojęcia, jak się zachowywał w więzieniu.

– W każdym razie możecie coś zdziałać – podjął Rick. – Jeśli komisja otrzyma jakieś informacje od was albo od innych ludzi, którzy znali twoją mamę i przeżyli jej śmierć, ma obowiązek wziąć je pod uwagę. Musicie napisać tak zwane oświadczenie o doznanej krzywdzie. Przedstawicie w nim, jaki wpływ na wasze życie miała tamta zbrodnia. Każdy członek rodziny może złożyć taki dokument, ale twoje słowa będą dla komisji najważniejsze, ponieważ doznałaś podwójnej krzywdy: nie tylko straciłaś matkę, ale też widziałaś na własne oczy, jak ją... byłaś przy tym.

Lacey powoli skinęła głową. Patrzyła gdzieś w dal, rozważając jego słowa.

– W porządku – oznajmiła wreszcie. – Zrobię to.

Para klientów odeszła od witraży i ruszyła do wyjścia. Kobieta spojrzała na Lacey i z uśmiechem uniosła dłoń na pożegnanie.

– Wrócimy trochę później – powiedziała. – Przyprawdę moją siostrę, żeby obejrzała ten witraż z kogutem.

– Oczywiście – zgodziła się Lacey. – Do zobaczenia.

Rick zaczekał, aż z powrotem skupi na nim uwagę.

– Będziesz musiała, osobiście albo przynajmniej przez adwokata, przeczytać zeznania tego faceta, zarówno po aresztowaniu, jak i podczas procesu – podjął. – Szukajcie czegoś, co dowodzi braku skruchy albo wypierania się winy. Wszystkiego, co mogłoby wskazywać, że powinien zostać w więzieniu.

– Jasne. – Lacey kiwnęła głową.

Rick zawiesił głos z wahaniem, czując lekkie zdenerwowanie przed realizacją kolejnego punktu swojego planu.

– Żebyś spojrzała na sprawę z innej strony – zaczął wreszcie – mam dla ciebie coś takiego.

I wręczył jej książkę. Lacey rzuciła okiem na tytuł. *Przebaczenie*. Uniosła zdziwiony wzrok na Ricka.

– Jesteś taki religijny czy co? – zapytała.

– Nie. – Uśmiechnął się. – Jestem przeciętnym prezbiterianinem, który rzadko zagląda do kościoła. Ale... Powiedzmy, że włożyłem wiele pracy, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, co jest dla mnie ważne. Co jest w życiu najważniejsze. Warte moich wysiłków, mojej energii, czasu i...

– Rick, on zabił mi matkę – przerwała mu, a w głębi jej niebieskich oczu błysnęła prawdziwy ogień.

Skinął głową.

– Rozumiem. A właściwie nie rozumiem, bo nie mogę zrozumieć, co czuje człowiek, który doznał tak wielkiej straty. Przepraszam.

Nagle rozległ się brzęk szkła. Rick odwrócił głowę: na progu pracowni stała jakaś kobieta, która przed chwilą pchnęła drzwi z taką siłą, że niewiele brakowało, a w drobny mak roztrzaskałaby wiszący na nich witrażyk. Kobieta miała mocno opaloną skórę, spięte z tyłu włosy w odcieniu platynowy blond, a w klapie marynarki granatowego kostiumu nosiła niedużą złotą szpilkę. Na pierwszy rzut oka było jasne, że nie jest klientką. Zacerwienione oczy tonęły w kałużach rozmazanego tuszu do rzęs.

– Nola! – Lacey błyskawicznie zerwała się na nogi i podbiegła do niej. – Co się stało?

– Och, Lacey, po prostu odchodzę od zmysłów! – Kobieta weszła dalej i zatrzymała się na środku pomieszczenia. Łzy lśniły jej w oczach. Przyciskała dłonie do policzków, a ciężkie złote bransolety na nadgarstkach podzwaniały o siebie. Na palcach migotały pierścionki.

– No tak, widzę. – Lacey wzięła ją pod ramię i zaprowadziła do drugiego stołu roboczego. – Usiądź tutaj, u Toma. Co z Jessicą i Mackenzie? Wszystko dobrze?

– Chyba tak – odparła kobieta nazwana Nola. – To znaczy chyba wszystko będzie dobrze, ale lecę zaraz do Arizony i zajrzałam po drodze do ciebie, żebyś wiedziała, co się dzieje. – Uniosła na Lacey pełne cierpienia oczy. – Jessica i Mackenzie miały wypadek samochodowy.

– O Boże. – Lacey zakryła usta dłonią. Przysiadła przed nią, a jej długa spódnica, wydęta niczym spadochron, układała się powoli na podłodze. – Poważny? – zapytała, kładąc palce na dłoni Noli.

– Mackenzie nic się nie stało, tak mi przynajmniej powiedzieli, ale Jessica ma połamane żebra, zapadnięte płuco, pękniętą miednicę... – wyliczała na palcach – ...i kto wie, co jeszcze.

– Straszne... – Lacey obejrzała się na Ricka. – Jessica to córka Noli i moja przyjaciółka z dzieciństwa – wyjaśniła i odwróciła głowę do gościa. – Jak to się stało?

– Potrafił je pijany kierowca – odparła Nola. – Wiem tylko tyle. Lecę teraz do nich. Dopóki Jessica leży w szpitalu, zajmę się Mackenzie, bo na razie mieszka u sąsiadów.

– Kiedy przekonasz się, że Jessica jest w dobrych rękach, od razu się uspokoisz – pocieszała ją Lacey. Także miała w oczach łzy i Rick poczuł się jak intruz.

Nola skinęła głową, ale nie wyglądała na przekonaną.

– Moje biedne dziecko – załkała.

Lacey wstała i pochyliła się, aby ją objąć. Zero reakcji: kobieta siedziała sztywno na krześle, jakby kij połknęła. Ciekawe, ile ma lat, myślał Rick. Jej opalona twarz pozbawiona była jakiegokolwiek zmarszczki; bez wątplenia dzięki częstym interwencjom chirurga plastycznego.

– Bardzo się starała – wyszeptała Nola, a w jej głosie słychać było jednocześnie złość i smutek.

– Sama wiesz, Lacey. Samodzielnie wychowuje Mackenzie i pracuje, chociaż ma tam mnóstwo stresu, a poza tym uczy się w szkole wieczorowej.

– Wiem – przytaknęła Lacey. – Może pojedę z tobą? – zaproponowała.

– Nie, nie. – Nola otworzyła swoją dużą, pojemną torebkę z brązowej skóry, wyjęła jednorazową chusteczkę, po czym wstała z krzesła i otarła oczy. – Dam znać, kiedy dotrę na miejsce.

– Koniecznie. – Lacey objęła ją jeszcze raz. – Zadzwoń, bardzo cię proszę.

Kobieta skinęła jej głową i wyszła. Witrażyk znów brzęknął o szybę, gdy zamykała za sobą drzwi.

Lacey opadła na swoje krzesło.

– Jestem w szoku – westchnęła. – Biedna Jessica.

– Przyjaciółka? – zapytał Rick.

– Znamy się od dziecka, dorastaliśmy razem. – Wzrok utkwiała w drzwiach, ale był pewien, że ich nie widzi. – Była moją najlepszą przyjaciółką, od przedszkola aż do gimnazjum, ale kiedy miała piętnaście lat, zaszła w ciążę. Nola wywiozła ją do kuzynów w Arizonie i już tam została. Od tej pory kontakt nam się rozluźnił, ale kilka razy w roku dzwoniczmy do siebie i to są cudowne, długie rozmowy. Ostatni raz obie były tutaj chyba ze trzy lata temu.

Poderwała się z krzesła.

– Jadę do domu – powiedziała. – Chcę do niej zadzwonić. Sprawdzę, jak się czuje.

– Oczywiście – przytaknął Rick i także wstał.

Spojrzała na zegarek.

– Mogę cię o coś poprosić? Ściągnę Toma z powrotem, żeby nie trzeba było zamykać pracowni, ale czy mógłbyś posiedzieć tutaj, dopóki się nie zjawi? Wiesz, na wypadek gdyby tamta para wróciła. Jeśli się spieszysz, zamknę i wywieszę kartkę na...

– Zostanę. Przynajmniej na coś się przydam.

Podziękowała mu bladym uśmiechem, ale wzrok miała nieobecny.

– Dzięki. – Zebrała swoje rzeczy: torebkę i kalendarz. – Odezwę się później.

Rick patrzył za nią, kiedy wychodziła. Z drzwiami obeszła się delikatnie: jeśli witrażyk brzęknął o szybę, to ledwie słyszalnie. Odwróciwszy wzrok, zauważył, że zostawiła na stole książkę o przebaczeniu. Miał ochotę za nią pobiec, wcisnąć jej książkę do rąk, ale się nie odważył. I tak był już dla niej podejrzany pod tym względem, uważała go pewnie za religijnego fanatyka. A za nic w świecie nie chciał jej splotyć.



## Rozdział ósmy

Gdyby nie korki na nadmorskich drogach, Lacey najprawdopodobniej wcisnęłaby gaz do dechy i pognęła prosto do Kiss River, lekceważąc znaki drogowe. Tymczasem już za Kill Devil Hills utknęła w długiej kawalkadzie aut, toczącej się żółtym tempem na północ. A tak bardzo jej się spieszyło, żeby zadzwonić do szpitala w Arizonie i upewnić się, że przyjaciółka czuje się lepiej. Chciała z nią porozmawiać, usłyszeć jej głos, zapewnić, że jej córka jest pod dobrą opieką. Po raz kolejny naszła ją chęć, aby się spakować i polecieć do Jessiki razem z Nolą. Mogłyby na zmianę jeździć do szpitala i zajmować się jedenastoletnią Mackenzie. Problem polegał na tym, że Lacey w towarzystwie Noli zawsze czuła się skrępowana, chociaż znała ją przez całe życie. Nola bywała trudna. Rozwiodła się wiele lat temu i nigdy nie wyszła ponownie za mąż, z nikim nawet się nie spotykała, chociaż kiedyś ewidentnie zagięła parol na ojca Lacey. Dzięki Bogu, że pojawiła się Olivia; gdyby nie ona, macochą trzynastoletniej wówczas panny O'Neill mogłaby zostać Nola Dillard. A Lacey mroził już sam jej głos przez telefon.

Jako matka Nola przesadnie pobłażała Jessice. Mama Lacey też była łagodna i pozwalała swoim dzieciom na wiele, ale brak dyscypliny równoważyła im jej bezgraniczna miłość. A Jessica, chociaż często krytykowała rodziców przyjaciółki, sama przyznała, że zaledwie przed kilkoma laty, że zazdrościła jej domu pełnego miłości i żywej rodziny.

To jakaś kpina z tym korkiem! – zawołała Lacey w myślach, jadąc przez Duck. Samochód toczył się tak powoli, że obawiała się przegrzania silnika. Czasem do tego dochodziło. Na wszelki wypadek wyłączyła klimatyzację i otworzyła okna. Lokalne drogi znała na pamięć, zarówno główne, jak i boczne, ale w tym miejscu wyspa była tak wąska, że miejsca wystarczyło tylko na jedną, czyli tę, którą właśnie jechała. Zerknęła na komórkę leżącą na siedzeniu obok. Mogła spróbować dodzwonić się do Jessiki z samochodu, ale nie wiedziała, w jakim szpitalu jej szukać, a do tego zasięg w tym rejonie często zanikał; nie chciała nawet myśleć, że miałyby się teraz użerać z urywającym się co chwilę połączeniem.

Pomyślała o Mackenzie. Nola powiedziała, że dziewczynka nie odniosła obrażeń, więc może nawet nie straciła przytomności i widziała swoją matkę zaklinowaną za kierownicą albo leżącą na suficie, jeśli samochód dachował? Następnie, jak zawsze w takich przypadkach, Lacey zaczęła się zastanawiać, co słyhać u ojca Mackenzie. Temat, który od wielu lat był kością niezgody pomiędzy nią a Jessicą. Ojciec Mackenzie nazywał się Bobby Asher. Kiedy Lacey miała czternaście lat, w ich wakacyjnym towarzystwie było wielu chłopaków, w tym on. Do tej pory widziała w nim tamtego szatańsko seksownego siedemnastolatka, który palił jednego papierosa za drugim, pił piwo litrami i łykał prochy jak cukierki. W jej wspomnieniach miał jasne, długie do ramion włosy i błękitne oczy, które widziała u Mackenzie na każdym zdjęciu. Straciła z nim cnotę, a zaraz następnej nocy w jej ślady poszła Jessica. Zabolęło ją, że Bobby ostatecznie wybrał jej przyjaciółkę. Mniej spiętą, gotową na wszystko Jess. Lacey tamtego lata też zaliczyła niejedno szaleństwo, ale wiedziała, że łatwo ją przejrzeć i domyślić się, że w środku dalej jest małą, wystraszoną dziewczynką. A Jessica nie bała się niczego i chyba to właśnie spodobało się Bobby'emu.

Po wakacjach wrócił do domu – mieszkał w Wirginii, w Richmond – i ani Lacey, ani Jessica już nigdy więcej go nie widziały. Kiedy Jessica zorientowała się, że jest w ciąży, zaparła się i nie powiedziała nikomu, nawet Noli, kto jest ojcem dziecka. Tylko Lacey wiedziała. Obie miały więcej niż jednego faceta, ale wszystko wskazywało na Bobby'ego; czas zgadzał się idealnie.

Z początku Lacey uważała, że Jessica ma rację, ukrywając tożsamość ojca swojego dziecka. Bobby był kompletnie postrzelony. Na pewno namówiłby ją na aborcję, żeby mieć problem z głowy. Nola też starała się przekonać córkę do usunięcia ciąży, ale ostatecznie Jessica postanowiła tego nie robić. Podjęła taką decyzję pod wpływem Lacey, która niedawno straciła matkę i nie mogła znieść myśli, że kolejna żywa istota, choćby najmniejsza i jeszcze nierozwinięta, miałaby zniknąć ze świata. Jessica zgadzała się z tym. Skończyła już piętnaście lat, więc żaden lekarz nie podjąłby się usunięcia ciąży

wbrew jej woli. Nola umówiła się więc z ciotką w Phoenix i po cichu wywiozła córkę z Outer Banks. Była w końcu jedną z wiodących agentek sprzedaży nieruchomości w regionie, a rosnący brzuch córki oznaczał dla niej wstyd i plotki.

Kiedy Lacey w wieku szesnastu lat dowiedziała się, że jej biologicznym ojcem jest Tom Nestor, zaczęła zupełnie inaczej myśleć o tych tajemnicach. Nabrała przekonania, że dziecko musi wiedzieć, kim jest jego ojciec, nawet jeśli prawda utrudni mu życie, zamiast je ułatwić. Natomiast mężczyzna, jej zdaniem, musiał mieć świadomość, że ponosi odpowiedzialność za dziecko, które spłodził. Mało brakowało, a skończyłoby się to konfliktem z Jessicą. Ostatnio, kiedy Mackenzie obchodziła jedenaste urodziny, Lacey znów wróciła do tematu.

– Naprawdę, powinnaś o tym powiedzieć Bobby’emu Asherowi – tłumaczyła przyjaciółce. – Mackenzie jest już duża i może poznać prawdę.

Ale Jessica po staremu kategorycznie odmówiła. Nie chciała nawet się nad tym zastanowić.

Lacey wiedziała, ile wyjawiała Mackenzie o jej ojcu: że spotykali się kiedyś, ale krótko, a teraz Jessica nie ma pojęcia, gdzie on się podziewa. Mówiła prawdę, natomiast nie ulegało wątpliwości, że da się go znaleźć. Każdego można znaleźć. Gdy Lacey próbowała sobie wyobrazić, jak obecnie wygląda Bobby Asher – który był w wieku Claya, czyli dobiegał trzydziestki – przed oczami stawał jej długowłosa, niedomyta mężczyzna tkwiący na rogu ruchliwej ulicy w Richmond, wyciągający w stronę przejeżdżających samochodów miseczkę na drobne i kartkę z napisem: „Bezdomny prosi o pomoc”. Musiał tak skończyć, to było więcej niż pewne.

Kiedy wreszcie dotarła do Kiss River, łańcuch wiszący w poprzek leśnej drogi był zdjęty. Ucieszyła się, że nie musi wysiadać z samochodu. Zjechała pomiędzy drzewa, gdzie zalegał cień, docisnęła gaz i pomknęła po wybojach, aż żwir sypnął się spod kół. W tym momencie obchodziło ją już tylko to, żeby dostać się do telefonu.

Na parkingu pod domem stał van Giny, a obok niego jeep Claya. Lacey wiedziała, że brat jest albo w lesie i szkoli do poszukiwań jakiegoś psa, albo czeka w domu na przyjazd klienta. Wyskoczyła z samochodu i pobiegła przed siebie. Piasek skrzypiał pod jej stopami.

Otworzywszy zewnętrzne drzwi z siatki, zobaczyła Claya i Ginę w kuchni. Gina przyłożyła palec do ust.

– Cicho – poprosiła. – Przed chwilą położyłam ją spać po obiedzie.

Clay, który akurat zamiatał podłogę, bo do kuchni zawsze nanosiło się mnóstwo piasku, uniósł głowę.

– Co się stało? – zapytał. Lacey domyśliła się, że widać jak na dłoni, jak bardzo jest zmartwiona.

– Jessica i Mackenzie miały wypadek – powiedziała. – Żyją, ale Jessica odniosła poważne obrażenia. – Wyliczyła wszystko, co udało jej się zapamiętać z rozmowy z Nolą. – Chcę zadzwonić do szpitala, w którym leży.

– Kto spowodował wypadek? – dopytywał Clay, jakby to miało jakieś znaczenie.

– Pijany kierowca. – Lacey rzuciła torebkę na stół i sięgnęła po bezprzewodowy telefon. Wystukała na klawiaturze numer informacji.

– Kto to jest Jessica? – zainteresowała się Gina, spoglądając na męża.

– Przyjaciółka Lacey z dzieciństwa – odparł. – Nieźle świrięta. Zaszła w ciążę w wieku czternastu lat, podczas wakacji, kiedy spróbowała chyba wszystkich narkotyków, jakie są na świecie.

– Bardzo się zmieniła od tamtego czasu – wtrąciła Lacey. Zbierało jej się na płacz, kiedy tak czekała, aż usłyszy w słuchawce głos żywego człowieka. Nie знаła nazwy ani jednego szpitala w Phoenix, a tym bardziej nie miała pojęcia, gdzie szukać Jessiki. – Poza tym – dodała – ty sam nie byłeś wtedy święty.

Zirytowała się, że tak bez namysłu wystawił jej przyjaciółce fatalną opinię.

– Kto, mój facet? – Gina objęła Claya ramieniem i cmoknęła go w policzek. – Byłeś młodym buntownikiem?

– Skąd ona może wiedzieć, co ja wtedy robiłem – odparł. – Przez całe lato chodziła napruta.

Ale Lacey wiedziała, i to dobrze. Bywała na różnych imprezach, widziała, jak jej brat pije na

umór, jak każdy małolat. Tak piły tamtego lata wszystkie klasy kończące średnią szkołę. To prawda, że poza alkoholem Clay nie próbował, zdaje się, niczego innego, gdy tymczasem ona i jej znajomi zaliczyli przygodę z marihuaną i od czasu do czasu jakiś odlot na LSD. Parę dzieciaków paliło też crack, ale Clay był już w takim wieku, że w razie potrzeby mógł zgrywać odpowiedzialnego dorosłego. Bo to, co wyprawiała Lacey – Jessica zresztą też – było ostrym przegięciem.

W końcu telefon odebrał jakiś mężczyzna, który podał jej numery trzech szpitali. Zapisała je na kartce podsunętej przez Ginę.

– Zadzwoń do niej z pracowni – powiedziała i ściskając kartkę w dłoni, wyszła z kuchni, kierując się w stronę przeszklonej werandy.

– Powodzenia! – zawołała bratowa, odprowadzając ją wzrokiem. Idąc przez salon, Lacey słyszała jeszcze, jak robi Clayowi wyrzuty za brak delikatności.

Jej mała domowa pracownia, zalana blaskiem słońca przesianym przez kolorowe witraże wiszące w oknach, znajdowała się na tyłach domu latarnika, czyli po przeciwnej stronie niż ocean i latarnia morska. Za oknami rozciągał się widok na piaszczysty teren, biegnący od domu aż po nadmorskie zarośla majaczące w oddali. Stały tam dwa stoły robocze: na jednym Lacey rysowała projekty, na drugim cięła szkło. Usiadła przy drugim, sięgnęła po słuchawkę telefonu i wybrała numer z kartki.

– Leży na OIOM-ie – poinformowała ją recepcjonistka, gdy usłyszała nazwisko Jessiki. – Tam nie ma telefonów w salach pacjentów.

OIOM. Lacey wyobraziła sobie aparaturę, rurki, przewody. Respiratory i EKG. Biedna Jess.

– W jakim ona jest stanie? – zapytała. – Czy mogłabym porozmawiać z jakąś pielęgniarką?

– Proszę poczekać. – Słysząc było wyraźnie, że recepcjonistka nie znosi swojej pracy i ma jej po dziurki w nosie. – Połączę panią z oddziałem.

Po kilku sygnałach telefon odebrała inna kobieta o życzliwym, pogodnym głosie.

– Dzień dobry – przywitała się Lacey. – Chciałabym zapytać, jak się czuje Jessica Dillard, jedna z pacjentek.

– Jest pani z rodziny?

– Prawie. To moja przyjaciółka.

– Stan był krytyczny, a teraz się poprawił i ocenia się go jako ciężki.

– Krytyczny! – powtórzyła Lacey. – Nie miałam pojęcia, że było aż tak źle.

– Jest już znacznie lepiej – pocieszyła ją kobieta. – Po południu przeniesiemy panią Dillard z OIOM-u. Chce pani z nią porozmawiać? Mamy tu bezprzewodowy telefon, mogę go zanieść do jej pokoju.

– Och, tak, będę wdzięczna – powiedziała.

Dzięki Bogu. Jessica czuła się na tyle dobrze, że mogła rozmawiać. Kilka chwil później w słuchawce zabrzmiały jakieś szelesty i odezwał się drugi głos, słaby, ale znajomy.

– Halo? – zapytała Jessica.

– Jess, to ja, Lacey.

– Lacey... – Słysząc było, że jest zmęczona. Może przysypiała. – Kochana jesteś, że dzwonisz.

– Jak się czujesz? Bardzo cię boli?

Odpowiedź przyszła dopiero po chwili.

– Gdyby nie pompowali we mnie tyle dragów, pewnie by bolało – przyznała Jessica. – Skąd wiedziałas, że tutaj jestem? Mama do ciebie zadzwoniła?

– Zajrzała przed wyjazdem do pracowni, powiedziała mi, że miałyście wypadek i że leci do Arizony, aby zająć się Mackenzie.

– Biedna Mackenzie. Dla niej to wszystko chyba było znacznie gorsze, bo ja straciłam przytomność i nic nie pamiętam.

– Jeśli chcesz, ja też przyjadę – zaproponowała Lacey. – Żaden problem. Tata ma ludzi, poradzi sobie przez kilka dni beze...

– Nie – przerwała jej Jessica. – Dam radę. Ale obiecaj, że mnie odwiedzisz, kiedy wyzdrowieję. Tyle lat tutaj mieszkam, a ty nigdy u mnie nie byłaś.

Lacey musiała się uśmiechnąć. Jessica w tej chwili na pewno czuła się potwornie, a mimo to bez trudu potrafiła zagrać jej na sumieniu. Zresztą, miała rację. Lacey zawsze powtarzała, że „kiedyś, niedługo” odwiedzi ją w Phoenix, i tak minęło prawie dwanaście lat, a jeszcze ani razu się tam nie wybrała.

– Przyjadę – powiedziała. – Obiecuję.

Jessica westchnęła.

– Miałam wielkie szczęście, Lace – wyznała. – Rano powiedzieli mi, że niewiele brakowało. Od dzisiaj zamierzam cieszyć się każdą minutą życia. I ty też o tym pamiętaj.

– Ależ ty masz siłę... – Lacey nie mogła się nadziwić. – Skąd się w tobie aż tyle tego bierze?

Jessica zaśmiała się cicho.

– Macierzyństwo – odparła. – Albo nas wzmocni, albo zabije.

– Kocham cię – powiedziała Lacey.

– Ja ciebie też. Nie martw się o mnie, dobrze?

– Dobrze.

Rozłączyła się. Ta krótka rozmowa przyniosła jej wielką ulgę. Zastanawiała się, co mogłaby zrobić dla przyjaciółki, oddalonej o ponad trzy tysiące kilometrów. Wysłać jej kwiaty? W takiej chwili z pewnością wiele osób posyłało jej bukiety. Lacey postanowiła kupić dla niej książki i czasopisma, coś, co trochę umili długą rekonwalescencję. Jednakże nawet to nie sprawiło, że poczuła się mniej bezsilna. Chciałaby zrobić coś więcej.

Nie miała pojęcia, o jak wielką przysługę zostanie wkrótce poproszona.

## Rozdział dziewiąty

Okazało się, że zasady, o których mówiły Leda i Judy, to czysta teoria. Faye i Jim poszli do łóżka dopiero na szóstej randce. Czowała się wtedy swobodnie w jego towarzystwie, oswoiła się z nim i nabrała zaufania – do tego stopnia, że przestała się martwić, czy korzystnie wygląda i czy dobrze jej pójdzie. Jim otworzył się przed nią, dowiedziała się wielu rzeczy o nim i o jego życiu, na przykład o jego obawach, czy da sobie radę w łóżku, bo kilka lat wcześniej miał problemy z prostatą. Zachęcona jego szczerością, przyznała mu się do własnych kompleksów związanych z wagą, zwiotczałą skórą, zmarszczkami. Skwitował to wszystko śmiechem, jakby w ogóle nie przyszło mu do głowy zwracać uwagę na takie drobiazgi.

Ma się rozumieć, że gdy ten przełomowy krok mieli już za sobą, spędzali teraz sporo czasu w łóżku, znacznie więcej niż w restauracji czy kinie. Po dwóch wspólnych nocach nie zwracali już sobie nawet głowy umawianiem się na mieście i Faye pojechała do Jima prosto z pracy. Była wyczerpana, ponieważ przez cały dzień prowadziła seminarium z leczenia bólu przewlekłego. Zajęcia kosztowały ją mnóstwo wysiłku, chociaż były wspaniałe, od początku do końca. Jadąc samochodem i rozmyślając o wieczorze z Jimem, Faye poczuła przypływ energii.

To była jej pierwsza wizyta u niego, więc zanim znaleźli się w sypialni, oprowadził ją po domu. Wiedziała, że jest zamożny, ale po wejściu do przestronnego holu otoczyły ją luksusy, których się nie spodziewała. Wystrój na pierwszy rzut oka zdradzał rękę profesjonalisty i zadała sobie pytanie, czy wyszukane zdobienia okienne i kwieciste obicia mebli to wyraz gustu Jima, czy jego zmarłej żony.

Widok z okien sypialni – jak zresztą ze wszystkich okien – był zachwycający. Dom stał na zboczu wzgórza, a w dole, spowity półmrokiem zapadającego wieczoru, słał się migoczący kobierzec świateł dzielnicy La Jolla. Osuwające się ku horyzontowi słońce płonęło jaskrawą, koralową barwą. Faye podziwiała tę rozległą panoramę z wielką uwagą i usilnie starała się zapamiętać, że niedługo znajdzie się w zabytkowym łóżku należącym do Alice Price. Czy Jim także o tym myślał? Czy dziwnie się czuł, widząc w tym miejscu inną kobietę?

Zapomniała o swoich wątpliwościach, gdy zaczął zsuwać z niej ubranie. W łóżku był cudowny, nie spieszył się i potrafił zadbać, aby kobieta osiągnęła spełnienie; Judy słusznie się tego domyśliła. Niestety, teraz koleżanki musiały poprzestać na domysłach, ponieważ Faye, ku ich wielkiemu niezadowoleniu, nie zdradziła już żadnego osobistego szczegółu.

Kiedy skończyli się kochać, a w pokoju zapadła całkowita ciemność, Jim mocno objął Faye i westchnął głęboko. Uznawszy, że ma to oznaczać zadowolenie, przytuliła głowę do jego piersi.

– Dużo o tobie myślałem przez ostatnie dwa dni – powiedział, gładząc ją po nagim ramieniu.

– Tak?

– Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo jestem ci wdzięczny, że tak cierpliwie mnie słuchałaś. Od bardzo dawna nie było przy mnie nikogo, z kim mógłbym rozmawiać tak jak z tobą. Może nawet nigdy nie miałem kogoś takiego.

Ujął ją tym.

– Cieszę się, że potrafiłeś przy mnie się otworzyć – szepnęła, opierając otwartą dłoń na jego piersi.

– Ale teraz widzę też, że powiedziałaś mi bardzo mało o sobie – podjął Jim. – Mówisz mi o uczuciach. Jesteś niesamowicie bezpośrednia. I to mi się naprawdę podoba. Przy tobie nie muszę się niczego domyślać. Ale... – zawiesił głos.

– Ale co?

– Nie wiem nic o twojej przeszłości.

– Ach. – Faye miała nadzieję, że da się uniknąć tego tematu, ale najwidoczniej było to niemożliwe.

– Wiem o tobie tyle: pochodzisz z Karoliny Północnej, tak jak ja. Byłaś jedynaczką. Twój rodzice

już nie żyją. Nie masz dzieci. Miałaś męża, ale on umarł już dawno i od tamtego czasu nie spotykałaś się z żadnym mężczyzną. To wiem, nie wiem natomiast, jak wyglądało twoje dzieciństwo i okres dorastania, czym zajmowali się twoi rodzice, a to wszystko jest moja wina, bo ani razu cię o to nie zapytałem. Moja wina. Przepraszam.

– Nie szkodzi.

– Największa biała plama to twoje małżeństwo – ciągnął Jim, bawiąc się kosmykami jej włosów opadających na kark. – I twój mąż – dodał. – Nigdy o nim nie mówisz. O Alice wiesz wszystko. Chyba za dużo o niej gadam. – Zaśmiał się z zażenowaniem, aż zrobiło jej się go trochę żal.

– Nieprawda – zapewniła szybko.

– Chciałem w ten sposób powiedzieć, że mi przykro, bo nie dałem ci szansy opowiedzieć mi o sobie. O nic cię nie pytałem. To wcale nie oznaczało braku zainteresowania. Tak naprawdę... – zaśmiał się pod nosem. – To był zwyczajny egoizm. Chciałem zrzucić na ciebie moje problemy. Ale teraz jestem już gotowy.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, lekko trącił Faye w ramię.

– Proszę – powiedział. – Opowiadaj.

– Och... – Odetchnęła powoli. – To dla mnie trudne.

– Dlaczego trudne?

Oczyrna duszy ujrzała białą kartę, którą odgrodziła się od przeszłości. Teraz ta karta domagała się, aby ją zapisać.

– Są rzeczy, o których ciężko mówić – wyjaśniła. – Ale chcę ci o nich powiedzieć, naprawdę. Chcę, żeby połączyła nas dobra, zdrowa relacja, a wiem, że nie można zbudować jej na kłamstwach.

– Okłamywałaś mnie? – W tym pytaniu zabrzmiało zaskoczenie.

– Tak – przyznała. – Chociaż głównie poprzez przemilczenie.

– Możesz mi mówić o wszystkim – zapewnił Jim. Uświadomiła sobie, że on chyba nie zdawał sobie sprawy, w co się pakuje.

– Proszę, aby to, co ci powiem, zostało między nami, dobrze? Tobie mogę już powiedzieć... o pewnych sprawach... Ale nie chcę, żeby świat się o tym dowiedział.

– W porządku.

Na chwilę zamilkła, szukając słów. Jim uprzedził ją, zanim zdążyła zacząć:

– Masz dziecko.

Zaskoczył ją.

– Tak, mam – przyznała, choć to była jedna z ostatnich rzeczy, które zamierzała mu teraz wyjawić. – Skąd wiedziałeś?

– Twoje ciało cię zdradziło.

– Rozstępy?

Roześmiał się głośno.

– Strasznie się wstydzisz swojego ciała – powiedział. – Nie zauważyłem żadnych rozstępów. Chodzi o kolor sutków, a właściwie brodawek. Są ciemne.

– Tak to jest, kiedy kobieta spotyka się z lekarzem...

– Straciłaś to dziecko? – zapytał.

Faye znów położyła dłoń na jego piersi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Tak – potwierdziła. – Ale inaczej, niż myślisz.

Zacisnęła mocno powieki.

– Mój mąż żyje – wyznała. – W rzeczywistości nie jestem wdową.

Poczuła, jak mięśnie na jego piersi napinają się pod jej dłoń.

– I bardzo, bardzo mi przykro, bo to moja wina, że tak myślałeś, a wiem, że właśnie dlatego zwróciłeś na mnie uwagę – mówiła szybko. – Wydawało ci się, że łączą nas wspólne przeżycia. Przepraszam.

– A więc jesteś mężatką? – zapytał.

– Nie, wzięłam rozwód. Osiem lat temu, po przeprowadzce do Kalifornii, nie potrafiłam zdobyć

się na to, żeby mówić obcym ludziom całą prawdę. Łatwiej było powiedzieć po prostu: mój mąż nie żyje. I nie tłumaczyć, gdzie jest i co robi. Zresztą dla mnie on naprawdę umarł, więc takie kłamstwo przechodziło mi przez gardło bez trudu. Do tej pory. Dopóki nie poznałam ciebie.

– Domyślam się, że chodzi o paskudny rozwód. – Jim był zły, że Faye podawała się za wdowę, słyszała to wyraźnie. Zresztą, nic dziwnego.

– Chcę, abyś wiedział, że jestem uczciwą osobą – zapewniła. – I zasadniczo prawdomówną. W moim życiu jest to jedno wielkie kłamstwo, ale proszę cię, nie myśl, że ono mówi o mnie wszystko. Bo tak nie jest.

– Mów dalej – poprosił.

– Mój były mąż siedzi w więzieniu za morderstwo.

Powtarzała sobie te słowa wielokrotnie, ale nigdy, ani razu, nie wypowiedziała ich na głos. A teraz, w tym olbrzymim pokoju, rozległy się głośnym echem.

– Boże... – westchnął Jim. – Jak to się stało?

Faye odwróciła się na chwilę do stolika nocnego, aby włączyć lampkę od Tiffany'ego. Straszne obrazy z przeszłości przesuwały się jej przed oczami, a wtedy nie była w stanie znieść ciemności.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Położyła głowę na jego ramieniu i przelknęła z wysiłkiem ślinę, walcząc z mdłościami.

– Czy na razie moglibyśmy na tym zakończyć? – poprosiła. – Wystarczy tej prawdy jak na jeden raz. Do tej pory śni mi się to po nocach, a dzisiaj naprawdę nie zniosę koszmarów.

Jak miała mu powiedzieć, że w Karolinie Północnej mieszkała w małej, ciasnej przyczepie kempingowej, skąd uciekła do schroniska dla ofiar przemocy domowej, kiedy teraz leżała w ręcznie rzeźbionym z wiśniowego drewna łóżku za trzy tysiące dolarów, stojącym w ogromnej sypialni jego luksusowej rezydencji w La Jolla? W tamtych czasach nawet nie przyszłoby jej do głowy, że gdzieś na świecie żyją tacy ludzie, których teraz zaczynała poznawać, i ogarnęły ją wątpliwości, czy zdoła się do nich dopasować.

– Powiedz mi tylko jedno – poprosił Jim. – Czy on zabił twoje dziecko?

– Nie. Chodziło o coś zupełnie innego.

– A miałas syna czy córkę?

– Syna.

Teraz to już dorosły mężczyzna, pomyślała.

– Nazywa się Freddy. Fred. Nie mam z nim kontaktu. Obwinił mnie. Uważał, że to ja w jakiś sposób doprowadziłam jego ojca do tego, że zabił człowieka. Kiedy to się stało, przeprowadziliśmy się do Los Angeles. Miałam tam znajomą z dawnych czasów, jeszcze ze szkoły pielęgniarskiej. Przyjęła nas do siebie, a ja poszłam na studia, ale z moim synem zaczęły się straszne problemy. To nie był zły chłopak, tylko... miał do mnie ogromny żal i wyrażał go poprzez gniew. W dniu osiemnastych urodzin wyprowadził się z domu. Poszłam po radę do psychologa i usłyszałam, że najlepszym rozwiązaniem jest twarda miłość. Wiesz, o co chodzi: pozwolić mu odejść, radzić sobie samemu. I tak właśnie zrobiłam.

Opisywała tamte wydarzenia bez wielkich emocji. Ból ukryty w tych słowach na pewno by ją złamał, więc musiała się przed nim obronić, a Jim nie mógł jej zobaczyć w takim stanie. Ani on, ani nikt inny.

– Straciłaś go wtedy z oczu?

– Nie wiem, gdzie jest, a on nigdy mnie nie szukał.

Westchnął i pogładził ją po ramieniu.

– Powiem ci, że miałem podobny problem z moimi córkami.

– Naprawdę? – Faye nie poznała jeszcze jego córek, bliźniaczek, które były już dorosłe, ale niedawno, kiedy Jim pokazywał jej dom, widziała ich zdjęcia. Stały na półkach biblioteczki w gabinecie. Oprócz fotografii niebieskookich blondynek, raz starszych, a raz młodszych, było tam też kilka portretów Alice, która wyglądała dokładnie tak, jak Faye się spodziewała: elegancko uczesana i ubrana, lśniąca od złota. Była jej całkowitym przeciwieństwem, przynajmniej na zewnątrz.

– Przez rok po śmierci Alice nie odzywały się do mnie ani słowem – powiedział Jim.

– Czemu?

Teraz to on nie odpowiedział od razu.

– Bo obwiniały mnie o śmierć swojej matki – wyznał wreszcie. – Namówiłem ją na eksperymentalne leczenie. Inne metody moim zdaniem nie dawały jej większych szans. Uważam, że ona to rozumiała, a w każdym razie mam taką nadzieję. Ale córki miały do mnie ogromne pretensje. Zarzucały mi, że zrobiłem z niej królika doświadczalnego i tak dalej, i tak dalej.

Westchnął znowu. Faye domyśliła się, że to musiała być naprawdę ciężka walka. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak się czuł, kiedy stracił żonę, a na dodatek jeszcze córki okazywały mu tyle niechęci.

– Uważam, że postąpiły okrutnie, odwracając się od ciebie – powiedziała.

– Bardzo wtedy cierpiały – odparł. – Ale w końcu same zrozumiały, że naprawdę chciałem dla Alice jak najlepiej. Więc może i twój Fred kiedyś zmieni zdanie.

– Boże, bardzo bym chciała. – Faye zamknęła oczy, opierając się fali smutku, wzbierającej w jej sercu. – Myślę o nim za każdym razem, gdy widzę w przychodni jakiegoś młodego mężczyznę. Nawet nie musi być do niego podobny.

Najsilniejsze emocje nieodmiennie budzili w niej ludzie, do których ktoś strzelał. Freddy mógł przeżyć dokładnie to samo, gdyby nie Annie O'Neill. Faye przesunęła dłoń przed twarzą, jakby odpędzając tę myśl.

– Nie mogę już dłużej o tym rozmawiać.

Uniosła głowę, chcąc przyjrzeć się Jimowi. W świetle lampki dostrzegła delikatny rysunek zmarszczek w kącikach jego oczu i głębokie bruzdy ciemniejące po bokach nosa, zbiegające aż do podbródka. Miała świadomość, że on też widzi na jej twarzy podobne skazy. Nadszedł czas, aby wyłączyć światło, lecz zanim się odwróciła, aby sięgnąć do przełącznika, Jim musnął palcem jej policzek i poprowadził go po śladach widocznych tylko dla siebie. Uśmiechnął się.

– Kiedy będziesz gotowa, aby powiedzieć mi więcej, wysłucham cię na pewno.



## Rozdział dziesiąty

W domu latarnika było cicho. Lacey i Rick siedzieli przy stole w kuchni, gdzie spokojnie popijali mrożoną herbatę i pakowali prezenty dla Jessiki. W otwartych drzwiach, przesłoniętych tylko zewnętrzną siatką, drzemał Sasza, od czasu do czasu otwierając oczy, żeby sprawdzić, czy na piaszczystym podwórku nie widać Claya albo Giny razem z Rani. Clay pracował tego dnia do późna, a Gina pojechała z małą na lekcję pływania.

– Czy takie małe dziecko powinno uczyć się pływać? – zapytał Rick, kiedy Lacey powiedziała mu, dokąd jej bratowa wybrała się z córeczką.

– Głównie chodzi o to, żeby oswoiła się z wodą – wyjaśniła. – Kiedy się tutaj zjawiała, płakała na sam widok pełnej wanny.

Z nieznanej przyczyny, która na zawsze miała już pozostać tajemnicą, Rani podnosiła krzyk, kiedy tylko ktoś zbliżył się do niej na przykład ze zmoczoną myjką. Gina twierdziła, że najprawdopodobniej myto ją na siłę piekącym mydłem. Była to konieczność, ponieważ większość dzieci w jej sierocińcu miała wszy i gnidy. Z czasem fobia dziewczynki zaczęła mijać. Rani pozwalała już myć się w dużej misce, a w zeszłym tygodniu Gina zdołała ją namówić, żeby weszła do basenu.

W takich chwilach, kiedy w całym domu słychać było tylko ocean i cykady, Lacey uświadamiała sobie wyraźnie, ile słów wyrzuca z siebie mała Rani i jak wiele ma energii. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej Gina martwiła się, że jej córeczka nie rozwija się prawidłowo, bo głównie milczała. Aż przyszedł dzień, kiedy Rani wstała rano z łóżeczka roztrajkotana jak katarynka. Okazało się, że zna nie tylko nazwy prawie wszystkich przedmiotów, które ją otaczają, ale umie też układać zdania. Rzadko się odzywała, ale z całą pewnością cały czas słuchała. Tamtego ranka przybiegła do kuchni, zadarła główkę, zmierzyla wzrokiem Claya i rozkazała:

– Tatus, choć sie bawić, jus choć!

Gina i Clay spojrzeli po sobie i zaczęli się śmiać, ale Clay miał łzy w oczach. Zaszła w nim olbrzymia przemiana, odkąd w jego życiu pojawiła się Rani. Ku wielkiemu zaskoczeniu swojej siostry okazał się człowiekiem niezwykle łagodnym.

– Jak to zapakować? Może każdy osobno? – zapytał Rick, biorąc do ręki trzy żelowe pisaki, które kupili dla Jessiki.

– Jasne – przytaknęła Lacey. – Będzie miała więcej zabawy.

Całe popołudnie chodzili po sklepach, wybierając różne rzeczy, które miały polecieć do Arizony. Były to zwykle drobiazgi: pisaki, czasopisma i małe układanki. Do tego wszystkiego postanowili też dołączyć jeden z kalejdoskopów Lacey. Te prezenty miały umilić chorej pobyt w szpitalu. Lacey zamierzała wysłać je w jednej dużej paczce. Miło ze strony Ricka, że wybrał się z nią na zakupy. Chyba nawet się w to wciągnął, bo sam wynajdował przedmioty, które jego zdaniem mogły sprawić przyjemność komuś takiemu jak Jessica. Kalejdoskop był jego pomysłem.

Na parkingu trzasnęły drzwiczki samochodu. Sasza natychmiast zerwał się na równe nogi i merdając ogonem, przycisnął nos do siatki. Było jeszcze za wcześnie na powrót Claya albo Giny; Lacey wstała od stołu i stanęła przy drzwiach.

W stronę domu szedł jej ojciec. Nie spieszył się. Głowę miał zwieszoną, wzrok wbity w piasek, ręce w kieszeniach. A trzeba było wiedzieć, że Alec O'Neill nie należał do ludzi, którzy chodzą powoli. Tak samo jak Clay, zawsze poruszał się szybko, więc ten widok wystraszył Lacey nie na żarty.

Otworzyła drzwi z siatki i wyszła na werandę.

– Tato! – zawołała.

Uniósł zamyślony wzrok i pomachał do córki.

– Co się stało? – zapytała.

– Wejdzmy do środka. – Ominął ją, sięgając po klamkę zewnętrznych drzwi. – Ty przodem.

Gdy weszła, ruszył za nią do kuchni. Rick natychmiast wstał z miejsca.

– Tato, to jest Rick Tenley – przedstawiła Lacey znajomego. – Rick, to mój ojciec, Alec O’Neill.

– Dzień dobry, doktorze. – Rick wyciągnął rękę, a Alec uściśnął mu dłoń. Na twarzy miał nieklamane zainteresowanie, które jednak szybko zniknęło, przesłonięte ponurą miną.

– Co się stało? – powtórzyła Lacey. Czując, że serce tłucze się jej w piersi, pomyślała o małym serduszku Rani, dopiero co naprawionym i wciąż jeszcze bardzo delikatnym. – Proszę, tylko nie mów, że Rani jest chora.

– Z Rani wszystko w porządku. – Ojciec położył jej dłoń na ramieniu. – Usiądź – powiedział, a Lacey opadła na krzesło, które podsunął jej Rick.

– Przed chwilą dzwoniła do mnie Nola – powiedział. – Chciała rozmawiać z tobą, ale nie miała numeru tutaj.

A ona już wiedziała.

– Jessica – szepnęła.

Alec oparł się o blat kuchenny i potwierdził skinieniem głowy.

– Umarła dziś rano, kochanie. Bardzo mi przykro.

Lacey zerwała się z krzesła tak gwałtownie, że aż Sasza zaczął na nią ujadać.

– Och, tato, nie! – zawołała. – Jak to się mogło stać? Przecież wczoraj z nią rozmawiałam i czuła się coraz lepiej.

– Lekarze uważają, że to zakrzep po operacji – wyjaśnił jej ojciec. – Wszystko trwało jedną chwilę. Prawdopodobnie nawet nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Lacey przypomniała sobie, że tak samo mówili o jej matce, ale to była nieprawda. Ona wiedziała. Lacey do dziś pamiętała i już zawsze miała pamiętać wyraz bezgranicznego zaskoczenia na jej twarzy.

– O Boże, nie mogę w to uwierzyć. – Usiadła z powrotem, opierając łokieć na stole i przyciskając pięść do ust. Dopiero gdy poczuła łzy spływające po zaciśniętych palcach, dotarło do niej, że płacze. Rick stanął obok, położył jej dłoń na plecach. Wiedziała, że chce ją pocieszyć, ale ten dotyk nie przynosił pocieszenia.

– Nola mówiła, że ceremonia pożegnalna odbędzie się najprawdopodobniej w poniedziałek – powiedział Alec.

– Pojadę tam – wymamrotała Lacey, gryząc pięść. – Muszę.

Obejrzała się na ojca, dostrzegając, że jest wycieńczony. Rodzina O’Neillów doprawdy zbyt wiele razy musiała radzić sobie z nieoczekiwaną stratą.

– Jak Nola się trzyma? – zapytała.

– Cierpi, wiadomo. Tak bardzo płakała, że trudno mi było ją zrozumieć. O, właśnie. – Alec wyjął z kieszeni kawałek papieru. – Podała mi numer, gdybyś chciała do niej zadzwonić.

Lacey wzięła od niego kartkę i spojrzała na nią pustym wzrokiem.

– Muszę wracać do pracy, kochanie – powiedział ojciec. – Mam dzisiaj umówione wizyty, ale chciałem powiadomić cię osobiście.

– Dziękuję. – Zdawała sobie sprawę, że ojciec musiał poprzestawiać swój dzisiejszy grafik, żeby wyrwać się z przychodni i przyjechać do Kiss River.

Alec obejrzał się na Ricka.

– Skąd znasz Lacey? – zapytał.

– Zajrzałem do jej pracowni i tak się poznaliśmy.

– Cieszę się, że tutaj jesteś – powiedział ojciec, ku jej sporemu zaskoczeniu. – I Lacey nie jest teraz sama.

Po jego wyjściu Rick zaczął po kolei rozpakowywać rzeczy, które kupili po południu.

– Zabiorę to wszystko i zwrócę – zaproponował.

Lacey obrzuciła układanki i pisaki niewidzącym spojrzeniem.

– Nie musisz tego robić.

– Ale chcę. Za bardzo teraz się nie przydam, wiem, ale mogę zrobić chociaż tyle. – Wstał i otworzył szafkę pod zlewem, szukając w koszu na śmieci rachunków za dzisiejsze zakupy. – Chciałbym też polecieć z tobą do Arizony – dodał.

– Dziękuję, ale lepiej nie – odparła grzecznie, chociaż stanowczo. Wolą, żeby go tam nie było. Bardziej by jej przeszkadzał, niż pomagał. Podniosła się z krzesła, ściskając w dłoni kartkę z numerem telefonu. – Idę do siebie, zadzwonię do Noli – powiedziała. – Nie musisz ze mną zostawać.

Rick uniósł wzrok znad kosza.

– Twój ojciec chciał, żebyś nie była sama.

– Dam sobie radę. Zaraz wrócą Gina i Clay. W tej chwili marzę tylko o tym, żeby położyć się do łóżka i schować głowę pod kołdrę.

Rick wstał, wsunął ręce do kieszeni. Na jego twarzy malowała się troska.

– Jeszcze nie ma nawet wół do piątej – powiedział.

Lacey zamknęła oczy. Brakowało jej sił, aby wyjaśniać mu, że potrzebuje teraz trochę czasu dla siebie.

– Chcę się położyć – powtórzyła. Zabrzmiało to jak prośba.

– W porządku. – Skinął głową, chowając kosz na śmieci z powrotem do szafki pod zlewem. Potem podszedł i objął ją mocno, ale ona myślała tylko o tym, kiedy on wróci do domu, żeby w spokoju oddać się rozpaczy.

Kiedy wyszedł, zabrała bezprzewodowy telefon na piętro, do swojego pokoju i tak jak stała, w niebieskim T-shircie i pasiastych rybaczkach, położyła się do łóżka. Firanka w oknie wydymała się na wietrze, ale i tak było za gorąco, żeby się przykryć czymś grubszym niż prześcieradło. Lacey wzięła z nocnego stolika pudełko chusteczek i położyła je na pościeli. Mam się rozkleić przed czy po telefonie do Noli? – pomyślała, objąwszy się ramionami.

Darowała sobie podejmowanie decyzji i zamiast tego od razu wystukała na klawiszach numer z kartki. Odebrała ją jakaś kobieta, która mówiła bardzo cicho.

– Mówi Lacey O’Neill – przedstawiła się Lacey. – Szukam Noli Dillard.

– Nola się położyła – odpowiedziała niemalże szeptem kobieta, której chyba nic nie mówiło to nazwisko. – Przekażę jej, żeby do pani oddzwoniła, kiedy wstanie.

– Dobrze. Mieszkam na wschodnim wybrzeżu, ale proszę jej powiedzieć, że może dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Podala swój numer telefonu i poprosiła o powtórzenie. Po raz pierwszy w życiu miała ochotę porozmawiać z Nolą Dillard. Z kimś, kto też, tak jak ona, kochał Jessicę.

Odłożyła słuchawkę i łzy zakręciły jej się w oczach. Płynęły przez pięć albo sześć minut i przestały, a gdy myślała, że więcej ich już nie będzie, wystarczyło wyobrazić sobie uśmiechniętą Jessicę i pomyśleć, z jak wielkim strachem i cierpieniem zмага się teraz Mackenzie, aby połały się z powrotem.

Lacey już dawno przestała zadawać sobie pytanie, dlaczego coś się wydarza. Jej matkę zabiła kula przeznaczona dla kogoś innego. Pierwsza żona Claya, Terri, zginęła razem ze swoim psem w trakcie misji poszukiwawczo-ratowniczej. Chociaż te śmierci wydawały się być tak przypadkowe, pozbawione znaczenia, to jednak od zeszłego roku Lacey przyszło raz do głowy, że może jej matka zasłużyła na gorszą karę za swoje zdrady małżeńskie. Mimo wszystko nie chciało jej się wierzyć, że Bóg, o ile istnieje, działa w ten właśnie sposób.

Pragnęła uciec w sen, który nie przychodził; nos miała zatkany od płaczu, a wspomnienia o Jessice wciąż stawały jej przed oczami i nie mogła nic na to poradzić. Kiedyś, kiedy obie były jeszcze całkiem małe, chodziły razem do zuchów; zastępową, uwielbianą przez wszystkie dziewczynki, była mama Lacey. Wypiły wtedy na spółkę w McDonalddie hektolitry shake’ów i zjadły furę frytek, a nie było tygodnia, żeby jedna u drugiej nie nocowała. W gimnazjum Jessica bardzo się zmieniła, ponieważ załapała się do paczki „tych fajnych”. Lacey, zdezorientowana i zazdrosna, została na lodzie, ale gdy na świat przysła Mackenzie, Jessica stała się dawną sobą i była kochana jak kiedyś.

Po jakimś czasie Gina i Rani wróciły do domu, a pół godziny później przyjechał Clay. Lacey słyszała ich, ale nie chciało jej się wstawać z łóżka i rozmawiać z nimi. Jedyną rozmową, na którą miała ochotę, była ta jedna, jedyna niemożliwa: z Jessicą. Dlaczego przez dwanaście lat nie polecałam do Arizony, dlaczego nigdy jej nie odwiedziłam? Takie pytania tłukły jej się po głowie. Ta przyjaźń była

dla niej coś oczywistym, a tymczasem w życiu nic nie jest pewne. Teraz, gdy wreszcie Lacey postanowiła się tam wybrać, było już za późno.

Ktoś cicho zapukał do drzwi jej pokoju.

– Śpisz, Lacey? – usłyszała głos Claya.

– Nie.

– Tata zadzwonił i powiedział mi. Mogę wejść?

– Chcę być sama.

Clay przez chwilę milczał.

– Przykro mi, siostra – zaczął niepewnym głosem. – I przepraszam cię za to wszystko, co wczoraj mówiłem o Jessice.

– Nic się nie stało. – Lacey otarła oczy wilgotną, przemoczoną chusteczką. – Clay?

– Tak?

– Kocham cię. Proszę, nie umieraj.

Zza drzwi dobiegł cichy śmiech.

– Ja też cię kocham, Lacey – powiedział Clay. Ale niczego jej nie obiecał. Wiedział, jak jest.

\* \* \*

Nie spała przez całą noc, nawet oka nie zmrużyła. Z chusteczkami pod ręką i słuchawką w dłoni czekała na telefon od Noli. Matka Jessiki nie odezwała się jednak i dopiero następnego dnia, około południa, Lacey dowiedziała się dlaczego.

## Rozdział jedenasty

Rano Lacey nie poszła do pracy w przychodni weterynaryjnej. Była sobota i można było się spodziewać sporego tłoku, ale wiedziała, że ojciec ją zrozumie. Siedziała w domowej pracowni i usiłowała dodzwonić się do Noli – bez skutku, nikt nie odbierał, nie włączyła się nawet automatyczna sekretarka. Lacey przebiegła wzrokiem kartkę, którą dostała od ojca. Czyj to był numer tak w ogóle? Pewnie jakiejś przyjaciółki Jessiki. Miała w Phoenix kilka dobrych znajomych, o czym Lacey wiedziała, bo Jessica wspominała o nich czasem, a wtedy ona czuła się nieswojo, bo z jednej strony cieszyła się, że Jessica nie jest samotna, a z drugiej była zazdrosna, że te osoby zajęły jej miejsce.

Dzwoniła i czekała, aż ktoś odbierze, a w międzyczasie próbowała przyciąć trochę szklanych elementów do witraża, który właśnie powstawał, chociaż brakowało jej do tego serca i wiedziała, że lepiej nie zabierać się do takiej pracy jak cięcie szkła, jeśli nie można się porządnie skupić. Zdjęła więc w końcu ochronne okulary i po prostu siedziała, wyglądając przez okno. Na dworze Clay pracował akurat z klientem, wysokim facetem, który przywiózł chudego jak szczapa golden retrievera. Nawet z tej odległości widziała, że pies nie posiada się ze szczęścia. Aż musiała się uśmiechnąć, gdy zobaczyła, jak tańczy, rozradowany, przy nodze swojego pana i nie może się doczekać, co będzie dalej.

Najchętniej zarezerwowałaby sobie lot do Phoenix, ale wolała nie blokować linii, bo przecież Nola mogła zadzwonić. Wreszcie jednak postanowiła zaryzykować i zadzwoniła do znajomej Olivii, która pracowała w biurze podróży. Bilet do Phoenix, kupowany w ostatniej chwili, kosztował małą fortunę. Lacey była ciekawa, czy dostałaby zniżkę, powiedziawszy, że leci na pogrzeb przyjaciółki, ale nie miała ochoty mówić o tym tej kobiecie. Podała jej tylko numer swojej karty kredytowej, zapisała informacje o locie i rozłączyła się.

Kiedy tylko odłożyła słuchawkę, telefon zadzwonił. Odebrała w jednej chwili.

– Nola?

– Mówi Charles Rodriguez – odezwał się po chwili niepewnego milczenia męski głos. – Rozmawiam z panią Lacey O’Neill?

Co to, jakiś telemarketing?

– To ja – potwierdziła Lacey. – Ale czekam na bardzo ważny telefon, więc...

– Pani O’Neill, byłem adwokatem Jessiki Dillard – przerwał jej mężczyzna.

Lacey zmarszczyła czoło.

– Adwokatem? – powtórzyła.

– Tak. Proszę przyjąć serdeczne wyrazy współczucia.

– Dziękuję.

– Na polecenie Jessiki Dillard sporządziłem jej ostatnią wolę oraz inne dokumenty. To była wyjątkowo odpowiedzialna osoba. Niezwykle, że w tak młodym wieku o wszystko się zatroszczyła. Wydała nawet dyspozycję dotyczącą interwencji medycznych przedłużających życie, chociaż to akurat okazało się zbędne. Tak czy inaczej, zawsze warto mieć...

– Przepraszam, panie... Rodriguez – wtrąciła się Lacey. – Ale o co chodzi? Czekam teraz na bardzo pilny telefon od matki Jessiki.

I znów to niepewne milczenie.

– Czy Jessica Dillard rozmawiała z panią o tym?

– O czym?

– O opiece nad jej córką, Mackenzie.

Lacey poszperała w pamięci. Raczej nigdy nie dyskutowały na ten temat. Bo i po co? Jessica miała dopiero dwadzieścia siedem lat.

– Nie przypominam sobie – odparła.

Prawnik westchnął.

– Myślałem, że już dawno zdążyła to z panią omówić. Zapewniała mnie, że to zrobi. Bo jej

zyczeniem było, aby w wypadku jej śmierci to pani została prawną opiekunką Mackenzie.

– Opiekunką? To znaczy, że... Mam decydować w kwestii...

– Chciała, aby wzięła ją pani na wychowanie.

– Na... Ja?! – Panika chwyciła ją za gardło. – Mieszkam w Karolinie Północnej i nie jestem nawet jej krewną. Dziewczynka ma babcię, a Jessica miała w Arizonie kilka bardzo bliskich przyjaciółek. Widziałam Mackenzie parę razy w życiu, ostatnio trzy lata temu.

– Rozumiem – odparł adwokat. – Pani Dillard, matka Jessiki, bardzo się zmartwiła, kiedy wczoraj wieczorem powiedziałem jej o decyzji córki. Możliwe, że będzie się starała jej przeciwstawić, ale jeśli mam być szczery, wątpię, czy zdoła wygrać w sądzie, ponieważ moja klientka była absolutnie pewna, że opiekę nad swoim dzieckiem chce powierzyć właśnie pani. A do tego całkiem jednoznacznie wyraziła się w tym dokumencie, iż nie życzy sobie, aby jej matka zajęła się Mackenzie.

Lacey skrzywiła się na myśl, jak bolesne musiały być dla Noli takie słowa. Nic dziwnego, że nie odbierała telefonów.

– Ale kiedy Jessica spisała testament? – zapytała. – Dawno? Kiedyś byliśmy ze sobą bliżej, może to dla-tego...

– Papiery zostały złożone przed kilkoma laty. Dlatego powiedziałem, że była niezwykle odpowiedzialną osobą. Kto w wieku dwudziestu paru lat myśli o takich sprawach? Natomiast w zeszłym roku pani Jessica dokonała aktualizacji wszystkich dokumentów. Wprowadziła kilka drobnych modyfikacji i nie dotyczyły one postanowienia, że to pani ma zaopiekować się Mackenzie.

– To przecież bez sensu – sprzeciwiła się Lacey. – Na pewno nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby umrzeć tak młodo. Może nie myślała wtedy jasno?

– Pani O'Neill, szczegółowo przedyskutowałem to z moją klientką – cierpliwie tłumaczył adwokat. – Sugerowałem, że lepszą, bardziej logiczną opcją byłoby wyznaczyć jej matkę albo na przykład rodziców którejś z koleżanek Mackenzie, ale ona odparła, że pani będzie taką samą matką jak ona i ma do pani zaufanie.

Lacey rozplakała się, wzruszona serdecznymi słowami przyjaciółki, a jednocześnie przerażona. Jessica była dobrą matką. Wręcz wzorową. Lacey najchętniej opowiedziałaby temu człowiekowi, temu obcemu człowiekowi, jak macierzyństwo zmusiło ją do przedwczesnego wejścia w dorosłość i jak fenomenalnie sprostowała temu wyzwaniu. Wiedziała jednak, że nie da rady, bo za długo by o tym mówić.

– Pani O'Neill? Jest pani tam jeszcze?

– Tak. – Lacey sięgnęła do stojącego na biurku pudełka z chusteczkami, wyjęła jedną i przyłożyła do nosa. – Jestem.

– Kiedy będzie pani planować wyjazd na pogrzeb, radziłbym wygospodarować kilka dodatkowych dni, żebyśmy mogli wspólnie załatwić konieczne formalności. I, co najważniejsze, żeby mogła pani trochę lepiej poznać Mackenzie, zanim zabierze ją pani do siebie.

Do siebie? Do Kiss River? Lacey poczuła, jak panika chwytą ją za gardło i ściska z taką siłą, że ledwie mogła nabrać tchu. Wszystko się w niej przeciwko temu buntowało: nigdy nie chciała mieć dzieci, a już z całą pewnością nie uśmiechało jej się, żeby ktoś jej wcisnął dziecko tak zniecka, bez choćby chwili na przygotowanie. Wstydziła się tych myśli, ale gdyby ktoś podsunął jej drogę ucieczki przed tą nową, niespodziewaną odpowiedzialnością, skorzystałaby z szansy bez wahania.

– Ja nie wiem, czy nadaję się na matkę – powiedziała bardziej do siebie niż do adwokata.

– A czy Jessica nadawała się lepiej, mając piętnaście lat?

– Nie o to tutaj chodzi.

– Nikt nie może pani do niczego zmusić – poinformował ją. – Jeśli nie może pani zaopiekować się dziewczynką, znajdziemy inne rozwiązanie.

Jessica chciała, żeby to zrobiła, przemknęło Lacey przez głowę. Chciała, żeby została mamą dla Mackenzie. Była tego absolutnie pewna, tak powiedział ten adwokat. Przypomniała sobie wczorajsze prezenty dla Jessiki, te drobiazgi, które pakowała, żeby wysłać je przyjaciółce. Nagle stały się w jej oczach równie mało istotne, co ziarenko piasku na plaży. Żelowe pisaki i układanki: doprawdy śmieszne, gdy pomyśleć, że miała je dostać kobieta, która powierzyła jej życie swojej córki. Lacey mogła teraz

obdarować Jessicę czymś nieporównanie cenniejszym: swoim życiem, swoimi marzeniami o przyszłości, swoją wolnością.

– Zrobię to – powiedziała do słuchawki. – Wezmę Mac-kenzie do siebie.

## Rozdział dwunasty

Na lotnisku czekała na Lacey Amelia, jedna z przyjaciółek Jessiki. Wyglądała bardzo młodo. Trzymała w rękach kartkę, na której wypisane było jej imię, na czerwono, wielkimi drukowanymi literami. Kiedy Lacey podeszła i przedstawiła się, Amelia uściskała ją mocno. Lacey przeciągnęła ten uścisk dłuższą chwilę; stała i syciła się zapachem jej ciemnych włosów, wiedząc, że wreszcie spotkała osobę, która odczuwa tę stratę równie dotkliwie jak ona.

– Bardzo się cieszę, że cię poznałam – powiedziała Amelia, wypuszczając ją z objęć. – Dużo o tobie słyszałam.

Głos miała uroczy, dość wysoki, piskliwy jak u piętnastolatki, choć na oko mogła mieć około dwudziestu dwóch lat. Długich, prawie czarnych włosów nie spinała niczym, opadały swobodnie na ramiona. Na grzbiecie nosa widniał rzucik piegów.

Lacey wyteżyła pamięć, chcąc sobie przypomnieć, czy Jessica kiedykolwiek wspominała o Amelii. Pewnie tak. Rzadko wymieniała ludzi po imieniu, zazwyczaj mówiła raczej: „A moja znajoma to, a moja znajoma tamto”.

– Ja o tobie też – powiedziała. – I przykro mi, że poznamy się w tak smutnych okolicznościach.

Ten wyświechtany frazes sam wpadł jej do głowy. Odetchnęła z ulgą, ciesząc się, że nie musiała mozolnie dobierać słów.

Poprzedniego dnia nareszcie dodzwoniła się pod numer, który przekazał jej ojciec. Co prawda kobieta, która odebrała telefon, powiedziała, że Nola „jeszcze śpi”, lecz Lacey dowiedziała się też, że ktoś odbierze ją z lotniska i że będzie mogła zatrzymać się w czyimś domu. Słysząc było, że jej rozmówczyni jest bardzo zabiegana; chyba musiała ogarnąć zbyt wiele rzeczy naraz, a znajoma Jessiki z Outer Banks była dla niej po prostu kolejną pozycją na liście spraw do załatwienia.

– Znajdę sobie jakiś hotel – powiedziała jej Lacey.

– Nie, nie – usłyszała w odpowiedzi. – Już wszystko załatwione.

– Zatrzymasz się u mnie – poinformowała ją Amelia po powitaniu, biorąc jej walizkę.

– Bardzo dziękuję. – Lacey ruszyła za nią w kierunku wyjścia.

Wsiadły do samochodu Amelii, który czekał na parkingu pod lotniskiem. Był to kabriolet, ale dach miał podniesiony, a klimatyzacja działała, co ucieszyło Lacey, bo upał sięgał czterdziestu stopni.

– Nigdy nie byłam w Karolinie Północnej – wyznała Amelia po zamknięciu drzwi. – Jaka tam jest teraz pogoda?

– Zaczyna się robić gorąco – odparła Lacey. Spodziewała się rozmów o pogodzie i różnicach pomiędzy Arizoną a Karoliną Północną. Jessica opowiadała o tym na okrągło. „U nas dzisiaj czterdzieści sześć stopni”, mówiła jej przez telefon, „ale to jest suchy upał. Nie to co w Outer Banks”. I rzeczywiście, Amelia zaczęła wałkować ten sam temat. Lacey dała się wciągnąć, zastanawiając się tylko, dlaczego nieznajomi zawsze muszą na początku rozmawiać o pogodzie.

– Skąd znasz Jessicę? – zapytała, kiedy już wyczerpały temat upału.

– Z pracy – odpowiedziała Amelia i ze smutkiem potrząsnęła głową. – Będzie ciężko. Dzięki niej dawało się jakoś wytrzymać.

Lacey wiedziała, że Jessica pracowała w biurze i robiła coś związanego z komputerami, ale nie miała pojęcia, o co konkretnie chodzi.

Jechały dość długo, aż wreszcie Amelia skręciła na spore osiedle bloków w stylu hiszpańskim, ładnych i dobrze utrzymanych.

– Możesz u mnie mieszkać, ile chcesz i potrzebujesz – zapewniła, obracając mocno kierownicę, żeby wjechać na oznaczone miejsce parkingowe.

– Zostanę na trzy albo cztery dni – odparła Lacey. – Na pewno nie sprawię kłopotu?

– Na moje oko trzy, cztery dni to za mało.

– Tak?



– Coś mi się zdaje, że nie wiesz, ile czasu potrzebujesz, żeby przygotować Mackenzie do wyjazdu.

Wysiadły z samochodu. Lacey wyjęła z bagażnika swoją walizkę.

– Jak ona sobie z tym radzi? – zapytała, kiedy ruszyły do drzwi.

– Źle. Wyobrażasz sobie chyba, co teraz przeżywa. Miała tylko mamę. To dla niej koniec świata.

Lacey cofnęła się pamięcią do dnia, kiedy zginęła jej matka.

– Nie może spać? – dopytywała się dalej. – Ma koszmary?

Amelia bez pytania wyjęła jej walizkę z ręki i ruszyła w górę po schodach. Lacey nie zaprotestowała. Upał był niemiłosierny.

– Mieszka teraz u Mary – wyjaśniła Amelia. – Mary też przyjaźniła się z Jessicą i ma córkę w wieku Mackenzie. Ona ci opowie, jak dziewczynka sobie radzi. Ja tylko wiem, że przestała się odzywać i przez te dwa dni schudła ponad dwa kilo.

Mackenzie, kiedy widziała Lacey ostatnim razem, była chudym dzieckiem; gdyby wtedy zgubiła jeszcze dwa kilo, można by jej policzyć wszystkie kości.

Amelia zatrzymała się przed drzwiami na pierwszym piętrze. Obróciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Twarz Lacey owiał miły podmuch wychłodzonego powietrza.

Mieszkanie było przytulne, schludne i urządzone ze smakiem. Meble i różne akcesoria pochodziły zapewne z jakiegoś markowego sklepu z wyposażeniem wnętrz.

– Ładnie tutaj. – Lacey przesunęła palcami po poręczu niskiej, krótkonogiej kanapy z obiciem koloru złotego. – Dziękuję, że zaprosiłaś mnie do siebie.

Amelia zabrała jej walizkę do pokoju gościnnego, pełnego wiklinowych mebli pomalowanych na biało.

– Nie ma za co – powiedziała. – Możesz się teraz rozpakować, a potem przyjdź do kuchni, napijemy się mrożonej herbaty.

– Dobrze. – Lacey marzyła o prysznicu. Czowała, że cała się klei po długim locie i podróży autem w okrutnym upale.

– Zajrzy do nas Mary – to u niej mieszka Mackenzie – i jeszcze jedna znajoma – poinformowała ją Amelia. – Ustalimy szczegóły dzisiejszej ceremonii żałobnej. Nie masz nic przeciwko temu? Pomyślałyśmy, że pewnie zechcesz się przyłączyć.

– Jasne. – Skinęła głową, chociaż nie przyszło jej to w ogóle do głowy. – Nola też będzie?

Amelia otworzyła szafę i znalazła pomiędzy ubraniami kilka wolnych wieszaków.

– Raczej nie da rady – powiedziała, nie odwracając się do Lacey, a potem podała jej wieszaki i usiadła na skraju łóżka. – Prawdę mówiąc, Nola bardzo się przejęła, że to ciebie Jessica wyznaczyła na prawną opiekunkę Mackenzie – wyznała. – A my... No cóż, trochę nas to dziwi. Nie, nie uważamy, że się nie nadajesz – dodała szybko. – Tylko po prostu... – Zamiast patrzeć na Lacey, wbiła wzrok w ścianę. – Po prostu wydawało nam się, że nic szczególnego cię nie łączy z tym dzieckiem.

– „My” to znaczy kto? – Lacey położyła walizkę na łóżku i zaczęła rozpinąć suwak.

– Wszystkie przyjaciółki Jessie – odparła Amelia. – I Nola też, oczywiście. Ona widywała Mackenzie co najmniej raz w roku. Ja, no cóż, nie mam dzieci, ale mnóstwo znajomych Jessiki ma, dom dla Mackenzie znalazłby się bez trudu. A te znajome mają też mężów, więc wychowywałyby się w pełnej rodzinie...

Amelia w bezradnym geście uniosła ręce, a potem położyła dłonie na kolanach. Miała łzy w oczach.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, że to wszystko źle brzmi. Ale w tej chwili nie potrafię ująć tego jakoś lepiej.

– Czy to ty jesteś jedną z tych znajomych, które nadają się lepiej ode mnie? – zapytała Lacey.

– Nie! – zawołała Amelia, robiąc wielkie oczy. – Skończyłam dopiero dwadzieścia trzy lata, nie mam męża ani własnych dzieci.

– No właśnie. – Lacey starała się cały czas uśmiechać. – Ja mam podobnie, tylko wiek się nie zgadza. – Przesunęła walizkę na środek posłania i usiadła obok Amelii. – Mnie też to wszystko dziwi,

tak jak was. Natomiast adwokat Jessiki powiedział, że jej decyzja o przekazaniu mi opieki nad Mackenzie była jednoznaczna. Najwidoczniej miała swoje powody, a ja chcę spełnić jej życzenie. Dla mnie to byłoby straszne, gdybym podjęła niezwykle poważną, dogłębnie przemyślaną decyzję, którą wszyscy by zlekceważyli.

Amelia przytaknęła.

– Wiem, że łączyła was z Jessicą bardzo silna więź – powiedziała. – Niektóre nasze znajome nie pamiętają, co o tobie mówiła, ale ja tak. Byłam z nią chyba najbliżej. Chociaż nie widywałyście się często, zawsze uważała cię za swoją najlepszą przyjaciółkę. No dobrze, może nie nazwała cię „najlepszą”, ale podobno kiedy się z tobą spotykała, było tak, jakbyście widziały się wczoraj.

– To prawda – potwierdziła Lacey, myśląc jednocześnie, że to i tak marny powód, żeby powierzyć komuś własne dziecko. Zebrała dłońmi swoje gęste włosy, żeby chłodne, klimatyzowane powietrze obmyło jej kark. – W samolocie miałam sporo czasu na przemyślenia – dodała. – Przyszło mi do głowy kilka powodów, które mogły stać za decyzją Jessiki.

– Jakich? – zainteresowała się Amelia.

– Może chciała, aby Mackenzie wychowywała się w jej rodzinnych stronach. – Lacey opuściła rękę, a włosy opadły jej na ramiona. – W Outer Banks.

– To możliwe – zgodziła się Amelia. – Często powtarzała, jak jej tam było wspaniale. Narzekała, że tutaj jest okropnie sucho. Ale została, prawda? A przecież mogła wrócić. Zresztą, gdyby o to jej chodziło, mogła powierzyć swojej matce opiekę nad Mackenzie.

– Zgadza się, ale wiesz, ona chyba bardzo lubiła moją rodzinę. Zawsze czuła się u nas dobrze. Może chciała to zapewnić swojemu dziecku.

Amelia przytaknęła.

– Może. Czy z Jessicą łączyła was silna więź? Masz dużą rodzinę? Wiem, że zawsze żałowała, że jest jedynaczką.

– W dzieciństwie ta więź była bardzo silna, ale osłabła, kiedy zamieszkała tutaj – wyjaśniła Lacey. – Mam brata i bratanicę, jest jeszcze mój ojciec, jego druga żona i ich dzieci, czyli nasze przyrodnie rodzeństwo. A moja mama też nie żyje...

– Pamiętam, że Jessica coś o tym wspomniała – Amelia weszła jej w słowo. – Myślisz, że to miało wpływ na jej decyzję? Że będziesz umiała zrozumieć Mackenzie, gdyby straciła matkę?

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznała. Przyszedł jej do głowy jeszcze inny powód, mianowicie taki, że kiedy Jessica zaszła w ciążę, Nola namawiała ją na aborcję, a Lacey starała się jej to wyperswadować, ale nie chciała o tym mówić Amelii, kiedy Nola była w pobliżu. – Jest też, moim zdaniem, jeszcze jedna możliwość – dodała.

– Jaka?

– Zawsze starałam się przekonać Jessicę, że ojciec Mackenzie powinien się dowiedzieć, że ma córkę. Nie muszą od razu nawiązywać kontaktów, chociaż nie można tego wykluczyć, ale powinni o sobie przynajmniej wiedzieć. Może Jessica chciała tego i liczyła, że ja zrobię ten krok.

– Nie sędzę. – Amelia potrząsnęła głową, mocno, niemalże gwałtownie. – Nigdy o nim nie opowiadała. Jak on się nazywał? Bobby?

Lacey przytaknęła.

– Mówiła, że był do niczego – ciągnęła Amelia. – Dopilnowała, by Mackenzie nie miała z nim nic wspólnego.

– Ale przecież ona zdaje... zdawała sobie sprawę – poprawiła się Lacey – że ja mam inne zdanie. Według mnie dzieci powinny wiedzieć, kim są ich rodzice, chyba że chodzi o jakiegoś zwyrodnialca. Jessica знаła moje podejście, a mimo to powierzyła mi Mackenzie.

Amelii zakręciły się w oczach łzy frustracji.

– Boże! – jęknęła. – Szkoda, że nie możemy z nią teraz porozmawiać i dowiedzieć się, co naprawdę myślała!

– Szkoda. – Lacey wstała z posłania. Nagle poczuła, że jej też zbiera się na płacz, i starała się opanować. Sięgnęła po swoją walizkę. – Rozpakuję się – powiedziała. – I zaraz do ciebie przyjdę.

Na kolację zjadły kanapki z sałatką z kurczaka, a w każdym razie starały się zjeść, bo żadnej nie dopisywał apetyt. Wkrótce zjawily się zapowiedziane przez Amelię dwie panie – Mary i Veronica, matki dwóch najlepszych przyjaciółek Mackenzie, która obecnie mieszkała właśnie u Mary. Na oko miały po trzydzieści kilka lat albo dobiegały czterdziestki. Modnie ubrane wyrafinowane blondynki, o niewymuszonym sposobie bycia, co demonstrowały na każdym kroku. Lacey czuła, jak oceniają jej ubiór, złożony z szortów i koszulki z krótkim rękawem, jej burzę niesfornych loków i jej młodość. Zrozumiała też od razu, że wiele jej brakuje w tej ocenie, i natychmiast cała się spięła. Nie przyjechała do Arizony na casting. Z drugiej strony możliwe, że źle odebrała chłodne powitanie nowo przybyłych.

Amelia bardzo się zestresowała i widać było, że przy tych gościach czuje się niezręcznie, uważa, że nie dorasta im do pięt. Zaprosiła Mary i Veronicę do swojego niewielkiego salonu, poczęstowała je mrożoną herbatą, a na stoliku z kutego żelaza postawiła talerz ciasteczek Pepperidge Farm. Na szklanym blacie stolika leżał już stosik książek, które przyniosła ze sobą Mary.

– Kiedy mogłabym zobaczyć się z Mackenzie? – zwróciła się Lacey do nowo przybyłej, sięgając po ciastko, na które nie miała najmniejszej ochoty.

– Jeszcze jej o tobie nie powiedziałyśmy – odparła Mary. – Po takich przejściach... Postanowiłyśmy poczekać z tym do ceremonii pożegnalnej. Chyba miałyśmy nadzieję, że to jakaś pomyłka, i nie chciałyśmy nic mówić, dopóki nie potwierdzi się ponad wszelką wątpliwość, że naprawdę masz ją stąd zabrać. – Nie siliła się na delikatność. – Ponieważ jednak jej adwokat powiedział, że testament jest ważny... – Mary wzruszyła ramionami. – Mam tylko nadzieję, że Jessica była przy zdrowych zmysłach, kiedy podpisywała te dokumenty.

– Ja też. – Lacey starała się wykazać poczuciem humoru i z uśmiechem na twarzy przyłączyć do tych jakże subtelnych aluzji na temat, czy się nadaje, czy nie, ale cały wysiłek poszedł na marne: trzy kobiety zmierzyły ją tylko wzrokiem pozbawionym wyrazu. – No więc... – podjęła po chwili – w takim razie zobaczę Mackenzie dopiero po pogrzebie, tak?

– To będzie ceremonia pożegnalna – poprawiła ją Veronica. – Nie pogrzeb.

– Już prawie wszystko zaplanowałam. – Mary wyjęła z torebki nieduży notes i rozłożyła go na kolanach. – Ja przeczytam krótki tekst, Amelia – ty chciałaś coś powiedzieć, prawda?

Amelia skinęła głową.

– Będzie też mówił szef Jessiki – podjęła Mary. – A ty, Lacey? Chcesz coś przeczytać?

– Ja...? – Nie przyszło jej nawet do głowy, że miałyby wystąpić publicznie na pogrzebie. Ceremonii pożegnalnej. – Nie wiem co.

– Znajdziemy coś dla ciebie – odezwała się Veronica. Słysząc było, że chce ją podnieść na duchu, ale Lacey bynajmniej nie poczuła się lepiej po tych słowach.

Mary przebiegła wzrokiem swoje notatki.

– Aha – powiedziała nagle, znów unosząc wzrok na Lacey. – A propos twojego pytania: z Mackenzie zobaczysz się chyba dopiero u mnie w domu, po wszystkim. Ona nie chce iść na ceremonię pożegnalną.

– Och, ale powinna! – sprzeciwiła się Veronica. – Jeśli nie pójdzie, będzie tego żałować do końca życia.

– Skoro nie chce, może nie iść – oznajmiła Lacey, zaskakując tą niespodziewaną deklaracją i siebie, i trzy pozostałe kobiety. Nagle uświadomiła sobie, że wie, co będzie najlepsze dla Mackenzie, przynajmniej w tej jednej kwestii; było to dziwne, obce uczucie.

– Moja mama zmarła, kiedy miałam trzynaście lat – wyjaśniła. – Nie poszłam na jej pogrzeb. Czułam, że to ponad moje siły. Wolałabym tam być, ale nie żałuję. Wiem, że wtedy nie byłam w stanie tego udźwignąć. Nie zmuszajcie jej.

– Aha! – powiedziała Veronica. – Ty też straciłaś matkę. – Obejrzała się na Mary. – Może to dlatego Jessica opiekę nad Mackenzie powierzyła Lacey.

Mary znów wzruszyła ramionami.

– Kto wie. – Wzięła ze stolika jedną z przyniesionych książek i pochyliła się do przodu, aby podać ją Lacey. – Wiem, że Jessica ją lubiła. To jest o tym, że w życiu liczy się prostota i tego typu

rzeczy. Nie czytałam, ale może znajdziesz fragment do odczytania na ceremonii.

Lacey zważyła książkę w dłoni, zastanawiając się, jak ma stanąć przed obcymi ludźmi, którzy kochali Jessicę i zapewne nigdy nie przestaną się dziwić, dlaczego ta kobieta, bez dzieci, bez męża, zabrała im Mackenzie – jak ma stanąć przed nimi i odczytać słowa, które nic dla niej nie znaczą.

– Dzięki – powiedziała. – Przejrzę ją wieczorem.

## Rozdział trzynasty

W książce od Mary nie znalazła nic, co chciałaby przeczytać na ceremonii pożegnalnej. Przekartkowała ją, zatrzymując czasami wzrok na jakimś zdaniu, ale wszystkie brzmiały dla niej pusto. Wreszcie zamknęła książkę i nie spała do późna, układając własną mowę. Nie umiała przemawiać publicznie i unikała tego jak ognia, nie licząc warsztatów witrażu, które od czasu do czasu zdarzało jej się poprowadzić. Bała się, że w ostatniej chwili trema odbierze jej głos, ale też nie zamierzała odklepać z kartki tekstu, który dla niej był po prostu o niczym.

Spała niespokojnie i dopiero rano, po przebudzeniu, uświadomiła sobie, że pożegna swoją najlepszą przyjaciółkę trzeciego lipca. W swoje urodziny. A więc skończyłam dwadzieścia sześć lat, pomyślała. Będę dzisiaj sama, bez przyjaciół, bez rodziny, ale za rok znów obudzę się trzeciego lipca. A Jessica nie. Lacey obiecała sobie, że zachowa dla siebie, co dla niej znaczy ta data.

Przez kilka ostatnich dni nie dosypiała i po przyjechaniu do małej, przepelnionej ludźmi kaplicy ogarnęło ją dziwne poczucie uludy. Owładnęło ją wrażenie, że uczestniczy w życiu jakiejś innej osoby. Amelia zaprowadziła ją do pierwszej ławki, gdzie siedzieli ludzie przemawiający podczas ceremonii. A wśród nich była Nola. Oczy miała czerwone, zaciśnięte mocno usta wygięte w podkowę, a jej twarz, chociaż idealnie gładka dzięki operacjom plastycznym, których zafundowała sobie w życiu zdecydowanie zbyt wiele, wyglądała bardzo, bardzo staro. Lacey odłączyła się od Amelii i podeszła do niej. Wiedziała, że musi to zrobić, aby wreszcie rozładować napięcie, które narosło między nimi.

– Nola... – przywitała się, siadając obok, na ławce. Chciała wziąć ją za rękę, ale zatrzymała się na sztywnych, kościstych palcach, bo dłoń Noli nawet nie drgnęła, nie uniosła się na milimetr.

– Nola – zaczęła znowu. – Jestem tak zrozpaczona, że po prostu brak mi słów, a wiem, że tobie jest jeszcze gorzej. Bardzo ci współczuję.

Matka Jessiki odwróciła głowę w drugą stronę, utkwiała wzrok w witrażowych oknach kaplicy. Lacey delikatnie uściśnęła jej nieruchomą, stężałą dłoń i wstała z ławki. Zajmując miejsce obok Amelii, z wielkim zmieszaniem zauważyła, że wszyscy na nią patrzą. Z całą pewnością zauważyli, jak Nola ją zignorowała.

Poprzedniego dnia Lacey spotkała się z adwokatem Jessiki i podpisała dokumenty uprawniające ją do opieki nad Mackenzie i zabrania jej do Kiss River. Oficjalnie dziewczynka miała tam przebywać tymczasowo, wyjaśnił prawnik, ponieważ „pewni ludzie” zgłosili zastrzeżenie, iż Lacey nie jest w stanie zapewnić jej należytej opieki i zaspokoić „żywotnych potrzeb dziecka”. Aby jednak odebrać jej Mackenzie, ci ludzie musieli wystąpić do sądu, więc na razie życzeniu Jessiki miało stać się zadość.

Ceremonię pożegnalną oglądała jak przez mgłę; jej umysł stracił synchronizację z ciałem. Jakaś kobieta, obdarzona cudownym głosem, zaśpiewała dwie piosenki Sarah McLachlin, *Angel* oraz *I Will Remember You*. Dookoła słychać było szloch i łkania, ale Lacey czuła, że wypłakała już wszystkie łzy. Za pulpitem stawały różne osoby, aby coś powiedzieć lub odczytać, a kiedy przyszła kolej na nią, cieszyła się, że jest tak otumaniona, bo to koło nieco jej nerwy.

Weszła na stopień podestu i odwróciła się. Tłum stłoczony w maleńkiej kaplicy oszołomił ją na chwilę. Wszystkie ławki, na środku i pod ścianami, były zajęte.

– Nazywam się Lacey O’Neill. – Nigdy jeszcze nie mówiła przez mikrofon i wzdrygnęła się lekko, słysząc, jak jej głos rozlega się echem w murach kaplicy. – Przyjaźniłam się z Jessicą w dzieciństwie i byłyśmy ze sobą bardzo blisko aż do czasu, kiedy wyjechała do Arizony. Niektórzy z was pewnie myślą, że znali ją lepiej ode mnie, bo była już dorosła, kiedy się poznaliśmy, ale ja wiedziałam o niej wszystko to, co można przeżywać tylko w dzieciństwie. To, co potem, gdy dorośniemy, uczymy się skrywać przed innymi. Znałam jej tajemnice, jej pragnienia, jej marzenia. I wiedziałam, kim chciała zostać, kiedy dorośnie: kowbojką.

Kaplica odetchnęła szmerem stłumionych śmiechów. Lacey pamiętała bardzo dokładnie tamtą rozmowę z Jessicą. Miały wtedy po osiem albo dziewięć lat; leżały na plaży, patrząc w chmury. Jessica

wypatrzyła jedną, która jej zdaniem wyglądała jak byk.

– Kowboje mają fajnie – rozmarzyła się. – Wiesz, ujeżdżają dzikie konie, łapią na łąso krowy albo cielaki czy tam cielęta. Chcę być kow-boj-ką.

Mijały lata, a ona wspominała czasami tamtą dziecięcą mrzonkę. Stało się to ich tradycją, prywatnym żartem.

– Tak było – powiedziała Lacey do mikrofonu. – Jessica miała dwa marzenia: mówiła mi, że chce być kowbojką i mamą. – Zamrugwała gwałtownie, bo tłum ludzi zaczynał rozplýwać się jej przed oczami. – Spełniło jej się ważniejsze z tych marzeń – dodała. – I bardzo, naprawdę bardzo się z tego cieszę.

Dość niezręcznie zakończyła, lecz mimo to zeszła z podestu. Cisnęły się jej na usta różne wyznania: że dzisiaj są jej urodziny, a Jessica kiedyś powiedziała jej, że trzeba przeżyć każdą chwilę swojego życia, więc teraz zamierza, w jej imieniu, tak właśnie postępować aż do końca swoich dni. Wiedziała jednak, że jeśli powie jeszcze choć jedno słowo, po prostu się rozklei przy wszystkich.

Po pogrzebie wiele osób przyjechało do domu Mary. Była to parterowa rezydencja z przestronnymi pokojami o wysokich, ukośnych sufitach. Przypominała właścicielkę: elegancka, oszczędna w stylu, a w każdym kącie i na wszystkich parapetach kaktusy jeżyły ostre kolce.

Za domem znajdował się olbrzymi basen o nieregularnym, falistym kształcie. Bawiła się tam grupka dzieci. Lacey domyśliła się, że wśród nich musi być Mackenzie. Mary wyjrzała przez rozsuwane drzwi na taras i powiedziała dzieciom, że wróciła już z kościoła, ale nie zaprosiła ich do środka. Goście usiedli przy wielkim stole w jadalni i poczęstowali się przystawkami przyniesionymi przez kilka kobiet, prawdopodobnie z firmy cateringowej. Lacey trzymała się Amelii, bo tylko przy niej czuła się bezpieczna. Zabawne, myślała, że najmłodsza z nich ma w sobie najwięcej ciepła. Jakby z wiekiem każda z tamtych kobiet stawała się coraz zimniejsza.

Dwa dni wcześniej, po spotkaniu z Mary i Veronicą, Amelia, zanim położyły się spać, przeprosiła Lacey za zachowanie swoich znajomych.

– Były dla ciebie okropne – przyznała. – Zwykle są miłsze.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że Jessica się z nimi przyjaźniła – odparła Lacey, zebrawszy się na śmiałość.

– Chodziło o dzieci – powiedziała Amelia krótko, jakby to wszystko wyjaśniało, a Lacey zaczęła się zastanawiać, czy jako prawna opiekunka córki swojej przyjaciółki będzie musiała utrzymywać znajomość z kobietami, których nie znosi.

– Ale dobro Mackenzie naprawdę leży im na sercu – dodała Amelia. – Chcą dla niej jak najlepiej. Teraz siedziały razem na krzesłach przestawionych od stołu pod ścianę.

– No dobrze – mruknęła Lacey, doszedłszy do wniosku, że sajgonka, którą skubała widelcem przez dłuższy czas, to wszystko, co zdoła dziś przełknąć. – Muszę porozmawiać z dwiema osobami.

– Z Mackenzie i z Nolą – domyśliła się Amelia, a Lacey przytaknęła. Nola trzymała się od niej z daleka, ale prawdopodobnie ona również czuła się niezręcznie; stała w grupie ludzi i mówiła o wystroju domu, szybko wyrzucając z siebie słowa, jak zawsze, kiedy się denerwowała. Lacey zauważyła, że wskazuje palcem wysokie okna, podłogę z ceramicznych płytek oraz otwartą kuchnię z dekoracyjnymi kafelkami na ścianach. Była w tej chwili rasową agentką nieruchomości, ponieważ w temacie domów czuła się bezpiecznie. Jej zakłopotanie dodało Lacey odwagi.

Wstała z krzesła.

– Do roboty. – Zerknęła na Amelię. – Pani wybacz.

– Śmiało. – Amelia uśmiechnęła się do niej i wyciągnęła rękę po jej pusty talerz. – Daj, odstawię.

Lacey oddała jej talerz i podeszła do Noli, która stała przy olbrzymim łukowym oknie i rozmawiała z jakimś mężczyzną, gestykulując przy tym dłonią, jakby coś mu opisywała. Obejrzała się, gdy Lacey dotknęła jej łokcia.

– Poświęcisz mi chwilę? – poprosiła Lacey.

Nola zawahała się, ale zaraz podjęła decyzję.

– Tak. – Posłała uśmiech mężczyźnie, który jej towarzyszył. – Miło było pana poznać. Proszę nam wybaczyć.

Lacey rozejrzała się po przestronnym, otwartym pomieszczeniu, w którym mieścił się salon, kuchnia oraz jadalnia. Wszędzie stali ludzie. Trudno było tutaj o dyskrecję.

– Wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponowała.

– W taki upał? Usmażymy się. – Nola wskazała dłonią korytarz. – Chodźmy do którejś sypialni. Nikt nie zauważy.

Lacey nie była tego bynajmniej taka pewna, ale poszła za nią. Weszły do dużej sypialni z wysokimi drzwiami balkonowymi, wychodzącymi na ogrodowy basen. Pokój palmowy, pomyślała Lacey, tak się pewnie nazywa. Motyw palmy pojawiał się wszędzie: na narzucie okrywającej platformowe łóżko, na zasłonach i na ścianach. W kącie stała donica z żywą palmą.

Nola usiadła na łóżku, a Lacey przy toaletce, na tapicerowanym krześle.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– A jak mogę się czuć? – odcięła się Nola, ale zabrakło jej energii w głosie i zamiast ciosu wyszło z tego zaledwie szturchnięcie. Uniosła dłoń, położyła ją na piersiach. – Mam w sercu wielką, bolesną pustkę – powiedziała. – Najpierw straciłam jedyne dziecko, a potem... – Potrząsnęła głową, wbijając wzrok w sufit. Lacey czekała. Wreszcie Nola z powrotem opuściła głowę i spojrzała na nią. – Żeby Jessica nie pomyślała o mnie, wybierając opiekuna dla Mackenzie na wypadek... Nie rozumiem, po prostu tego nie pojmuję. Przecież to moja wnuczka. Nie ma żadnych innych krewnych, tylko mnie.

– Gdyby to ode mnie zależało, przyznałabym ci rację – odparła Lacey. – To logiczne i sensowne rozwiązanie. Ale to nie zależy ani ode mnie, ani od ciebie i musimy się postarać, żeby było jak najlepiej. Proszę cię. Chcę uszanować ostatnią wolę Jessiki, ale będziesz spędzała z Mackenzie tyle czasu, ile zechcesz. Obiecuję.

W oczach Noli zabłyśły łzy. Wstała, aby wziąć sobie chusteczkę z pudełka stojącego na toaletce, po czym usiadła z powrotem na łóżku.

– Rozważam wniesienie sprawy o przyznanie mi opieki nad wnuczką, Lacey – powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta. – Mój adwokat twierdzi, że mogę wygrać. Musisz to wiedzieć. Sąd ma obowiązek wziąć pod uwagę dobro dziecka, a chyba każdy sędzia z prawdziwego zdarzenia od razu się zorientuje, że z tobą nie będzie jej dobrze. Jesteś nieodpowiedzialna i...

– Nieprawda! – Lacey weszła jej w słowo, urażona tym zarzutem.

– Gdyby Jessica się z tobą nie zadawała, na pewno nie zaszłaby w ciążę.

Lacey ugryzła się w język i dała sobie spokój z wyjaśnieniem Noli, że było akurat na odwrót: jej córka zachowywała się w tamte wakacje znacznie bardziej lekkomyślnie i nieodpowiedzialnie.

– Dawne czasy – odparła. – Dla Mackenzie będę się starać, jak umiem najlepiej. Dam z siebie wszystko.

– Posłuchaj, Lacey. – Nola westchnęła, a jej twarz nagle złagodniała. – Zamierzam uszanować wolę Jessiki. Naprawdę. I potrafię to sobie wytłumaczyć tylko w jeden sposób: ona chciała, żeby Mackenzie miała młodą matkę. Ale proszę cię... – urwała, bo usta zaczęły jej drżeć tak mocno, że Lacey już chciała wstać i ją objąć. – Proszę, nie odcinaj mnie od mojej wnuczki – dokończyła po chwili.

Lacey skinęła głową i wstała z krzesła.

– Obiecuję. – Pochyliła się nad Nola i serdecznie ją uściskała. – Chciałabym porozmawiać z Mackenzie. Zaprowadzisz mnie do niej?

– Ona jeszcze o niczym nie wie. – W oczach Noli błysnął niepokój. – Nie mów jej, dobrze? Sądzę, że będzie lepiej, jeśli usłyszysz o tym ode mnie i od Mary.

– Nie powiem – zapewniła ją Lacey. – Ale chcę przynajmniej się z nią przywitać i złożyć jej kondolencje.

Nola wstała i podeszła do balkonowych drzwi prowadzących na zewnątrz. Położywszy dłoń na klamce, obejrzała się jeszcze na Lacey z lekkim uśmiechem na ustach.

– Całkiem zapomniałam, że Jessica kiedyś chciała zostać kowbojką – powiedziała.

Wyszły razem, Nola przodem, Lacey za nią. Przecięły taras, kierując się w stronę ogrodowego basenu, skąd dochodziły na wpół jeszcze dziecięce śmiechy i plusk wody. Na skraju basenu, plecami do domu, siedziało pięć szczupłych, opalonych dziewczynek, z których żadna nie weszła jeszcze w okres

dojrzwania. Leniwie chłupotały stopami w wodzie. Nola stanęła nad tą, która z daleka zwracała uwagę wyjątkową chudością.

– Mackenzie – powiedziała.

Dziewczynka obejrzała się, zadzierając głowę, aby spojrzeć na babcię. Lacey nie była pewna, czy poznałaby ją na ulicy: przez tych kilka lat Mackenzie bardzo się zmieniła. Miała długie włosy koloru ciemnoblonde, odrobinę wyblakłe na słońcu. Pod górą jasnorożowego bikini rysowały się pączkujące piersi. Błękitne oczy, czerwone od płaczu, mogły się kojarzyć z Bobbym Asherem, ale rysy twarzy, proste i czyste – to już była cała Jessica.

– Co? – zapytała Nola.

– Pamiętasz Lacey O’Neill? To znajoma twojej mamy z dzieciństwa.

– Aha. Dzień dobry.

– Mackenzie... – Lacey uniosła dłoń do oczu, osłaniając oczy przed słońcem. – Bardzo ci współczuję.

– Spoko – rzuciła dziewczynka, jakby chodziło o przypadkowe zderzenie na korytarzu.

– Możemy chwilę porozmawiać? – poprosiła Lacey.

Mackenzie zawahała się. Widać było, że woli zostać z koleżankami, dobre wychowanie wzięło jednak górę. Wstała. Miała smukłą talię, zupełnie jak jej mama. Lacey uśmiechnęła się na myśl, że od tej pory będzie co dzień oglądać w swoim domu młodsze wcielenie Jessiki. Mackenzie odpowiedziała jej uśmiechem.

– Wracajcie do tamtego pokoju – podpowiedziała Nola. – Ja pójdę do salonu.

Lacey była jej wdzięczna, że pozwoliła jej na rozmowę sam na sam z Mackenzie. Musnęła palcami ramię dziewczynki, wskazując palmową sypialnię. Gdy szły razem w kierunku uchylonych balkonowych drzwi, zastanawiała się, co jej powie.

Zajęła to samo tapicerowane krzesło co poprzednio, a Mackenzie wskoczyła na czworaka na łóżko i usiadła po turecku tuż obok leżących przy wezglowiu poduszek. Kiedy położyła dłonie na kolanach, na obgryzionych do żywego paznokciach błysnął poodpryskiwany lakier.

– Jesteś bardzo podobna do mamy. – Lacey uśmiechnęła się do niej.

– Już to słyszałam. – W głosie Mackenzie zabrzmiała nuta irytacji. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie hardej. Lacey nie spodziewała się tego po dziecku, które straciło najważniejszą osobę na świecie. Zdradzały ją podpuchnięte, podkrążone oczy, nieomylny znak żalu i rozpacz.

– Pamiętasz mnie? – zapytała Lacey. – Poznałam cię, kiedy ostatnio byłaś u babci.

– Coś tam pamiętam. To ty masz trojaczki?

Potrząsnęła głową, nie mając pojęcia, o kim mowa.

– Ja nie mam dzieci – odparła. – Widywałyśmy się wtedy w przelocie, bo ty zostawałaś z babcią, a ja i twoja mama gdzieś sobie szłyśmy.

Mackenzie obrzuciła ją obojętnym spojrzeniem.

– Szkoda – dodała Lacey. – Żałuję, że nie poznałyśmy się trochę lepiej.

– Czemu? – zapytała Mackenzie, zdziwiona takim pomysłem.

– Bo... Bo jesteś córką mojej najlepszej przyjaciółki.

– Aha. – Mackenzie wyjrzała przez balkonowe drzwi na zewnątrz, odchylając głowę, żeby sprawdzić, co robią dziewczyny nad basenem. Miała już dosyć tej rozmowy, zresztą Lacey doskonale ją rozumiała. Wiedziała, że słabo sobie radzi.

– Chcesz wrócić do koleżanek? – zapytała, uśmiechając się, ale ten uśmiech był jak sztuczny grymas przyklejony do ust.

Mackenzie przytaknęła.

– Dobrze, idź. Miło było cię zobaczyć.

Dziewczynka w te pędy zeskoczyła z łóżka.

– P.P. – powiedziała i wybiegła na dwór.

Lacey przez chwilę siedziała jeszcze sama, odtwarzając w pamięci tę żalną próbę wciągnięcia dziewczynki do rozmowy. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Uświadomiła sobie, że miejsce Mackenzie jest



nie przy niej, ale tutaj, wśród koleżanek i ludzi, których zna.

– Jessica... – westchnęła ciężko. – Coś ty wymyśliła, do diabła?

\* \* \*

Następnego dnia Mary zadzwoniła do Amelii, aby przekazać, że powiedziała Mackenzie o tym, komu została przekazana opieka nad nią. Lacey przysłuchiwała się rozmowie, z której jasno wynikało, że dziewczynka ewidentnie nie jest zachwycona wiadomością, co zresztą było do przewidzenia.

Wieczorem pożyczyła od Amelii samochód i zabrała Mackenzie na kolację. W drodze do restauracji Mackenzie uparcie milczała. Kiedy usiadły przy stoliku, Lacey zrozumiała, że to był głupi pomysł. Jej młoda towarzysza nie znalazła w karcie niczego, na co miałyby ochotę, i nie chciała nawet spojrzeć Lacey w oczy.

– Chodźmy stąd – powiedziała Lacey, kiedy kelner po raz trzeci oddalił się od ich stolika bez zamówienia.

– Mamy tak po prostu wyjść? – Mackenzie uniosła brwi ze zdumieniem.

Lacey skinęła głową.

– Nie jesteś głodna, ja w zasadzie też nie. Idziemy.

Dziewczynka zeskoczyła z krzesła i ruszyła do drzwi, nie oglądając się na nią.

Kiedy wsiadły do samochodu, Lacey włączyła klimatyzację i sięgnęła do rączki pod siedzeniem, odsuwając fotel o kilkanaście centymetrów.

– Porozmawiamy chwilę tutaj – zaproponowała.

Mackenzie przewróciła oczami.

– Nie mamy o czym rozmawiać.

– A ja chcę, żeby to się zmieniło – odparła Lacey. – Chcę cię poznać. W końcu zamieszkaż teraz ze mną.

I znów to przewrócenie oczami.

– Totalna głupota – prychnęła Mackenzie. – Nie do wiary, że moja matka naprawdę to wymyśliła.

– Może to cię przekona, że naprawdę byliśmy sobie bliskie. Zobacz: powierzyła mi to, co miała najcenniejszego.

Tym razem dziewczynka, zamiast przewrócić oczami, zacisnęła powieki.

– Mamy ze sobą coś wspólnego, Mackenzie – podjęła Lacey. – Coś bardzo ważnego.

– Co to jest, moja matka? – domyśliła się.

– Jest jeszcze coś, co nas łączy. Poza Jessicą.

– Nie nazywaj jej tak – zjeżyła się Mackenzie. – To jest moja mama – wymówiła z naciskiem.

– Dobrze. Poza twoją mamą.

– No, to co niby nas łączy?

– Ja też straciłam mamę – wyznała Lacey. – Byłam kilka lat starsza niż ty teraz. Wydaje mi się, że twoja mama wiedziała, że będę umiała cię zrozumieć, bo mam za sobą tak samo straszne przeżycia.

– Skoro tak dobrze mnie rozumiesz, powinnaś wiedzieć, że muszę zostać tutaj. Nie chcę wyprowadzać się z Phoenix.

– Rozumiem, kochanie.

– Nie mów tak do mnie.

Chociaż klimatyzacja działała, Lacey czuła, że się poci. Silnik może się przegrzać, pomyślała z niepokojem. Jej auto z pewnością nie wytrzymałoby tak długo na luzie z włączonym nawiewem.

– Mackenzie – powiedziała. – To trudne, ale musimy wierzyć, że twoja matka wiedziała, co robi. Musimy jej zaufać. W tej chwili obie nie rozumiemy, czym się kierowała, ale musimy postępować zgodnie z jej życzeniem.

Dziewczynka znowu zamknęła oczy i zmarszczyła gniewnie nos.

– Nie ogarniam, dlaczego mam stąd wyjechać – wycedziła dobitnie.

Lacey też nie ogarniała. Plan Jessiki wydawał się jedną wielką pomyłką.

Pociągnęła za rączkę pod fotelem, przysuwając go z powrotem do kierownicy.

- Odwiozę cię do Mary – powiedziała.
- Świetny pomysł – zgodziła się Mackenzie.

Jechały w milczeniu. Lacey wyrzucała sobie naiwność, bo zupełnie inaczej wyobrażała sobie ten wieczór. Zdawała sobie sprawę, że Mackenzie jest nieszczęśliwa, ale chciała zapytać ją o różne sprawy, dowiedzieć się, co ją interesuje, z kim się przyjaźni, co lubi robić. Chciała zbliżyć się do niej, a tymczasem tylko ją do siebie zraziła.

Następnego południa w mieszkaniu Amelii pojawiły się Mary, Veronica i jeszcze jedna kobieta, której imię umknęło Lacey przy prezentacji. Wmaszerowały gęsiego do maleńkiego salonu, a atmosfera momentalnie stężała od ich nieskrywanej złości.

- To się nie uda – oznajmiła Mary, zajmąwszy miejsce na kanapie.
- O co chodzi? – zapytała Amelia.

– Staraliśmy się zrozumieć i uszanować decyzję Jessiki, ale Mackenzie po prostu odchodzi od zmysłów. Całą noc płakała. Śmierć matki to sama w sobie straszna trauma, ale zabieranie jej ze znajomego miejsca, gdzie otoczona jest bliskimi ludźmi, zakrawa na absurd.

Lacey zaczynała już mieć dość tego, że musi bronić decyzji, którą sama uważała za głupią.

- Wiem, że to się wydaje...

– To jakaś paranoja, że Jessica ci ją zostawiła – weszła jej w słowo trzecia kobieta. – Była jeszcze taka młoda. Myślała pewnie, że to takie romantyczne oddać dziecko na wychowanie przyjaciółce z dzieciństwa. Ale wiesz co, Lacey? – Zmierzyła ją wzrokiem. – Ty nic nie wiesz ani o Mackenzie, ani o nas. O naszym kręgu znajomych. Nie wiesz, jacy jesteśmy ze sobą zżyci.

- Lacey nie prosiła się o to – wtrąciła Amelia, biorąc jej stronę.

- Mackenzie cię nie lubi – warknęła Mary.

– Nawet mnie nie zna – odparowała Lacey. – Ale mają panie racje. Ja też jej nie znam. Ale poznam. I spróbuję. Jestem to winna Jessice.

– A Mackenzie nie jest nic nikomu winna – zauważyła Veronica. – I to o jej życiu w tej chwili mówimy.

– Poza tym z wychowaniem dzieci nie ma „spróbuję” – dodała Mary. – Albo się je wychowuje, albo nie. – Skrzyżowała ramiona na piersi. – Nola opowiedziała nam o tobie, Lacey.

- Mianowicie?

- Mówiła, że zadajesz się z niewłaściwymi ludźmi. Że idziesz do łóżka z kim popadnie.

Na te słowa Lacey poczuła, że coś w niej pęka, i rozplakała się. Nie zniosę już ani jednego słowa krytyki, pomyślała. „Kiedyś tak było, ale się zmieniłam”, chciała powiedzieć, ale zdawała sobie sprawę, że w tym momencie żaden sposób obrony nie będzie skuteczny.

Wstała, ocierając policzek wierzchem dłoni.

– Posłuchajcie, wy wszystkie – oświadczyła. – To było dla mnie bardzo trudne doświadczenie i Mackenzie też to bardzo przeżyła, ale przez was jest jeszcze o wiele gorzej.

Mary zeszywniała.

- Nie masz pojęcia, jak nam...

– Sytuacja wygląda tak. – Lacey nie dopuściła jej do głosu. – Jestem prawną opiekunką Mackenzie. Wiem, że to się wam nie podoba i że ja sama też nie przypadłam wam do serca, a Nola jeszcze dolała oliwy do ognia, bo naopowiadała wam bzdur. Ale wiem też, że tak samo jak mnie zależy wam na Mackenzie. My, czyli ona i ja, potrzebujemy waszego wsparcia. Tak, wsparcia. Żebyście utrzymywały z nią kontakt, bo ona musi mieć pewność, że nigdy się od niej nie odwrócicie. Że nigdy o niej nie zapomnicie, nie skreślicie. A więc proszę was, proszę: pomóżcie nam i przestańcie się zachowywać tak, jakby to było jakieś porwanie.

Wyszła z salonu i zniknęła w pokoju gościnnym. Miała ich serdecznie dość, wszystkich oprócz Amelii. Zdawała sobie sprawę, że zostawia ją samą, a tamte będą się wściekać, ale nie mogła znieść już ani chwili dłużej, że tak się na niej wyżywają.

Położyła się do łóżka z komórką w rękę i zadzwoniła do Ricka, bo wiedziała, że może gadać o tym, co się dzieje, tak długo, jak tylko będzie chciała, a on wysłucha jej do końca. W tym tygodniu

rozmawiała z nim już kilka razy, przysłał jej też życzenia urodzinowe na komórkę. Życzeń dostała sporo; odczytała je wieczorem, po ceremonii pożegnalnej. I to jest właśnie taki typ faceta, przyszło jej do głowy, kiedy wybierała jego numer, który znalazłby uznanie w oczach kobiet siedzących w tej chwili w salonie Amelii.

\* \* \*

Lacey była przekonana, że gdyby Mackenzie miała więcej energii, zapierałaby się rękami i nogami przed wejściem na pokład samolotu do Karoliny Północnej. Od ich pierwszej rozmowy upłynęły dwa dni, a stosunki między nimi nie uległy zmianie, lecz teraz Lacey mogła przynajmniej liczyć na to, że przez wiele godzin dziewczyna będzie na nią skazana. Być może w końcu zdoła nakłonić ją do rozmowy.

Poprzedniego wieczoru pomogła Mackenzie się spakować. Po raz pierwszy miała wtedy okazję zobaczyć małe mieszkanie Jessiki. Okazało się, że przyjaciółka miała zmysł estetyczny; przyglądając się pastelowym kolorom i lustrom wieszanym z upodobaniem w zaskakujących miejscach, Lacey pomyślała, że w ogóle nie znała dorosłej Jessiki.

Pokój Mackenzie był obwieszony plakatami wokalistów i zespołów, o których Lacey nigdy nie słyszała. Boże, pomyślała, ale się zestarzałam! Mackenzie nie chciała zostawić ani jednej rzeczy, więc pomogła jej zapakować wszystko do pudeł, z zastrzeżeniem, że do samolotu zabiorą tylko kilka z nich, a reszta dotrze do Kiss River trochę później.

Miały szczęście, bo trzecie siedzenie w rzędzie było wolne. Mackenzie usiadła przy oknie. Lacey zauważyła, że dziewczynka nie przepada za lataniem. Kiedy samolot wzbijał się w górę, mocno zaciskała palce na poręczach fotela, a jej opalenizna pojaśniała o kilka tonów. Miała na sobie szorty biodrówki i koszulkę bez rękawów; kiedy tylko maszyna wyrównała lot, sięgnęła po koc i wyjąwszy go z plastikowego pokrowca, owinęła się od stóp aż po ramiona.

– Twoja matka zginęła w wypadku? – zapytała niespodziewanie. Lacey była tak zaskoczona, że odpowiedziała dopiero po długiej chwili.

– Nie. Ktoś ją zabił. – Jakimś sposobem „zabić” brzmiało lepiej niż „zamordować”. – Zastrzelił ją pewien mężczyzna.

Mackenzie w ogóle nie zareagowała na tę niepokojącą informację, lecz Lacey widziała jak na dłoni, że jest pogrążona we własnych myślach.

– Kłóciłyśmy się, kiedy tamten w nas uderzył – odezwała się wreszcie dziewczynka. – Krzyczałam na nią. Chyba nie zauważyła, co się dzieje na drodze.

Lacey w lot zrozumiała, o co chodzi: ona też gryzła się tym, że przeżyła, a jej matka umarła.

– Och, Mackenzie... – westchnęła. – To nie była twoja wina. Człowiek, który w was uderzył, był pijany. To on ponosi całkowitą odpowiedzialność za ten wypadek.

Mackenzie znów umilkła, a Lacey nie wiedziała, co mogłaby jeszcze dodać. Nagle z głośników przemówił męski głos i ogłosił, że za chwilę pasażerowie dostaną lunch, a potem obejrzą drugą część trylogii *Władca Pierścieni*.

– Super – ucieszyła się Mackenzie. Po raz pierwszy Lacey zobaczyła na jej twarzy szczery uśmiech.

– Jesteś fanką *Władcy Pierścieni*? – domyśliła się.

– Pierwszą część widziałam cztery razy, a drugą trzy.

– I chcesz obejrzeć jeszcze raz?

Mackenzie obejrzała się na nią.

– Elijah Wood – rzuciła takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

Obejrzały film razem, a kiedy się skończył, samolotem zaczęło trochę rzucać, ale tak lekko, że kapitan nie zarządził nawet zapięcia pasów. Mackenzie to jednak wystarczyło: znów pobladła i kurczowo chwyciła się poręczy fotela. Lacey starała się wciągnąć ją w rozmowę, żeby nie myślała o strachu.

– Co lubisz robić? – zapytała.

– To znaczy?

– Masz jakieś hobby?

– Nie chce mi się teraz gadać.

Może jej niedobrze, pomyślała Lacey. Sama miała lekkie mdłości.

– W porządku – powiedziała. – Nie musisz gadać. Ale posłuchaj, dobrze? Powiem ci, kto przyjedzie po nas na lotnisko i z kim będziesz mieszkać.

Wprawdzie za niecały rok w Kiss River zostanie otwarte muzeum, a ich wyrzucą z domu, ale Mackenzie na razie nie musi o tym wiedzieć. Dziewczynka nie była w stanie ogarnąć myśłą nawet tego, co stanie się za chwilę, a co dopiero mówić o tym, co wydarzy się za rok. Niech się oswoi z jednymi przenosinami; to aż nadto.

– Z lotniska odbierze nas mój brat Clay – ciągnęła Lacey. – On też znał Jessicę. Był kilka lat starszy od nas, to znaczy twojej mamy... matki i mnie, ale czasami chodziliśmy gdzieś razem.

To była gruba przesada. Tamtego lata, kiedy Jessica zaszła w ciążę, Lacey i Clay w ogóle nie mogli znaleźć wspólnego języka. Łączyła ich, ma się rozumieć, głęboka miłość, lecz mimo to nie rozmawiali ze sobą tak jak zwykle nastolatki. Jessica i Lacey pojawiały się czasem na imprezach, gdzie bawiło się starsze towarzystwo, do którego należał Clay, ale on, kiedy tylko zobaczył siostrę, natychmiast się wściekał, a potem zaraz leciał do ojca na skargę.

– Clay niedawno się ożenił. Jego żona ma na imię Gina. Adoptowali dziecko z Indii, małą dziewczynkę, nazywa się Rani. Będziesz więc miała kuzynkę.

Mackenzie przewróciła oczami.

– Nie będę miała żadnej kuzynki – syknęła jadownicie. – To nie jest moja krewna.

Spokojnie, powoli, upomniała się Lacey.

– A nasz pies wabi się Sasza.

Z kolei ta wiadomość, wydawało się, roznieciła iskierkę zainteresowania.

– Nigdy nie mogłam mieć psa – powiedziała Mackenzie. – Mama miała alergię.

Lacey przypomniała sobie, że Jessica bała się zwierząt. Nie słyszała natomiast o żadnej alergii.

– A teraz możesz. – Uśmiechnęła się. – Sasza to czarny labrador. Wszyscy mieszkamy razem, w cudownym starym domu latarnika.

– Bez sensu – skomentowała Mackenzie.

– Do twojej babci jest bardzo blisko – dodała Lacey. – Mijam jej dom w drodze do pracy. Mój ojciec jest weterynarzem. Ma przychodnię dla zwierząt i tam właśnie pracuję. Twoja babcia wróciła już wczoraj, więc jutro możemy wybrać się do niej z wizytą.

– Nie – zaproponowała dziewczynka ku zaskoczeniu Lacey.

– Nie chcesz zobaczyć się z babcią?

Mackenzie potrząsnęła głową i rozpięła pas bezpieczeństwa.

– Muszę do toalety.

Lacey wstała, żeby ją przepuścić.

– Dobrze się czujesz? – zapytała, ale nie doczekała się odpowiedzi, usiadła więc z powrotem. Jej wzrok przykuł telefon zainstalowany w oparciu fotela tuż przed nią. Kiedy pierwszy raz go zobaczyła, zaraz po wejściu na pokład, zaczęła się zastanawiać, kto chciałby korzystać z takiego telefonu, skoro minuta rozmowy kosztuje pewnie kilka dolarów. A teraz już wiedziała: ktoś, kto ma nóż na gardle. Przebiegła wzrokiem instrukcję, po czym wystukała na klawiaturze numer pogotowia w Kill Devil Hills i zapytała recepcjonistkę, czy może poprosić do telefonu doktor Simon.

– Mówi jej pasierbica – wyjaśniła.

Czekała kilka minut, aż w końcu usłyszała głos Olivii.

– Jak idzie? – To były jej pierwsze słowa.

– Beznadziejnie – szczerze wyznała Lacey. – Jesteśmy w samolocie. Mackenzie poszła do łazienki, a ja siedzę i rwę sobie włosy z głowy. Ona mnie nie znosi. I chyba... Chyba tam wymiotuje, w tej łazience. Olivia, ja się do tego nie nadaję.

– Skoro myślisz, że wymiotuje, powinnaś być przy niej.

Lacey wyobraziła sobie, że ma się wcisnąć do mikroskopijnej toalety i przytrzymać włosy

Mackenzie zgiętej w pół nad sedesem. Boże. Widok dziewczynki wracającej na miejsce przyniósł jej ogromną ulgę.

– O, już idzie – powiedziała do słuchawki. – Odezwę się z domu, kiedy oswoi się trochę z nowym miejscem.

– Jasne. Przywieź ją do nas, pozna Jacka i Maggie.

– Olivia...?

– Hm?

– Przepraszam, że byłam dla ciebie niemiła, kiedy się poznałyśmy.

Olivia zaśmiała się tylko.

– Wiesz, Lace, z tobą było całkiem przyjemnie, ale z drugiej strony nie musiałaś zostawić wszystkiego, tak jak Mackenzie.

– To prawda – przyznała Lacey. – Muszę kończyć.

Mackenzie była bardzo blada. Pod oczami miała głębokie cienie, a gdy przeciskała się na swoje miejsce przy oknie, Lacey poczuła lekki zapach wymiocin. Tak jej się przynajmniej wydawało.

– Miałaś nudności? – zapytała.

– Nic mi nie jest – burknęła dziewczynka oschłym tonem, ucinając rozmowę.

Lacey poklepała ją po ramieniu.

– Jeszcze tylko czterdzieści minut i lądujemy w Norfolk – powiedziała. – Poznasz swoją nową rodzinę.

Mackenzie odwróciła błyszczące oczy do okna.

– Nie chcę nowej rodziny – szepnęła. – Chcę moją matkę.

## Rozdział czternasty

Kiedy opuściły samolot, Mackenzie natychmiast wyciągnęła komórkę. Dostała ją od Mary i Veroniki, które złożyły się na aparat i taryfę z nielimitowaną liczbą minut, aby dziewczynka mogła pozostać w kontakcie ze znajomymi z Phoenix. Z początku Lacey bardzo się podobał ten prezent, ponieważ był dowodem troski, i nawet miała do siebie pretensję, bo sama by na to nie wpadła, ale teraz zachwyty już jej minął: Mackenzie szła kilka kroków przed nią i trąkotała przez telefon, co dziesięć sekund wyrzucając z siebie więcej słów, niż powiedziała do niej przez pięć dni.

W ten sposób, jedna przodem, druga z tyłu, dotarli do punktu odbioru bagażu i zaczęły rozglądać się za walizkami i pudłami, które zabrała Mackenzie. Jej komputer został w Arizonie i dziewczynka była z tego powodu niezadowolona. Lacey obiecała jej, że Mary wyśle go jak najszybciej, ale prawdę mówiąc, wcale go nie potrzebowała, a to za sprawą dobrego serca Claya, który kupił dla Mackenzie komputer i zainstalował w domu drugą linię telefoniczną, żeby miała własne łącze z internetem. I tym razem Lacey też nie pomyślała o potrzebach swojej podopiecznej.

Stojąc obok niej przy taśmociągu bagażowym, czuła się samotna i bezradna, podobnie jak w samolocie. Mackenzie wciąż rozmawiała przez telefon, ale teraz już ściszym głosem, więc Lacey domyśliła się, że mówi o niej – czyli o tej kobiecie, która zmusiła ją do wyjazdu z Phoenix, a w ogóle to jedyny plus całej tej podróży był taki, że w samolocie puścili *Władcę Pierścieni* i mogła jeszcze raz zobaczyć Elijaha Wooda. Lacey przygryzła wargę i skupiła się na bagażach sunących po taśmie. Albo Jessica zwariowała, albo też dostrzegła w swojej przyjaciółce z dzieciństwa jakąś siłę i odporność, ukryte tak głęboko, że nawet sama Lacey nie miała o nich najmniejszego pojęcia.

Widok Giny zbliżającej się powoli do punktu odbioru bagażu sprawił jej wielką radość i ulgę. Była z nią Rani: popychała swój wózek, wioząc w nim ciemnoskórą lalkę dzidziusia.

– Gina idzie – powiedziała Lacey, chociaż Mackenzie nie miała szans jej usłyszeć, tak była zajęta rozmową przez telefon. Lacey stuknęła ją w ramię. – Możesz powiedzieć koleżance, że zadzwonisz później? – poprosiła. – Są już Clay i Gina, chcą cię poznać.

– To jest kolega, a nie koleżanka – odgryzła się Mackenzie i rzuciła z irytacją do słuchawki: – Muszę kończyć. P.P.

– Co to znaczy? – zapytała Lacey. – To „pe-pe”?

– Pogadamy później – bąknęła dziewczyna i wspięła się na palce, wypatrując swoich walizek i pudeł.

– Hej! – zawołała wesoło Gina, stając obok nich. Clay szedł zaraz za nią, popychając pusty wózek na bagaże.

– Cześć – odpowiedziała Lacey, chociaż najchętniej rzuciłaby się Ginie na szyję z okrzykiem „Ratunku!”. Powstrzymała się jednak i wskazała gestem swoją towarzyszkę. – To jest Mackenzie. – Położyła jej dłoń na ramieniu, delikatnie, żeby przypadkiem nie poczuła i nie strąciła jej. – Mackenzie, to są Gina i Clay, a to ich córka Rani.

Mackenzie mruknęła coś tytułem powitania i wbiła wzrok w taśmę z walizkami. Lacey posłała bratu i bratowej zbolące spojrzenie, a oni odpowiedzieli krzepiącymi uśmiechami. Potem pochyliła się i wzięła na rękę małą Rani. Dziewczynka przygłnęła do niej swoim drobnym ciałkiem, bez najmniejszego trudu i oporów; Lacey prawie się rozplakała.

– Hej, maleństwo – szepnęła Rani do ucha. – Stęskniłam się za tobą.

Rani wyciągnęła rączkę i pokazała palcem taśmociąg.

– Pubelka sibko jadom – zaszczebotała.

– Szybko jadą – zgodziła się Lacey.

Clay podszedł z wózkiem do Mackenzie.

– Pokaż, co jest twoje – powiedział. – Wezmę.

– Jak minął lot, Mackenzie? – zapytała Gina.

– Beznadziejnie. – Dziewczynka nie odwróciła nawet głowy.

– Przykro mi. – Gina uśmiechnęła się do Lacey ze współczuciem. – Nie ma nic gorszego niż beznadziejny lot.

Słyszając to, Mackenzie zerknęła na nią, ale trwało to tylko sekundę.

– Trochę rzucąco – Lacey rozwinęła temat. – Ale puścili *Władcę Pierścieni*, jeden z jej ulubionych filmów.

Mackenzie fuknęła z irytacją, jakby to była jakaś tajemnica, której nie miała życzenia zdradzać. Kiedy znów odwróciła się plecami, Lacey spojrzała na bratową i wyszeptała bezgłośnie: „Jestem bez szans”. Gina uśmiechnęła się pocieszająco i pocałowała ją w policzek.

Kiedy wszystkie walizki i pudełka już się odnalazły i zostały załadowane na wózek, towarzystwo ruszyło w stronę wyjścia. Lacey, choć niechętnie, postawiła Rani na ziemi, bo dziewczynka chciała koniecznie znów poprowadzić wózek z „dzidzią”. Mackenzie poszła przodem; znów wyciągnęła swój telefon i już miała go przy uchu.

– Noo... – sapnął Clay, który szedł obok Lacey. – Twarda sztuka, nie ma co. A przyzwyczajona chociaż do klatki?

Lacey roześmiała się głośno, mając nieodparte wrażenie, że nie robiła tego już od wielu miesięcy. Gdy pojawiła się Rani, jej brat szybko stał się kochającym ojcem, ale jeśli chodzi o umiejętności wychowawcze, to najlepiej znał się na psach. A jego pierwsze pytanie do właściciela, który przyprowadzał mu swojego ulubieńca do szkolenia, brzmiało zawsze tak samo: „Czy pies jest przyzwyczajony do klatki?”

Dotarli na parking. Lacey była zadowolona, że Gina i Clay przyjechali vanem. Bagaż Mackenzie zajmował sporo miejsca.

– Usiądź z przodu, obejrysz sobie okolicę – zaproponowała Lacey podopiecznej.

– Moja matka nigdy nie pozwala mi jeździć z przodu – odparła Mackenzie.

– Od dzisiaj możesz – zdecydowała Lacey, zadowolona, że może pokazać się jako wyluzowana, liberalna mama. Jej zadowolenie trwało dokładnie sekundę.

– Jasne, co cię obchodzi, że poduszka powietrzna urwie mi głowę – burknęła Mackenzie.

– Zaleca się, żeby dzieci do dwunastego roku życia jeździły z tyłu – powiedziała cicho Gina.

– Nie wiedziałam – westchnęła Lacey. – No dobrze, usiądziemy z tyłu, razem z Rani.

Mackenzie przyglądała się, jak Gina sadza dziewczynkę w foteliku i zapina jej pas bezpieczeństwa.

– W ogóle nie jest do was podobna – zauważyła. Widocznie nie słuchała, kiedy Lacey opowiadała o adopcji.

– Bo jest indyjskiej krwi – wyjaśniła jej Gina. – Adoptowaliśmy ją w zeszłym roku.

– A jak ma na imię, bo zapomniałam...?

– Rani. R-a-n-i – przeliterowała.

– Słodka jest. – Mackenzie zdobyła się na uśmiech, który sprawił, że wyglądała jak wierna kopia swojej mamy.

– Dziękuję.

– Ale Indianie żyjący w rezerwatach w Arizonie zupełnie inaczej wyglądają – dodała Mackenzie.

Gina skończyła zapinać dziecku pas i wyprostowała się.

– Rani nie jest Indianką. Urodziła się w Indiach.

– Aha, indyjska krew, rozumiem. – Mackenzie obeszała auto i wsiadła do środka, zajmując miejsce tuż obok małej.

Lacey jeszcze nigdy nie była taka zadowolona z Rani jak wtedy, podczas jazdy z Norfolk do Kiss River. Mac-kenzie rozmawiała z nią o lalce dzidzi i nawet nauczyła ją piosenki o króliczku i lisku. Po raz pierwszy Lacey dostrzegła w córce Jessiki ciepło i dobro. Dało jej to jakąś nadzieję na przyszłość.

Ale na razie do Kiss River było jeszcze daleko, a kiedy Rani przysnęła, w aucie zrobiło się cicho. Zajechali do Wendy's, żeby coś przekąsić w charakterze obiadu, ale Mackenzie zjadła tylko górną połówkę bułki swojego hamburgera, reszty nawet nie tknęła. Lacey było jej szkoda; dobrze pamiętała,

jak po śmierci swojej matki straciła apetyt, i to na długo. Gina kilka razy zagadnęła dziewczynkę o różne rzeczy, a właściwie o to samo, co jej szwagierka – co lubi robić, czy ma jakieś hobby – ale Mackenzie zbywała ją półsłówkami. Taka rozmowa była zbyt wyczerpująca i ostatecznie przez większą część drogi nikt się nie odzywał.

Kiedy zajechali na parking przy latarni w Kiss River, całą okolicę powlekał już złotoróżowy blask zachodzącego słońca. Clay obejrzał się na Lacey.

– Weź Mackenzie i idźcie rozprostować nogi, a ja zaniosę te graty do domu – powiedział. – Możesz jej pokazać okolicę.

– Dzięki. – Dobry pomysł, pomyślała Lacey, ciesząc się, że ma troskliwego brata. – Chodź, Mackenzie. Zajrzemy do latarni.

Dziewczynka wzruszyła ramionami i wysiadła z samochodu. Przeciągnęła się, rozejrzała dookoła.

– Tutaj mam mieszkać? – zapytała z niedowierzaniem. – Na tym odludziu?

– Mamy w pobliżu wszystko, czego potrzeba – zapewniła ją Lacey, chociaż zdawała sobie sprawę, że dla dziecka wychowanego w centrum stolicy Arizony życie w Kiss River będzie wymagać długiej adaptacji. – A to miejsce ma też kilka wyjątkowych zalet. Po pierwsze – zrzuciła z nóg sandały – nie musisz chodzić w butach. Mówię poważnie, zdejmij je.

Mackenzie zsunęła swoje tenisówki, stawiając bose stopy na piasku, pod którym znajdował się twardy tłuczeń. Lacey postawiła jej buty na skraju parkingu, razem ze swoimi.

– Kiedy ostatni raz byłeś w Outer Banks, miałeś osiem lat, zgadza się? – zapytała, kładąc lekko palce na plecach dziewczynki i delikatnie odwracając ją w kierunku latarni.

– Aha.

– Podobał ci się ocean?

Mackenzie wzruszyła ramionami.

– Pełno meduz.

– Pewnie byłyście w porze kwitnienia glonów – domyśliła się Lacey. – Wtedy na brzegu jest ich sporo. Przyznaję, że niezbyt to przyjemne. Ale w tym roku jeszcze nie widziałam ani jednej. – Inna rzecz, że bynajmniej nie rozglądała się za meduzami. – Lubisz pływać?

– A gdzie jest basen? – Mackenzie obejrzała się w stronę domu latarnika, który został za nimi.

– Tam – zaśmiała się Lacey, wskazując dłonią ocean.

– Nie macie basenu? W Phoenix wszyscy mają.

– Wy nie miałyście.

– Ale wszyscy moi znajomi mieli.

– Tutaj basen jest zbędny. Znacznie fajniej kąpać się w oceanie. A jeśli fala jest za duża, zawsze można wyskoczyć nad zatokę. U nas naprawdę jest co robić, Mackenzie. Zdziwisz się, zobaczysz.

– Ja nie chcę nic robić – burknęła dziewczynka, bardziej do siebie niż do Lacey. – A o co chodzi w ogóle z tą latarnią? Co się z nią stało?

Były już blisko białej wieży. Otaczała ją prawie nieruchoma woda. Ocean tego wieczoru był bardzo spokojny, gładką powierzchnię marszczyły tylko drobne fale.

– Kilkanaście lat temu górną część zniszczył sztorm – wyjaśniła Lacey. – Ale można wejść na górę. Widać stamtąd wszystko jak okiem sięgnąć i można poczuć, gdzie tak naprawdę jesteśmy. Chodź.

Ruszyła, brodząc w wodzie, do schodków prowadzących do środka wieży.

– Zimna! – pisnęła Mackenzie, kiedy zanurzyła stopy.

Lacey postanowiła nie zwracać uwagi na jej marudzenie. Weszła do latarni, przystając na środku chłodnej marmurowej posadzki, ułożonej w kształt rozległego ośmiokąta.

Po chwili Mackenzie dołączyła do niej i uniosła głowę. Na tle różowego nieba czarne schody zataczały spiralę o coraz węższych kręgach.

– Chodźmy – zachęciła ją Lacey, kładąc dłoń na poręczy i wskazując na pierwszy stopień. Dziewczynka ruszyła za nią, ale znacznie wolniej, a po przejściu kilku stopni nagle się zatrzymała.

– Głupota – prychnęła. – Po co to w ogóle tutaj zostawili, jak jest zniszczone i nie nadaje się do



użytku?

Słyszając nagły chłód w jej głosie i widząc, jak wodzi wzrokiem po krętych, przyprawiających o zawroty głowy schodach, Lacey zrozumiała, że Mackenzie się boi. Nic dziwnego, niejeden stracił tutaj orientację.

Cofnęła się z powrotem na dół.

– Wejdziemy innym razem – zdecydowała. – Nie musimy robić wszystkiego naraz.

Wyprowadziła Mackenzie z latarni. Zeszły razem po schodkach do wody. Dziewczynka trzymała się tuż za nią, a gdy stanęły na suchym piasku, klepnęła się nagle po ramieniu, a zaraz potem w kolano.

– Tu są komary. – Zabrzmiało to jak zarzut.

– Tak, niestety. Najwięcej o tej porze roku, kiedy słońce zachodzi.

– W Phoenix nie ma żadnych głupich komarów – oznajmiła Mackenzie.

– Dam ci spray na owady. Będzie twój własny, tylko dla ciebie – obiecała jej Lacey. – Ale teraz chodźmy już do domu. Resztę obejrzysz jutro, za dnia.

Po drodze do domu latarnika skręciły na parking, żeby zabrać buty. Lacey wskazała jedno z okien na piętrze.

– Tam jest twój pokój.

Mackenzie spojrzała w tamtą stronę i pokręciła głową. Lacey darowała sobie pytanie, co tym razem jej nie odpowiada. Nie chciało jej się tego słuchać.

– Niby jak mam poznać kogoś w moim wieku, jeśli będę mieszkać tutaj?

– W lecie to dość trudne, przyznaję, ale coś wymyślę – obiecała Lacey. Mackenzie mogła poznać na przykład Jacka i Maggie, dzieci jej ojca z drugiego małżeństwa, tyle że Jack, chociaż tak jak ona miał jedenaście lat, nie przepadał za dziewczynami. – A kiedy zaczniesz się szkoła, poznasz mnóstwo osób. Poza tym będziemy tutaj mieszkać tylko do przyszłego roku, bo w styczniu dom zostanie otwarty jako muzeum. Wtedy przeprowadzimy się gdzieś bliżej cywilizacji, masz na to moje słowo.

– Niech tylko moi znajomi się dowiedzą, że mieszkam w muzeum – burknęła Mackenzie z kwaśną miną, a ton jej głosu wskazywał jednoznacznie, że to obciach. – A ogrodzenie po co? – Pokazała palcem duży wybieg dla psów pod samym lasem. – Tam trzymacie psa?

– Nie. Sasza mieszka w domu, ale Clay zajmuje się szkoleniem psów poszukiwawczo-ratowniczych. Trenuje je właśnie na wybiegu.

– Poszukiwawczo-ratowniczych? Co to znaczy?

– Powiedzmy na przykład, że dziecko zgubi się w lesie. Szuka się go z pomocą specjalnie wyszkolonego psa.

– Albo jak jest trzęsienie ziemi czy zawali się jakiś budynek?

– Otóż to.

– Ekstra. – Mackenzie powiedziała to szeptem, ale zdaje się, że całkiem szczerze.

Lacey zaprowadziła ją do domu. Minęły kuchnię i salon, a potem po schodach weszły na piętro. Z pokoju Giny i Claya dobiegały ich ciche głosy; czytali Rani bajki na dobranoc. W najmniejszej sypialni na piętrze urządzili dla niej pokoik, gdzie, chociaż nic nie wolno było zmienić, bo miało tu powstać muzeum, zmieściło się łóżeczko, przewijak, dziecięce lampki i wiszące zabawki. Tylko że Rani nie chciała tam spać. Nigdy jeszcze nie spała sama w łóżku, a tym bardziej sama w pokoju. Ostatecznie Clay i Gina poddali się i wstawili jej łóżeczko do siebie, a do tamtej sypialni mało kto zaglądał.

Lacey otworzyła drzwi pokoju przeznaczonego dla Mackenzie i gestem zaprosiła dziewczynkę do środka. W kącie piętrzył się stos jej walizek i pudeł, ale poza tym nie było tam prawie nic oprócz pięknego starego łóżka z drewnianą ramą i leciwej komody.

– Urządzisz ten pokój po swojemu – zapewniła Lacey. I postanowiła, że kiedy będą się wyprowadzać, wynajmie kogoś do remontu konserwatorskiego.

Okna wychodziły na latarnię. Wspaniale wyglądały białe cegły w blasku zachodzącego słońca, płonące czystym złotem. Lacey chciała pokazać to Mackenzie, powiedzieć, że taki widok z okna to skarb, ale teraz wiedziała już, że może sobie darować zachwalanie.

Na stole w pobliżu drzwi stał nowiutki komputer. Lacey zauważyła, że jest już podłączony

kablem do gniazdka telefonicznego w ścianie.

– Mogę go używać? – Mackenzie musnęła palcami klawiaturę.

– Jest twój – przytaknęła Lacey, czując w tej chwili, że kocha swojego brata bardziej niż kiedykolwiek. – Clay kupił go dla ciebie i sam wszystko podłączył. Masz też własną linię telefoniczną, żebyś mogła wchodzić do internetu.

– Dla mnie? – powtórzyła Mackenzie. – Dlaczego? Przecież nigdy mnie nie widział.

– Już ci mówiłam – odparła. – On też znał twoją matkę. I wie, jak ci trudno, kiedy nagle znalazłaś się tutaj, z daleka od wszystkich przyjaciół, więc uznał, że dobrze by było, gdybyś to miała.

– Dziwne.

– A wiesz... – Lacey usiadła na skraju łóżka. – Kiedyś, dawno temu, to był pokój córki tutejszego latarnika. Miała na imię Bess, a Gina jest jej wnuczką.

Mackenzie dotknęła ciemnego monitora swojego komputera.

– Ale duży – powiedziała takim tonem, że trudno było zgadnąć, czy ją to cieszy.

– Może być coś zjadła? – zaproponowała Lacey. – A przynajmniej wypła? Wiem, że nie masz apetytu, ale...

– Nie trzeba.

– To był długi dzień, Mackenzie. – Lacey poczuła nagłą chęć, aby ją przytulić, odgarnąć z twarzy długie kosmyki blond włosów. – Rozumiem, że jest ci trudno i...

– Bez przesady.

Lacey wstała. Zmęczyło ją już, że to dziecko blokuje wszelkie próby nawiązania kontaktu.

– Zostawię zapalone światło w łazience – powiedziała.

– Nie potrzebuję. Która godzina jest teraz w Phoenix?

– Dwie godziny różnicy. – Lacey zerknęła na swój zegarek. – Dopiero ósma.

– To dobrze. – Mackenzie wyjęła komórkę i zaczęła wybierać numer.

## Rozdział piętnasty

– Chcę, żeby wszystko się ułożyło – powiedziała Lacey. – Ale jeśli mam być szczerą, to ledwo z nią wytrzymuję.

Leżała na dmuchanym materacu, który delikatnie kołysał się na czarnych wodach cieśniny, tuż za domkiem Ricka. Myślała, że oszalał, gdy przyszli tutaj po ciemku, a chociaż była przyzwyczajona do zarośniętych brzegów, najczęściej wchodziła do wody za dnia; nocą dotyk niewidzialnych roślin przyprawiał ją o dreszcze. Poczowała ulgę, kiedy wreszcie zrobiło się głębiej. Mieli dwa materace i oboje leżeli na brzuchu, blisko, twarzą w twarz. Zanurzonymi w wodzie rękami poruszali tylko tyle, ile było konieczne, aby nie oddalać się od siebie.

– Współczuję ci, naprawdę – powiedział Rick. Podobał jej się w tej nocnej scenerii: lekko zmierzwiłone włosy, oczy olbrzymie i ciemne w nikłej poświacie cienkiego jak sierp księżycy. – Co można zrobić, żeby poznała jakies dzieci, zanim zaczniesz się szkoła?

Lacey zagarnęła dłońmi wodę. Miała na sobie jego kąpielowe szorty i własną koszulkę; nie była przygotowana na nocny spływ materacem wodami cieśniny.

– Zadzwoiłam do szkoły, żeby zapytać, czy organizują jakieś wakacyjne zajęcia dla uczniów w jej wieku – powiedziała. – Otóż organizują, i to mnóstwo. Mackenzie mogłaby się zapisać do drużyny pływackiej, do kółka przyrodniczego, jeździć na wycieczki. Mówiłam jej o tym, ale nie była zainteresowana. W sumie ją rozumiem: przeżywa teraz żałobę, która pochłania ją całkowicie. Tylko że zrozumienie wcale nie pomaga mi z nią wytrzymać.

Ostatnie cztery dni były dla Lacey nieustanną próbą, jedną z najtrudniejszych w całym życiu. Nagle spadła na nią odpowiedzialność za dziecko, które – po pierwsze – nie chciało z nią rozmawiać, po drugie, czasami wydawało się, że jej nie znosi, a po trzecie – z całą pewnością nie znosiło Kiss River. Nocami Lacey leżała w łóżku i na myśl o tej żywej młodej istocie, która znalazła się pod jej opieką, nie na jakiś czas, ale do końca swojego życia, ogarniała ją panika. Skoro już teraz nie była w stanie porozumieć się z Mackenzie, w minimalnym choć stopniu otoczyć opieką jedenastoletniej dziewczynki, to jak poradzi sobie ze zbuntowaną piętnastolatką?

Mackenzie została u babci; Nola zabrała ją do siebie na noc. Lacey miała chwilę błogosławionego wytchnienia. Kiedy odwoziła dziewczynkę, rzuciło jej się w oczy, że przy powitaniu nie było żadnych uścisków ani ciepłych słów, a Mackenzie ucieszyła się na widok Noli mniej więcej tak samo jak babka na widok wnuczki. Lacey miała wyrzuty sumienia, że ją tam zostawia, ale rozpaczliwie potrzebowała od niej odpocząć.

– Wiesz, z kim najlepiej się dogaduje? – zapytała Ricka.

– Z kim?

– Z Rani i z Saszą. Z małym dzieckiem i z psem.

Mackenzie spędzała z Rani dużo czasu: malowały razem palcami, oglądały książeczki z obrazkami albo śpiewały piosenki. Jej ujmująca łagodność podczas tych zabaw ukazywała Lacey, choćby na moment, drugą naturę dziewczyny. Kiedy Mackenzie nie bawiła się z Rani, towarzystwa dotrzymywał jej Sasza: szczotkowała mu sierść albo po prostu leżała przed telewizorem, z głową opartą o jego bok.

– Strasznie ją wkurzyło, że nie mamy kablówki – zaśmiała się Lacey. Kiedy powiedziała Mackenzie, że do Kiss River nie podciągnięto kabla telewizyjnego, dziewczyna skomentowała to krótko: „W takim razie powinnam chyba się cieszyć, że macie bieżącą wodę”. Jak się okazało, dowcip miała równie cięty jak język.

– Cieszę się, że w końcu znalazłaś trochę czasu dla siebie – powiedział Rick. – Brakowało mi naszych spotkań.

– Byłeś nieoceniony – przyznała szczerze. – Mogłam ci się wyzaliczyć przez telefon, i to praktycznie codziennie. Mam u ciebie spory dług.

Uśmiechnął się.

– Mowy nie ma o żadnym długu. Chciałbym ci jeszcze jakoś pomóc, tylko że za cholerę nie znam się na dzieciach.

Ale Lacey nie potrzebowała porad, jak postępować z Mackenzie, za to bardzo potrzebna jej była jego fantastyczna umiejętność słuchania. Jeszcze nigdy w życiu nie знаła takiego mężczyzny. Świetnie wyglądał, znakomicie potrafił słuchać i nigdy nie naciskał na zacieśnienie znajomości w sensie fizycznym, wystarczyło mu tyle, ile sama chciała dać. Był uosobieniem marzeń każdej kobiety – a tymczasem ją pociągał równie mocno jak manekin ze sklepu odzieżowego.

– Przez cały tydzień załatwiam jej sprawy – powiedziała. – Dzwonię do szkoły. Wożę do pedagoga, ale też nie umie do niej dotrzeć. Według niego powinnam opowiadać Mackenzie o jej matce, starając się wybierać takie rzeczy, których ona nie wie. – Parsknęła śmiechem. – Mogłabym jej sporo opowiedzieć o Jessice, ale większość tego materiału nie nadaje się dla uszu dziecka.

– Chyba ostro rozrabiała, ta twoja przyjaciółka.

– I obawiam się, że Mackenzie wdała się w matkę. – Lacey poruszyła dłonią zanurzoną w chłodnej wodzie. – Próbowałam w każdym razie porozmawiać z nią o Jessice. Przywiozłam od ojca stare albumy ze zdjęciami. Zero reakcji.

Chciała pokazać Mackenzie jej matkę na starych zdjęciach z własnych albumów oraz z nadzwyczaj cienkiej szkolnej książki pamiątkowej, ale dziewczynka rzuciła tylko okiem, a gdy Lacey zaczęła opowiadać o tym, co przeżyła razem z Jessicą, bezceremonialnie jej przerwała. „Byłaś w jej życiu na bardzo dalekim miejscu”, oznajmiła. „Ja od urodzenia robiłam z nią różne rzeczy. Twoje wspomnienia mnie nie interesują”.

– Na pewno jest ci bardzo ciężko – powiedział Rick. – Podziwiam cię, że w ogóle się starasz jakoś z nią dogadywać.

– Ona przez cały czas rozmawia przez telefon albo pisze mejle. Wiem, że bardzo tęskni za domem, ale przy takim zachowaniu naprawdę trudno jej współczuć.

Milczał dłuższą chwilę.

– Nie rozumiem, dlaczego sąd automatycznie nie przekazał opieki nad Mackenzie jej ojcu.

– Bo Jessica nigdy nie podała jego nazwiska. Nawet w akcie urodzenia. Nie chciała, żeby cokolwiek go z nią łączyło. – Znów poruszyła dłonią, a po ciemnej wodzie rozeszły się kręgi drobnych zmarszczek. – I w tym cały problem.

– Dlaczego?

– Ponieważ ja zawsze uważałam, że Bobby, czyli ojciec Mackenzie, powinien wiedzieć, że ma dziecko. Jessica nie chciała nawet o tym słyszeć, a mimo to zostawiła mi swoją córkę. Znała moje zdanie w tej kwestii, a jednak właśnie taką podjęła decyzję. Czy więc chciała, żebym skontaktowała się z Bobbym, czy wręcz przeciwnie? Nie wiem, po prostu nie wiem.

– Znasz go?

Lacey nie miała najmniejszego zamiaru wtajemniczać Ricka w szczegóły swojej nastoletniej znajomości z Bobbym Asherem.

– Bobby należał do naszej paczki w tamte wakacje, kiedy Jessica zaszła w ciążę – wyjaśniła. – Brał narkotyki, był... nieodpowiedzialny i... no, ogólnie zdrowo walnięty.

– Gdzie się teraz podziewa?

– Wtedy mieszkał w Richmond. Pewnie można go namierzyć.

– Powinnaś to zrobić – podsumował Rick. – Gdybym ja miał dziecko, z całą pewnością chciałbym o nim wiedzieć.

– Tak, ale ty jesteś odpowiedzialnym, porządnym facetem.

Spochmurniał.

– Nie jestem święty, Lacey – odparł. – Po prostu uważam, że każdemu dziecku potrzebny jest ojcowski autorytet.

– Zgadza się. – Lacey podłożyła dłonie pod głowę i oparła na nich policzki.

– A z innej beczki... – zagadnął Rick. – Jak idą sprawy w sądzie?

– Pytasz o Mackenzie?

– Nie, o rozpatrzenie tamtego wniosku o zwolnienie warunkowe. Spotkałaś się z prawnikiem? Ostatnio sporo się u ciebie działo...

Lacey nie miała do niego pretensji, że zmienił temat i zamiast o dzieciach woli rozmawiać o kwestiach prawnych; w końcu to była jego działka, tutaj czuł się pewnie.

– Tak się składa – odpowiedziała – że jutro przed południem jedziemy na spotkanie z adwokatem, wszyscy troje, ojciec, ja i brat.

– O, to świetnie. – Rick niby się ucieszył, ale czy szczerze? Wiedziała, jakie ma zdanie na ten temat: uważał, że szkoda jej czasu i energii.

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Ale powiem ci też coś, co pewnie cię ucieszy – dodała. – To jest ostatnia rzecz, która mnie w tej chwili zaprzęta.

– I słusznie – przytaknął. – Jeśli weźmiesz sobie na głowę jeszcze coś, to na pewno się odbije na twoim zdrowiu.

Lacey nagle poczuła potworne znużenie i uświadomiła sobie, że Rick może mieć rację.

– No dobrze – westchnęła. – Ale znów tylko ja gadam, jak zwykle. A jak ci idzie pisanie książki?

– Ostatnio byłaś uwiązana w domu, więc znacznie posunąłem się do przodu – odparł. – Wyskoczyłem na kilka dni do siebie...

– Do Chapel Hill?

– Tak. Poszperać w bibliotece prawniczej na Uniwersytecie Duke’a. Sporo ogarnąłem.

Wziął Lacey za rękę i przyciągnął do siebie razem z materacem, po czym uniósł się na łokciach i przechylił, aby delikatnie pocałować ją w usta.

– Jak to możliwe, że wystarczy ci tylko pocałunek? – zapytała go, kiedy się odsunął.

– Wiem, że nie jesteś gotowa na więcej. W każdym razie – nie teraz.

– Spotykasz się z innymi kobietami? – zapytała. – Tylko nie myśl, że mi to przeszkadza. Po prostu... jestem ciekawa.

– Nie. – Uśmiechnął się.

– Może właśnie powinieneś. – Sumienie ją gryzło, że Rick mógłby umawiać się z kobietami, a ona kradnie mu czas, bo ma co do niego mieszane uczucia.

– Nie przyjechałem do Outer Banks na podryw – odparł. – To, że poznałem ciebie, to tylko miły bonus.

W takich momentach nigdy nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wołała go nie ośmielać. Odwróciła się na plecy, opryskując się przy okazji chłodną wodą. Na nocnym niebie lśniły gwiazdy.

– Chciałabym zamknąć tę chwilę w butelce i zabrać ze sobą – mruknęła. – Kiedy tak leżę i patrzę na gwiazdy. Strasznie się boję, co będzie jutro rano, gdy pojedę po Mackenzie.

– Mówiłaś, że jej babcia może wystąpić do sądu o przyznanie opieki, prawda? – zapytał Rick.

– Tak.

– Może to ma sens i powinnaś pozwolić jej zabrać Mac-kenzie.

Lacey odwróciła głowę i zmierzyła go wzrokiem.

– Tak sądzisz? – Ta myśl była jednocześnie kusząca i zawstydzająca.

– Moje zdanie tak naprawdę się nie liczy.

Lacey z powrotem zwróciła wzrok na gwiazdy, a potem zamknęła oczy.

– Zostaniemy tutaj całą noc? – zapytała. – Bez trudu zasnąłabym na tym materacu.

Rick roześmiał się ubawiony.

– Śpij, proszę bardzo – powiedział całkiem poważnie. – Przytrzymam twój materac, żebyś nie odpłynęła.

## Rozdział szesnasty

Przed południem następnego dnia Lacey przyjechała pierwsza do kancelarii adwokackiej. Usiadła na korytarzu, aby poczekać na ojca i brata. Od powrotu z Arizony nie pojawiła się jeszcze w przychodni weterynaryjnej i nawet nie tknęła witraży, ale wkrótce zamierzała skończyć ten urlop. Wspólnie z Nolą ułożyły grafik, co prawda tymczasowy, ale zawsze. W tygodniu Lacey miała odwozić Mackenzie do babci w drodze do przychodni i odbierać ją, wracając z pracowni, a od czasu do czasu zostawiać na noc. Weekendy, kiedy w nieruchomościach panuje największy ruch, dziewczynka spędzałaby natomiast w Kiss River. Plan teoretycznie przedstawiał się nieźle, należało go zatem wypróbować w praktyce. Lacey była ciekawa, jak Nola poradziła sobie z wizytą wnuczki poprzedniego wieczoru, i miała nadzieję, że był udany. Nie zamierzała – przynajmniej na razie – rozstawać się z Mackenzie, ale liczyła na to, że dziewczynka poczuje się u babci swobodnie i będzie chciała czasem zostać tam na noc, co pozwoli Lacey trochę odsapnąć.

W nocy spała całkiem dobrze, po raz pierwszy, odkąd dowiedziała się o śmierci Jessiki. Kusilo ją, aby zasnąć na materacu, kołysana wodami cieśniny, ale marzyła o odpoczynku we własnym łóżku, bez zamartwiania się o Mackenzie w sąsiednim pokoju.

Clay z ojcem zjawili się dokładnie w tym samym momencie, kiedy Diana Guest, adwokatka, wyszła ze swojego gabinetu, aby zaprosić ich do środka. Miała starannie obcięte, jasnobrązowe włosy, ciemny kostium i eleganckie, plastikowe oprawki okularów, lecz mimo to widać było, że jest rówieśniczką Lacey.

– No proszę. – Zmierzyła wzrokiem Aleca i Claya. – Ojciec i syn, chyba każdy by się domyślił.

Dwaj panowie O'Neill posłali jej identyczne uśmiechy, a dwie pary bliźniaczo podobnych, błękitnych jak lód oczu błysnęły potakująco. Lacey już dawno pogodziła się z faktem, że kiedy zabrakło jej mamy, przestała wizualnie pasować do swojej podstawowej komórki społecznej.

Diana Guest zaprowadziła ich do gabinetu. Usiedli, Alec w środku, Lacey i Clay po bokach. Adwokatka też zajęła miejsce, wzięła do ręki plik papierów leżących na biurku.

– Spójrzmy. – Przeczytała kilka linijek tekstu, po czym uniosła wzrok. – Przede wszystkim powinniście wiedzieć, że Zachary Pointer ma solidne podstawy, aby ubiegać się o zwolnienie warunkowe, więc nasze zadanie będzie trudne.

– Dlaczego? – zapytał Clay. – Co to znaczy solidne podstawy?

Prawniczka przejrzała swoje notatki, postukując zakręconym wiecznym piórem o skórzaną podkładkę na biurko.

– Po pierwsze – zaczęła – po osadzeniu w zakładzie karnym przebywał pod opieką psychiatry, który stwierdził u niego objawy psychozy wywołanej stresem i...

– Tak, o tym wszystkim była mowa na rozprawie – wszedł jej w słowo ojciec Lacey. – To dla nas nic nowego. Uznano, że w chwili popełnienia czynu Pointer był w pełni poczytalny.

Diana Guest skinęła głową.

– To prawda, ale teraz to już właściwie nie ma znaczenia. Przeszedł leczenie pod kątem psychozy, a obecnie przyjmuje leki i jego stan jest stabilny. W kartotece zakładu karnego figuruje jako wzorowy więzień. Co gorsza – przynajmniej z naszego punktu widzenia – w trakcie odbywania wyroku studiował teologię i jeśli wyjdzie na wolność, zamierza wstąpić do seminarium i zostać duchownym.

– Praktyczne – zakpił Alec O'Neill. Lacey bardzo rzadko słyszała u swojego ojca taki kąśliwy ton. – Może każdy więzień powinien mówić: „Wypuście mnie, to zostanę pastorem”.

– Z dokumentacji wynika, że nie chodzi o słomiany zapał. – Diana Guest podniosła z biurka jedną kartkę. – Ten raport pochodzi z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku – powiedziała i zaczęła czytać: – „Pointer okazuje żal za swój czyn i uczeńszcza na kurs biblijny prowadzony przez kapelana więziennego”. Następnie, w roku dziewięćdziesiątym piątym: „Pointer pomaga księdzu Luce'owi w prowadzeniu kursu biblijnego”. I dalej, w roku dziewięćdziesiątym

siódmym: „Pointer studiuje teologię korespondencyjnie oraz pod okiem księdza Luce’a”.

Święty Zachary, przemknęło Lacey przez głowę.

– Bardzo się cieszę, że znalazł pocieszenie w Bogu – wycedził jej ojciec. – Szkoda tylko, że moja żona nie dostała podobnej szansy.

– Nie mówię, że nie ma sposobu, aby zatrzymać go w więzieniu – odparła adwokatka. – Natomiast musicie wiedzieć, z czym macie do czynienia.

– Co więc trzeba zrobić? – zapytał Clay.

– Kiedy zginęła pańska żona, nie mieszkałam jeszcze w tych stronach. – Diana Guest zwróciła się wprost do Aleca O’Neilla. – Słyszałam jednak, że lokalna społeczność wiele jej zawdzięcza. Doradzałabym, abyście zorganizowali kampanię korespondencyjną. Po pierwsze, ponieważ każde z was jest osobą bezpośrednio poszkodowaną, wszyscy troje powinniście napisać przekonujące oświadczenia o doznanej krzywdzie.

Rick był na dobrym tropie, pomyślała Lacey.

– Należy w nich przedstawić – ciągnęła adwokatka – jakie skutki pociągnęła za sobą strata matki i żony. Skutki odczuwalne do dziś. – Spojrzała na Lacey. – A pani głos w tej sprawie jest najistotniejszy, ponieważ widziała pani na własne oczy, jak zamordowano pani matkę. Musi pani napisać to oświadczenie, nawet jeśli nikt inny tego nie robi.

– Słabo mi idzie pisanie – odparła Lacey, zresztą zgodnie z prawdą. Przypomniało jej się, jak Rick ostrzegał, że jeśli pójdzie do sądu, aby zatrzymać Pointera w więzieniu, to będzie zmuszona od nowa przeżyć śmierć swojej matki. Teraz zrozumiała, że miał rację; zaczęła się zastanawiać, czy sobie poradzi. W tej chwili nie czuła się na siłach, aby wrócić myślami do tamtej tragedii.

– Nie chodzi o tekst godny Pulitzera – powiedziała Diana Guest. – Proszę opisać, jak zmieniło się pani życie po śmierci matki, co widziała pani na własne oczy. Niech to będzie wymowne, ale bez nadmiernych emocji, bo to może zniechęcić członków komisji. Pomogę pani odpowiednio to wyważyć. Panom również. Napiszcie swoje oświadczenia, a później razem je przejrzymy.

– Możemy zrobić coś więcej? – zapytał Clay.

– Proszę nie bagatelizować tych oświadczeń, ponieważ są bardzo istotne – zaznaczyła adwokatka. – Poza tym będzie ich więcej. Proszę się zastanowić, kto jeszcze powinien je napisać. Może kierownicy placówek, w których zmarła pracowała jako wolontariuszka. Tak to ma wyglądać. Chcemy pokazać, jak wielką stratę poniosła nie tylko państwa rodzina, ale też cała lokalna społeczność.

– Kiedy chce je pani dostać? – spytał Alec.

– Rozpatrzenie sprawy wyznaczono na wrzesień, ale żebyśmy zdążyli je wspólnie zredagować, umówmy się na połowę sierpnia. Przygotowałam wskazówki, aby było wiadomo, co ma się tam znaleźć. – Podała im po karcie. – Proponuję to skserować i przekazać każdemu, kogo zamierzacie poprosić o napisanie takiego oświadczenia.

– Może ich być nawet i sto – powiedział ojciec. – To przesada czy nie?

– Powiedziałabym raczej, że ważniejsza jest staranna selekcja. Liczy się jakość, a nie ilość. – Diana Guest wstała zza biurka, najwidoczniej uznając spotkanie za skończone. – Dziesięć świetnych tekstów może zdziałać więcej niż zasypanie komisji setką przesadnie uczuciowych dywagacji.

– W porządku. – Alec O’Neill też wstał i podał jej rękę. – Proszę nas informować na bieżąco, dobrze?

– Oczywiście. – Adwokatka uśmiechnęła się do Claya, potem do Lacey. – Bardzo mi było miło państwa poznać.

W milczeniu opuścili kancelarię. Na parkingu ojciec objął ich oboje ramionami.

– Co u was słychać? – zapytał.

– Wszystko gra – odpowiedział Clay. – Szkoda tylko, że nie możemy zrobić nic więcej. Zdumiewające, że los Pointera zależy od naszego talentu literackiego.

– Skoczmy coś przekąsić? – Alec wyjął z kieszeni kluczyki i pstryknął pilotem. – I od razu wytypujemy osoby, które powinny napisać oświadczenie.

Lacey zerknęła na zegarek.

– Nie dam rady, tato – odparła. – Muszę odebrać Mac-kenzie od Noli.

– Jak ci z nią idzie, kochana? – zainteresował się ojciec. Poznał Mackenzie kilka dni wcześniej, kiedy Lacey przywiozła ją do nich na spotkanie z Jackiem i Maggie. Wizyta do udanych nie należała, co było do przewidzenia. Mackenzie, choć rówieśniczka Jacka, przerastała go o kilka centymetrów, a wyglądała na starszą o rok, a nawet dwa, natomiast dziewięcioletnia Maggie wyglądała przy niej jak małe dziecko. Rodzeństwo kąpało się w morzu, bo dom stał tuż nad cieśniną, ale ona, zamiast do nich dołączyć, opalała się na tarasie w swoim różowym bikini. Odmówiła kontaktu z pełną wodorostów, słodko-słoną wodą obmywającą plażę. „W Arizonie”, oznajmiła Jackowi i Maggie wyniosłym tonem, który zdążyła już opanować do perfekcji, „każdy ma basen przy domu”.

– Powiedzmy tak: jeśli Nola chce, mogę jej ją oddać – odparła ojcu Lacey, sama nie wiedząc, czy żartuje, czy mówi całkiem poważnie.

– Uuu... – skrzywił się Alec.

Clay parsknął śmiechem.

– To prawda – westchnął. – Twarda z niej sztuka.

– Serio? – zapytał Alec córkę. – Jest aż tak źle?

– Nie wiem, tato – przyznała szczerze. – Na razie gonię w piętę i nie myślę jasno.

Clay objął siostrę ramieniem.

– Jeśli o mnie chodzi, to mam nadzieję, że ją zatrzymasz – powiedział. – Za rok albo dwa będzie z niej świetna opiekunka do dziecka.

\* \* \*

Kiedy Lacey zaparkowała przed dwupiętrowym domem w Southern Shores, Nola czekała już na werandzie.

– Jest na górze, siedzi przy moim komputerze – poinformowała. – Odkąd ją przywiozłaś, chyba do niego przyrosła.

– Wiem. – Lacey weszła po schodkach i oparła się o barierkę werandy. – Tęskni za swoimi znajomymi.

– Rozmawiała już z tobą?

– O czym?

– O matce? Albo o... w ogóle o czymś. – Nola westchnęła ciężko. – Ja nie byłam w stanie nawiązać z nią rozmowy.

– Nie obwiniaj się – pocieszyła ją Lacey. – Do mnie też się nie odzywa. Zawsze była taka skryta?

– Raczej nie. – Nola powachlowała się dłonią. – Ale prawdę mówiąc, słabo ją znam. Widywałyśmy się raz w roku albo nawet rzadziej. To po prostu za mało. I teraz żałuję.

– Ja czuję podobnie – przyznała się Lacey.

Nola chwyciła jeden niesforny platynowy kosmyk, który zsunął jej się na czoło, i wcisnęła go pod włosy upięte we francuski kok.

– Powiedz mi coś, Lacey – poprosiła. – Tylko szczerze, bardzo cię proszę.

Lacey skinęła głową, czekając na pytanie.

– Jak sądzisz, tak naprawdę, dlaczego Jessica zostawiła ją tobie, a nie mnie? – zapytała Nola.

– Nie mam pojęcia – odparła Lacey.

– Byłam złą matką? – To był rzadki widok: Nola Dillard taka bezradna i słaba. Lacey zrobiło się jej żal. – Jessica zarzucała mi, że czasami jestem oziębła.

– Oczywiście, że nie byłaś złą matką – zapewniła Lacey, dodając w myślach: I to tyle, jeśli chodzi o szczerść. – Myślę, że to nie miało związku z decyzją Jessiki. Chodzi raczej o to, co powiedziałaś mi wtedy, w Phoenix: ona chciała, żeby Mackenzie wychowywał ktoś młodszy. Może uznała, że ja pasuję, bo mieszkam blisko ciebie.

Odwróciła głowę i spojrzała w kierunku plaży. Z werandy nie było widać oceanu, ale głuchy huk fal bijących o brzeg mówił jej, że dzisiaj żywioł szaleje dość mocno.

– Ale jeśli... – Obejrzała się z powrotem na Nolę. – Jeśli kiedyś wspólnie uznamy, że u ciebie



będzie jej lepiej, albo jeśli ona sama powie, że tego chce, to nie będę się sprzeciwiać.

– No cóż... – Nola głęboko odetchnęła. – Nastawiałam się na walkę o opiekę nad nią – przyznała.

– Ale prawdę mówiąc, nie wiem, czy dałabym sobie radę, gdybym miała się na co dzień zajmować dzieckiem. Może Jessica o tym wiedziała, może rozumiała, że nie nadaję się na opiekunkę jedenastolatki. Ale szczerze ją kocham. Tylko ona mi została po Jessii. – Westchnęła. – Chcę dla niej jak najlepiej.

– Chyba skontaktuję się z jej ojcem – wypaliła Lacey ni stąd, ni zowąd.

Nola uniosła brwi.

– Ona nie ma ojca – wycedziła z ostrzegawczym błyskiem w oku.

– Wiem, że Jessica wpisała do aktu urodzenia „Ojciec nieznan”, ale obie wiemy, kim on jest.

– Jessica nie chciała mieć z nim nic wspólnego – oznajmiła twardo Nola. – To był kompletny nieudacznik.

– Dlaczego więc zostawiła Mackenzie pod moją opieką? Przecież wiedziała, że będę chciała poinformować Bobby’ego Ashera, że ma córkę.

– On ją zdemoralizował.

– On? A myślałam, że to ja – wypaliła.

– Powiedziałam to w złości, Lacey. Byłam zdenerwowana i bardzo cierpiałam. Przepraszam.

Lacey jeszcze nigdy nie widziała Noli takiej zgaszonej i przygnębionej. Wystarczyła jedna doba spędzona w towarzystwie Mackenzie, aby nabrała pokory.

– Nie szkodzi – odparła i pomasowała skronie, czując nagły ból głowy. – Zastanowię się jeszcze, co zrobię w sprawie Bobby’ego, i na pewno dam ci znać, dobrze?

W drodze powrotnej do Kiss River Mackenzie milczała, a gdy Lacey pytała ją o wizytę u babci, zbywała ją, jak zwykle, półsłówkami. Po dojechaniu na miejsce wyskoczyła z samochodu i pobiegła przodem. Kiedy Lacey weszła do domu, siedziała już na podłodze i tuliła się do Saszy, jedynej istoty, która darzyła ją bezwarunkową miłością, której nie obchodziło, czy Mackenzie ma ochotę rozmawiać, czy może akurat ma focha. Wyglądała jak małe dziec-ko. Nie była już dziewczyną, która stroi się jak Britney Spears i pogardliwym tonem porównuje życie w wielkim mieście do nędznej roślinności w tej zapadłej dziurze. Lacey musiała sobie przypomnieć, że to jest jeszcze dziecko, cierpiące małe dziecko.

W nocy, kiedy wszyscy leżeli już w łóżkach, wstała i wyciągnęła z najwyższej szuflady swojego biurka zagrzebany głęboko notes i jakiś długopis. Potem usiadła przy biurku i zapatrzyła się na mury latarni, skąpane w blasku księżyca. Myślała. Dobierała słowa.

*Mama zginęła na moich oczach, napisała. Do dzisiaj śnią mi się o tym koszmary. Zabrała mnie do schroniska dla kobiet, bo chciała, żebyśmy dały coś od siebie ludziom, którzy mają mniej niż my. Taka właśnie była, zawsze. Pomagała wszystkim, którzy potrzebowali pomocy. Oddała nawet szpik kostny, aby uratować życie dziecka, którego nigdy nie poznała. Była najlepszą kobietą na świecie.*

*I była też egocentryczną zdiurą, która zaliczyła połowę facetów w okolicy, a mój ojciec cierpiał przez nią tak, że nie ma słów, aby to opisać.*

– Cholera jasna. – Lacey zmięta kartkę w dłoniach i cisnęła ją do kosza na śmieci stojącego pod ścianą. No tak, mogła się spodziewać, że to będzie trudne zadanie.

## Rozdział siedemnasty

Z portfela Lacey zniknęło dwadzieścia dolarów. Niestety, domyślała się, kto je zabrał. Wspólnie z Nolą opracowały nowy harmonogram opieki nad Mackenzie i wiozła właśnie dziewczynkę do babci, a po drodze zatrzymała się w dwóch miejscach: w banku wypłaciła sto dolarów, a w 7-Eleven kupiła kawę dla siebie i paczka dla Mac-kenzie. Do sklepu wzięła tylko dwadzieścia dolarów, a resztę, razem z całą torebką, zostawiła w samochodzie pod opieką Mackenzie. To, co jej zostało po zakupach, schowała do kieszeni i dopiero w porze obiadowej, kiedy pojechała coś zjeść, zauważyła, że w portfelu są tylko trzy dwudziestki. Z ciężkim sercem zaczęła grzebać w torebce, mając nadzieję, że zaginiony banknot jeszcze się znajdzie. Rzecz jasna nie było żadnego dowodu, że to Mackenzie go zabrała. Lacey nie miała pojęcia, co począć w takiej sytuacji.

Po południu odebrała ją od Noli. Dziewczyna, ponura i milcząca, usiadła z tyłu, a Lacey przez całą drogę zastanawiała się, jak rozwiązać tę sprawę. Mogła jej powiedzieć wprost: „Wypłaciłam dzisiaj z banku sto dolarów dwudziestkami, jedną zabrałam do sklepu, a kiedy pojechałam na obiad, w moim portfelu były tylko trzy”. Mogła też pójść z Mackenzie na taki układ: „Zniknęło mi z portfela dwadzieścia dolarów. Jeśli do jutra te pieniądze wrócą na swoje miejsce, będzie po sprawie”. Prawda natomiast była taka, że Lacey bała się do niej odezwać. Wymyślała sobie od tchórzy, ale po prostu wolała nie psuć stosunków z Mackenzie, które i tak już przypominały drogę pełną wybojów. Postanowiła jedynie ostrzec Ginę i Claya, żeby pilnowali swoich pieniędzy, a sama trzymać portfel zawsze przy sobie. Poza tym zdecydowała, że Mackenzie będzie dostawać kieszonkowe. Nie pomyślała o tym. Oczywiście. A dziewczynie potrzebne były własne pieniądze.

Lacey dobrze wiedziała, co w takiej sytuacji zrobiłaby jej matka. Otóż powiedziała by mniej więcej tak: „Zniknęło mi z portfela dwadzieścia dolarów: domyślam się, że ktoś potrzebował ich bardziej niż ja. Mam nadzieję, że w przyszłości ten ktoś, zamiast zabierać mi pieniądze, zwyczajnie mnie o nie poprosi”. To byłby idealny przykład metod wychowawczych Annie O’Neill: łagodność i odrobina niemądrej naiwności. Ale Lacey nie była Annie. Musiała znaleźć własną drogę, własne rozwiązanie, a w tej chwili zdawało się, że najlepiej nie robić nic.

Bobby Asher miał lepkie ręce. Podbierał pieniądze od Lacey, i od Jessiki też. Prawie codziennie kradł ciastko ze sklepiku w Nag’s Head. Lacey szkoda było sprzedawcy za ladą, starszego już pana, który niedowidział i nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go obrabia. Bobby’emu równie łatwo przychodziło zwiniecie jednego papierosa z paczki leżącej na stole jak deski surfingowej z wystawy sklepowej; widziała na własne oczy. Był mistrzem w tym fachu, więc być może Mackenzie po nim odziedziczyła złodziejskie geny, tak samo jak Lacey dostała po swojej matce gen rozpusty.

Zachodziła teraz w głowę, co właściwie widziała w tym chłopaku. Śnił jej się po nocach, a w dzień snuła fantazje z nim w roli głównej. Spełniłaby każde jego życzenie i czuła wielki ból głęboko w piersi za każdym razem, kiedy widziała go z Jessicą. Może wiedziała, co robi, trzymając Bobby’ego z dala od Mackenzie? No tak, ale w końcu był przecież jej ojcem. Nawet Rick, zaprzysięgły konserwatysta, uważał, że Bobby powinien wiedzieć. I Lacey zamierzała się z nim skontaktować. W najlepszym przypadku mogło się okazać, że rozumie Mackenzie lepiej niż ona. W najgorszym – został królem półświatka i specem od wyrafinowanych metod działania poza prawem. Tak czy inaczej, decyzja zapadła: Bobby powinien się dowiedzieć, że ma dziecko.

Tego samego dnia, kiedy zginęły jej z portfela pieniądze, zabrała wieczorem telefon do swojego pokoju. Zadzwoiła najpierw do informacji, gdzie powiedziano jej, że w Richmond i okolicach żyje kilku mężczyzn nazwiskiem Robert Asher. Zapisała sobie wszystkie numery. Pierwszy z nich, jak się okazało, należał do kuzyna Bobby’ego.

– Mieszka blisko, na naszej ulicy – poinformował Lacey ten człowiek i bez namysłu podał jej telefon. Chciała go zapytać, jaki on teraz jest albo czy wciąż bierze narkotyki, ale przez gardło przeszło jej tylko:

– Dalej mówią na niego „Bobby”?

Kuzyn roześmiał się.

– No jasne. U nas, Asherów, prawie każdy to Bobby.

Lacey przygryzła wargę, wpatrując się w nowy zapisany numer. Mackenzie była u siebie, mejlowała ze znajomymi z Phoenix. Rani już spała, a Gina i Clay oglądali na dole jakiś film na wideo. Dobry moment na taką rozmowę, Lacey mogła liczyć na pełną dyskrecję. Potrzebowała tylko trochę odwagi i umiejętności znalezienia właściwych słów.

Wystukała numer. Przez siedem sygnałów nikt nie odbierał i już układała sobie w głowie, co nagra na automatyczną sekretarkę, kiedy nagle w słuchawce odezwał się głos Bobby’ego.

– Tak. – Oddychał ciężko, z trudem.

– Bobby? – zapytała.

– Przy telefonie. Kto mówi?

Nie poznałaby go po głosie. To był głos mężczyzny, a nie chłopaka, jakiego znała.

– Nie wiem, czy mnie pamiętasz – zaczęła. – Mówi Lacey O’Neill, chciałam...

– Lacey! – zawołał. – No proszę, kopę lat! Co u ciebie?

Ucieszyła się, że ją poznał i nie musi jeszcze na dodatek wyjaśniać, kim jest. W tamte wakacje Bobby Asher chodził wiecznie nawalony, więc nie była pewna, czy cokolwiek pamięta.

– W porządku – odpowiedziała. – A u ciebie?

– Nieźle. – Zabrzmiało to wesoło i nieco rubasznie. Nie pamiętała go takim. – Co cię naszło, żeby dzwonić do mnie po tylu latach?

– No cóż... – odparła. – To trochę skomplikowane i nie jestem pewna, od czego mam zacząć, więc słuchaj cierpliwie, dobrze?

– Nie ma sprawy.

– Pamiętasz Jessicę Dillard?

– Jasne. Byłem z nią praktycznie przez całe lato. Co u niej słyhać?

– Niedawno... Niedawno umarła.

W słuchawce na chwilę zapadła głucha cisza.

– Jezu... – odezwał się wreszcie Bobby. – Chyba żartujesz. Ile ona miała? Dwadzieścia sześć lat?

– Dwadzieścia siedem. Chodziłyśmy do jednej klasy, ale była ode mnie o rok starsza, bo poszła do szkoły trochę później...

Nie dał jej dokończyć.

– Co się stało, do diabła?

– Miała wypadek samochodowy. Uderzył w nią pijany kierowca. Przeżyła i konieczna była poważna operacja. Wszyscy myśleli, że wyzdrowieje, ale miała zakrzep w płucu i to ją zabiło.

– Pijany kierowca? – powtórzył Bobby.

– Tak.

– Skurwiel. I gdzie tu sprawiedliwość?

– Nie ma w tym żadnej sprawiedliwości.

– A powiedz mi, Lacey, przyjaźniłyście się jeszcze?

Miło było słyszeć swoje imię w jego ustach, podobało jej się, jak brzmi, wypowiedziane tym jego nowym, dorosłym głosem.

– I tak, i nie – odparła. – Kiedy miała piętnaście lat, przeprowadziła się do Arizony i widywałyśmy się dość rzadko. A teraz... przejdę do rzeczy. Jessica miała dziecko. Dziewczynkę. Dlatego musiała się wyprowadzić do Arizony: zaszła w ciążę, a jej mama uznała, że lepiej będzie, jeśli stąd zniknie. Ona...

– Lacey. – Bobby znów przerwał jej gorączkową paplaninę. – Co chcesz mi powiedzieć?

– Że to ty jesteś ojcem tej dziewczynki.

Tym razem cisza w słuchawce ciągnęła się przez długie, dręcząco długie sekundy. Lacey zacisnęła powieki, czekając na odpowiedź.

– Ja... Hm... – Bobby zaśmiał się niepewnie. – Dlaczego tak uważasz?

– Jessica wiedziała, że to ty – wyjaśniła. – Nigdy nie było wątpliwości. Zdawała sobie jednak sprawę, że jesteś młody i to była dla ciebie tylko wakacyjna przygoda, a poza tym... no, powiedzmy sobie szczerze, nie byłeś wtedy ani rodzinnym typem, ani wzorem odpowiedzialności, więc uznała, że najlepiej wpisać do aktu urodzenia „Ojciec nieznanym”.

– Zaczekaj – poprosił. – Aż muszę usiąść. – W słuchawce zaszeleściły jakieś papiery, a potem znów odezwał się jego głos: – Nie chcesz mi chyba podrzucić tego dzieciaka, co?

O tak, to już był ten Bobby Asher, którego zapamiętała.

– Jessica powierzyła ją mojej opiece – odparła. – A ja uznałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

– A dlaczego sama mi nie powiedziała? – zapytał. – Przecież mogła chociażby wyciągnąć ode mnie alimenty.

– Ona widziała to tak, że... – Lacey urwała. Zastanawiała się, jak to ująć w słowa. – To, co was łączyło, to nie był poważny, dorosły związek, Bobby. Przecież sam wiesz.

Nie doczekała się odpowiedzi.

– Mackenzie – tak się nazywa córka Jessiki – jest u mnie dopiero półtora tygodnia. Rzecz w tym, że ja ciągle powtarzałam Jessice, że powinna się z tobą skontaktować. Że powinieneś znać prawdę. Sama dopiero w wieku szesnastu lat dowiedziałam się, kto jest moim ojcem, i...

– Twój ojciec był weterynarzem, prawda?

– Tak, ale moim biologicznym ojcem jest zupełnie ktoś inny. Nie wiedziałam o tym, a uważam, że miałam do tego prawo. Tak samo jak on – mówiła szybko, trochę chaotycznie. – Jessica w każdym razie miała inne zdanie, ale wydaje mi się, że w głębi serca chciała, żebyś wiedział, skoro zostawiła mi swoje dziecko. I dlatego do ciebie dzwonię. Aby cię poinformować, że jest ktoś taki jak Mackenzie. Że masz córkę.

I znów w słuchawce zapadło milczenie, aż wreszcie zaszeleścił tam cichy śmiech.

– Czuję się tak, jakbym... Chyba mam atak paniki.

Wystarczyła chwila męskiej słabości, żeby zmiękło jej serce.

– Wcale ci się nie dziwię – powiedziała.

– Wiesz, Lacey, Jessica była dziewczyną, jak by to ująć... wyzwoloną.

I w jednej chwili całe jej współczucie się ulotniło, chociaż oczywiście była w stanie zrozumieć jego wątpliwości.

– Jessica więcej mówiła, niż naprawdę robiła – odparła Lacey. – Byłeś wtedy jedynym facetem, z którym... utrzymywała intymne kontakty. Była pewna, że to ty.

– Pijany kierowca... – Bobby nagle sobie przypomniał. – Cholera.

– Właśnie.

– A powiedz, jaka ona jest? Ta dziewczynka? Przypomnij mi, jak ma na imię?

– Mackenzie. – Lacey zastanawiała się, jak ją opisać. – Przechodzi teraz trudny okres: straciła matkę i musiała przeprowadzić się tutaj. Szczerze mówiąc, ciężko z nią wytrzymać.

– Czyli może to rzeczywiście moje dziecko – zaśmiał się.

Lacey też musiała się uśmiechnąć.

– Jest nieszczęśliwa, nadąsana, uparta i antypatyczna, nastawiona na „nie”, a do tego podejrzewam, że podkrada mi pieniądze. Ma roszczeniową postawę i uważa, że wszystko jej się należy, bo straciła matkę. Nie da się z nią rozmawiać. Nie znosi mnie i dosłownie całego bożego świata.

– No dobrze. – Bobby znów się zaśmiał, tym razem znacznie ciszej. – Ale chciałbym usłyszeć, co naprawdę – zaakcentował – naprawdę o niej sądzisz.

Westchnęła.

– Przepraszam. Jestem w tej chwili w kiepskim nastroju.

– Dam ci radę: nie szukaj pracy w handlu, bo nie masz o tym pojęcia. Jeśli próbujesz sprzedać mi to dziecko, słabo ci idzie.

– Mówię szczerze.

– Zauważyłem.

– Bobby, zapytam cię o coś wprost, zgoda?

– Wal.

– Przepraszam, jeśli to będzie mało taktowne, ale kiedy cię znałam, lubiłeś zaszaleć. Jaki jesteś teraz?

– Zmieniłem się – oznajmił. – Nie pracuję w biurze, pod krawatem, ale wiem, co to odpowiedzialność. Kupiłem nieduży dom. Rachunki płacę w terminie. I jestem czysty.

Lacey zamknęła oczy. To właśnie chciała usłyszeć.

– Wtedy chyba próbowałaś wszystkich dostępnych narkotyków...

– Więcej gadałem, niż ćpałem. A od pięciu lat jestem czysty. Chodzę na spotkania grupy AA, Lace.

Wzruszyła się, słysząc od niego ten skrót swojego imienia, a jeszcze bardziej przejęła ją treść, którą niosły jego słowa. Pamiętała przemianę, jaką przeszedł Tom, jej biologiczny ojciec, dzięki spotkaniom grupy AA. Można było odnieść wrażenie, że w mgnieniu oka stał się innym człowiekiem, jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, lecz tak naprawdę zmiana następowała stopniowo i wymagała ciężkiej pracy. Lacey dobrze o tym wiedziała. To nie były żadne czary.

– Gratuluję, Bobby – ucieszyła się. – Masz pracę?

– Nie, stoję na rogu ulicy i zebrzę o drobne.

Właśnie tak go sobie wyobrażała, więc dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, że to miał być żart.

– Zabawne – powiedziała. – Więc czym się zajmujesz?

– Wróciłem na uczelnię i zmieniłem kierunek. Studiowałem sztuki piękne, ale nie skończyłem, bo wciągnęło mnie grawerowanie kości. I to właśnie teraz robię.

Lacey zmarszczyła czoło, gdy przypomniała sobie kościane ozdoby, które miała okazję oglądać: wielkie żaglowce rzeźbione na szerniałych ze starości zębach kaszalotów.

– I z tego się utrzymujesz? – spytała z niedowierzaniem.

Bobby roześmiał się, słysząc jej ton.

– Owszem – przytaknął. – Nie pławię się w luksusie, ale Kocham to zajęcie. Pracuję na zlecenie. A ty co robisz?

– Witraże – odparła. – I jeszcze na pół etatu w przychodni mojego ojca jako asystentka weterynarza.

– Twoja mama chyba też była witrażystką?

– Była.

– Jaka matka, taka córka, co?

To ją zirytowało.

– Nie całkiem – ucięła.

– Ja też dorabiam – uzupełnił. – Uczę rysunku w szkołach dla dorosłych.

– Masz żonę? – Lacey uświadomiła sobie nagle, że nie wzięła pod uwagę, jakie konsekwencje może mieć ta wiadomość, jeśli Bobby Asher jest z kimś związany.

– Nie – odparł. – Przez kilka lat mieszkałem z partnerką. Jest złotniczką i oprawia w srebro moje grawerunki. Rozstaliśmy się rok temu, ale dalej się przyjaźnimy. A ty?

– Jestem wolna. Nie martwi mnie to, wręcz przeciwnie, ale w takiej sytuacji wychowywać czyjeś dziecko to jeszcze bardziej zniechęcająca perspektywa.

– Na pewno – przyznał Bobby i umilkł. Lacey niemalże słyszała, jak zastanawia się, co teraz powiedzieć. – Posłuchaj, Lace – odezwał się wreszcie. – W domu się nie przelewa, ale jeśli to naprawdę jest moja córka...

– Twoja.

– Jeśli jest moja... – powtórzył – ...chcę pomóc. Mogę ją poznać?

– Najpierw z nią powinnam to uzgodnić. Zastanawiam się, jak byłoby najlepiej. Jeśli będzie chciała cię poznać i jeśli ty naprawdę tego chcesz, zadzwonię do ciebie i postanowimy, co dalej.

– Zgoda – powiedział Bobby.

– Porozmawiam z nią jutro – obiecała Lacey. – O ile będzie w przystępnym nastroju.

– Z tego, co mówiłaś, za sukces można uznać nastrój półprzystępny.  
Lacey parsknęła śmiechem.  
– Słusznie – przyznała. – Dziękuję, że... że tak spokojnie to przyjąłeś.  
Bobby milczał przez chwilę.  
– Masz o mnie fatalne zdanie, co? – zapytał wprost.  
Teraz z kolei ona zamilkła.  
– Nie wiem, co myśleć, Bobby – odparła wreszcie.  
– Jasne.  
– Pogadam z nią i zadzwonię do ciebie – obiecała.  
– W porządku. Aha, Lacey...?  
– Tak?  
– Przepraszam cię, jeśli tamtego lata byłaś przeze mnie nieszczęśliwa.  
Lacey rozłączyła się i ku własnemu zdziwieniu wybuchnęła płaczem.

## Rozdział osiemnasty

Po rozmowie z Lacey Bobby popadł w odrętwienie: siedział, trzymając telefon na kolanach, i odtwarzał w pamięci wszystko, co zostało powiedziane. Wreszcie sięgnął po paczkę marlboro leżącą na szerokim warsztacie, który stał tam, gdzie w założeniu miała być jadalnia. Wytrząsnął jednego papierosa, zapalił i zaciągnął się głęboko, po czym powoli wypuścił dym.

Lacey O'Neill. Pamiętał, jak tamtego lata pozbyła się swoich pięknych, choć niesfornych rudych włosów. Obcięła je przy samej skórze, na centymetr albo dwa, a potem ufarbowała na czarno. A Bobby za każdym razem, gdy patrzył na tę smolistą szczecinę, oczami wyobraźni domalowywał bujne miedziane pukle. Trudno o lepszy dowód na to, że były jej nieodłączną częścią: widział je, nawet gdy ich już nie miała. Powinienem zapytać, jak teraz wygląda, pomyślał. Zapamiętała włosy czy dalej stara się ukryć siebie, kamuflować za pomocą farby i nożyczek?

No i Jessica Dillard. Młodziutka. Filigranowa jasnowłosa uwodzicielka. Jak łatwo można uwieść siedemnastoletniego chłopaka. I chociaż tak naprawdę osobowość Lacey zawsze go interesowała, a jej duże niebieskie oczy i głębokie dołeczki w policzkach podobały mu się bardziej niż zmysłowy, prowokacyjny charakter Jessiki, to jednocześnie odstraszała go tym, że była tak milcząca i wrażliwa. Kochał się z nią raz, o ile można tak nazwać deflorację nastolatki na plaży. Zapamiętał z tego tyle, że ją bolało. Krzyknęła, więc się zatrzymał, ale wtedy usłyszał, żeby nie przestawał. Wiedział, że ona nie czerpie z tego żadnej przyjemności i chce tylko, żeby on skończył, ale on doszedł już do takiego momentu, kiedy nie ma się ochoty na dłuższe dyskusje. Zrobił swoje, a już następnej nocy zabrał się za jej najlepszą przyjaciółkę, która nie bała się świata, nie krzyczała i z lubością oplatała go całym ciałem, a jej długie włosy, rozrzucone na piasku, okalały głowę jasnym pierścieniem. Jessica rzucała się pod nim jak dzikie zwierzę. Gotowa na wszystko. Zawsze z przerwy. Prawie zawsze. Ty cholerny bałwanie, pomyślał Bobby.

Czasem człowiek przypomina sobie, kim był kiedyś, i robi mu się niedobrze na samą myśl. Bobby bardzo się starał odciąć od swojej przeszłości, ale i tak czasem nawiedzały go zmyślenia z dawnych lat, których nie sposób przepędzić. Rozmowa z Lacey do nich należała. I to dziecko, które podobno było jego.

Westchnął ciężko i położył słuchawkę na rogu stołu roboczego, po czym wziął w dłonie fragment ciosu mamuta, nad którym pracował, kiedy zadzwonił telefon. Kość była stara, wygładzona i miała kolor złamanej bieli. Powstawała z niej klamra do paska ozdobiona misternie wrytym, kolorowym portretem trzech ukochanych psów. Miał to być prezent od żony dla męża: piękny, ale też niezwykle czasochłonny i bynajmniej nie tani.

Bobby poczuł jednak, że w tym momencie nie jest w stanie wrócić do pracy. Gdyby się teraz zabrał do rzeźbienia, zepsułby surowiec. Zaciągnął się jeszcze raz i wyjrzał przez okno jadalni, które wychodziło na alejkę biegnącą za jego niedużym domem. Po drugiej stronie alejki stał garaż sąsiada. Sąsiad miał psa, który zawsze ujadał i warczał, kiedy Bobby wychodził wyrzucić śmieci.

Jeszcze przed rokiem marzył o dziecku, pragnął go tak mocno, że co miesiąc, kiedy Claudia dostawała okres, chciał mu się płakać. Blisko trzy lata starali się o dziecko i gdyby się udało, ożeniłby się z nią i rozkręciliby wspólny interes. Ukrywał rozczarowanie, jak tylko mógł, ale ona wiedziała, że bardzo mu zależy na dziecku. Pragnął obdarzyć je miłością. Wychować lepiej, niż jego wychowano. Naprawiłby wszystkie błędy swoich rodziców. Mackenzie. Zabawne imię dla dziewczynki. Aż się uśmiechnął. No dobrze, niech sobie będzie wojownicza, uparta i tak dalej; Lacey nie brakowało negatywnych epitetów, ale tu chodziło o prawdziwe, żywe dziecko, które potrzebuje ojca.

Bobby był jednak absolutnie przekonany, że to dziecko nie jest i nie może być jego.

## Rozdział dziewiętnasty

Mackenzie stała przed wystawą sklepu muzycznego i oglądała okładki płyt kompaktowych. Lacey podeszła do niej. Przed chwilą odniosła do samochodu trzy torby nowych dziewczęcych ciuchów, ale wiedziała, że to jeszcze nie koniec zakupów.

– Chciałabyś dostać kilka płyt? – zapytała.

– A gdzie macie odtwarzacz? – odparła pytaniem Mac-kenzie, nie odrywając wzroku od wystawy.

– W salonie, ale mogłabym ci kupić magnetofon z odtwarzaczem do twojego pokoju. Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że mogłabyś – przytaknęła Mackenzie. – Tutaj?

– Nie. Tutaj wybierz sobie kilka płyt, a potem pojedziemy do Kmarta. Tam będzie taniej.

– Ile tych płyt mogę?

– Cztery. Jak już wybierzesz, wróc po mnie i zapłacimy, dobrze?

– Spoko. – Mackenzie zniknęła w sklepie, a Lacey usiadła na ławce. Była kompletnie wypompowana. Bolały ją nogi, a spojrzawszy na swoje blade, usiane piegami ramiona, zobaczyła sflaczałe mięśnie. Odkąd przywiozła Mackenzie do Kiss River, jeszcze ani razu nie była na siłowni i na razie nie miała pojęcia, kiedy się tam wybierze. Jeszcze przed rokiem najchętniej ćwiczyła po południu albo wieczorem, bo wtedy roilo się tam od młodych singli i bez trudu mogła poznać jakiegoś faceta. Ostatnimi czasy wolała jednak wcześniejszą, poranną porę, gdy na sali były tylko poważnie trenujące osoby i nie musiała walczyć z pokusami. A teraz? Teraz chyba powinna dowiedzieć się, kiedy ćwiczą mamy, i przyłączyć się do nich.

Całe przedpołudnie chodziły z Mackenzie po sklepach. Lacey wszędzie lekką ręką wyjmowała kartę kredytową, ale wiedziała, że to się musi skończyć. Sytuacja jest wyjątkowa, powiedziała sobie. Ubrania i reszta spakowanych rzeczy Mackenzie wciąż jeszcze nie dotarły z Phoenix i dziewczynka potrzebowała trochę nowych ciuchów i różnych drobiazgów, aby mogła poczuć się jak u siebie.

Kwestie finansowe stanowiły pewien problem. Lacey dostała od Noli dwieście dolarów na dzisiejsze zakupy, ale zdawała sobie sprawę, że wkrótce będzie musiała poprosić ją o więcej i potrzebny jest regularny zastrzyk gotówki, by utrzymać poziom życia, do jakiego przywykła Mackenzie. Mimo to na razie nie mogła z nią o tym porozmawiać. Co prawda Nola podchodziła do stałej opieki nad wnuczką z mieszanymi uczuciami, ale wciąż nie porzuciła myśli o obejściu ostatniej woli Jessiki, Lacey uznała więc, że na razie wstrzyma się z tematem comiesięcznych wpłat na Mackenzie. Oczywiście był jeszcze Bobby, ale nawet gdyby chciał pomóc, z tego, co mówił, z zasobnością portfela było u niego raczej marnie.

Mieszkanie w domu latarnika Lacey uważała za prawdziwy dar niebios, bo nie musiała płacić ani grosza czynszu, a tylko pomagać przy pracach renowacyjnych. To jednak miało się skończyć już w przyszłym roku, a wtedy trzeba będzie coś wynająć i wrócić do prawdziwego świata. Zarabiała tyle, że wystarczało na jej własne skromne potrzeby, ale przecież dziecko wymaga znacznie więcej. Mackenzie dostała po mamie kilka tysięcy dolarów, zdeponowanych na jej koncie oszczędnościowym, a po sprzedaży ich mieszkania miała otrzymać jeszcze około dziesięciu tysięcy, ale te pieniądze należało wpłacić do banku, jako fundusz na studia.

Przed południem dużo czasu spędziły na wyprzedaży w GAP-ie. Dziewczyna kolejno przymierzała bluzki odsłaniające brzuch i każdą chciała od razu kupować.

– Muszę sobie przekłuć pępek – oznajmiła, jak gdyby to było tak samo oczywiste, że musi oddychać i pić wodę. Lacey o mały włos nie zdradziła jej, że sama ma przekłuty pępek. Bardzo chciała udowodnić Mackenzie, że nie jest drętwą starą panną, ale to chyba był słaby moment na taką demonstrację.

Po wyjściu z GAP-a obeszyły prawie wszystkie sklepy w galerii handlowej. Widać było jak na



dłoni, ile sprzecznych potrzeb i zachcianek ma człowiek stojący na granicy wieku dojrzewania. Kiedy Mackenzie poprosiła o przytulankę, Lacey pozwoliła jej kupić do pokoju misia i pieska. Potem zażyczyła sobie małego szklanego konika. Potem gier na swój komputer, a na koniec – lakieru do paznokci i naszyjników. Lacey nie odmówiła jej prawie niczego, jak gdyby prezenty mogły wynagrodzić dziecku stratę matki.

W końcu Mackenzie wyjrzała zza drzwi sklepu płytowego.

– Już – oznajmiła, a Lacey weszła do środka i znów wyjęła kartę kredytową.

– Chodźmy coś zjeść, a po drodze do domu wpadniemy do Kmart – zaproponowała, kiedy szły już do samochodu. Miała obmyślany specjalny plan na to przedpołudnie: najpierw zakupy, a przy obiedzie rozmowa o Bobbym. Nie potrafiła przewidzieć, jak dziewczyna zareaguje na wiadomość, że Lacey skontaktowała się z jej ojcem.

Ustalenie, dokąd pojedą na obiad, zajęło im dobrą chwilę, ale wreszcie Mackenzie zgodziła się na Taco Bell.

– W Phoenix koźmi by mnie tu nie zaciągnęli – zaznaczyła, kiedy stanęły przed restauracją. – Ale skoro nigdzie indziej nie ma u was meksykańskiej kuchni, zdaje się, że to musi wystarczyć.

– Może kiedyś przyrządzimy sobie w domu coś po meksykańsku – zaproponowała Lacey, ale Mackenzie już wysiadła i nie mogła tego usłyszeć.

Kupiły jedzenie i zajęły stolik pod oknem od ulicy. Natychmiast, gdy postawiły tace i usiadły, Mackenzie wyjęła swój telefon.

– Nie – zaproponowała Lacey, chyba po raz pierwszy tego dnia, i potrząsnęła głową, wskazując telefon. – Odłóż to, proszę. Chciałabym z tobą porozmawiać.

– Nie chce mi się rozmawiać – odparła dziewczyna. – Wolę pogadać ze znajomymi.

– Nie teraz – ucięła Lacey. – Musimy omówić jedną ważną sprawę.

– Jaką? – Mackenzie położyła telefon na kolanach i zaczęła rozwijać swoje taco.

– Skontaktowałam się z twoim ojcem.

– Co?! – Dziewczynka zastygła, ściskając w palcach szeleszczący papier. Oczy miała wielkie jak spodki.

Lacey przytaknęła.

– Zadzwoniłam do niego. Chciałby cię poznać.

– Nigdy w życiu. – Dziewczyna gwałtownie potrząsnęła głową.

– Dlaczego?

– Bo to palant.

Ciekawe, pomyślała Lacey, czy Jessica powiedziała jej coś o Bobbym?

– Czemu tak sądzisz? – zapytała.

Mackenzie uniosła taco do ust, ale odłożyła je, nie biorąc ani kęsa.

– Mama mówiła, że w ogóle się mną nie interesował – odparła.

– On nie miał o tobie pojęcia. Jessica nic mu nie powiedziała.

– Powiedziała, a on to olał.

– Nie, Mackenzie, o niczym nie wiedział. Przykro mi, jeśli usłyszałaś od niej coś innego.

Jessica... – Raczej nie należało mówić dziecku, że własna matka je oszukała. – Jessica zrobiła to dla twojego dobra. Bała się, że może go to nie obchodzić.

– Powiedziała, że to był frajer i właściwie lepiej, że się mną nie interesuje.

– Wiesz co? – Lacey pokiwała głową. – Rzeczywiście, kiedy twoja mama go znała, był frajerem.

I ja też taka byłam.

Mackenzie przyjęła to jako oczywistość, więc Lacey mówiła dalej, żeby nie usłyszeć gwarantowanej w tej sytuacji riposty: „Nadal jesteś”.

– I twoja mama też – dodała.

– Nie mów tak. – W oczach dziewczyny błysnął ogień.

– Wszyscy byliśmy młodzi i głupi, dopiero się uczyliśmy, jak sobie radzić w życiu – wyjaśniła Lacey. – Podobnie jak ty teraz. W końcu każde z nas dorosło i się ogarnęło.

– Ja potrafię sobie radzić, dziękuję bardzo – odparła Mackenzie. – A moja matka nigdy nie była frajerką.

– Więc kto to jest frajer według ciebie?

– Ktoś, kto nic w życiu nie ma.

– A konkretnie?

– No wiesz, nic mu nie wychodzi. Pije, ćpa, pakuje się w głupie sytuacje.

Lacey wiedziała, że może przeholować, ale poszła na całość.

– I my właśnie się pakowaliśmy: i ja, i twoja mama, i Bobby. Błędy młodości.

Mackenzie zmarszczyła czoło.

– Moja matka nigdy nie brała narkotyków.

– Możliwe – skłamała Lacey. – Ale podjęła wiele głupich decyzji. Ja też. I wszyscy nasi znajomi.

– Bobby? Tak ma na imię?

Lacey skinęła głową.

– Debilnie brzmi.

– Posłuchaj. – Lacey spojrzała na swoje nietknięte burrito. – To, co o nim myślisz, w sumie jest bez znaczenia. Nie będziesz miała innego ojca, więc to chyba fajnie, że on chce cię poznać.

– Gdzie on mieszka?

– W Wirginii, w Richmond. Około czterech godzin jazdy samochodem. Może nas odwiedzić. Nie musisz tam jechać.

Mackenzie zaczęła bawić się jedzeniem. Podnosiła kawałeczki sera, które wypadły z jej taco, i wciskała je z powrotem do środka. Przy stoliku zapadła cisza.

– Nie chcę, żeby przyjeżdżał – bąknęła wreszcie.

– Decyzja należy do ciebie – powiedziała Lacey. – Nie ma przymusu.

– I dobrze. – Dziewczyna zawinęła jedzenie z powrotem w papier i odłożyła na tacę. – Mogę już zadzwonić do znajomych?

Tym razem Lacey ustąpiła. Wykończyła ją ta rozmowa, chociaż tak krótka. Bobby zapewne odczuje ulgę i ucieszy się, że Mackenzie nie chce go poznać. Może kiedyś się poznają, ale jeszcze nie teraz. Nastawiono ją przeciwko niemu i być może tak było lepiej, lecz mimo to Lacey poczuła rozczarowanie: nie dlatego, że liczyła na finansowe czy też moralne wsparcie Bobby'ego, ale dlatego, że straciła szansę, aby go znowu zobaczyć.

Z Taco Bell pojechały do Kmart, gdzie Mackenzie wybrała sobie magnetofon. Potem Lacey skierowała się jeszcze do alejki z artykułami higienicznymi, a gdy okazało się, że jej podopieczna gdzieś zniknęła, ruszyła na poszukiwanie, pchając wózek wyładowany kartonowym pudłem z magnetofonem, papierowymi ręcznikami i papierem toaletowym. Dotarłszy do działu z kosmetykami, dostrzegła Mackenzie w samą porę, aby zauważyć, jak dziewczyna chowa coś do kieszeni szortów. Cholera, zakłęła w myślach i ruszyła w jej stronę, a Mackenzie, słysząc wózek, poderwała głowę i uśmiechnęła się sztucznie, aby ukryć zaskoczenie.

– Możemy już iść – powiedziała, odwracając się od regału i ruszając przed siebie, byle dalej. Lacey zatrzymała wózek w miejscu, gdzie przed chwilą stała.

– Mackenzie, odłóż to z powrotem – nakazała.

– Co? – Dziewczyna obejrzała się na nią. Wcielenie niewinności. Jessica w jej wieku już dawno miała tę sztuczkę opanowaną do perfekcji.

– Coś, co przed chwilą schowałaś do kieszeni – wyjaśniła Lacey. – Odłóż to na miejsce.

– Śledziłaś mnie? – prychnęła Mackenzie, udając oburzenie.

– Trudno było tego nie zauważyć. Słaba z ciebie złodziejka.

Dziewczyna skrzywiła się ze wstrętem, mruknęła coś pod nosem i wyciągnawszy z kieszeni plastikowe pudełeczko, odwiesiła je z powrotem na haczyk. Lacey rzuciła okiem na przedmiot kradzieży i nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Sztuczne rzęsy? – zapytała.

– Daj mi spokój. – Mackenzie odwróciła się do niej plecami. – Możemy już iść? Zaraz się zaczyna

### *Żar młodości.*

Wsiadły do samochodu i ruszyły do domu. Lacey prowadziła w milczeniu, a Mackenzie siedziała z tyłu, rozmawiając ściszym głosem przez telefon. Co jakiś czas dobiegał stamtąd jej chichot; śmiała się tylko podczas rozmów ze znajomymi i Lacey myślała wtedy z irytacją, że to z niej się nabijają. No proszę, z dnia na dzień stała się pośmiewiskiem dzieciaków.

Parkując samochód pod domem, zauważyła Claya, stał przy siatce otaczającej wybieg dla psów i tłumaczył coś klientce, która przywiozła ze sobą parę czworonogów. Zwierzaki stały u kolan swojej pani.

Mackenzie zamknęła telefon i usiadła prosto.

– Goldeny – powiedziała bardziej do siebie niż do Lacey. – On je będzie trenował do szukania ludzi?

Lacey skinęła głową.

– Mogę zostać?

Mackenzie chciała zrezygnować z *Żaru młodości*, żeby popatrzeć, jak Clay pracuje z psami? Lacey zerknęła w lusterko: oczy dziecka lśniły szczerą ekscytacją. Cieszyła się, że Mackenzie interesuje się czymś oprócz ciuchów, makijażu i muzyki, lecz to akurat był kiepski pomysł.

Odwróciła się za kierownicą i spojrzała na dziewczynę.

– Klientka najprawdopodobniej płaci Clayowi za zajęcia od godziny – wyjaśniła. – Więc jeśli teraz tam pójdziesz, ona na tym straci, bo psy skupią się na tobie i odmówią współpracy. Ale porozmawiaj wieczorem z Clayem, może pozwoli ci czasem uczestniczyć w treningach, skoro tak lubisz psy.

Mackenzie nie odpowiedziała. Wysiadła z samochodu i pomogła Lacey wyjąć zakupy z bagażnika, a potem ruszyła obciążona w stronę domu, ale wciąż nie spuszczała wzroku z psów. Lacey szła krok za nią, niosąc torby w obu dłoniach.

W połowie drogi pomiędzy parkingiem a domem dziewczynka przystanęła i odwróciła się do niej.

– Mogę się z nim spotkać – powiedziała. – Z tym Bobbym. Jeśli chce mu się jechać aż tutaj, to w sumie czemu nie.

## Rozdział dwudziesty

Rick już trzeci raz z rzędu zbił wszystkie dziesięć kręgli pierwszą kulą. Lacey, jak przypuszczał, prawdopodobnie zdążyła się już domyślić, że tylko udawał amatora. Na torze obok grali w trójkę Mackenzie, Jack i Maggie. Każde z nich było w kręgielni pierwszy raz w życiu. Wprawdzie nie odzywali się do siebie, ale też nie milczeli – po celnych rzutach słyhać było okrzyki radości, a po chybionych – jęki zawodu. Mackenzie z początku trochę się dąsała, ale Rick miał wrażenie, że to tylko na pokaz, aby przypadkiem nikt nie pomyślał, że gra sprawia jej przyjemność. Natomiast Jack w okrągłych okularach jak Harry Potter i Maggie, roztrajkotana i pełna niespożytej energii, to były świetne dzieciaki. Z drugiej strony, rzecz jasna, żadne z nich dopiero co nie straciło matki.

Mackenzie trzeba było praktycznie siłą wyciągnąć z domu, tak powiedziała Lacey. Dziewczyna jeszcze nigdy nie widziała Ricka, a jego propozycję, aby wybrać się razem na kręgle, przyjęła, ogłędnie mówiąc, z rezerwą.

– Kręgle. Kto gra w kręgle? – burczała pod nosem, kiedy jej pokazywał, jak wypuścić kulę z dłoni. – Dobrze, że nikogo tu nie znam, bo jakby mnie ktoś teraz zobaczył...

Rick wiedział, że Lacey się denerwuje, bo sobota była deszczowa, a ona musiała zorganizować Mackenzie cały dzień. Był z siebie zadowolony, że wymyślił wyjście na kręgle. Podczas gry dzieci miały szansę lepiej się poznać, a on w takim miejscu mógł porozmawiać z Lacey bez obawy, że któreś go usłyszy.

– Coś mi mówi, że to dla ciebie nie pierwszyna – zauważyła Lacey, czekając przy podajniku na kulę, którą rzuciła przed chwilą. Obejrzała się na dzieci, a on podążył za jej wzrokiem: Jack, gotowy do rzutu, stał na skraju toru i wpatrywał się w trójką kręgli, trzymając kulę na wysokości piersi.

– Gram w lidze – przyznał się Rick. W jego lidze byli głównie ludzie pracujący fizycznie; w towarzystwie swoich kolegów prawników nigdy nie czuł się tak swobodnie. Gry w kręgle nauczył się od ojca, praktycznie wychował się w kręgielni, wśród stukotu toczących się kul, niesionego echem po sali pełnej papierosowego dymu, hot dogów i mężczyzn. Tutaj roilo się od dzieci i pachniało pizzą – o dymie, przynajmniej tego popołudnia, nie było mowy – a mimo to Rick czuł się dobrze, tak jak kiedyś.

– Jak na nowicjuskę nieźle ci idzie – powiedział, gdy Lacey puściła swoją kulę po torze. I to była szczerza prawda. Poza tym lubił na nią patrzeć. Luźne granatowe szorty odsłaniały twarde mięśnie na łydkach, długie włosy, zmoczone deszczem, uniosły się i zaczęły kręcić, a gdy brała rozpęd i zamach do rzutu kulą, jej ruchy były pełne gracji.

– Wiesz co? – zagadnęła, kiedy wstawał, bo przyszła jego kolej. – Wczoraj wieczorem znów zadzwoniłam do ojca Mackenzie. W tym tygodniu przyjedzie do Outer Banks i zostanie na jakiś czas.

– Cieszysz się z tego?

– Moim zdaniem to właściwy krok.

– Też tak sędzę. – Rick milczał przez chwilę, koncentrując wzrok na końcu toru, gdzie automat ustawił już kręgle. Wreszcie postąpił do przodu, wyrzucił za siebie rękę trzymającą kulę i opuścił ją precyzyjnie kontrolowanym ruchem. Kula pomknęła po torze, ale nieco zbyt ostro odbiła w prawo, omijając trzy kręgle.

– Mam tylko nadzieję, że to jest porządny facet, bo inaczej popełniłam wielki błąd – powiedziała Lacey.

Czekając, aż kula wróci, Rick ochłodził dłoń nad wentylatorem.

– A jakie wrażenie robił przez telefon? – zapytał.

– W porządku – przyznała z uśmiechem. – Jakby wiele w życiu przeszedł i wyciągnął z tego wnioski.

– Chyba już lepiej być nie może.

– Chyba nie, orędowniku przebaczenia.

Rick parsknął śmiechem.

– Właśnie, à propos, jak ci idzie pisanie oświadczenia do sądu?

Jęknęła niechętnie.

– Słabo. Nie umiem pisać.

– Dasz sobie radę.

– Adwokatka doradzała nam unikanie nadmiernych emocji – powiedziała Lacey. – Ale to przecież była moja matka. Kiedy zaczynam sobie przypominać tamten wieczór, mam ochotę wbić długopis w kartkę.

– Hm. – Rick wsunął palce w otwory do chwytania kuli i uniósł ją do piersi. – Nie wiem, czy to dobra rada, żebyś pisała bez emocji. Moim zdaniem właśnie powinnaś je zaakcentować. Wyrzucić z siebie cały ból i wściekłość.

– Adwokatka twierdzi co innego, a w końcu to ona oceni moje oświadczenie. – Lacey wyciągnęła nogi przed siebie, przyglądając się paskudnym butom do kręgli. – Coś mi się zdaje, że to na nic. Podobno Pointer jest wzorowym więźniem, a na wolności zamierza zostać duchownym.

Rick wbił wzrok w kręgle, wziął rozpęd i puścił kulę po torze. Przewrócił tylko jeden z trzech. Nie mógł się skupić.

– Czy on żałuje tego, co zrobił? – zapytał, oglądając się na Lacey.

– Mówi, że tak.

Młody prawnik znów ochłodził dłoń nad wentylatorem.

– Mam pewien dość radykalny pomysł.

– Jaki? – Wstała, aby się z nim zmienić.

– A gdybyś go odwiedziła? – zaproponował. – Spotkaj się z nim osobiście. Wysłuchaj go. Zapytaj o to, co chciałabyś wiedzieć. Wtedy sama ocenisz, kim się stał po tych latach.

Jej twarz stężała.

– Szczerze mówiąc, Rick, niedobrze mi się robi na samą myśl. – Lacey wyjęła kulę z podajnika. – Nie chcę go oglądać na oczy już nigdy w życiu. Widziałam go raz – tamtego wieczoru, kiedy zabił moją matkę – i uwierz mi, tyle wystarczy.

Odwróciła się w stronę toru i z całej siły miotnęła kulą, która z hukiem wleciała prosto w boczną rynnę. Lacey jęknęła, po czym stanęła przed Rickiem, opierając dłonie na biodrach.

– Wiesz co? – powiedziała. – Dobrze, że nie robiłeś specjalizacji z prawa karnego. Za miękki jesteś.

– Ty też nie jesteś taka twarda, Lacey – odparł. – Starasz się to ukrywać, ale kiepsko ci wychodzi. Lacey podeszła, usiadła obok niego na ławce.

– Nie chcę już o tym rozmawiać – oznajmiła. – Mam i tak dość na głowie. Muszę na przykład znaleźć kwatery dla Bobby'ego.

Rick machnął dłonią w kierunku toru.

– Został ci jeszcze jeden rzut.

– Zaraz. – Znowu uniosła nogi, przyglądając się wypożyczonym butom. – Latem w Outer Banks nie ma tanich pokoi do wynajęcia.

– Może zatrzyma się u was, w domu latarnika? – podsunął Rick.

Lacey zmarszczyła nos.

– Za blisko. A jeśli to wciąż taki sam żul jak kiedyś? I Mackenzie gotowa pomyśleć, że ją zmuszam do kontaktu z nim.

– Więc może jej babcia przyjmie go do siebie?

– Nie ma mowy. – Skwitowała tę propozycję śmiechem. – Wściekła się, że w ogóle do niego zadzwoniłam. Chyba poproszę Toma. Mojego biologicznego ojca. On też jest w AA, a przy tym to spokojny, tolerancyjny człowiek.

Wstała z ławki i ruszyła w kierunku podajnika.

A Rick pomyślał, że przecież w jego domku jest jeden wolny pokój.

– Niech mieszka u mnie – oznajmił.

– Co? – Lacey odwróciła się na pięcie.

– Mam wolny pokój. Stoi pusty. Nie musiałby mi nawet płacić.

Zawahała się.

– Nie mogę za niego zaręczyć. W sumie w ogóle go nie znam.

Wzruszył ramionami.

– Zaryzykuję.

– A poza tym nie wiem, jak długo zostanie. A jeśli będzie ci przeszkadzał?

– Mnie jest potrzebny tylko ten kącik w salonie, gdzie stoi komputer. Do tamtego pokoju nawet nie zajrzałem, odkąd tam mieszkam. Czterogwiazdkowy hotel to nie jest, ale...

– Boże, ale z ciebie miły człowiek. – Uśmiechnęła się do niego, pokazując dołeczki w policzkach.

Odpowiedział uśmiechem i kolejnym wzruszeniem ramionami.

– Chciałbym ci jakoś pomóc – skwitował.

– Dziękuję. Byłoby fantastycznie. – Z tymi słowami Lacey odwróciła się z powrotem twarzą do toru i wyprężyła na bacność, uważnym wzrokiem mierząc ustawione kręgle. Rick poczuł wyraźnie, jak serce łomocze mu głucho, objając się o żebra.

Tak, chciał jej pomóc. Odwdzińczyć się z góry. Bo Lacey miała pomóc jemu, chociaż możliwe, że nawet się o tym nie dowie.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Lacey usłyszała samochód, jeszcze zanim się pokazał. Siedziała razem z Rickiem na przestronnej werandzie domu latarnika, gdy nagle przez poszeptywania oceanu przebił się ostry chrzęst żwiru i zachrypnięty warkot silnika. Odwróciwszy wzrok w stronę lasu, dostrzegła pomiędzy drzewami jasnoniebieską plamę.

– No, nie wierzę. ... – westchnęła i wstała.

– Co? – Rick spojrział tam, gdzie ona, w stronę lasu.

– Wciąż jeździ tym samym busem – wyjaśniła. – To już w dziewięćdziesiątym pierwszym roku był zabytek.

Na parking wtoczył się zdezelowany volkswagen bus, jasnoniebieski z białym wykończeniem. Jego widok wywołał u Lacey żywy, chociaż prawie już zapomniany oddźwięk; poczuła go w głębi trzewi. W tamte wakacje, kiedy miała czternaście lat, ten bus był jej marzeniem i wielką tęsknotą. Wypatrywała jego charakterystycznej sylwetki i barwy w długiej kolumnie aut ciągnących na plażę. To był dla niej znak, że szykuje się coś emocjonującego. Zakazanego i niebezpiecznego.

Rick też wstał, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Ostatni raz widziałem takiego busa w dzieciństwie – powiedział.

– Za chwilę wrócę. – Lacey zeszła po schodkach, ruszając w kierunku parkingu. Gdy Bobby wysiadł ze swojego auta, musiała bardzo się starać, aby nie pokazać po sobie zaskoczenia. Chyba nie poznałaby go na ulicy. Był całkiem łysy! Miał na sobie stare džinsy i bladobłękitny T-shirt; spod rękawa wystawał kawałek tatuażu. Jako nastolatek nie miał szerokich, muskularnych ramion, ale niebieskie oczy i krzywy uśmiech, które tak często przewijały się w jej fantazjach, nie zmieniły się ani trochę. Jeśli do tej pory żywiła jeszcze jakieś wątpliwości w tym temacie, to teraz było już jasne: przyjazd Bobby'ego Ashera miał być ostateczną próbą jej silnej woli.

– Lacey! – Bobby wyciągnął ręce i zamknął ją w niedźwiedzim uścisku. Pachniał mydłem i tytoniem. Potem cofnął się o pół kroku i wciąż trzymając dłonie na jej ramionach, zmierzył ją wzrokiem. – No, zapuściłaś z powrotem włosy. W tamtych czerwono-czarnych ciapkach wyglądałaś mniej korzystnie.

Lacey zaśmiała się, usiłując z wdziękiem wysunąć się z jego objęć.

– Miło cię widzieć – powiedziała. – Nie do wiary, że wciąż jeździsz tym ogórkiem.

Było jej trudno spojrzeć mu w oczy. Może się bała, że przejrzy ją na wylot i zobaczy, jak cała się rozplywa od środka.

Bobby przesunął dłonią po swojej gładkiej czaszce.

– A o tym co sądzisz? – zapytał.

– Świetnie wyglądasz – odparła i to wcale nie było kłamstwo.

– Obaj moi starsi bracia mają tak samo, to u nas dziedziczne. Wiedziałem, co mnie czeka – wyjaśnił. – Ogoliłem się na zero, zanim całkiem wyłysiałem. Dzięki temu mogłem sobie wmówić, że jakoś nad tym panuję.

Wstydział się tego, co było na swój sposób rozczulające.

– No dobrze. – Skinęła ręką, żeby poszedł za nią. – Chodź do domu.

Bobby zrównał się z nią w dwóch krokach.

– Ekstramiejscówka – powiedział.

– Wiem – przytaknęła. – Szczęście mnie kopnęło.

Zastanawiała się, jak wygląda w jego oczach, ale tak naprawdę. Rano starannie dobierała garderobę i chociaż była wręcz zła na siebie, że przejmuje się tym, co on pomyśli, wytrwale szukała właściwych proporcji pomiędzy konserwatywną młodą kobietą, za którą chciała obecnie uchodzić, a małą flirtującą z dawnych czasów. W końcu zdecydowała się na rybaczki w niebieskie paski i białą koszulę bez rękawów; spojrzawszy w lustro, uznała, że udało jej się osiągnąć zamierzony efekt. Strój był

mało seksowny, ale też nie purytański.

Gdy zbliżyli się do domu, Bobby uniósł rękę i osłaniając dłonią oczy, wybiegł wzrokiem w kierunku werandy.

– To twój brat? – zapytał.

– Nie, znajomy. – Ciekawe, czego się domyślił, gdy tak przedstawiła Ricka. – Poznałeś kiedyś mojego brata?

– Nie, ale pamiętam, że był. A gdzie Mackenzie?

– Na górze, w swoim pokoju. Denerwuje się przed spotkaniem z tobą. – Lacey zaśmiała się z własnych słów. – Nie, nie zwierzyła mi się, nic z tych rzeczy, ale kiedy zaproponowałam, żeby dołączyła tu do nas, odmówiła.

– I wcale jej się nie dziwię – przyznał Bobby. – To musi być dla niej trudne.

Gdy wchodzili po schodkach na werandę, Lacey przedstawiła go Rickowi.

– Rick zgodził się, żebyś przez czas pobytu w tych stronach zamieszkał u niego, w Duck – powiedziała, mając nadzieję, że dobroczyńca nie żałuje swojej wspaniałomyślności, zobaczywszy gościa we własnej osobie.

Panowie podali sobie dłonie, a wyglądało to niemalże jak spotkanie dwóch odrębnych gatunków. U Ricka wszystko było absolutnie bez zarzutu, od gęstej czarnej czupryny do lśniącego czystością bmw, obok którego zatrzymał się leciwy bus z fabryki Volkswagena. Bobby w żadnym razie nie był brudny, nikt nie nazwałby go nawet zaniedbanym, ale rzucał się w oczy u niego pewien brak ogłady, którego nie można z siebie zmyć wodą ani mydłem.

– To bardzo miłe z twojej strony – powiedział do Ricka. – Chętnie bym ci zapłacił przynajmniej za...

– Nie. – Rick potrząsnął głową. – Mówię poważnie. To jest tania kwatery, bez żadnych luksusów, ale myślę, że będzie ci tam wygodnie.

– Siadaj. – Lacey wskazała Bobby'emu fotele na werandzie. – Przyrowadzę Mackenzie.

Posłuchał, ale Rick stał dalej, oparty łokciem o balustradę.

– Wyjaśnię Bobowi, jak do mnie trafić, i będę leciał – zwrócił się do Lacey, a ona podeszła i pocałowała go w policzek, zadowolona, że jak zwykle wykazał się taktem i domyślił się, że jego obecność byłaby dla Mackenzie tylko dodatkową komplikacją.

– Dzięki za pomoc – powiedziała.

Poszła na piętro, ale pokój Mackenzie, jak się okazało, był pusty. Jej rzeczy z Phoenix wciąż jeszcze nie dotarły, więc nie miała z czego zrobić bałaganu, a mimo to jakimś sposobem jej się udało. Nowe ubrania leżały rzucone na łóżko i krzesło, razem z płytami kompaktowymi. Tylko przytulanki, piesek i miś, sprawiały wrażenie, że są na swoim miejscu, bo siedziały równo na poduszce.

– Mackenzie? – zawołała Lacey, cofając się na korytarz. Sprawdziła w łazience i w innych pokojach, a następnie obeszła wszystkie pomieszczenia jeszcze raz, zajrzała do szaf i pod łóżka. Przeszukawszy całe piętro, wróciła na dół i zaczęła otwierać drzwi do pozostałych pokojów, cały czas wołając Mackenzie po imieniu.

W końcu stanęła z powrotem na werandzie, a drzwi z siatki zamknęły się za nią z trzaskiem.

– Nie mogę jej znaleźć – powiedziała Rickowi i Bobby'emu, starając się ukryć niepokój. – W domu jej nie ma.

Rozejrzała się po otwartym, piaszczystym terenie otaczającym dom latarnika, a potem skierowała wzrok w stronę lasu. Jeśli dziewczyna mogła gdzieś się schować, to tylko tam.

– Mackenzie! – zawołała w tamtym kierunku, przyłożywszy dłonie do ust. Odpowiedziała jej cisza, przerywana tylko stłumionym szumem fal i niemilknącym ani na chwilę brzęczeniem cykad.

– Myślisz, że się schowała? – zapytał Rick.

– Na pewno – przytaknęła, spoglądając na Bobby'ego. – Nie sądziłam, że aż tak bardzo się denerwuje spotkaniem z tobą.

– Mogła uciec z domu? – upewnił się Bobby.

Lacey wzruszyła ramionami.



– Z tym dzieckiem wszystko jest możliwe, ale dokąd by miała uciec? Stąd jest wszędzie daleko, a ona nie ma samochodu.

– Rozdzielmy się i poszukajmy jej – zaproponował Rick.

– Dobrze – zgodziła się. – Obejdę dom jeszcze raz. Może jest na strychu.

Otworzyła drzwi z siatki i weszła do środka. W salonie zatrzymała się na chwilę, usiłując zgadnąć, gdzie mogła się podziać Mackenzie. Serce łomotało jej głucho, a myśli goniły szaleńczo jedna drugą. Uciekła autostopem. Popelniła samobójstwo. Nagle Lacey przypomniała sobie, że jak ostatnia kretynka zostawiła rano torebkę na stole w kuchni. Mackenzie mogła zabrać jej całą gotówkę, wszystkie karty kredytowe i w tej chwili być już w drodze do Phoenix. Poczula się tak, jakby ktoś powierzył jej swój największy skarb, bezcenne klejnoty, a ona, nie zdając sobie nawet sprawy z ich wartości, przez zwykłą niezdarność wypuściła je z ręki.

Poszła do kuchni, zajrzała do torebki. Portfel był w środku i, o ile dobrze pamiętała, nie brakowało w nim ani jednego dolara, a obie karty kredytowe tkwiły na swoim miejscu. Mogła zatem skreślić teorię ucieczki do Phoenix.

Wróciła do salonu, weszła z powrotem na piętro i skierowała się do drzwi wiodących na strych.

## Rozdział dwudziesty drugi

Bobby patrzył za Rickiem, który przeciął piaszczyste podwórze i skierował się w stronę lasu. Przez chwilę przyglądał się jego spodniom marki Dockers i równie markowym butom Rockport, a potem wsunął dłonie do kieszeni swoich dzinsów i pomyślał o Mackenzie, starając się postawić na jej miejscu. Biedny dzieciak. Nietrudno było wyobrazić sobie, co teraz przeżywa. Nagle straciła matkę. Ojca nigdy nie poznała i nie słyszała o nim niczego dobrego. Los rzucił ją w obce, odludne miejsce, do Kiss River, gdzie znalazła się pod opieką praktycznie nieznanym kobiety. On sam w wieku jedenastu lat potrafił sobie radzić lepiej, bo już wtedy dobrze wiedział, jak działa marihuana i piwo. Odkrył, że jeśli człowiek porządnie się znieczuli, może znieść prawie wszystko. Bracia dali mu nieźle popalić. Przed pięcioma laty, kiedy w końcu zaczął żyć w trzeźwości, musiał się nauczyć, jak funkcjonować bez pomocy tych otępiaczy. Opanować wszystkie umiejętności, których nie nabył we właściwym czasie, czyli jako nastolatek.

Mackenzie powinna rozwijać takie umiejętności właśnie teraz. To jedno Bobby chciał dla niej zrobić: uchronić ją przed zamykaniem oczu na życiowe problemy. To właśnie mógł jej dać, czy była jego córką, czy nie.

No dobrze, pomyślał, gdzie ja bym się schował, gdybym był jedenastoletnią dziewczyną? Może na plaży? Z tą myślą Bobby natychmiast zwrócił wzrok na latarnię morską i po raz pierwszy rzuciło mu się w oczy, że połowa wieży zniknęła. Zapomniał, co się tutaj stało. Było coś pięknego w tym zębatym, pokruszonym murze odbijającym blask popołudniowego słońca. Poszedł w tamtą stronę, ale szybko się okazało, że Mackenzie nie mogła uciec na plażę w Kiss River, bo woda sięgała aż podstawy latarni. Bobby zrzucił sandały, podwinął nogawki do połowy łydki, najwyżej, jak się dało, i zaczął brodzić, kierując się do drzwi wieży. Przypomniał sobie, że przed dwunastu laty była tutaj plaża z prawdziwego zdarzenia, splachetek białego piasku, odcięty od świata. Doskonałe miejsce na dragi albo seks.

Do drzwi prowadziły trzy schodki, a za progiem otworzyła się sala o planie ośmiokąta. Panował tam chłód.

– Mackenzie? – zawołał Bobby, zadzierając głowę i wodząc wzrokiem po zwięzającym się ku górze kręgu ceglano-muru. Echo powtórzyło jego głos, a skądś dobiegły świergoty i trzepot ptasich skrzydeł. Wysoko ponad nim jaśniały płaty błękitnego nieba.

– Mackenzie – powtórzył. – Jeśli tutaj jesteś, odezwij się, proszę. Martwimy się o ciebie.

– Nie mogę się ruszyć. – Głos był cichy, ale słyszalny.

Bobby wszedł na schody.

– Dlaczego nie możesz się ruszyć? – zapytał, wchodząc na górę. Wyobrażał sobie różne rzeczy: stopa utknęła jej pomiędzy metalowymi stopniami. Przewróciła się i złamała kostkę.

Odpowiedź przyszła dopiero po chwili:

– Po prostu nie mogę.

– Już do ciebie idę – powiedział Bobby. – Jak wysoko doszłaś?

– Nie jestem w stanie o tym myśleć.

Znalazł ją na trzecim podejściu od dołu. Siedziała na podłodze, oparta plecami o cegły, a chude nogi miała podciągnięte pod brodę i oplatała je ramionami. Bobby zatrzymał się na ostatnim stopniu i spojrzął na nią.

– Dobrze się czujesz? Coś cię boli?

– Spanikowałam. Strasznie tutaj wysoko. Nie mogę iść wyżej i nie mogę nawet zejść. Jakby mnie sparaliżowało.

– Aha. – Pokiwał głową ze współczuciem i oparł się o ceglany mur. – Też mnie to kiedyś spotkało, jeden raz. Na skałkach. Wiesz, o co chodzi: wspinałem się na pionową ścianę. Kiedy byłem już w połowie, nagle poczułem, że nie jestem w stanie się poruszyć. Musieli mnie ratować.

Cała ta opowieść była wyssana z palca. Nigdy nie uprawiał wspinaczki skałkowej, ale wydawało

mu się, że w takim momencie może skłamać.

– Pan jest moim ojcem? – zapytała Mackenzie.

Nie spodziewał się tego pytania tak szybko, zdawał sobie jednak sprawę, że w tym temacie nie ma już mowy o kłamstwach. Odetchnął głęboko, podszedł bliżej i też usiadł pod ścianą na podłodze, metr z kawałkiem od dziewczyny. Nie chciał jej przestraszyć.

– Mówiąc absolutnie szczerze, jak na spowiedzi, to... nie wiem – odrzekł. Musiał starannie dobierać słowa, wiedząc, że jego rozumowanie dla niej będzie w najlepszym razie mętne. – Ale twoja matka uważała, że tak, i to mi wystarczy.

Mackenzie milczała, więc zaczął się zastanawiać, czy ta jego niepewność ją rozczarowała, czy może ucieszyła.

– A jeśli mnie pan nie polubi? – zapytała. – Bo to możliwe.

– Nie ma takiego dzieciaka, który zawsze da się lubić – odpowiedział. – W każdym razie normalnego dzieciaka.

Przyjrzał się jej uważnie. Śliczne dziecko. Cała Jessica. Do niego natomiast nie była podobna ani trochę. Nic a nic. Wyczuł w niej jednak, wtedy, na tym zimnym metalowym podeście, przemożną, namacalną potrzebę ciepła i uwagi, a także bezbronną wrażliwość. Te emocje aż pulsowały w powietrzu, coraz bardziej otwierając jego serce dla tego dziecka.

– Chodź, Mackenzie – powiedział. – Zejdziemy na dół. Co ty na to?

– Nie mogę nawet wstać.

– Weź mnie za rękę. – Bobby podniósł się z podłogi i wyciągnął do niej dłoń, a ona chwyciła ją i stanęła sztywno, jakby miała nogi z drewna. Czuł, że całe jej ciało dygocze. Ruszyli powoli w stronę pierwszego stopnia.

– Mam cię poprowadzić czy chcesz się mnie trzymać? – zapytał.

Mackenzie ostrożnie sięgnęła do poręczy i chwyciła się jej niczym koła ratunkowego.

– Jedną ręką będę się trzymać tego, a drugą pana – powiedziała. – Ale muszę zamknąć oczy.

– W porządku – roześmiał się. – Skoro tak ci wygodniej.

Zaczęli schodzić. Mackenzie trzymała go za przed-ramię, zaciskając dłoń tak mocno, że w końcu jeden palec zdrętwiał mu całkowicie, a Bobby powtarzał raz po raz: „Stopień, stopień, stopień, stopień, dobrze, teraz jesteśmy na podeście, idziemy, idziemy, idziemy, a teraz znowu schody. Prawie jesteśmy na dole”.

Kiedy stanęli na posadzce, dziewczynka puściła go i pobięła przed siebie. Nareszcie wolna, sfrunęła po trzech schodkach prosto do wody.

– Już nigdy w życiu nie wejść do tej głupiej latarni – zarzekała się, wymachując rękami, jakby w ten sposób chciała otrząsnąć się z niemiłych wrażeń.

Bobby dołączył do niej i razem ruszyli piaszczystym skrawkiem lądu, kierując się do domu latarnika.

– Weszłaś tam, żeby uniknąć spotkania ze mną? – zapytał.

– No jasne, że nie. – Zabrzmiało to trochę zbyt stanowczo, jakby się zjeżyła. Potem przestała się odzywać – bo przestała go potrzebować – a on nie ciągnął jej za język.

Kiedy tak maszerowali po piasku, Bobby rzucił okiem na zegarek. Dochodziła szósta. Przyjechał do Kiss River za późno, trzeba było lepiej wyliczyć czas. Dokładnie o osiemnastej ktoś miał do niego zadzwonić i musiał odebrać ten telefon na osobności. Na myśl o tym poczuł niepokój. Tak to się kończy, kiedy człowiek chce upiec za dużo pieczeni przy jednym ogniu.

Byli już blisko domu i w tym momencie od strony lasu nadszedł Rick, oczywiście z pustymi rękami, a na werandę wybiegła Lacey.

– Znalazłaś ją! – zawołała, zbiegając po schodkach. Chwyciła Mackenzie w ramiona, ale równie dobrze mogłaby przytulić drzewo o twardej, sękatej korze. Bobby widział to wyraźnie. – Martwiłam się o ciebie – powiedziała dziewczynce. – Gdzie byłaś?

– W latarni. – Bobby wyręczył małą zgubę.

– W latarni? – powtórzyła Lacey, nie posiadając się ze zdumienia.

– Idę do siebie – burknęła Mackenzie, chcąc ominąć ich oboje.  
– Nie – powiedziała Lacey. – Zostań tutaj i porozmawiaj chwilę z Bobbym.  
Ale on położył jej dłoń na ramieniu i bezgłośnie szepnął: „Puść ją”.  
– No dobrze – zgodziła się. – Jak chcesz, to idź.  
– Dziękuję – prychnęła Mackenzie. Troje dorosłych patrzyło, jak wchodzi na werandę i znika w głębi domu.  
– Zdumiewające, że była w latarni – odezwała się Lacey po chwili. – Myślałam, że się jej boi jak ognia.  
– Bo się boi. – Bobby zerknął na drzwi z siatki, które zamknęły się za dziewczynką. – Ale najwidoczniej spotkania ze mną boi się jeszcze bardziej.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Kiedy Rick się pożegnał i pojechał do siebie, Lacey zaprosiła Bobby'ego na werandę, a sama poszła na górę, aby sprawdzić, co z Mackenzie. Dziewczyna siedziała przy swoim komputerze i bębniła w klawisze jak szalona, pisząc mejle do znajomych.

– No naprawdę, weź już nie przesadzaj! – krzyknęła, kiedy Lacey zapytała ją, czy wszystko w porządku.

– Chciałam się tylko upewnić, że nic ci...

– Nic! – ucięła Mackenzie. – Po prostu pomyślałam sobie, że czas zobaczyć ten widok z góry, ale kiedy już tam weszłam, dostałam wodowstrętu. I koniec, kropka!

Lacey z trudem powstrzymywała śmiech.

– Dobrze – powiedziała. – Cieszę się, że dobrze się czujesz.

Wróciła na dół. Idąc przez kuchnię, usłyszała, że Bobby z kimś rozmawia. Może Clay albo Gina już wrócili, pomyślała. Uchyliwszy drzwi z siatki, zobaczyła jednak, że Bobby ma przy uchu komórkę. Siedział w fotelu, z bosymi stopami opartymi wysoko na barierce, a obok niego stał Sasza. Kiedy Lacey wyszła na werandę, obejrzał się.

– Muszę kończyć – powiedział do telefonu. – Odezwę się później.

Lacey usiadła na fotelu obok, zakłopotana, że przeszkodziła mu w rozmowie, ale Bobby szybko wsunął telefon do kieszeni koszulki i odwrócił się do niej.

– Co z nią? – zapytał, zniżając głos, a jej przyszło na myśl, że kiedy rozmawiała z Mackenzie, mógł coś usłyszeć przez otwarte okno jej pokoju, które znajdowało się dokładnie nad werandą.

– Chyba się wstydzi – odparła tak samo cicho. – Mówi, że w latarni dopadł ją wodowstręt.

Bobby prychnął śmiechem.

– W takim razie lepiej nie puszczaj jej nad ocean.

– No dobrze – powiedziała. – Początek, choć trudny, macie za sobą. Chcesz coś do picia? Mrożoną herbatę, jakiś napój?

– Najbardziej to chciałbym pójść na szczyt latarni – powiedział, wskazując dłonią wieżę. – Wspaniale wyglądają te sterczące schody. Można tam wchodzić? Jest bezpiecznie?

– Jasne. – Wstała z fotela, a Sasza zerwał się na równe nogi, merdając radośnie ogonem.

– Ty zostajesz – oznajmiła mu Lacey. Pies ciężko westchnął i położył się z powrotem.

Zeszli z werandy i ruszyli do latarni, nie mówiąc nic do siebie. Trwał przypływ, więc Lacey podwinęła swoje rybaczki wysoko, aż na uda, i brodząc w skłębionej, sięgającej kolan wodzie, dotarła do schodków. Bobby miał tak obcisłe dzinsy, że nogawki dały się podciągnąć tylko do połowy łydki, a do tego były już mokre po poprzedniej eskapadzie do latarni. Nie przejmując się tym ani trochę, wszedł prosto do wody.

Kiedy zaczęli się wspinać po wewnętrznych schodach, wspomniała mu o soczewce Fresnela, która kiedyś była zainstalowana w tej latarni.

– W zeszłym roku, latem, podniesiono ją z dna oceanu – powiedziała. – Zostanie wystawiona tutaj, obok domu latarnika, w małym budynku, będącym kopią dawnej laterny.

– Dopiero w zeszłym roku? – zdziwił się Bobby. – Myślałem, że huragan był już dawno temu.

– To prawda, ale nikt nie miał motywacji, żeby odnaleźć soczewkę, dopóki nie zjawiała się tutaj Gina, moja bratowa. W skrócie cała historia wygląda tak, że wydobywanie soczewki to w rzeczywistości jej zasługa.

– Trenujesz coś, prawda? – zagadnął ni stąd, ni zowąd. Zdaje się, że jego myśli wcale nie krążyły wokół latarni. Lacey była kilka stopni powyżej niego i nagle zaczęła się wstydzić swojego ciała. Co ją zdradziło, po czym Bobby poznał, że trenuje?

– Od dawna – przyznała. – Chociaż odkąd pojawiła się Mackenzie, regularność leży. Czemu pytasz?

– Bo zasuwasz po tych schodach kompletnie bez zadyszki.  
– Ty też – odparła. Nie uszło to jej uwadze. Aby dotrzeć na szczyt, ludzie przeważnie musieli przynajmniej raz się zatrzymać i odsapnąć.

– Staram się trzymać formę – przytaknęła, zresztą niepotrzebnie, bo wyrobione, węzlaste mięśnie ramion mówiły same za siebie. – Jest tutaj w okolicy YMCA?

– Mogę cię zapisać do mojej siłowni.

– O, to by było super.

Dotarli już do ostatniego podestu przed końcem urwanych schodów.

– Tutaj znalazłem Mackenzie – powiedział Bobby, kiedy przechodzili na drugą stronę, aby ruszyć dalej w górę.

– No, no. – Lacey była pod wrażeniem. – Nie do wiary, że weszła tak wysoko.

Chwilę później stanęli na szczycie.

– Uważaj – ostrzegła. – Złap się poręczy, zanim się odwrócisz.

– Uuu... – stęknęła, szybko kładąc dłoń na metalowym pręcie. – Chyba też mam wodowstręt.

Odwrócił się ostrożnie i usiadł obok Lacey na ostatnim stopniu, dobry metr ponad zębatą krawędzią muru.

– O rany – zachłysnął się. – Jakby się wisiało w powietrzu.

– Wiem.

Bobby obejrzał się w prawo, a potem w lewo, zataczając wzrokiem pełny okrąg, trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Widać stąd czasem dzikie konie? – zainteresował się.

– Och, niestety, tych koni już tutaj nie ma. – Lacey wyjaśniła mu, że populację mustangów przeniesiono dalej na północ, ponieważ w Kiss River zagrażał im nasilający się z roku na rok ruch drogowy. – Można je zobaczyć tylko na zorganizowanej wycieczce samochodem terenowym.

– Chyba żartujesz. – Bobby potrząsnął głową. – Niedługo już wszędzie wyleją beton i zrobią parkingi.

– Zgadza się.

– Będzie ci przeszkadzało, jak sobie zapalę?

– Na zewnątrz – nie. Tylko nie pal w domu latarnika, proszę.

U Ricka też obowiązywała zasada, że pali się tylko na dworze, ale pomyślała, że ustalą to między sobą.

Bobby sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów i wyciągnął pogniecioną paczkę marlboro i książeczkę zapalek. Musiał zejść kilka stopni niżej, żeby wiatr nie gasił płomienia. Potem wrócił, usiadł obok Lacey i wypuścił z ust kłęb dymu.

– Próbowalem rzucić – wyznał i zaśmiał się. – Przez pięć lat mówiłem sobie, że kończę z petami, więc to chyba była ściema, co?

– Na to wygląda – przytaknęła. Miała ochotę podwinąć mu rękaw koszulki i obejrzeć tatuaż. Spod bawełnianej tkaniny widać było tylko kawałeczek, jakieś niebieskie kwadraciki. – Dzięki, że znalazłaś mi ten pokój – odezwał się po chwili. – Myślałem, że noc spędzę w samochodzie. Nie pierwszy raz zresztą.

Lacey przypomniała sobie, że kiedyś woził z tyłu rozłożony materac. Całą ekipą, we czwórkę albo w piątkę, zajeżdżali do Jockey's Ridge i tam, na parkingu, siedzieli w otwartym busie na tym materacu. Ćpali, co było pod ręką, a nagrzone powietrze dusiło jak dym. W końcu Bobby wyrzucał z auta wszystkich oprócz Jessiki; siedzieli na piasku i czekali, a Lacey usiłowała nie myśleć o tym, co się tam dzieje. Jeśli Bobby dalej woził materac w swoim busie, to miała tylko nadzieję, że od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku zdążył sobie sprawić nowy.

– Oby wszystko dobrze się ułożyło – odparła. – Rick to bezkonfliktowy człowiek, ale ten domek jest malutki.

– Tak, wygląda na miłego. – Bobby zaciągnął się papierosem. – Od dawna się z nim spotykasz?

– Dopiero od miesiąca, zresztą to nic poważnego – odparła. – Ostatnio przestałam się angażować.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– On... Po prostu nie czuję tego, co trzeba, przynajmniej na razie. – Roześmiała się, wyciągając rękę przed siebie. – Chyba wciąż jeszcze jestem romantyczką i wydaje mi się, że kiedyś pokocham kogoś do szaleństwa. Że znajdę takiego faceta, wiesz, do grobowej deski. Za którego oddałabym życie.

– Poczułaś to już kiedyś? – zapytał.

– A gdzie tam. – W jej relacjach z mężczyznami zawsze było za mało emocjonalnej bliskości i zdecydowanie za dużo seksu. Wzdrygnęła się z zakłopotaniem; niepotrzebnie się tak przed nim otworzyła. – No, a jak tam u ciebie? Był w twoim życiu ktoś taki?

Bobby skinął głową potakująco.

– Claudia, moja eks – odpowiedział. – Nadal jest.

– Wciąż jesteś w niej zakochany?

– Zakochany? Nie. Po prostu ją kocham. To moja przyjaciółka. Wyjątkowa przyjaciółka.

– Masz szczęście.

– Kto wie...? – zamyślił się Bobby, patrząc, jak szczypta popiołu odrywa się od papierosa i znika w ciemnej studni muru latarni. – Może i tobie uda się z Rickiem.

– Może – zgodziła się, chociaż bez przekonania.

– A jakie jest światło tam u niego? – zapytał.

– Światło?

– Mhm. Da się pracować przy naturalnym oświetleniu? Przywiozłem ze sobą mój warsztat, bo nie wiem, jak długo tutaj zostanę.

– Aha. – Teraz już rozumiała. – Ze światłem może być słabo. Domek stoi głęboko w lesie.

– Coś się wymyśli.

– Bardzo bym chciała zobaczyć twoje prace. – Stały jej przed oczami trzymasztowe szkunery rzeźbione w zębach kaszalota.

– Zabrałem prawie wszystko. – Bobby jeszcze raz się zaciągnął, a gdy wypuścił dym, biały kłęb zniknął w mgnieniu oka, porwany przez wiatr. – Teraz jest sezon jarmarków rękodzielnictwa i kilka mi przypadnie, więc zabrałem towar ze sobą. Może uda mi się sprzedać coś tutaj.

– W Manteo w przyszły weekend odbywa się jarmark rzemiosła – poinformowała go. – Zapisy już dawno są zamknięte, ale na pewno dam radę załatwić ci stoisko.

– Byłoby świetnie, Lacey. Będziesz tam ze swoimi witrażami?

– Tak.

– Też chciałbym je zobaczyć – oznajmił. – Pamiętam witraże twojej mamy. Zawsze było mi żal, że umarła, bardzo żal, tyle pomysłów, inwencji, taki talent... Cieszę się, że kontynuujesz rodzinną tradycję.

– Nie jestem taka dobra jak ona – powiedziała Lacey i momentalnie wkurzyła się na siebie za taką miażdżącą samokrytykę. – A w każdym razie nie jestem do niej podobna. Większość moich witraży robię w jej dawnej pracowni w Kill Devil Hills, ale niektóre powstają tutaj. Jest w tym domu nieduża przeszklona weranda. Pamiętasz tamtą pracownię?

– Pamiętam. – Bobby znów zaciągnął się dymem. – Był tam facet z kucykiem, prawda?

– Tom Nestor. – Lacey uznała, że nie jest jeszcze gotowa, aby mu wyznać, że Tom okazał się jej biologicznym ojcem.

– Moim zdaniem to bardzo fajne, że oboje zajęliśmy się sztuką. – Bobby uśmiechnął się do siebie, wodząc wzrokiem po horyzoncie. Pochylił się i podwinął mokrą nogawkę dżinsów, która mu opadła, a potem wyjął z ust papierosa. – No to powiedz, jak wam się układa z Mackenzie?

– Nie lubię jej – wypaliła. – Boże! Strasznie zabrzmiało, prawda?

– Raczej szczyrze.

– Dziwne. – Lacey zapatrzyła się na motorówkę, podskakującą w oddali na falach oceanu. – Zazwyczaj lubię ludzi, ale ta dziewczyna jest naprawdę bezmyślna. Poważnie się zastanawiam, żeby oddać ją Noli. Na początku Nola chciała mi ją zabrać. Sądownie odebrać mi opiekę i tak dalej. Ale coś

mi mówi, że idzie jej z Mackenzie tak samo opornie jak i mnie.

– Nola, o rany... – Bobby zadygotał ze zgrozy, najprawdopodobniej udawanej. Lacey parsknęła śmiechem, nie mogła się powstrzymać. – A próbowałem zapomnieć o kochanej mamusi Jessiki.

– Ona wcale nie jest taka zła. – Lacey, co prawda, czuła się trochę dziwnie, broniąc Noli, ale powoli zaczynała jej współczuć. Przecież ostatecznie łączył je wspólny problem.

– Dlaczego uważasz, że Mackenzie jest bezmyślna? – zapytał Bobby. Jego papierosa należało już zgasić, ale on, zamiast rozduścić niedopałek na metalowym stopniu, wciąż trzymał go w palcach, czekając, aż sam się wypali. – Przez telefon mówiłaś, że jest uparta i podkrada ci pieniądze. Co jeszcze?

– A to nie wystarczy? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Jest coś więcej?

– Na przykład jak powiem, że coś jest czarne, ona twierdzi, że nie, bo białe. Wszystko na nie.

Postanowiła przemilczeć ostatni wyczyn Mackenzie, która najprawdopodobniej grzebała w jej rzeczach, bo nie dalej jak rano Lacey znalazła w kuchni swój wibrator, schowany na co dzień w nocnej szafce. Stał na stole, celując czubkiem prosto w sufit. Dobrze, że nie zdążył wpaść w oczy Clayowi albo Ginie.

– Ukradła sztuczne rzęsy w Kmarcie – dodała. – Przyłapałam ją, ale kto wie, czy to była jej jedyna kradzież.

– Sztuczne rzęsy? – zaśmiał się Bobby. – Przynajmniej jest oryginalna.

– Teraz cię to bawi, ale zobaczysz, kiedy sam będziesz musiał się nią zająć.

– A co, ty nigdy nic nie zwinęłaś w dzieciństwie?

– Otóż nie – odparła z naciskiem i niejakim oburzeniem. – Ale wiem, że ty tak.

Bobby posłał jej uśmiech, ten swój krzywy uśmiech, na który mogła patrzeć najwyżej kilka sekund, bo potem momentalnie miękły jej nogi.

– Byłaś dobrym dzieckiem, prawda? – zapytał. – W głębi serca byłaś naprawdę dobra. I właśnie dlatego...

– Dlatego co?

Pomasował dłońmi uda.

– Bardzo mi się wtedy podobałaś – wyznał. – Z początku nawet bardziej niż Jessica. Ale miałaś w sobie tyle bezbronnej wrażliwości. Tyle ufności. Czułem, że tak młodą i niewinną dziewczynę należy chronić przed kimś takim jak ja.

Podobała mu się bardziej niż Jessica? Już chciała go poprosić, żeby opowiedział szczegółowo, co go w niej fascynowało, ale się powstrzymała. Teraz to już nieważne.

– To prawda – przyznała. – Udawałam łobuziarę, ale tak naprawdę miałam gołębie serce.

Nagle Bobby spoważniał, a gdy odwrócił głowę, zauważyła, że mocno zacisnął zęby.

– Co się stało? – zapytała, widząc, że ogarnęły go jakieś mroczne myśli.

Uśmiechnął się przeproszająco.

– Lacey, będę z tobą szczery. Moim zdaniem to mało prawdopodobne, że jestem ojcem Mackenzie.

Wyczuła, że chce się wycofać. Nie miała do niego żalu. Sama by tak zrobiła, gdyby tylko mogła.

– Jessica mówiła, że to ty.

Skinął głową.

– Rozumiem, ale my... To znaczy ja i moja dziewczyna... była dziewczyna – poprawił się – chcieliśmy mieć dziecko. Kilka lat się staraliśmy, robiliśmy badania i tak dalej. Wyszło na to, że mam leniwe plemniki. Tak powiedział lekarz. Zdaje się, że ja przeżyłem to bardziej niż ona. Naprawdę bardzo chciałem mieć dziecko.

– No cóż, może kiedy miałaś siedemnaście lat, twoje plemniki były mniej leniwe.

– To możliwe – przyznał.

Nagle zadzwonił telefon w kieszeni na jego piersi, odezwał się zwyczajnym, cichym dryndnięciem. Bobby nawet nie drgnął, żeby go odebrać.



– Niech nagrają wiadomość – powiedział.

Lacey odezwała się dopiero, kiedy dzwonek ucichł.

– No więc jak to ma być? – zapytała. – Zrobisz badanie DNA?

– Nie. Chyba że będziesz nalegać.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie?

– Bo się boję. Jeśli zrobię badanie, może się okazać, że to nie jest moje dziecko, a tego bym nie chciał. Głupie?

– Hm... Tak. – Uśmiechnęła się. – To bardzo trudne dziecko. Zamieniłeś z nią raptem kilka słów. Nie znasz jej. Dlaczego miałbyś brać sobie na głowę taki problem, skoro nie musisz?

– Wiesz, kogo ona mi przypomina? – odpowiedział pytaniem.

– Kogo?

– Ciebie. Taką, jaka byłaś kiedyś, kiedy cię znałem.

Lacey zmarszczyła brwi.

– Ona mnie absolutnie w niczym nie przypomina – oznajmiła.

Bobby uśmiechnął się, ale tajemniczo, jak gdyby wiedział coś, czego ona nie wie. Trochę ją to zezłościło.

– Jak sądzisz, dlaczego ona jest taka? – zapytał. – Wojownicza, uparta i kolczasta.

– Wydaje mi się, że Jessica była kiepską matką. – Lacey było przykro, że mówi źle o swojej przyjaciółce, ale powoli zaczynała w to wierzyć. – Kiedy opowiadała mi przez telefon, co razem robiły, zawsze to brzmiało tak, jakby była świetną mamą, ale teraz, kiedy poznałam Mackenzie... – Pokręciła głową. – Myślę, że Jessica ją rozpuściła. Na zbyt wiele jej pozwalała.

Bobby westchnął i spojrzał na horyzont, mrużąc oczy, jakby raziło go światło zapadającego wieczoru.

– Kto jak kto, Lacey, ale ty chyba powinnaś to rozumieć – powiedział.

– O co ci chodzi?

Poczuła, że odwraca się do niej, ale nie uniosła wzroku, by spojrzeć mu w oczy. Siedział za blisko i wiedziała, że jego oczy będą zbyt niebieskie.

– Pamiętasz, jak to było, kiedy zginęła twoja matka? – zapytał.

– Aż za dobrze.

– I jak się wtedy czułaś?

– Samotna. Było mi smutno, niewyobrażalnie smutno. I bałam się.

– Czego się bałaś?

Milczała przez chwilę, szukając w pamięci.

– Bałam się, że w tym świecie brakuje mi pewności i poczucia bezpieczeństwa – odparła wreszcie. – Bałam się, co będzie z moją rodziną. I ze mną, bo nagle cała odpowiedzialność za mnie spadła na mojego ojca, dla którego praktycznie nie istniałam.

– A gdyby twoje zachowanie obserwował wtedy ktoś, kto cię nie zna – nie wie, jaka naprawdę jest Lacey – co by o tobie pomyślał?

– Mówiłam już: udawałam twardą, zbuntowaną nastolatkę, aby nikt nie zauważył, że w środku siedzi mała, przerażona dziewczynka.

I nagle do niej dotarło. To było takie proste! Jej oczy wypełniły się łzami współczucia.

– Mackenzie po prostu się boi – powiedziała, ośmielając się unieść wzrok na Bobby'ego.

Przytaknął z poważną miną, a na jego twarzy malował się smutek.

– Musi być wręcz przerażona – dodał. – A poza tym jej sytuacja jest nawet gorsza od twojej. Ty miałaś ojca, brata, znajomych, swój dom, swoją okolicę i swoją szkołę, a ona nie ma nic, wszystko wokół jest obce. Zna tylko ciebie, ale ty też w gruncie rzeczy jesteś dla niej obca: kobieta, która przyjechała i zabrała ją z domu.

– Co więc mam robić? – zapytała.

– Lace, ja też nie jestem mistrzem w te klocki. – Bobby potrząsnął głową. – Wciąż muszę ciężko nad sobą pracować. Ale wiem jedno: kiedy nie odpowiada mi czyjeś zachowanie, staram się rozgryźć,

co za tym stoi, i najczęściej się okazuje, że wszystko napędza strach. To mi pomaga podchodzić do ludzi z odrobinę większym współczuciem.

– No dobrze, też mogę spróbować – przytaknęła, ale natychmiast przed oczami pojawił jej się ten nieszczęsny wibrator, na baczność stojący na kuchennym stole, i zrozumiała, jak trudno będzie powiedzieć sobie, że za prowokacyjnym zachowaniem Mackenzie kryje się zwykły strach.

Papieros zgasł już dawno i zdążył ostygnąć. Bobby sięgnął jeszcze raz do tylnej kieszeni, wyciągnął paczkę i wcisnął niedopałek pod plastikową owijkę. Potem schował paczkę z powrotem.

– Mam ci jeszcze coś do powiedzenia – mruknął.

– Co takiego? – Lacey zebrała dłonią włosy i przycisnęła je do ramienia, bo wiatr się wzmażał.

– Kiedy miałem dwadzieścia cztery lata – zaczął – też przeżyłem wypadek samochodowy. Sam go spowodowałem. Byłem pijany w trzy dupy. Zabiłem rodziców dwójki małych dzieci.

– Boże drogi... Bobby... – westchnęła, czując jednocześnie odrazę i współczucie, w równych proporcjach.

– Zamknęli mnie na trochę i to było najlepsze, co mogło mnie spotkać, bo musiałem wytrzeźwieć i miałem czas, żeby zastanowić się nad sobą. Po wyjściu próbowałem skontaktować się z dziadkami tych dzieci, żeby zapytać, czy mógłbym jakoś pomóc, ale oni nie chcieli mnie znać. Tak więc kiedy zadzwoniłaś z wiadomością, że Jessica zginęła przez pijanego kierowcę, to poczułem, że... że to może być moja szansa. Rozumiesz? Nie obchodzi mnie, czy Mackenzie jest moja, czy nie. I może sobie być wredną gówniarą. Ja po prostu chcę pomóc i już.

Lacey pokiwała głową i po raz pierwszy, odkąd usiedli na szczycie schodów, nie uciekała wzrokiem, ale spojrzała prosto na niego. Był już innym człowiekiem niż kiedyś i nie chodziło tylko o brak włosów i muskulaturę.

– Bardzo się zmieniłeś – powiedziała.

– Nie aż tak bardzo – odparł. – Po prostu dorosłem. A ty nie?

– Czasem w to wątpię.

Bobby zerknął na zegarek.

– Słońce zachodzi – zauważył. Oni siedzieli na schodach i rozmawiali, a tymczasem popołudnie dobiegło już końca i zapadał wieczór.

– Uwielbiam oglądać stąd zachód słońca. – Lacey puściła zebrane włosy i opłótła kolana ramionami. Co prawda opadającą słoneczną tarczę mieli za plecami, ale z tej wysokości cały świat skąpany był w złotym blasku.

Bobby, tak jak przedtem, zapatrzył się na horyzont oblepiony chmurami, które powoli nabierały głębokiej purpurowej barwy.

– Lepiej już pojedę – powiedział. – Rick opisał mi drogę, ale znacznie trudniej będzie tam trafić po ciemku.

– To prawda – przytaknęła Lacey, wstając. Wiatr znowu porwał jej włosy, więc zebrała je dłońmi.

– Siedź. – Bobby też wstał i trącił ją lekko w ramię. – Zostań tutaj i popatrz sobie na zachód słońca. Trafie na dół.

– W porządku. – Usiadła na stopniu. – Dziękuję ci, że przyjechałeś.

Bobby spojrzał na nią. W oczach miał blask ognistej kuli toczącej się powoli w stronę nocy.

– Może tego nie widzisz, Lace, ale dorostaś. Naprawdę dorostaś. – Pochylił się i musnął wargami jej policzek. – Jesteś piękną kobietą, wiesz o tym?

## Rozdział dwudziesty czwarty

Głowa, wnętrzności – w zasadzie wszystkie narządy i cały organizm – domagały się kofeiny. Bobby odczuwał to bardzo dotkliwie, siedząc rano razem z Rickiem przy małym kuchennym stole. Wpatrując się w ekspres do kawy stojący na blacie, nasypał sobie drugą miskę płatków kukurydzyanych. Przeszukał z rana wszystkie stare szafki zbite z sękatych sosnowych desek, ale nie znalazł ani ziarenka. W lodówce za to było sporo wina. To już akurat go nie kusiło, chociaż wciąż czuł dreszcz emocji na widok butelki z winem. W jego domu od lat nie było żadnego alkoholu.

– Nie pijasz kawy, co? – zapytał, nalewając sobie szklankę soku pomarańczowego.

– Przykro mi. – Rick przełknął łyżkę płatków. – A ty owszem, jak rozumiem?

Bobby skinął głową.

– Kupię dzisiaj kawę i sok pomarańczowy – powiedział. – Potrzebujesz czegoś ze sklepu?

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

Przy śniadaniu rozmawiali swobodnie o zwykłych, prostych sprawach: o rodzinie, podróżach, rodzinnych stronach. Bobby musiał się pilnować, by omijać trudne tematy. Przede wszystkim interesowało go, co łączy Ricka i Lacey. Powiedziała, że to nic poważnego, ale przecież było jasne, że jest zaangażowana, a Bobby wolał nie przysparzać jej dodatkowych komplikacji w życiu, i tak już wystarczająco pogmatwanym. Jednakże gdyby miał być szczery, nie spodziewał się, że ta dziewczyna zrobi na nim aż takie wrażenie. Owszem, kiedyś wpadła mu w oko, ale wtedy był całkiem innym człowiekiem, pociągało go wszystko, co miało piersi, a nie miało zahamowań. Poprzedniego dnia, na schodach latarni morskiej, poczuł, że łączy go z nią coś innego. Oczywiście, wziął pod uwagę jej urodę, zauważył, że rozkwitła i prezentuje się obecnie znacznie bardziej interesująco niż w wieku czternastu lat, ale co innego ujęło go szczególnie: jej dobre serce, jej walka o dziecko, którego nawet nie lubiła.

Jeśli chodzi o światło w domku Ricka, to Lacey miała rację: nie nadawało się do pracy. Rano Bobby wyszedł na pamiętający lepsze czasy taras za domem, żeby sobie zapalić. Pomiedzy drzewami migotały słoneczne promienie tańczące na wodach cieśniny, ale w domu było jeszcze całkiem ciemno. Śniadanie w kuchni musieli zjeść przy zapalonym świetle. Bobby już wiedział, że będzie mu potrzebna dobra halogenowa lampa, przynajmniej tyle.

Natomiast sam domek, stary i z wolna popadający w ruinę, bardzo przypadł mu do gustu. Niewyszukany, wiejski styl odróżniał go od nowoczesnego budownictwa, dominującego w regionie Outer Banks, i chociaż światło nie było najlepsze, Bobby'emu podobało się, że gęsty las zarósł go ze wszystkich stron, ukrył przed całym światem. Pokój też był w porządku. Nie przeszkadzało mu, że dwuosobowe łóżko ledwo się tam mieści, a materac czuć stęchlizną. Sypiał już w znacznie gorszych warunkach.

Najważniejsze jednak, że niedaleko mieszkała Elise. To, że trafiła mu się ta okazja, aby przyjechać do Outer Banks, zakrawało na mały cud, a sama Elise skwapliwie mu przyklasnęła, kiedy przedstawił jej swój plan: ona miała przeprowadzić się na trochę do starych znajomych w Kitty Hawk, a on – znaleźć kwatery niedaleko Kiss River. Rick mieszkał w Duck, a więc jeszcze bliżej. Idealnie się złożyło. Jedyne problemy polegały na tym, że Bobby nie mógł dzwonić do Elise, a zdążył się już przekonać, że czekanie na telefon od niej jest nie do wytrzymania.

– Podoba mi się ten twój domek – powiedział Rickowi, rozglądając się jeszcze raz dookoła. – Ma charakter.

Rick zaśmiał się i powiódł wzrokiem po brudnych drzwiach szafki kuchennej, po starym linoleum pokrywającym wszystkie podłogi.

– Można to i tak nazwać – powiedział. – A jak twój pokój?

– Bywałem już w miejscach, przy których to jest prawdziwy pałac.

Bobby nastawiał się, że Rick, jak to prawnik, będzie typowym konserwatywnym sztywniakiem, a tymczasem okazało się, że to całkiem fajny facet, pominąwszy fakt, że w domu nie miał ani grama

kawy. Powiedział nawet, że Bobby może palić w środku, jeśli ma ochotę, ale on grzecznie podziękował. Nawet u siebie palił tylko na zewnątrz – tłumaczył to w taki sposób, że zmuszając się do wychodzenia, ograniczał palenie.

Z początku dziwiło go, że ktoś w typie Ricka spędza lato w podobnych warunkach, ale pewnie tak było taniej, skoro ten dom należał do jego znajomego. Może w ogóle mieszkał tam za darmo. Miał zostać aż do jesieni, a nawet prawnik nie zarabia tyle, żeby wynająć jakąś porządną kwatery w Outer Banks na tak długo. W domu panował porządek, ale trudno było powiedzieć, czy to Rick jest z natury pedantem, czy też sprzątnięto tutaj specjalnie dla gościa. W każdym razie Bobby obiecał sobie, że będzie dbał o czystość. Nie był flejtuchem, ale w jego domu piętrzyły się stosy różnych rzeczy, których nawet nie zauważał, bo jeśli miał do wyboru: wziąć się do pracy i rzeźbić albo schować pudełko płatków po śniadaniu, to z góry było wiadomo, co wybierze.

– Lacey mówiła, że znacie się z dzieciństwa – zagadnął Rick. Bobby tylko czekał na taką okazję.

– Aha – przytaknął. – Nie widziałem jej od lat.

Zamieszał łyżką w misce i postanowił wypuścić małą sondę.

– Świetna dziewczyna, co? – rzucił.

– Świetna – zgodził się Rick. Bobby odnotował, że kiedy to mówił, błysnęły mu oczy, i na tej podstawie starał się ocenić, jak bardzo Lacey go pociąga. Rick sięgnął po płatki, dosypał sobie trochę.

– Mógłbyś kupić nowe pudełko? – poprosił.

– Pewnie – obiecał Bobby z nadzieją, że to nie koniec rozmowy o Lacey.

– Jest jej ciężko, ma mnóstwo na głowie – powiedział Rick, zanurzając łyżkę w swojej misce.

– Prawda. – Bobby ze współczuciem potrząsnął głową. – Kiedy ktoś nagle wciska ci dziecko, to na pewno bardzo komplikuje życie.

– Z tobą jest podobnie – zauważył Rick.

– Bez porównania – sprzeciwił się. – Ja, jeśli zechcę, mogę się odwrócić i odejść. Lacey nie może. Rick uniósł brwi.

– Chyba tego nie zrobisz?

– Nie mam zamiaru – zapewnił Bobby. Przez chwilę chciał podzielić się z nim swoimi wątpliwościami, czy Mackenzie na pewno jest jego córką, ale uznał, że to nie jest temat do omawiania przy śniadaniu z facetem, którego dopiero co poznał.

– Zresztą, nie chodzi tylko o Mackenzie – dodał Rick. – Słyszałeś o tej sprawie w sądzie?

– O jakiej sprawie? – Bobby uniósł do ust ostatnią łyżkę płatków.

– Człowiek, który zabił matkę Lacey, złożył wniosek o zwolnienie warunkowe. Ona, jej brat i ich ojciec usiłują zatrzymać go w więzieniu, a mnie się wydaje, że Lacey bardzo to przeżywa. Rozdrapuje stare rany i tak dalej.

– Jesteś jej adwokatem?

– O nie. – Rick się uśmiechnął. – Moją specjalnością są podatki. Ja dbam tylko o to, żeby miała się komu wygadać.

Bobby przełknął resztę płatków i wyprostował się wygodnie na krześle, które zatrzeszczało pod jego ciężarem.

– Nie znałem jej matki – wyznał. W jego życiu panował wtedy kompletny mętlik i nie dotarło do niego nic, co wiązało się z tamtym morderstwem. – Zginęła, zanim spotkałem Lacey. Były wakacje. Widziałem, że Lacey jest nieszczęśliwa, chociaż pewnie nawet nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo, bo miałem wtedy sporo własnych problemów.

– Powiedziałem ci o tym wszystkim tylko dlatego, żebyś wiedział, ile ona ma teraz na głowie – odparł Rick. Kiedy się na niego patrzyło, jakoś nie chciało się wierzyć, że taki facet w ogóle wie, co to znaczy być nieszczęśliwym. – Moje zdanie, osobiste, ale też zawodowe, jest takie, że powinna odpuścić sobie sprawę w sądzie – mówił dalej. – Tamten człowiek ma wzorową opinię w zakładzie karnym i według dokumentacji po wypuszczeniu nie będzie stanowił dla nikogo najmniejszego zagrożenia. Uważam, że Lacey po prostu wali głową w mur, ale ona jest przekonana, że musi walczyć. Nie chcę patrzeć, jak się męczy i cierpi tylko po to, żeby w końcu przegrać.

– To nic złego, że chce próbować – zauważył Bobby, myśląc, że w takiej sytuacji pewnie czułby się podobnie jak Lacey.

– Nie mówię, że to coś złego – odparł Rick. – Ale sądzę, że... że jeśli człowiek ulega emocjom, nie słucha głosu rozsądku.

– Pewnie masz rację. – Bobby wstał od stołu, zabrał do zlewu miskę po płatkach oraz szklankę po soku i zaczął je myć.

– No dobrze. – Rick skończył już jeść, ale nie ruszał się z krzesła. – Jakie masz plany na dzisiaj?

– Wybieram się do Kiss River – powiedział. – Spędzę trochę czasu z Mackenzie, żeby poznać ją lepiej, a przy okazji dam odsapnąć Lacey. – Wylał miskę, szklankę i sztućce i schował je na miejsce. – Nie pamiętam, gdzie tutaj są jakieś atrakcje dla dzieci. Orientujesz się może?

– W Kill Devil Hills widziałem duży park wodny, jeśli chce ci się jechać tak daleko.

– Świetny pomysł, dzięki. – Bobby zabrał ze stolika w salonie swoje kluczyki i życząc Rickowi owocnej pracy, wyszedł z domu. W głowie miał tylko jedną myśl: kawa.

Kiedy parkował pod domem latarnika, był już po dwóch kawach z 7-Eleven oraz po papierosie. Zmówił pod nosem cichą modlitwę, aby Mackenzie zgodziła się z nim pojechać. Przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z Lacey, na schodach latarni morskiej. Był absolutnie pewny siebie i tak spokojny, jak gdyby doskonale umiał radzić sobie z dziećmi. Jakby to była bułka z masłem. A tymczasem sytuacja do łatwych nie należała i owszem, nerwy dawały mu się we znaki.

Idąc w stronę domu, dostrzegł Lacey przez zamknięte drzwi z siatki. Zamiatła podłogę w kuchni. Zawołał do niej, a ona otworzyła mu, nagle cała rozpromieniona. Jej uśmiech był tak szeroki, tak seksowny i uroczy, że Bobby też musiał się uśmiechnąć. W kuchni pachniało kawą.

Zauważyła, że dzbanek pełen świeżego brązowego naparu od razu przykuł jego uwagę.

– Nalać ci?

Skinął głową.

– Wypiłem już dwie, ale trzecia nie zaszkodzi – powiedział. – Rick w ogóle nie pije. Przy śniadaniu myślałem, że zlecę z krzesła.

Lacey zaśmiała się.

– Jakiś nałóg trzeba mieć, co? – zauważyła, nalewając kawę do kubka.

– Ten jest trochę bardziej przyjazny dla człowieka. – Bobby wziął od niej kubek, wypił pierwszy łyk. I dopiero wtedy zauważył w kuchennych oknach witraże, przez które sączyło się światło i malowało na niebiesko skórę Lacey, a jej zwiewne włosy miękko okalały głowę niczym aureola.

– Twoje? – zagadnął, wskazując przejrzyste obrazy ułożone ze szklanych elementów w kolorowy wzór: wiotkie nadmorskie trawy na tle nieba mieniące się jaskrawym odcieniem błękitu.

– Aha – przytaknęła.

– Przepiękne. Kupię coś od ciebie i zabiorę do domu.

– Może się wymienimy – podsunęła Lacey, po czym oparła się o szafkę, krzyżując ramiona na piersi. – Posłuchaj, rano przyszła część rzeczy z Phoenix i Mackenzie zabrała się do rozpakowywania. Nie wiem, czy dasz radę oderwać ją od tego. – Uśmiechnęła się przeprasząco.

– Chciałem ją zabrać do parku wodnego. Co ty na to?

– Świetny pomysł, ale... – Pokręciła głową. – Ona jest taka... – Wzruszyła ramionami. – Sam wiesz.

– Spróbuję – postanowił.

– Dzwoniła też Nola – dodała Lacey. – Chce, żeby Mackenzie przyjechała do niej na noc, więc gdybyś dał radę namówić ją do wyjścia, czy mógłbyś tam pojechać?

Bobby aż się wzdygnął. Zdawał sobie sprawę, że kiedyś w końcu dojdzie do spotkania z Nola, ale wcale mu się to nie uśmiechało. Nawet w tamte wakacje, kiedy był chłopakiem Jessiki, unikał jej matki jak ognia.

– Czy ona urwie mi głowę? – zapytał.

– To możliwe – uśmiechnęła się Lacey.

– Świetnie.

Zabrała go z kuchni do salonu, gdzie wskazała schody biegnące na piętro.

– Drugi pokój na prawo – powiedziała i zniżyła głos, by dodać: – Powodzenia.

Bobby wszedł po schodach i ruszył korytarzem, zauważając po drodze, że w każdym oknie wisi witraż.

Mackenzie chyba go nie słyszała, kiedy się zbliżał; gdy stanął w progu jej pokoju, czuł się jak podglądacz. Dziewczynka siedziała na podłodze. Po jej prawej stronie stał Sasza, czarny labrador, a po lewej – dwa duże pudła z kartonu. Obejmowała psa za szyję i szeptała mu coś do ucha.

– Mackenzie? – odezwał się Bobby.

Szybko puściła Saszę i odwróciła się do drzwi, zawstydzona, że ktoś ją przyłapał na chwili czułości. Sięgnęła pospiesznie do jednego z pudeł, by wyciągnąć stamtąd figurkę konia.

– Mogę wejść? – zapytał.

Odpowiedzią było wruszenie ramionami, więc wszedł i usiadł na skraju nieposłanego łóżka.

– Lacey mówiła, że dzisiaj przysłała część twoich rzeczy – zagadnął.

Kolejne wruszenie ramionami.

– Jeszcze mnóstwo zostało. – Wyjęła z pudełka następnego konia i ostrożnie odwinęła go z papierowych ręczników, których wykorzystano do pakowania chyba całą rolkę. – Nie mam tutaj nic swojego. Moje życie zostało gdzieś indziej.

Bobby skinął głową. Piękne zdanie, pomyślał. „Moje życie zostało gdzieś indziej”.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie to obce uczucie – przyznał.

– Wkurza mnie to jak cholera – odparła, ale niepewny ton zdradzał, że prawdopodobnie po raz pierwszy użyła takiego słowa, w każdym razie przy dorosłej osobie, i chce zobaczyć, co się stanie.

– Nie wątpię – przytaknął Bobby i wskazał otwarty karton. – W tym pudełku są tylko plastikowe konie?

– Nie – syknęła wrednie i z wyraźnym zniecierpliwieniem, jakby rozmawiała z największym idiotą na świecie. – Tam nie ma ani jednego plastikowego konia. Są ceramiczne i z żywicy syntetycznej. Żadnego zwyczajnego plastiku.

– To jest twoja kolekcja?

– Mam dwadzieścia dwa.

– Lubisz jeździć konno? – zapytał, usiłując przypomnieć sobie, czy w okolicy są jakieś stadniny. On sam ostatni raz jeździł wiele lat temu, na wakacyjnym wyjeździe do Wyoming na rancho agroturystyczne. Mało z tego pamiętał; cały tydzień chodził totalnie nawalony.

– Nigdy nie siedziałam na koniu – odparła Mackenzie.

– Nigdy? Nawet na wybiegu, na uprzęży?

Potrząsnęła głową.

– Więc może znajdziemy jakąś stadninę, żebyś mogła pojeździć. Kiedy ostatni raz byłem na wakacjach w Kiss River, żyły tutaj dzikie konie. Wspaniałe zwierzęta. Potem przenieśli je gdzieś na północ. Lacey mówi, że podobno można się tam wybrać na wycieczkę i je oglądać.

Do diabła z parkiem wodnym, pomyślał. Ten pomysł był znacznie lepszy, chociaż taka wycieczka pewnie kosztowała cztery razy tyle.

– Może pojedziemy tam dzisiaj? – zaproponował. – We dwójkę?

– Muszę wypakować rzeczy i ogarnąć pokój – odparła Mackenzie i znów zanurzyła rękę w pudle, nie patrząc nawet na niego. – Wieczorem jadę do babci, więc tylko teraz mam czas.

– Wyrobimy się – przekonywał Bobby. – Naprawdę chciałbym zobaczyć te konie. Proszę, pojedź ze mną.

Specjalnie powiedział to w ten sposób, jakby prosił ją o przysługę.

– No dobrze. – Przewróciła oczami i zwiesiła ramiona. – Wygrałeś.

Chciał sprostować, że tutaj nie ma wygranych i przegranych, ale uznał, że skoro potrzebuje zachować twarz, on da sobie spokój. Wstał z łóżka.

– Zapytam Lacey o drogę. A ty możesz dalej rozpakowywać swoje rzeczy.

Mackenzie wróciła do swoich koni, a Bobby wyszedł z pokoju, zadowolony z siebie, że tak mu

dobrze poszło.

Nie zastał Lacey w kuchni, więc ją zawołał.

– Tutaj!

Skierował się w stronę, skąd dobiegał głos, minął salon, a potem jadalnię i znalazł się na przeszklonej, zalanej słońcem werandzie. Okna biegły szeregiem dookoła, a w każdym z nich wisiały witraże. Lacey siedziała przy szerokim stole roboczym; na oczach miała zielone okulary ochronne, a w dłoni nóż do szkła. Przed nią leżał kawałek bursztynowej szybki. Bobby, zachwycony rzęsiście oświetlonym warształem, natychmiast zzieleniał z zazdrości.

– Bomba! – zawołał. – Tyle naturalnego światła!

– U Ricka jest gorzej, co? – To wcale nie było pytanie.

– Domek jest w porządku, oświetlenie – do kitu. Ale kupię jakąś dobrą lampę i...

– Możesz pracować tutaj. – Lacey wskazała drugi, mniejszy stół roboczy. – Wystarczy ci miejsca?

– Jasne, byłoby idealnie – przytaknął. – Na pewno?

– Oczywiście. – Skinęła głową. – Nie używam obu stołów naraz.

– No dobrze, niewykluczone, że skorzystam. – Bobby usiadł przy drugim stole, bardzo zadowolony, że krzesło jest obrotowe. – Ale teraz powiedz mi tylko, jak dojechać do dzikich koni. Wybierzemy się z Mackenzie na tę wycieczkę samochodem terenowym.

Lacey otworzyła szeroko usta i zaniemówiła, a kiedy odzyskała głos, zapytała niemalże szeptem:

– Zgodziła się z tobą pojechać?

– Bez entuzjazmu – przyznał Bobby. – Ale owszem, powiedziała, że może jechać.

– No taak... – Lacey nagle się skrzywiła. – Jest tylko jeden problem. Konieczna jest rezerwacja.

– Sięgnęła do drewnianej skrzynki stojącej pod stołem, wyjęła książkę telefoniczną i zaczęła przerzucać kartki. – Dzisiaj raczej nie ma już miejsc.

– Hm. O tym nie pomyślałam – mruknął zawiedziony. Mało prawdopodobne, żeby Mackenzie dała się teraz przekonać do zmiany planów. – Pełno u was turystów, co? – zagadnął. – Już wtedy, jak miałem siedemnaście lat, trudno było się ruszyć, ale teraz, kiedy zobaczyłem te wszystkie domy po drodze...

– Wiem, wiem. – Lacey zaczęła wystukiwać numer. – Dlatego właśnie lubię mieszkać w Kiss River. Tutaj wszystko jest tak jak dawniej.

Bobby czekał, obracając się na krześle tam i z powrotem. Po wybraniu numeru Lacey nacisnęła jeszcze kilka dodatkowych klawiszy, chcąc najwidoczniej porozmawiać z żywym człowiekiem.

– Dzień dobry – powiedziała w końcu do słuchawki. – Chciałam zapytać, kiedy mają państwo najbliższy wolny termin na wycieczkę z oglądaniem dzikich koni.

Odpowiedź musiała być pomyślna, bo jej twarz pojaśniała, a w policzkach pokazały się dołeczki, i to spore. Bobby uśmiechnął się na ten widok.

– To świetnie – ucieszyła się. – O czternastej, dwie osoby. Idealnie. W porządku, przekażę.

Odłożyła słuchawkę.

– Szczęściarz z ciebie. – Zerknęła na Bobby'ego. – Ktoś odwołał dzisiejszą rezerwację. Ale to jest piekielnie droga impreza. Czterdzieści cztery dolary dorośli, dzieci do dwunastego roku życia połowę taniej.

– A czas spędzony z Mackenzie? Bezcenny – odparł. Lacey parsknęła śmiechem. – Dobra robota, Lace – dodał. – Dzięki.

Poszedł na górę, aby powiedzieć Mackenzie, że może „ogarniać” swój pokój do godziny pierwszej, a potem wziął z samochodu skrzynkę z całym swoim warształem i zaniósł na słoneczną werandę, gdzie postawił ją na drugim stole. Lacey zrobiła wielkie oczy, zobaczywszy grawerowane naszyjniki, brosze, klamry do pasków i rękojeści do noży, wszystko ułożone na czarnym aksamicie.

– Pierwszy raz widzę coś takiego – powiedziała, dotykając palcami jednej z jego ulubionych prac, naszyjnika z wisiosem przedstawiającym kota o pstrej sierści, zwiniętego w kłębek przed kominkiem. Kolory były intensywne, rysunek misterny, wręcz koronkowy, a zwierzak wyglądał jak żywy. Lacey

uniosła wzrok. – Kiedy powiedziałeś, że rzeźbisz w kości... Myślałam, że to będzie coś takiego jak normalnie... Statki na zębach wieloryba, te sprawy.

Bobby zaśmiał się serdecznie.

– Od tego zaczynałem, ale szybko mi się znudziło.

– Och, Bobby... – Uniosła do oczu jedną z jego brosz. – Masz wielki talent. Ja tylko lutuję kawałki szkła.

– Doceń swoje dzieła, Lacey – powiedział. – Są naprawdę wyjątkowe.

– Te wzory byłyby piękne nawet na papierze – ciągnęła. – A ty je wyrzeźbiłeś w...

– Wygrawerowałem – poprawił. To był powszechny błąd.

– A ten materiał? Co to jest?

– To jest cios mamuta włochatego – wskazał broszę, którą trzymała w dłoni. – Ma dziesięć tysięcy lat.

– Żartujesz? – Lacey roześmiała się głośno. – Czy to jest legalne?

– Tak – potwierdził. – I sporo kosztuje.

Przez kolejne dwie godziny opowiadał jej o grawerowaniu kości, starając się nie myśleć o tym, że Elise nie dzwoni. Podczas tej rozmowy dwa razy wyjmował telefon z kieszeni, żeby sprawdzić, czy jest włączony i naładowany.

Lacey dokładnie obejrzała wszystko, co przywiózł ze sobą. Wielu detalom przyglądała się przez lupę, aby lepiej zobaczyć subtelne kropkowanie. Kręciła głową z podziwem, wypytywała go o technikę. Była zafascynowana. Gdyby zamierzał zostać w Kiss River na dłużej, pewnie zgłosiłaby się do niego na lekcje.

O pierwszej Bobby i Mackenzie wsiedli do busa i ruszyli zwirową drogą, zostawiając za sobą dom latarnika. Na tylnym siedzeniu jechała torba z rzeczami, które dziewczynka zabrała na noc do babci, a ona sama siedziała z przodu. Oczywiście nie obyło się bez marudzenia, że to niebezpieczne; uspokoiła się, dopiero gdy Bobby powiedział jej, że w starym „ogórku” nie ma ani jednej poduszki powietrznej. Pasy bezpieczeństwa kazał zainstalować już dawno. Nie było natomiast klimatyzacji, co Mackenzie również skrytykowała. Niestety, w środku było duszno, chociaż Bobby otworzył wszystkie okna, jakie tylko dały się otworzyć.

– Żeby chociaż nikt mnie nie zobaczył w tej konserwie na kółkach – mruknęła, kiedy „ogórek” toczył się powoli wyboistą zwirową drogą.

– Wielu ludziom podobają się takie busy – poinformował ją Bobby.

– Komu na przykład?

– Na przykład twojej mamie. Co prawda to było wiele lat temu...

– Moja matka prędzej by umarła, niż wsiadła do takiego gruchota – oznajmiła Mackenzie, odwracając szybko głowę. Zrozumiał, że wstrząsnęły nią jego słowa, ale nie wiedział, co ma teraz powiedzieć, aby złagodzić jej ból.

Po chwili krępującej ciszy Mackenzie znowu na niego spojrzała.

– Jesteś całkiem łysy.

– Żartujesz! – Spojrzał w lusterko, udając zaskoczenie. – Kiedy to się stało?

Przewróciła oczami.

– To dla mnie trochę drażliwy temat – przyznał się Bobby.

– Nie jest tak źle – odparła. – Po prostu mówię, co widzę.

To chyba miały być przeprosiny; na nic więcej nie mógł liczyć. Uznał, że lepiej zmienić temat.

– Chyba bardzo lubisz zwierzęta?

Mackenzie wzruszyła ramionami.

– Lubię.

– W Arizonie miałaś jakieś zwierzę?

– Moja matka była alergiczką.

– Aha. Przykro mi. – Bobby włączył radio. – Znalazłaś jakąś fajną miejscową stację?

Wyciągnęła rękę w stronę deski rozdzielczej.



– Gdzie jest przycisk do wyszukiwania?

Roześmiał się.

– Niestety, trzeba ręcznie – wyjaśnił. – To znaczy tym pokrętle.

Mackenzie kręciła gałką, aż wreszcie znalazła piosenkę, której nigdy nie słyszała. Śpiewał jakiś chłopak; sądząc po głosie, jeszcze przed mutacją.

Radio grało przez całą drogę. Bobby cieszył się, że coś wypełnia ciszę. Zdawał sobie sprawę, że poważnej rozmowy nie unikną, ale na szczęście mogła jeszcze poczekać.

Wycieczka się udała. Na miejscu przesiadli się do dużego chevroleta suburban. Razem z nimi jechało jeszcze sześć osób, w tym dwoje dzieci w wieku Mackenzie. Trasa najpierw wiodła wzdłuż plaży. Młoda przewodniczka w stroju safari opowiadała o ekosystemie lasów nadmorskich i widać było, że dzieciaki się nudzą. Kiedy jednak pojawiły się konie, Mackenzie natychmiast się ożywiła.

– Można wysiąść i je pogłaskać? – zapytała. Przewodniczka potrząsnęła głową.

– To dzikie zwierzęta – wyjaśniła. – Wyglądają łagodnie, ale pozory mylą.

Wszystko wskazywało na to, że koniom dobrze się żyje. Miały pełne, okrągłe brzuchy, były zadowolone i żadne samochody im nie zagrażały. Najwidoczniej to było jedyne wyjście przenieść je tutaj, na to odludzie.

Kiedy tylko znaleźli się z powrotem w przegrzanym busie, Mackenzie sięgnęła po komórkę wiszącą na pasku szortów i otworzyła klapkę.

– Mackenzie, możesz poświęcić mi chwilę? – poprosił. Zresztą, pewnie nie miała zasięgu. Byli daleko na północy. Jego telefon nie działał. W ciągu ostatniej godziny Bobby sprawdzał go kilka razy.

Dziewczyna posłała mu niechętnie spojrzenie i sapnęła z irytacją. Odłożyła telefon na kolana i wbiła wzrok w okno.

– Cały dzień nie miałam kontaktu ze znajomymi – burknęła pod nosem.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – odparł Bobby.

– Wszyscy chcą ze mną rozmawiać! – prychnęła. – Szczęściara ze mnie.

Udał, że nie usłyszał, ale coraz lepiej rozumiał, dlaczego Lacey trudno z nią wytrzymać.

– Staram się wyobrazić sobie, co teraz przeżywasz – zaczął. – Co czujesz. I nie potrafię. Po prostu nie umiem. Chciałbym dowiedzieć się od ciebie.

Mackenzie milczała długo, aż wreszcie spojrzała na niego.

– Czy moja matka była puszczalska? – zapytała.

Oj. Takiego pytania się nie spodziewał.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? – odpowiedział pytaniem.

Dziewczyna bez słowa odwróciła się do okna.

– Nie, twoja matka nie była puszczalska, nic z tych rzeczy – podjął Bobby. – Młodzi ludzie czasami popełniają błędy. Normalka, kiedy się dorasta.

Od razu się zorientował, że źle trafił.

– Ja byłem jej największym błędem – oznajmiła Mac-kenzie.

– Jestem pewien, że nigdy tak o tobie nie myślała.

Milczenie.

– Czy kiedykolwiek dała ci to do zrozumienia? – zapytał.

Potrząsnęła głową, a Bobby dostrzegł na jej policzku łzy. Jasna cholera.

– Chcę, żeby wróciła – szepnęła Mackenzie.

Zastanawiał się, co powiedzieć. Może się zatrzymać, zjechać na pobocze, przyszło mu do głowy – ale co potem? Przytulić ją? To wydawało się niewłaściwe, a poza tym był pewien, że ona by go odepchnęła. Jechał więc dalej, nie zdejmując nogi z gazu.

– Wiem, że jest ci ciężko – odezwał się w końcu. – To niesprawiedliwe. Była za młoda, żeby odejść, tak samo jak ty jesteś za młoda, żeby stracić matkę. Bardzo ci współczuję.

Nie odpowiedziała, ale jej płacz powoli ucichł. Po chwili już tylko chlipała, a potem włączyła radio.

Do Kitty Hawk mieli spory kawałek. Kiedy dotarli już na obrzeża miasteczka, Bobby zaczął

grzebać w pamięci, usiłując przypomnieć sobie, gdzie kiedyś mieszkała Jessica. Miał wrażenie, że wszystko wygląda teraz zupełnie inaczej. Więcej domów, znacznie więcej sklepów. Gdy zdawało mu się, że ma już przed sobą właściwe skrzyżowanie, zwolnił, szykując się w duchu na spotkanie z Nolą Dillard po dwunastu latach. Bywał u Jessiki wiele razy. Nola zawsze była wtedy w pracy, a jej łóżko było duże.

– Dokąd jedziesz? – zapytała Mackenzie, kiedy zaczął skręcać.

– Do twojej babci – odparł.

– Przecież ona mieszka w Nag's Head.

– Aha. – Nola się przeprowadziła. Tego nie wziął pod uwagę. Zrobił szybką nawrotkę i wyjechał na Croatan Highway.

Dzięki wskazówkom Mackenzie trafił w końcu na miejsce. Ten dom był większy i nowszy niż tamten, w którym kiedyś mieszkała Jessica. Stał nad laguną, a dookoła budowały się kolejne, bardzo podobne. Bobby odprowadził dziewczynkę do drzwi. Czuł się nieswojo, wyjątkowo nieswojo.

Gdy Nola otworzyła, Mackenzie bez słowa wmaszerowała prosto do salonu. W przelocie mignęła mu jeszcze otwierana komórka.

– Dzień dobry, pani Dillard – przywitał się. Prawie się nie zmieniła. Białe włosy. Granatowy kostium. Była może trochę mniej opalona, a rysy twarzy miała jakby rozmyte, co się czasem widuje u kobiet po zbyt wielu operacjach plastycznych. Zmierzyła go lekko zaskoczonym wzrokiem.

– Nigdy bym cię nie poznała – odezwała się wreszcie. Odpowiedział uśmiechem, dzielnie opierając się pokusie, aby tu i teraz przeprosić ją za wszystkie swoje złe uczynki.

Nola nie miała zamiaru zapraszać go do środka – nie zdjęła nawet dłoni z gałki u drzwi.

– Lacey mówiła, że zabrałeś Mackenzie na północ, do dzikich koni.

– Tak jest. – Czuł, jak słońce parzy go w głowę. – Chyba miło spędziła czas. Lubi zwierzęta.

Nola zerknęła za siebie.

– Jeśli mam być szczerą, to nie jestem zachwycona, że Lacey pozwoliła jej pojechać z tobą – oznajmiła. – Chodzi mi o to, że tak krótko się znacie.

– Właśnie chciałem poznać ją lepiej i...

– I co? – weszła mu w słowo. – Poznałeś?

– Wydaje mi się, że trochę tak.

Zacisnęła wargi.

– Domyślam się, co pani o mnie myśli, i rozumiem to – przyznał Bobby. – Kiedyś byłem... – ugryzł się w język, zanim powiedział „dupkiem”. – W czasach, kiedy znałem Jessicę, byłem głupi. Ale zmądrzałem. W porządku?

– Po prostu nie pojmuję, po co to wszystko – odparła Nola. – Mackenzie i bez tego ma już dosyć zmartwień.

Skinął głową, starając się okazać zrozumienie.

– Lacey uznała, że tak należy zrobić.

– Ona sama jest jeszcze dzieckiem – skwitowała.

Wtedy dotarło do niego, że ta rozmowa nie ma sensu i raczej nigdy go nie nabierze.

– No cóż – rzekł. – Będę się zbierał. Miłego dnia z wnuczką.

Odwrócił się i ruszył do swojego busa. Żał mu było Mackenzie, która najbliższe dwadzieścia cztery godziny musiała spędzić w domu swojej babci, gdzie wiało chłodem jak w zamku Królowej Śniegu.

## Rozdział dwudziesty piąty

Faye weszła do schowka, który mieścił się na niższym poziomie rezydencji Jima, i nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, bo miał rozmiary małego pokoju. Jim wysłał ją tam po materace i inne basenowe akcesoria, co, jak się właśnie okazało, mogło stanowić nie lada wyzwanie. Wzdłuż wszystkich ścian wysoko piętrzyły się stosy pudeł, narzędzi, kuchennych przyborów i naczyń oraz tysiąc innych rzeczy, do wyboru, do koloru. Nie wiedziała nawet, gdzie zacząć szukać. Wyszła ze schowka i stanęła na dole schodów.

– Jim! – zawołała.

Wiedziała, że poszedł do kuchni, aby nalać im wina. Poprzedniego dnia zlecił napuścić wodę do basenu i jacuz-zi; dzisiejszego wieczoru mieli po raz pierwszy wykąpać się razem. Jim dawno stracił ochotę na pływanie w basenie; stało się to wtedy, gdy stan jego żony się pogorszył.

– Alice uwielbiała w nim pływać – powiedział. – Później nie potrafiłem się zmusić, żeby wejść do wody.

Za dobry znak Faye uznała to, że znowu nabrał chęci.

– Znalazłaś materace? – odkrzyknął z kuchni.

– Wybacz, ale nie wiem, od czego zacząć! – przyznała się. – Dasz mi jakieś wskazówki?

Z góry dobiegł ją śmiech.

– Zaraz przyjdę! – obiecał Jim. – Poczekaj chwilę.

Faye wróciła do schowka i przysiadła na wysokim kufrze. To jest jeden z najdziwniejszych momentów w związku, pomyślała: kiedy zaczynasz się czuć jak u siebie w domu swojego partnera. Przygotujesz posiłek – przez ostatnich kilka tygodni robiła to już kilka razy. Przywieziesz sobie szczoteczkę i pastę do zębów, szampon i szlafrok i zostawisz w łazience dla gości. Usiądziesz w ogromnym schowku pełnym osobistych rzeczy, gdzie od dwóch dekad nikt nie zrobił generalnych porządków. I zobaczysz życie swojego kochanka poustawiane pod ścianami, porozkładane na półkach.

Upominała się, że jeszcze za wcześnie mówić mu: kocham, ale zdarzały się chwile, kiedy miała te słowa na końcu języka. Byli ze sobą naprawdę świetnie zgrani. Intelktualnie, zawodowo, fizycznie. Nigdy nie spodziewała się, że jest w stanie nawiązać taką partnerską relację z mężczyzną, i na razie wciąż jeszcze nie mogła się otrząsnąć z zaskoczenia.

Do schowka wszedł Jim. Podał jej kieliszek chardonnay. Stał na środku i rozejrzył się dookoła.

– Straszny bałagan – powiedział ze skrucą. – Wstyd mi, że musisz to oglądać. Po śmierci Alice zebrałem basenowe sprzęty i wrzuciłem je tutaj, nie myśląc o tym, że kiedyś będę jeszcze czegoś potrzebował.

– Byłeś w żałobie. – Uniosła na niego wzrok, bo wciąż siedziała na kufrze.

Wypił łyk wina.

– Powiedziałbym, że to raczej... Sam nie wiem. Nie chciało mi się? Było mi wszystko jedno?

– Depresja.

– Chyba tak – zgodził się, jak gdyby nigdy wcześniej na to nie wpadł. – Bardzo, bardzo długo nie miałem ochoty absolutnie na nic. – Podeszedł do niej i lekko stuknął kieliszkiem w jej kieliszek. – A ty to zmieniałaś. Dziękuję.

Faye wstała i uważając na trzymane w palcach szkło, zarzuciła mu ręce na szyję, aby sięgnąć ustami jego ust. Najchętniej zamiast nad basen poszłaby prosto do sypialni. Z Jimem odkryła seks na nowo. Właściwie odkrywała go z nim po raz pierwszy.

A on wszystkiego się domyślił.

– Możemy trochę poczekać? – poprosił z uśmiechem. – W tej chwili jestem mocno spięty, bo mam jeszcze sporo do zrobienia. Nie dam rady się odprężyć, a byłoby cudownie pójść z tobą do łóżka po kąpieli w basenie, a potem w ciepłej wodzie z bąbelkami.

Nie tylko basen poszedł w zapomnienie: krótko przed śmiercią żony Jim całkiem zaniedbał

sprawy domowe. Wszystkie rachunki, kwity i różne ważne dokumenty, które przysłano mu w tym czasie, piętrzyły się na biurku w gabinecie – niedaleko, bo w tym samym korytarzu, co schowek. Faye zamierzała mu to ułatwić, bo widziała, że nareszcie odzyskuje energię, aby uporządkować swoje życie.

– Mam pomysł – powiedziała, opuszczając ręce. – Idź do gabinetu i zajmij się papierami, a ja poukładam rzeczy w tym schowku.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby postradała zmysły.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

– Lubię robić porządki – oznajmiła z naciskiem. Jej mąż mówił, że ma fioła na tym punkcie, i właściwie się z nim zgadzała. Czuła satysfakcję, kiedy wszystko znajdowało się na właściwym miejscu. W przyczepie, najwyżej dwa razy większej niż ten schowek, opanowanie bałaganu stanowiło nie lada wyzwanie.

– Naprawdę? – upewnił się Jim.

Faye skinęła głową.

– Zostawię otwarte drzwi, żebyśmy mogli rozmawiać – zdecydował.

– Potrzebuję trochę dużych worków na śmieci.

Odstawił kieliszek z winem i sięgnął na jedną z najwyższych półek, po czym zdjął stamtąd paczkę czarnych worków.

– Obiecuj mi tylko, że jeśli coś będzie wyglądało na ważne, nie wyrzucisz tego bez konsultacji ze mną – poprosił, kładąc worki u stóp Faye.

– Oczywiście – obiecała. – Idź już. – Podała mu kieliszek i delikatnie popchnęła go w kierunku drzwi.

Zaczęła od regału stojącego w rogu pomieszczenia; zmiotła z półek cały szereg przeróżnych szpargałów, poczynawszy od butów męskich, na starych pojemnikach do przechowywania żywności kończąc. Przez otwarte drzwi dobiegał szelest papierów w dużym gabinecie; słysząc ten odgłos, Faye zastanawiała się, w jakim nastroju będzie Jim, kiedy skończy. Na pewno wiele z nich przypomni mu o Alice. Być może znajdzie tam starą dokumentację medyczną. Akt zgonu. Rachunki za leczenie. Na ogół pogodny i pozytywnie nastawiony do życia, Jim wciąż jeszcze zmagał się z bólem po stracie żony. Nie ukrywał tego przed Faye, a ona czuła się wyróżniona jego zaufaniem.

Segregowała wszystko: sprzęty kuchenne trafiały w jedno miejsce, ubrania w drugie, czasopisma i książki w trzecie. Przez jej ręce przechodziły stare narzędzia i części samochodowe, dwa żelazka, dawno przestarzały robot kuchenny oraz srebrny serwis do herbaty, pokryty grubą warstwą nalotu. Co za niedbalstwo, pomyślała, ostrożnie zdejmując serwis z półki. I krzyknęła głośno, gdy odkryła, co jest schowane za nim, w głębi. To był... pistolet.

– Co się stało? – zawołał Jim z gabinetu.

Głos uwiązał jej w ściśniętym gardle, nie była w stanie wypowiedzieć tego słowa. Chwilę później Jim pojawił się w drzwiach.

– Po co ci broń w domu? – zapytała, tkwiąc jak słup soli na środku schowka, z pięścią przyciśniętą do ust.

– Broń? – Podążył za jej wzrokiem. – Aha. – Roześmiał się. – Od lat jej nie widziałem. Kiedy się tutaj sprowadziliśmy, Alice uparła się, żebyśmy kupili broń do domu. W tej okolicy były niebezpieczne włamania – wyjaśnił, sięgając po pistolet.

– Zostaw to! – zawołała Faye.

– Nie jest nabyty.

– Wszystko jedno. Nie cierpię broni.

– Ja też nie przepadam – przyznał Jim. – Wyrzucę to. Do śmieci.

Znów wyciągnął rękę, a ona rzuciła się w przód, chwytając go za ramię.

– Nie rób tego!

– Faye... – szepnęła, zdumiony jej irracjonalną reakcją, ale ona nie mogła się powstrzymać. Było jej wstyd, bo to już naprawdę zakrawało na nerwicę i mogło skończyć się tylko w jeden sposób: długą rozmową, której wolałaby uniknąć. Nie dalej jak przed dwoma tygodniami wyznała mu, że jej mąż zabił

człowieka. Zrobiła to z własnej woli i ludziła się, że na tym poprzestanie. Chciała, aby jej życie szło naprzód. Nie miała ochoty już nigdy oglądać się na przeszłość.

Opuściła dłoń zaciśniętą na ramieniu Jima.

– Na pewno nie jest nabity? – upewniła się.

– Na pewno – przytaknął po zastanowieniu. – A przynajmniej nie pamiętam, żeby ostatnio był...

Minęło już tyle czasu. Kiedyś rzeczywiście go ładowaliśmy, ale...

– W takim razie nie dotykaj go, proszę. Skoro nie jesteś pewny.

– Więc jak mam go wyrzucić?

– Ja to zrobię – odparła. – Wyjdź stąd, a ja sprawdzę, czy w środku są naboje. Jeśli tak, to je wyjmę i wyrzucę wszystko razem.

– Nie ufasz mi? – zapytał. Faye zdała sobie sprawę, że właśnie tak to musi wyglądać. A przecież męska cierpliwość ma swoje granice.

– Ufam – zapewniła. – Ja tylko... Proszę cię, pozwól mi to zrobić. Chcę to mieć pod kontrolą.

– Umiesz obchodzić się z bronią?

– Nie, ale to chyba nic trudnego rozładować zwykły pistolet.

Jim przyglądał się jej przez długą chwilę, a potem wyciągnął rękę.

– Chodź. – Wyprowadził Faye ze schowka. Nie opierała się. Wyszli tylnymi drzwiami, a kieliszki z winem, zapomniane, zostały w środku. Przecięli taras nad basenem, kierując się na skraj posesji Jima, gdzie stała ławka z kutego żelaza. Roztaczał się stąd widok na dzielnicę La Jolla, a w dali jaśniał Ocean Spokojny. Chmurzyło się trochę, jak to często bywa w tych stronach, ale dzięki temu powietrze było chłodniejsze, a wypełniony rezydencjami, zielenią i morskim błękitem krajobraz malował się w stłumionych barwach i przepelniał Faye zachwytem. Nagle wydało jej się, że ten pistolet znaleziony w schowku został gdzieś bardzo daleko, i zaczęła się wstydzić swojego historycznego zachowania. Mimo to, siadając na ławce, wciąż się trzęsła.

– No dobrze. – Jim też usiadł, pochylił się i oparł łokcie na kolanach. Dłonie złożył razem. – Czy to ma coś wspólnego z twoim mężem? – zapytał, oglądając się na Faye. – Z tamtym morderstwem? Chodzi o to, że on kogoś zastrzelił?

Przytaknęła tylko bez słowa, bo w ustach zaschło jej tak bardzo, że nie mogła mówić.

– Chyba już czas, żebyś opowiedziała mi wszystko – stwierdził Jim. – W porządku?

– Poniosło mnie – próbowała jeszcze się wykręcić. – Głupio się zachowałam.

Wiedziała jednak, że tym razem już się nie da.

– Jak on miał na imię? – zapytał Jim. – Twój mąż?

– Zach – odparła. – Był... – Potrząsnęła głową, czując dobrze jej znaną frustrację. Zastanawiała się nad tym od przeszło dziesięciu lat i wciąż nie mogła zrozumieć, co się z nim wtedy stało.

– Mieliśmy całkiem udane małżeństwo – podjęła po chwili. – Zach był... no, wiesz... Był porządnym człowiekiem. I świetnym ojcem. Freddy, nasz syn, miał piętnaście lat, kiedy... to się stało. Przechodził właśnie okres młodzieńczego buntu, ale Zach mimo wszystko dobrze się z nim dogadywał. Ciągłe powtarzał, że takie zachowanie u nastolatka jest normalne, że on też był taki i muszę dać chłopakowi trochę luzu. Byli blisko ze sobą.

Przypomniała sobie wcześniejsze, szczęśliwe lata, zanim u jej syna zaczęła się burza hormonalna.

– Freddy był moim oczkiem w głowie – powiedziała. – Moim małym królewiczem. Bo potem zbliżyli się z Zachem.

Czasami miała wrażenie, że w ogóle się dla nich nie liczy. Dwóch mężczyzn rozmawiało o sporcie, o rybach. Cieszyła się bardzo, że łączy ich tak silna więź, ale czasem czuła się zbędna.

– Jakim był mężem? – zapytał Jim.

Nie odpowiedziała od razu.

– Nigdy nie kłóciliśmy się o nic, z wyjątkiem pieniędzy – odparła wreszcie. – Skończyłam kurs pielęgniarski i miałam etat w szkole, ale zawsze chciałam pójść na studia i pracować w szpitalu. Tylko że tam, gdzie mieszkaliśmy, nie mogłam nawet o tym marzyć. To była maleńka nadmorska miejscowość. Zach czuł się tam świetnie i w ogóle nie brał pod uwagę przeprowadzki do większego miasta. Z drugiej

strony powiedział mi, że kiedy Freddy skończy szkołę, zamieszkamy, gdzie tylko sobie zażyczę. Po prostu uważał, że Manteo jest najlepsze dla dorastającego chłopca. On też się tam wychował.

– Czyli musiałaś odłożyć swoje marzenia na później, tak?

– Tak, ale pogodziłam się z tym. Wiedziałam, że wcześniej czy później dostanę tę szansę.

– A gdzie pracował twój mąż... Zach?

– Skończył studia. – Faye podciągnęła kolana pod brodę i oplotła je ramionami. – Poznaliśmy się na uczelni. Miał licencjat z socjologii. Ale tak bardzo kochał Manteo, że sprowadziliśmy się tam po ślubie. Na pracę zgodną ze swoim wykształceniem nie miał, oczywiście, żadnych szans, więc zatrudnił się w jednym z niedużych sklepów.

Zachary, mąż Faye, sprzedawał turystom klapki i krem do opalania.

– Był zadowolony – dodała. – Chociaż jego pensji ledwie starczało na rachunek za telefon.

– A jednak – zauważył Jim – to dobrze świadczy o człowieku, gdy potrafi żyć tak skromnie.

– Masz rację – zgodziła się. – I już wtedy o tym wiedziałam. Myślałam sobie, że to wielkie szczęście mieć męża z tak pozytywnym nastawieniem do życia.

– Zupełnie zmienił nastawienie, skoro kogoś zabił.

Faye potrząsnęła głową.

– Nagle coś w nim pękło. – Strzeliła palcami. – Był... Właściwie to do dzisiaj nie wiem, co się stało. W pewnym momencie... po prostu przestaliśmy się rozumieć. Ja coś mówiłam, a jego to wkurzało. Przesadzał z alkoholem. Zawsze sporo pił, ale upijał się tylko czasem. I zaczął urządzać mi awantury. Tak to przynajmniej wyglądało: o wszystko się wyklócał. Nigdy mnie nie uderzył, nic z tych rzeczy, ale wydzierał się na mnie. Wyzywał od najgorszych. – Aż się wzdrygnęła na to wspomnienie. – Nigdy przedtem nie odzywał się w ten sposób, a przecież byliśmy już szesnaście lat po ślubie. Miałam wrażenie, że kiedy nie krzyczy, to w ogóle się do mnie nie odzywa.

– Chorował na depresję? – zapytał Jim. – To wszystko są kliniczne objawy depresji. On powinien się leczyć.

– Tak, z perspektywy czasu nie mam wątpliwości, że to była depresja – potwierdziła Faye. – Ale wtedy tego nie rozumiałam. Widziałam tylko, że się zmienił, i czasami... No cóż, zaczynałam się go już bać. Tak jak mówiłam, nigdy mnie nie uderzył, ale wydawało mi się, że to tylko kwestia czasu. To moja wina, że nie przekonałam go, aby poszedł do lekarza. W końcu byłam pielęgniarką. Powinnam zauważyć, że potrzebna mu pomoc, i to bardzo. Ale w jego zachowaniu na moje oko było więcej gniewu i frustracji niż depresji. Nie poznałam się na tym.

Jim milczał, czekając, żeby mówiła dalej. Wiszące w oddali chmury uniosły się trochę, a w blasku słońca dachy pobliskich rezydencji zarysowały się ostrzejszymi konturami.

– Zach miał dwa pistolety – podjęła Faye. – W okolicy wiele osób trzymało w domu broń. U nas była pod kluczem, żeby nie wpadła w ręce Freddy'emu. – Do dzisiejszego dnia wyrzucała sobie, że nie wymogła na mężu, aby pozbył się z domu broni. Czy to mogłoby odmienić bieg wydarzeń? – Sąsiedzi mieszkali bardzo blisko. – Wciąż nie potrafiła przyznać się Jimowi, że jej domem była przyczepa stojąca na polu kempingowym wśród innych przyczep. – Kiedy się kłóciliśmy, wszystko słyszeli. Zach miał tubalny, donośny głos, a jego wrzaski niosły się po okolicy. W wigilię Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku zadzwoniła do mnie kobieta pracująca w schronisku dla kobiet doświadczających przemocy. Powiedziała, że skontaktowały się z nią dwie osoby, które obawiają się o bezpieczeństwo moje i mojego syna. Jedną z nich była podobno nasza sąsiadka. Kobieta ze schroniska nie zdradziła, o kogo chodzi. Drugi dzwoniący przedstawił się jako znajomy Zacha i tak samo powiedział, że boi się, że mąż zrobi mi krzywdę. Do dzisiaj nie wiem, kim byli ci ludzie. Ta kobieta ze schroniska – nazywała się Annie O'Neill – poradziła, bym natychmiast przyjechała tam z synem.

Na ławce, skąd jak okiem sięgnąć roztaczał się pejzaż wychuchanych prywatnych działek, usiany błękitnymi basenami w kształcie orzecha nerkowca, ta historia brzmiała nedorzecznie i wręcz odrażająco.

– W pierwszej chwili pomyślałam, że to absurd – mówiła dalej Faye. – Powiedziałam tej pani O'Neill, że mój mąż robi tylko dużo hałasu i nigdy nas nie tknął nawet palcem. Ale ona zaczęła mi

tłumaczyć, że dla osób przeżywających jakieś trudności święta to wyjątkowo stresujący czas. I dodała, że tamten znajomy Zach podobno bał się, że on jest chory psychicznie, a poza tym wiedział, że w domu trzyma broń. Kiedy to usłyszałam, wydawało mi się, że już dłużej nie mogę się tego wypierać. Ktoś obcy zauważył, że Zach się zmienił. To nie był tylko mój wymysł.

Przestała właściwie dostrzegać Jima, który siedział tuż obok. Wydarzenia z przeszłości, po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat opowiedziane prawdziwymi słowami, na głos, zaczynały żyć własnym życiem.

– Zach ponoć powiedział też, że wkrótce zrobi użytek ze swoich pistoletów. Tak twierdził ten jego znajomy. Nie wiedział, co to miało znaczyć i kogo zamierzał zabić: mnie, Freddy’ego, siebie czy może całą naszą trójkę. Wtedy poczułam strach. Pomyślałam, że nie znam własnego męża. Zresztą, Bogiem a prawdą, właśnie tak było. Nie wiem, w kogo on się zmienił, ale to nie był mężczyzna, za którego wyszłam. A jeszcze Annie dodała, że nawet gdyby nie zależało mi na sobie, mam obowiązek zapewnić bezpieczeństwo mojemu synowi. Była bardzo przekonująca i w końcu namówiła mnie, żebym przyjechała do schroniska. Wciąż nie mieściło mi się w głowie, że Zach mógłby zrobić nam krzywdę, ale jej zdaniem nie mogliśmy ryzykować, że dojdzie do nieszczęścia. I miała rację. Zabrałam Freddy’ego od znajomych i powiedziałam mu, że musimy jechać do schroniska dla kobiet.

Faye potrząsnęła głową, gdy przypomniała sobie reakcję syna.

– Był wściekły! W ogóle nie mógł tego zrozumieć i wciąż powtarzał, że nie możemy zniknąć z domu bez słowa, zwłaszcza w Wigilię. Płakał, kiedy odjeżdżaliśmy. Czułam się potwornie. Dręczyły mnie obawy, że Freddy ma rację i jednak głupio robimy, że przesadziłam – a jednak okazało się, że Annie O’Neill uratowała nam obojgu życie.

– Zach dostał szału i zaczął was ścigać?

– Nie. Po przyjeździe do schroniska byliśmy... Najlepiej chyba będzie powiedzieć: nieszczęśliwi. Ale na miejscu zajęła się nami Annie, która... – Faye znów potrząsnęła głową, wspominając naturalne piękno tamtej rudowłosej kobiety, jej życzliwy uśmiech, dotyk pełen ciepła, chropawy głos. Gdyby Annie nie starała się pomóc jej i Freddy’emu, dzisiaj wciąż by żyła. – Była jedną z tych osób, które sprawiają, że od pierwszej chwili czujesz się jak ich przyjaciel. Wiedziała, jak otoczyć człowieka troską. Wydawało mi się, że mogę oddać jej moje zmartwienia, a ona udźwignie je za mnie. – Odwróciła wzrok, spoglądając na Jima. – Wiesz, o czym mówię?

Skinął głową.

– Chyba tak.

– Annie umieściła nas w pokoju, gdzie mieszkała już inna kobieta z dwoma synami. Właściwie trudno wyobrazić sobie smutniejsze miejsce do spędzenia Wigilii niż tamten przepełniony dom, ale Annie i pozostałe kobiety, które go prowadziły, były cudowne. Robiły wszystko, żeby stworzyć radosną atmosferę. Mieliśmy prawdziwą choinkę, grały kolędy. Tylko że tak daleko od własnych czterech kątów niełatwo się szczerze czymś cieszyć, a na dodatek Freddy przestał się do mnie odzywać. Wciąż tylko płakał.

To były łzy gniewu, nie smutku. Syn był na nią zły, że przywiozła go w takie miejsce.

– Spędziliśmy tam jedną noc – mówiła dalej Faye. – Nie zmrużyłam oka. Wciąż myślałam o tym, co Zach pomyśli, kiedy wróci do domu i zobaczy, że nas nie ma. Zostawiłam dla niego wiadomość, że nic nam się nie stało, ale na jakiś czas musimy go opuścić, żeby mógł poszukać dla siebie pomocy. Tak naprawdę nie wiedziałam, co mu napisać. Wciąż wspominałam, jaki był kiedyś, jakie piękne święta mieliśmy we trójkę. Chciałam do niego zadzwonić, sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale to, oczywiście, w schronisku jest zabronione.

Jim milczał, ale ona chciała już, żeby coś powiedział. Tymczasem on wciąż siedział w tej samej pozycji, z łokciami na kolanach, i spoglądał na estetycznie nieskazitelną krajobraz otaczający jego nieskazitelnie estetyczną posesję. Prawdopodobnie zastanawiał się przy tym, jak to się stało, że wpuścił taką kobietę do swojego równie estetycznego i nieskazitelnego życia.

– Następnego dnia, w Boże Narodzenie – podjęła – Annie nie było rano w schronisku, ale przyjechało kilka innych kobiet. Przywiozły prezenty dla dzieci. Fred powiedział, że nic nie chce.

Siedział nadąsany w kącie. Ja starałam się pomagać innym – było tam nas razem sześć, plus grupka dzieci – bo pomyślałam sobie, że jeśli dzięki mnie łatwiej im będzie przeżyć ten dzień, to i ja sama poczuję się lepiej.

I tak właśnie było. To, co ją spotkało, wydawało się niczym w porównaniu z opowieściami tamtych kobiet, często pobitych i posiniaczonych. Jedna miała złamaną rękę. Faye znów ogarnęły wątpliwości, czy nie przesadziła, uciekając z synem do schroniska.

– Po południu wróciła Annie – mówiła dalej. – Przywiozła ze sobą córkę.

Dziewczynka miała trzynaście lat i była miniaturową kopią swojej mamy. Faye często zastanawiała się, co się z nią potem stało.

– Kilka wolontariuszek przygotowało dla nas posiłek, prawdziwą ucztę. Staliśmy z talerzami w kolejce, jak do bufetu. I nagle zjawił się Zach. Chyba nikt później nie wyjaśnił, skąd wiedział, gdzie jest schronisko. To miał być azyl, bezpieczna kryjówka dla prześladowanych kobiet. Drzwi zawsze były zamknięte na klucz, ale on wyważył je ramieniem. Był duży i silny. Stał na progu i obrzucał mnie wyzwiskami. W dłoni miał pistolet. Mierzył prosto we mnie.

Jim wyprostował się, objął Faye ramieniem.

– Straszne – powiedział.

– To prawda. – Skinęła głową. – Ale nagle pomiędzy nim a mną stanęła Annie. Kazała mu opuścić broń. I skończyło się tak, że zamiast do mnie strzelił do niej. – Wspomnienie tamtej chwili było nie do zniesienia i Faye się rozplakała. – Ja już... Nie wiedziałam, kim on jest. Po prostu oszalał. A Annie umarła.

– Boże...

– Umarła, bo chciała uratować mnie i Freddy'ego. Gdyby nie zależało jej na nas tak bardzo – a przecież byliśmy dla niej zupełnie obcy – nie ściągnęłaby nas do tego schroniska i już byśmy nie żyli. Jestem tego pewna. A tak to ona umarła, a my żyjemy.

Jim przygarnął ją do siebie.

– Bardzo mi przykro z tego powodu – powiedział. – Ale cieszę się, że ty i twój syn przeżyliście.

Faye ułożyła głowę na jego ramieniu, mrużąc oczy przed blaskiem słońca, który w tym momencie rozlewał się po całym niebie. Przez jakiś czas siedziała w milczeniu, myślami wciąż pozostając daleko, aż w Outer Banks.

– Już wcześniej ludzie nazywali ją świętą Anną – odezwała się w końcu. – Możesz sobie wyobrazić, co było potem.

– A co się stało z Zachem?

– Poszedł do więzienia, a ja od razu złożyłam pozew o rozwód. Przeniosłam się z Freddyem do Kalifornii i spełniłam swoje marzenie – skończyłam studia pielęgniarские. Przeszłość starałam się wymazać z pamięci. Niestety, Fred mi nie wybaczył. Mówił, że ojciec oszalał dlatego, że uciekliśmy w święta z domu i został zupełnie sam. Nigdy do niego nie dotarło, że Zach zachorował znacznie wcześniej.

Jim odetchnął głęboko.

– Wierzyć się nie chce, że tyle przeżyłaś.

– Źle mi z tym, że już wiesz – wyznała. – Że miałam chorego psychicznie męża. Że mieszkałam w schronisku dla maltretowanych kobiet. Że nienawidzi mnie mój własny syn. Że...

– Hej – cichym głosem przerwał ten słowotok. – To już minęło. A taka przeszłość wiele ci dodaje w moich oczach. Widzę teraz, ile w tobie siły. Podziwiam cię.

– Naprawdę?

– Zobacz, ile przeszkód zdołałaś pokonać – odparł. – Spójrz, ile osiągnęłaś. Przyszło ci kiedyś do głowy, że to była twoja odpłata?

– Nie rozumiem...

– Annie uratowała ci życie, a ty poświęciłaś swoje innym ludziom. Pomyśl o tych wszystkich, którym pomógł twój program leczenia bólu.

Osobiście nie uważała, aby była aż tak szlachetna, ale te słowa poruszyły ją do głębi.



– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób – powiedziała.

Jim odsunął się lekko, odwrócił twarzą ku niej i ujął jej obie dłonie w swoje.

– Chcę, żebyś teraz pojechała do siebie – oznajmił. – Sam znajdę sprzęt do basenu i popływamy razem, kiedy wrócisz wieczorem. A tego pistoletu już tutaj nie będzie.

Zalało ją przemożne poczucie ulgi. Była jak nowo narodzona: czysta i wolna.

– Dziękuję – szepnęła i chciała wstać z ławki, ale Jim nie wypuścił jej dłoni.

– Jeszcze jedno – dodał.

– Co takiego?

Uśmiechnął się do niej, a promienie słońca splotły się ze srebrzystymi nitkami w jego włosach.

– Kocham cię – powiedział.

## Rozdział dwudziesty szósty

Kostiumy kąpielowe i kapelusze z szerokim rondem: w takich strojach Lacey i Gina siedziały na splechietku plaży, kawałek na południe od latarni morskiej, smarując sobie łydki kremem do opalania i obserwując Mackenzie, która bawiła się nad morzem z Rani i Saszą. Miała na sobie swój różowy kostium i trzymała za rękę Rani, która chlupotała nóżkami w płytkiej wodzie przyboju, a Sasza uganiał się dookoła, wesoło przeskakując fale, aż piana tryskała wysoko w powietrze. To było zgrane trio. I bardzo zgodne, przynajmniej w takim składzie. Przez zaledwie dwa i pół tygodnia psa, malucha i dorastającą pannę zdążyła połączyć bliska, mocna więź.

– Nie do wiary, co? – Gina z uśmiechem ogarnęła spojrzeniem całą trójkę.

Lacey domyśliła się, o co chodzi bratowej: rzeczywiście, w towarzystwie Rani Mackenzie z nadąsanej smarkuli zmieniała się w troskliwą opiekunkę. Gdy dziecko pojawiała się w pobliżu, nawet ton jej głosu ulegał natychmiastowej zmianie.

– Tak, wiem – powiedziała. – Ma też zalety.

Gina zrobiła zdziwioną minę, a potem zaczęła się śmiać.

– Mówiłam o Rani – wyjaśniła. – Jeszcze miesiąc temu dostawała hysterii na sam widok oceanu.

Lacey też parsknęła śmiechem.

– Rzeczywiście – zgodziła się, myśląc jednocześnie: Jakie to ciekawe, że dla nas obu pępkiem świata stały się tak zupełnie różne dzieci. – Zrobiła wielkie postępy.

Mackenzie postąpiła do przodu i usiadła na mokrym piasku, gdzie bijące w brzeg fale zalewały ją całą. Skinęła na Rani i poklepała miejsce obok siebie, ale małej zabrakło odwagi: pokręciła główką i trzymała się z daleka, nie spuszczać wzroku ze swojej starszej, odważniejszej koleżanki. Zbliżyła się powoli i stanęła za plecami Mackenzie, po czym poklepała ją delikatnie po jasnych włosach. Lacey przyglądała się temu i lży kręciły jej się w oczach. Rani miała gołębie serce. Trudno było powiedzieć, dlaczego taka jest: czy z powodu doświadczeń wyniesionych z sierocińca, gdzie dzieciom nie wolno było hałasować, a zresztą i tak nikt nie zwracał na nie uwagi, czy może po prostu taki miała charakter. Lacey nie potrafiła tego rozgryźć, ale wruszało ją obserwowanie, jak Rani poszukuje poczucia bezpieczeństwa w świecie.

– Przepada za Mackenzie – zauważyła Gina. – Wiem, że jeszcze nie doszłaś z nią do porozumienia, ale cieszę się, że do nas trafiła. Jest dla Rani bardzo dobra i ma na nią świetny wpływ.

Lacey przytaknęła.

– Jedyna osoba, której tutaj nie znosi, to ja.

– Chyba trochę przesadzasz – zaprotestowała Gina, ale Lacey wiedziała, że w tej sytuacji trudno byłoby wymyślić jakieś lepsze pocieszenie.

– Dzisiaj rano znów zauważyłam, że z mojego portfela zniknęło trochę pieniędzy – poinformowała bratową.

– Pytałaś ją o to?

Potrząsnęła głową.

– Co niby miałabym powiedzieć? Przecież niczego jej nie udowodnię. – Fakt faktem, że zaniedbała ostrożności i nie pilnowała portfela tak, jak należało. – Przynajmniej z Bobbym się dogadują – dodała. – Zabawne, co? W jej rodzinnym domu nigdy nie było żadnego mężczyzny, a tu proszę, przy nim zachowuje się najswobodniej.

Poprzedniego dnia Bobby zabrał Mackenzie na konie, daleko, bo aż do Hatteras. Po raz pierwszy miała siedzieć w siodle. Potem opowiedział Lacey, że nie odzywała się do niego zbyt często, ale też przestała rzucać pogardliwe komentarze po każdym jego słowie. Lacey nie mogła się pochwalić takim osiągnięciem.

– Na pewno jej brakowało ojca – zamyśliła się Gina. – Claya, zdaje się, też polubiła.

– Bo pracuje z psami – odparła Lacey.

– Śmiało, Rani! – zawołała Gina do swojej małej córeczki. – Możesz usiąść obok Mackenzie. Daj jej rączkę, ona będzie cię trzymać.

Rani obejrzała się na mamę i pokręciła głową, po czym wkręciła paluszki jeszcze głębiej we włosy Mackenzie, a wzrok wbiła w nadciągające fale. Jej niebieski kostiumik był jednoczęściowy i zakrywał bliznę po operacji, skóra miała orzechowy odcień, a czarne jak heban włosy sięgały już ramion.

– Bobby podsunął mi, żebym wyznaczyła Mackenzie jakieś domowe obowiązki – powiedziała Lacey. Ten pomysł padł poprzedniego dnia, na siłowni. Wyrobiła mu kartę i zaczęli chodzić tam razem, późnym południem. Ostatnio Lacey częściej rozmawiała z Bobbym niż z Rickiem. Co prawda nie potrafił on słuchać tak dobrze jak Rick, który posiadał sztukę maksymalnego skupienia na drugiej osobie, ale rozmowy z nim były dynamiczne, czego z kolei u Ricka brakowało. – On twierdzi, że trochę odpowiedzialności dobrze jej zrobi – dodała.

– Moim zdaniem ma rację – przytaknęła Gina. – To da jej też więcej poczucia przynależności do rodziny.

– Co jej zlecić, jak myślisz?

– Odkurzanie? Wycieranie kurzy? A może zamiatanie kuchni? Sama wiesz, ile piasku tam nanosimy, a zamiatamy zdecydowanie za rzadko. Przed otwarciem muzeum powinni wymienić podłogę.

– W porządku, zaczniemy od zamiatania kuchni codziennie wieczorem – zgodziła się Lacey, z góry drżąc ze strachu na myśl o rozmowie z Mackenzie.

– Bobby pokazał mi wczoraj swoje prace – powiedziała Gina. – Są niesamowite.

– Wiem – przytaknęła. – Na jarmarku rzemiosła w Manteo szły jak woda. Świetnie, biorąc pod uwagę, że tutaj nikt o nim nie słyszał.

Miejsce na jarmarku załatwiła mu bez problemu. Miał stoisko po przeciwnej stronie placu niż ona, ale i tak widziała, że stoły z jego rękodziełem oblegały tłumy.

– Wiesz co? – powiedziała nagle Gina. – Mógłby na czas pobytu w Outer Banks przeprowadzić się tutaj, Clay i ja nie mamy nic przeciwko. On i tak ciągle pracuje na twojej werandzie albo siedzi z Mackenzie... Nie musiałby kursować od nas do Ricka i z powrotem.

Lacey już o tym myślała. W domu latarnika były dwa wolne pokoje, a Bobby, jak zauważyła Gina, rzeczywiście spędzał tu dużo czasu. Tylko że to byłby błąd. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

– Nie mogę tego zrobić – oznajmiła bratowej.

– Dlaczego?

Milczała przez chwilę, wpatrując się w ocean. Mackenzie cofnęła się kawałek i teraz Rani dzielnie siedziała już razem z nią, a fale tylko muskały jej stopy i łydki. Obok małej leżał Sasza, z brzuchem zanurzonym w wodzie, dla ochłody.

– Bo on mi się podoba, i to bardzo – wyznała wreszcie Lacey. – Jeśli tutaj zamieszka, będę miała blisko do jego łóżka.

– O rany. – Gina usiadła prosto, przytrzymując dłonią kapelusz, żeby nie porwał go wiatr. – Nie przyszło mi to do głowy. Myślałam, że raczej wolisz Ricka...

– Miłego, niegroźnego Ricka? – zaśmiała się Lacey.

– Właśnie – przytaknęła Gina. – Ale skoro już o tym wspomniałaś, to rzeczywiście, Bobby jest dokładnie w twoim typie. Prawda? To znaczy w twoim starym typie?

– Obawiam się, że tak, niestety.

– W takim razie gratulacje, że potrafiłaś uniknąć tego błędu. A czy Rick naciska na ciebie, żebyście... No wiesz, bardziej się zbliżyli?

Lacey parsknęła śmiechem.

– Rick chyba w ogóle nie ma libido – odparła. – Idealny facet dla mnie.

– Moim zdaniem jest świetny – przyznała Gina. – Przystojny, dobrze cię traktuje, każdy czuje się przy nim swobodnie, inteligentny, wykształcony i do tego jako prawnik pewnie kosi gruby szmal. No i chyba naprawdę wpadłaś mu w oko.

To wszystko była prawda. Kiedy pojawiła się Mackenzie, Lacey kompletnie wyleciało z głowy, że postanowiła zachowywać się tak, jakby naprawdę czuła coś do Ricka, i czekać, aż „z czynów zrodzi się uczucie”.

– Gina, ja mam źle w głowie – westchnęła, po raz pierwszy wypowiadając na głos swoje obawy. Gina podsunęła się i objęła ją ramieniem.

– Bzdury – odparła. – Czemu tak mówisz?

Lacey narysowała palcem kreskę na piasku, a na górze postawiła dwie litery: po jednej stronie R, a po drugiej B.

– R to Rick. – Pokazała. – Przystojniak. Wygląda jak model, co? A tutaj jest Bobby. – Dźgnęła palcem drugą literę. – Nosi kolczyk w uchu, ma tatuaż na ramieniu...

– Zauważyłam! – Gina weszła jej w słowo. – Co przedstawia? Spod rękawa widać tylko kawałek.

– Mamut włochaty – wyjaśniła Lacey, która tydzień wcześniej wreszcie odważyła się go o to zapytać.

– Mamut włochaty? – parsknęła Gina.

– Tak. Rzeźbi w mamucich kłach, więc ma to sens. – Lacey też się roześmiała. – Spokojnie, Bobby ma tylko jeden tatuaż. – Wiedziała, że obrazki na skórze kojarzą się Ginie z mężczyzną, którego obie poznały przed rokiem i który każdej z nich wyrządził krzywdę.

Gina nachyliła się i nad piaskową tabelką dopisała trzecią literę: duże L.

– A tutaj jest Lacey – oznajmiła. – Lacey świetnie sobie radzi sama, bez faceta.

– Wiem o tym – zapewniła Lacey. Wniosek postawiony przez bratową zirytował ją, ale tylko trochę. Łatwo jej mówić, pomyślała, kiedy znalazła już swoją bratnią duszę: Claya. – Jeśli ostatni rok czegoś mnie nauczył, to właśnie tego, że dam sobie radę bez faceta. Ale to nie znaczy, że chcę tak przeżyć całe życie.

– W porządku – odparła Gina, bo wyczuła, że uderzyła w czułą strunę.

Lacey ponownie wskazała literę R.

– Rick jeździ bmw – dodała. – Bobby od zawsze ma tego samego starego, skorodowanego busa. Był kiedyś narkomanem – Rick pije jeden mały kieliszek wina do obiadu. Skończył prawo z najlepszym wynikiem na roku, a Bobby w akademii sztuk pięknych nawet nie zdobył dyplomu. Rick ma dużo pieniędzy. Bobby – bardzo mało. I domyślasz się, z którym chętniej się spotykam? Z którym chcę pójść do łóżka? Mieć dzieci? – To ostatnie to już była lekka przesada, ale Gina zrozumiała, o co jej chodzi.

– Z Bobbym – odpowiedziała cichym głosem.

– Co jest ze mną nie tak? – jęknęła Lacey tak głośno, że Sasza uniósł swój wielki łeb i obejrzał się na nią. – Dlaczego zawsze ciągnie mnie do niewłaściwego faceta? Jestem taka sama jak moja matka, odziedziczyłam jej skłonność do autodestrukcji i...

– Przestań, Lace – przerwała jej Gina. – W niczym nie przypominasz swojej matki. Zrozumiałas swój błąd i umiałaś go naprawić. Ona tego nie zrobiła, nigdy. I wiesz, co jeszcze?

– Co?

– Moim zdaniem mylisz zauroczenie z miłością.

– Możliwe – przyznała Lacey. – Bobby zawrócił mi w głowie, kiedy miałam czternaście lat, i teraz w jego obecności czuję to samo co wtedy. Kiedy biorę to na rozum, wiem, że właśnie tak jest. Ale moje serce i moje ciało za grosz nie słuchają rozumu.

– Myślę, że Rick z czasem może ci się bardziej spodobać, jeśli tylko dasz mu szansę – powiedziała Gina. – Pamiętasz, jak było ze mną? Clay był mi zupełnie obojętny, kiedy go poznałam. A potem, stopniowo, zaczęłam się w nim zakochiwać.

Lacey przytaknęła, chociaż dobrze wiedziała, że początkowa obojętność Giny wobec Claya wynikała raczej z tego, że bratowa rozpaczliwie pragnęła adoptować Rani i ta potrzeba zagłuszyła wszelkie inne uczucia.

– Po prostu otwórz się na Ricka – przekonywała Gina. – Spotykaj się z nim częściej. Odkąd zjawił się Bobby, bardzo rzadko się widujecie.

Ona ma rację, pomyślała Lacey. Muszę poświęcić Rickowi więcej czasu, tak jak sobie

postanowiłam tuż przed śmiercią Jessiki. Pamiętać, że Bobby to postać wybitnie drugoplanowa, a pociąg, który do niego odczuwam, jest natury wyłącznie fizycznej i nie ma nic wspólnego z rozumem. Powinnam dokończyć książkę o sztuce dobrego wyboru. Odkryć na nowo, że Rick jest dla mnie bardzo dobry i zawsze, kiedy do niego zadzwonię, wysłucha mnie z wielką uwagą.

Przyjrzała się literze R wypisanej palcem na piasku. Tylko jak, zapytała się w myślach, mam odnaleźć w sobie uczucie, którego po prostu nie ma?

## Rozdział dwudziesty siódmy

Następnego dnia rano Lacey odwoziła Mackenzie do babci. Kiedy jechały samochodem, dziewczynka wyszukała w radiu stację, którą ostatnio odkryła, i podśpiewywała sobie pod nosem piosenkę za piosenką. Lacey była przygnębiona, że kawałki, które Mackenzie знаła na pamięć, ona słyszy pierwszy raz w życiu. Przecież uwielbiała muzykę, miała w domu kilkadziesiąt płyt i zawsze była na bieżąco. A tymczasem okazało się, że w kwestii gustów jedenastoletnich dziewcząt jest mocno zacofana.

Obserwowała spod oka Mackenzie, która ścisnęła w dłoni komórkę tak samo kurczowo, jak tonący czepia się koła ratunkowego. Przyszło jej do głowy, że jeśli chodzi o telefony, to właściwie Bobby w niczym jej nie ustępuje. Ciągle sprawdzał esemesy, a kilka razy nawet wyszedł z domu zadzwonić, tłumacząc, że niby na zewnątrz ma lepszy zasięg. Dla Lacey było jasne, że po prostu chce z kimś porozmawiać na osobności. Była ciekawa, dlaczego tak mu zależy na dyskrecji, ale musiała się upomnieć, że to przecież nie jej sprawa.

Było jeszcze za wcześnie, żeby Mackenzie mogła zadzwonić do znajomych w Phoenix, Lacey uznała więc, że to będzie najlepszy moment, żeby porozmawiać z nią o domowych obowiązkach.

– Przyciszysz radio na chwileczkę? – poprosiła. – Chcę pogadać o porządkach w domu.

– O co chodzi? – zapytała podejrzliwie dziewczynka i nie ruszyła nawet palcem.

– O to, że każde z nas ma jakąś domową pracę, którą regularnie wykonuje – wyjaśniła Lacey, sama sięgając do gałki głośności. – Pomyślałam sobie, że może ty też chciałabyś mieć taką swoją działkę. Poczulałyś, że należysz do rodziny.

Praktycznie te same słowa w ustach Giny brzmiały całkiem niezłe, ale ona wydukała je tak niezgrabnie, że od razu było jasne, że nie przyniosą oczekiwanego rezultatu.

– Nigdy nie będę należeć do tej głupiej rodziny – oznajmiła Mackenzie. – I w ogóle nawet nie chcę.

Lacey zacisnęła palce na kierownicy.

– No dobrze, w każdym razie ja i tak uważam, że powinnaś mieć jakieś obowiązki, a ty?

– Niby jakie?

– Wybieraj – odparła Lacey. – Łazienki...

– Nigdy w życiu.

– Zamiatanie kuchni. Wycieranie kurzy. Jeśli chcesz, możesz odkurzać, ale pamiętam, że ja w twoim wieku nie znosiłam tego robić.

Mackenzie odchyliła głowę na zagłówek i wbiła oczy w sufit, ciężko przy tym wzdychając.

– Doceń, że w ogóle nie wspomniałam o zmywaniu. – Lacey zerknęła na nią ukradkiem. Z profilu widać było wyraźnie, że ma nos Jessiki: nawet nozdrza tak samo jej drgały, kiedy się denerwowała.

– A dlaczego nie macie zmywarki? – odcięła się pytaniem Mackenzie.

– Bo ten dom ma być wierny swojej epoce, czyli początkom dwudziestego wieku, a wtedy nie było zmywarek – wyjaśniła Lacey, chyba już po raz setny, i z kolei to ona ciężko westchnęła. – Naprawdę ani trochę cię nie kręci, że mieszkasz w zabytkowym domu latarnika?

Od samego początku czuła się osobiście urażona, że dziewczynce nic się tam nie podoba. Ona, nawet jako jedenastolatka, miała szacunek dla historii Kiss River.

– A co tam może mnie kręcić? – prychnęła Mackenzie. – Nawet jednego wentylatora nie macie.

Lacey zaśmiała się pod nosem, ale Mackenzie, zdaje się, w ogóle nie zauważyła, jak zabawnie to zabrzmiało. Może wcale nie żartowała. Boże, to dziecko czasem było kompletnie wyprane z poczucia humoru. To strach, po raz kolejny powtórzyła sobie słowa Bobby'ego. Pamiętaj. Ona się boi.

– No dobrze – wróciła do tematu. – Więc zmywanie i wycieranie naczyń?

– Po każdym jedzeniu? – z niedowierzaniem zapytała Mackenzie.

– Nie, tylko po obiedzie.

– Czasami jem obiad u babci.  
– Wtedy, oczywiście, jesteś zwolniona z tego obowiązku.  
– A dzisiaj? Idziemy z Bobbym do kina.  
– Przed wyjściem będzie mnóstwo czasu, zdążysz wytrzeć naczynia – odparła Lacey, ciesząc się z góry, że Bobby ją zabiera. Chciała spędzić wieczór z Rickiem; powzięła stanowczą decyzję, że postara się na nowo zbliżyć do niego.

– Mama nigdy nie wyciera naczyń – mruknęła Mackenzie, nawet chyba nie zauważywszy, że użyła czasu teraźniejszego. – Według niej same wyschną na powietrzu.

– No cóż, skoro zawsze używałyście zmywarki, to chyba nie było u was wiele do wycierania, co? – zauważyła Lacey. – A poza tym byliście tylko we dwie. U nas używa się więcej naczyń i trzeba je wycierać, bo na suszarce wszystkie się nie zmieszczą. A przy okazji może po wytarciu naczyń zamieciesz podłogę?

Mackenzie wydeła wargi i sapnęła z oburzeniem.

– Nie jestem twoją służącą!

– Nie, ja cię tylko...

– Pewnie się cieszysz, że moja mama umarła, bo masz sprzątaczkę za darmo.

Lacey korciło, aby trzepnąć tę smarkulę. Zjechać na pobocze, zatrzymać się i po prostu spuścić jej lanie. Opanowała się jednak, patrzyła prosto przed siebie i mocno zacisnęła palce na kierownicy.

– To nieprawda, Mackenzie – powiedziała. – I sędzę, że ty o tym dobrze wiesz.

W ciszy, która zapadła, Lacey praktycznie słyszała, jak jej mała pasażerka obraca w myślach wszystko, co usłyszała.

– No dobra – odezwała się w końcu Mackenzie. – Mogę wycierać naczynia i zamiatać kuchnię. Ale odkurzanie, ścieranie kurzu i tak dalej – odpada.

– W porządku – zgodziła się Lacey. – Umowa stoi. Dziękuję. Szczotka do zamiatania jest w spizarce.

– Szczotka? – powtórzyła dziewczynka z niedowierzaniem. – Taka prawdziwa? Musicie być wierni epoce nawet przy zamiataniu? Mama zawsze czyści podłogi mopem.

– Mop nie zbierze piasku.

– Ty w ogóle wszystko robisz inaczej niż moja matka – oznajmiła Mackenzie, z powrotem pogłaśniając radio. – Trudno uwierzyć, że kiedyś byliście przyjaciółkami.

\* \* \*

Tego samego dnia Lacey po obiedzie zabrała się do zmywania. Mackenzie wycierała naczynia, a w każdym razie udawała, że wyciera, bo talerze i szklanki, które chowała do szafek, były jeszcze wilgotne. Lacey nie czuła się na siłach, żeby zwracać jej uwagę. Skończyła zmywać i przetarła stół i blaty, a Mackenzie w tym czasie zamiatała. Słabo jej szło, jakby miotła była za ciężka. Postanowiła wykonywać obowiązki byle jak czy po prostu nie miała drygu do prac domowych? Tak czy inaczej, Lacey powstrzymywała się od komentarzy. Narosło pomiędzy nimi wystarczająco dużo animozji po porannej rozmowie w samochodzie. Czuła, że tego dnia więcej już nie zniesie.

Kiedy przyjechał Bobby, Mackenzie siedziała już w swoim pokoju. Lacey podeszła do schodów i zawołała ją, po czym wróciła do kuchni.

– Od dzisiaj ma obowiązki – oznajmiła. – Wycieranie naczyń i zamiatanie podłogi w kuchni.

– Świetnie – ucieszył się Bobby. – Jak na to zareagowała?

– Oskarżyła mnie, że próbuję zrobić z niej swoją służącą. Poza tym nie wiem, czy zauważyłeś – przesunęła bosą stopą po podłodze – ale bynajmniej nie przyłożyła się do pracy.

Skwitował to uśmiechem i pociągnął lekko za kosmyk jej rdzawych włosów. Przeszył ją taki prąd, że nawet gdyby Bobby zaczął nagle pieścić jej piersi, doznanie nie byłoby silniejsze, a on od razu uśmiechnął się szerzej; czyżby wiedział, jak na nią działa? Musiał wiedzieć. Lacey odwróciła się, aby nie patrzeć na jego krzywy uśmiech. Na szczęście do kuchni weszła Mackenzie, mamrocząc półgębkiem powitanie pod adresem swojego ojca.

– Zbierajcie się – poradziła Lacey i udała, że sprawdza godzinę na swoim zegarku, aby uciec przed wzrokiem Bobby’ego. Potem matczynym gestem rozłożyła ręce i pokierowała ich w stronę drzwi.  
– No już. Bawcie się dobrze.

Kiedy wyszli, oparła się o szafkę, sztywno splatając ramiona na piersi i zaciskając z całej siły powieki. Weź się w garść, nakazała sobie. Od kiedy włosy są strefą erogenną?

Do kuchni wszedł Clay.

– A to co? – zdziwił się, gdy ziarenka piasku ukłuły go w boscie stopy. – Podobno Mackenzie miała pozamiatać?

– I pozamiatała.

Ze zdziwieniem spojrział na siostrę.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. – Co się stało?

– Nic. – Zrobiła zaskoczoną minę, zastanawiając się, co wyczytał z jej twarzy.

Clay wyjął miotłę ze spiżarki.

– Przyszło mi do głowy, co jeszcze można by jej dać do roboty – powiedział, zabierając się do zamiatania.

– Chyba żartujesz – prychnęła Lacey. – Jeśli dodamy jej obowiązków, ucieknie z domu.

– To jej się spodoba. – Clay uśmiechnął się, metodycznie zamiatając miotłą. – Będzie udawać zaginioną.

Lacey dokładnie wiedziała, o co chodzi. W szkoleniu poszukiwawczo-ratowniczym brała udział osoba, która chowała się w lesie, aby pies mógł ją znaleźć.

– Wiesz co? To w sumie niezły pomysł. – Wyjęła ze spiżarki śmietniczkę i podała ją bratu. – Ale lepiej sam ją o to zapytaj. Kiedy ja coś proponuję, zawsze strzela focha.

Poszła na górę, wzięła szybki prysznic i przebrała się w długie spodnie i T-shirt, a potem pojechała do Ricka. Kiedy o ósmej skręcała na drogę prowadzącą do jego domu, na dworze było jeszcze jasno, ale drzewa momentalnie zatopiły auto w gęstym mroku, jakby wybiła co najmniej dziesiąta. Zaparkowała za bmw gospodarza, wysiadła i ruszyła zarośniętą ścieżką biegnącą do drzwi.

Pomiędzy tymi drzewami jest zupełnie jak w gnieździe, pomyślała. W malutkim, ciemnym gnieździe. Rzeczywiście, Bobby’emu trudno było tutaj pracować, więc nic dziwnego, że zachwyciła go słoneczna weranda w domu latarnika. Kilka razy zdarzyło się, że Lacey zaglądała tam wieczorem, żeby w samotności podziwiać kłamrę z ciosu mamuta, którą obecnie wykańczał, wyczarowując na niej koronkowy portret trzech psów. Każdego wieczoru na obrazku przybywało szczegółów. Na razie brakowało kolorów, ale wzór i kropkowanie wprost porażały mistrzowską precyzją. Poza tym pracownia pachniała Bobbym. Nie używał wody po goleniu, ale pozostawał po nim zapach szamponu, dezodorantu, a może płynu, w którym prał swoje ubrania, zmieszany z nikłą wonią tytoniu, którą cały był przesiąknięty. Lubiła po prostu tam usiąść i oddychać tym powietrzem.

Cholera jasna, zakłęła w myślach. Przyjechałam do Ricka, zaraz zapukam do jego drzwi, a wciąż obsesyjnie myślę o Bobbym. Psycholożka – coraz więcej wskazywało na to, że niedługo powinna znów ją odwiedzić – ostrzegała, że od czasu do czasu będą się zdarzać sytuacje, które wystawią ją na próbę. Lacey myślała, że ma już to za sobą, bo poradziła sobie na siłowni pełnej postawnych mięśniaków, którzy gapili się na nią, kiedy wydawało im się, że tego nie widzi, a po treningu wbijali się w obcisłe dzinsy i wskakiwali na swoje harleje. Teraz jednak zrozumiała, że prawdziwą próbą jest dla niej to, co przywiózł stary volkswagen.

Rick otworzył jej uśmiechnięty. Niedawno wziął prysznic i włosy miał jeszcze wilgotne. Jego idealnie równe zęby nawet w leśnym półmroku lśniły nieskazitelną bielą. Lacey odpowiedziała uśmiechem, starając się, aby był jak najcieplejszy. Przypomniała sobie, że na początku Gina też traktowała Claya obojętnie, ale z czasem stał się jej najbliższy i najdroższy.

– Zrobiłem deser – oznajmił Rick na powitanie.

– Sam? – zdziwiła się. Zaprosił ją dzisiaj na deser, ale spodziewała się czegoś gotowego, jak lody czy ciastka. Poszła za nim do kuchni, gdzie na desce do krojenia leżały truskawki, a obok stało świeżo upieczone, delikatne jak puch ciasto z białek.



– Jestem pod wrażeniem! – zawołała Lacey. – Mogę jakoś pomóc?  
– Możesz stanąć obok i porozmawiać ze mną – odparł, biorąc w palce kolejną dorodną truskawkę, aby ją przekroić i wrzucić do salaterki.  
– Jak ci się układa pod jednym dachem z Bobbym? – wyrwało jej się, zanim zdążyła ugryźć się w język. – Mieszka tutaj już ponad tydzień. Obiecuję, że gdybyś miał go dosyć, to mi o tym powiesz.  
– Wszystko w porządku. Dogadujemy się – zapewnił Rick.  
Ciekawe, pomyślała, o czym rozmawia dwóch facetów, których absolutnie nic nie łączy.  
Rick zerknął na nią i sięgnął po następną truskawkę.  
– Bobby jest w grupie AA. Wiedziałaś o tym?  
– Tak, i uważam, że to świetna sprawa. Tom też jest w AA. Terapia odmieniła jego życie.  
– Bobby często tam bywa – dodał Rick i trudno było się zorientować, czy to pochwała, czy wręcz przeciwnie.

Lacey obejrzała się na komputer w rogu salonu. Na biurku, obok monitora, piętrzyły się stosy papierów.

– Opowiesz mi o swojej książce? – zaproponowała. – Właściwie nigdy o tym nie rozmawialiśmy. To była prawda. Jego praca rzadko przewijała się w ich rozmowach, zdominowanych przez takie tematy, jak osobiste życie Lacey, sytuacja z Mackenzie i rozprawa o zwolnienie Zachary’ego Pointera. Może gdyby bliżej poznała Ricka, teraz czułaby do niego coś więcej.  
– Nie chcę cię zanudzić – wyjaśnił wciąż uśmiechnięty i otworzył lodówkę, aby wyjąć z niej miseczkę z bitą śmietaną.

– Ale ja jestem ciekawa. – Wyjęła z salaterki kawałek truskawki i wsunęła sobie ust.  
– Dobrze, weźmy ciasto i chodźmy na taras – powiedział Rick, wręczając jej nóż z ząbkami do pokrojenia biszkoptu. – Będę ci opowiadał o mojej książce, dopóki nie zaczniesz ziewać.

Nałożyli sobie po solidnej porcji biszkoptu, przybierając go z wierzchu truskawkami i bitą śmietaną, a potem wyszli. Podłoga tarasu była nierówna i Lacey miała wrażenie, że spróchniałe deski zaraz się pod nią zarwą. Usiadła na starej, skrzypiącej huśtawce, a tymczasem Rick zapalił dwie świece o zapachu trawy cytrynowej. Zapadł już zmrok i oprócz płomieni świec tylko światło bijące z okien domu rozpraszało ciemność.

Lacey przełknęła pierwszy kęs biszkoptu.  
– Przepyszne – pochwaliła całkiem szczerze. – Byłaby z ciebie dobra żona.  
Rick roześmiał się jak z dobrego żartu i usiadł obok niej.  
– Cieszę się, że ci smakuje – powiedział.  
– No więc... – Lacey nabiła na widelec cząstkę truskawki. – Miałaś mi opowiedzieć o swojej książce.

– A, tak. – Wsunął do ust kawałek ciasta i pogryzł go powoli, wodząc wzrokiem po wodach cieśniny. W końcu przełknął i położył talerz na kolanach. – Moja książka ma tytuł „Federalny podatek dochodowy: rozprawy i zagadnienia”. Jest skierowana do studentów prawa.

– Aha – mruknęła Lacey, wkładając w tę monosylabę tyle szczerego zainteresowania, na ile tylko było ją stać.

Opisał jej kilka co ciekawszych – w każdym razie dla niego – przypadków. Walczyła z nudą jak lwica, ale najwidoczniej mina ją zdradziła.

– Jeszcze nie ziewasz – zauważył Rick po kilku minutach swojego monologu. – Ale oczy już ci się szklą. Dosłownie. – Pochylił się, aby spojrzeć na nią z bliska. – Są całe zalepione błyszczącymi łzami. Widać w nich nawet płomyki świec.

– Wybacz. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Staralam się, ale naprawdę trudno mi się w tym połapać.

– I wcale nie musisz. – Odstawił swój pusty talerz na podłogę i objął ją ramieniem. Przyjemnie pachniał – w tym przypadku to na pewno była woda po goleniu, i to nietania. Lacey uniosła głowę i pocałowała go w usta, nie czekając, aż on zacznie. Najpierw całował ją delikatnie, ale potem poczuła jego język, ostrożnie wsuwający się do środka. Już chciała przerwać, ale wytrzymała. „Z czynów zrodzi

się uczucie”. Czy nie tak było napisane w tamtej książce? „Udawaj, że się udaje, aż w końcu się uda”. Odwzajemniała jego żarliwe pocałunki, a jej myśli galopowały bez wytchnienia. Jeśli zrobię wszystko tak, jak gdybym tego chciała, to może naprawdę poczuję, że tego chcę, dopingowała się w duchu. Albo, z drugiej strony, może to dobry znak, że nie zależy mi na tym, aby po prostu zaciągnąć go do łóżka. Może to właśnie jest dowód, że natrafiłam na właściwego faceta. Kiedy jednak Rick uniósł dłoń i dotknął jej piersi pod cienką bawełnianą koszulką, spłotła palce z jego palcami.

– Przepraszam – szepnął.

– Nie przepraszaj – odparła. – Zachowuję się bez sensu.

– Wcale nie.

– Pewnie myślisz, że jestem strasznie pruderyjna.

Potrząsnął głową.

– Nie spiesz mi się – odparł krótko. – Więc co, może zagramy w karty? Albo w szachy?

Znalazłem w kuchni szachownicę, była w szafce.

Jego cierpliwość ją ujęła. Kochany Rick. Nagle uświadomiła sobie, że naprawdę go lubi; było to uczucie niespodziewane i zaskakujące, ale jednocześnie podnoszące na duchu. Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na niego.

– Jesteś naprawdę niesamowity – powiedziała.

– Ty też.

– No dobrze. – Wstała z huśtawki. – Gdzie masz te karty?

## Rozdział dwudziesty ósmy

Lacey i Rick siedzieli na ławce za domem latarnika, od strony lasu, z dala od oceanu. Tutaj Clay urządził psom „trening na skrzyniach”. Na piasku, w różnych odstępach od siebie, stało osiem dużych drewnianych skrzyń. Jego dzisiejszym podopiecznym był jasny, niemalże biały golden retriever. Właścicielka, młoda kobieta, trzymała go na smyczy, a tymczasem Clay tłumaczył Mackenzie jej zadanie. Dziewczynka słuchała uważnie, mnąc przy tym w dłoniach rękawiczkę bez pary. Lacey przygarbiła się, nadstawiając ucha, a jej twarz skryła się w cieniu szerokiego ronda słomkowego kapelusza. Nie zdołała pochwycić ani słowa z tego, co mówił brat. Rick delikatnie opierał dłoń na jej plecach. Ku olbrzymiej frustracji Lacey ten dotyk nie budził w niej negatywnych emocji. Równie dobrze mogłaby mieć na plecach ręcznik. Trzymała dłoń na udzie Ricka, na wszelkie sposoby doszukując się w sobie jeśli nie elektrycznego wstrząsu, to chociażby iskierki pożądania, a tymczasem nie czuła nic. Ile czasu musiała czekać, aż uczucie zrodzi się z czynów? Przy Ricku było jej dobrze i bezpiecznie; powtarzała sobie, że to jest najważniejsze. Spośród mężczyzn, z którymi się do tej pory spotykała, jeszcze żaden nie dał jej takiego poczucia bezpieczeństwa. Rickowi zależało na niej, nie tylko na jej ciele. Lacey wiedziała, że budują teraz fundament, na którym legną podwaliny prawdziwego związku. Gdzie znalazłaby faceta, który byłby w stanie grać z nią w karty przez pół nocy, chociaż było jasne, że ma ochotę na inną rozrywkę, mniej umysłową, a bardziej zmysłową?

Bobby, który po kinie zabrał jeszcze Mackenzie na lody, wrócił około jedenastej. Jeśli nawet zdziwił go widok Lacey i swojego gospodarza przy partyjce remika, nie skomentował tego ani słowem. Siedział w pracowni na werandzie, a ich ławkę było stamtąd widać jak na dłoni. Ciekawe, pomyślała, czy nas obserwuje.

Clay poprosił właścicielkę psa, aby zaprowadziła go za dom. Chodziło o to, żeby zwierzę nie widziało, co dzieje się na wybiegu. Potem wziął od Mackenzie rękawiczkę i poprowadził dziewczynkę do jednej ze skrzyń. Szła za nim w radosnych podskokach. Lacey jeszcze nigdy nie widziała u niej takiej ekscytacji, chociaż przypomniała sobie, jak Bobby opowiadał, że była zachwycona konną przejażdżką, więc teraz mogła czuć się podobnie. Skrzynia, jak wszystkie pozostałe, miała z jednej strony zamontowane drzwiczki na zawiasach; Mackenzie otworzyła je i wślizgnęła się do środka. Clay zawołał kobietę z psem.

– On teraz obwącha tę rękawiczkę i znajdzie Mackenzie po zapachu? – zaciekawiał się Rick.

– Aha – przytaknęła Lacey. Widywała już nie raz taki trening na skrzyniach. Dla białego goldena najwidoczniej też nie była to pierwszozna: wbił chciwie nos w rękawiczkę, dygocząc z podniecenia, a kiedy pani spuściła go ze smyczy, natychmiast popędził prosto do skrzyni, w której ukryła się Mackenzie. Usiadł przy niej, bijąc ogonem w piasek, i szczeknął jeden raz. Mackenzie wyskoczyła na zewnątrz, roześmiana, a gdy wspiął się na tylne łapy, pozwoliła przewrócić się na ziemię. Właścicielka podbiegła, żeby dać mu przysmak, chociaż było całkiem jasne, że gorąca sympatia dziewczynki wystarczy psiakowi za wszystkie nagrody.

Kilkakrotnie powtórzyli ćwiczenie, a Mackenzie za każdym razem zamykała się w innej skrzyni. Clay kazał jej też krążyć po wybiegu, zanim się schowa, aby pies nie mógł trafić prostą drogą do właściwego miejsca. Radziła sobie wyśmienicie. Lacey czasami pomagała bratu w pracy, pozorując zaginioną, ale nudziło ją to, a tymczasem Mackenzie wydawała się tryskać niespożytą energią, no i było też widać, że uwielbia psy. Może sprawimy sobie własnego, pomyślała Lacey.

– A teraz źle trafił – zauważył Rick szeptem, widząc, że biały golden obwąchuje skrzynię, w której Mackenzie ukryła się poprzednim razem.

– Wciąż wyczuwa tam jej zapach – wyjaśniła Lacey.

Pies obejrzał się niepewnie na swoją panią. Clay szepnął jej coś do ucha.

– Szukaj! – zawołała kobieta. Ruszył dalej. Kiedy zlokalizował właściwą skrzynię, zaszczekał, czekając na swoją towarzyszkę zabawy.

Rick odchylił głowę do tyłu, odetchnął głęboko przez nos.

– À propos zapachów – zagadnął. – Co Gina szykuje dzisiaj na obiad?

Egzotyczne aromaty kuchni bratowej Lacey czuć było aż na wybiegu.

– Aloo gobi i biriani – wyjaśniła. – Jej indyjskie potrawy są bajeczne.

Zanim Gina pojawiła się w Kiss River, Lacey i Clay nigdy nie próbowali dań tej kuchni. To dzięki niej połknęli bakcyla.

– Pachnie wspaniale – zachwycał się Rick, przesuwał dłoń wyżej, na jej kark, i masując skórę palcami. Lacey musiała wyteńczyć całą wolę, aby nie napiąć mięśni.

Przy obiedzie Mackenzie zasypała Claya pytaniami o tresurę psów do pracy poszukiwawczo-ratowniczej, nieświadoma, że wszyscy oprócz niej siedzą jak na szpilkach. Z wrażenia. Mackenzie przemówiła. Coś ją zainteresowało. I nawet jadła aloo gobi, i to dobrowolnie. Bobby dyskretnie zwrócił na siebie uwagę Lacey i z uśmiechem uniósł lekko brwi, wskazując głową dziewczynkę. Lacey odpowiedziała podobnym uśmiechem i patrzyła mu w oczy, dopóki wystarczyło jej śmiałości.

Potem przeniosła spojrzenie na Ricka. Obok niego siedziała Rani w swoim wysokim krzeselku, a dalej Gina. Kiedy mama nie patrzyła, małej niewiadomym sposobem udało się przykleić mu do włosów kilka ziarenek ryżu. Zaczęła chichotać, a Rick, udając, że niczego nie zauważył, zapytał, z czego się śmieje. Oczywiście to ją tylko jeszcze bardziej rozbawiło.

– Jutro zaczynam trening w terenie z jedną suczką – powiedział Clay do Mackenzie. – Dałabyś sobie radę, gdybyś miała schować się w lesie?

– Jasne – przytaknęła, a jej dłoń z widelcem zawisła w powietrzu. – Tylko nie po ciemku. Mam stanąć gdzieś za drzewem czy jak?

– W naszym lesie jest mnóstwo kryjówek – odparł. – Nawiozłem tam trochę dużych desek, kilka kawałów betonu, można się schować za powalonymi drzewami. Radziłbym ci tylko zabrać ze sobą książkę albo coś, żebyś się nie nudziła, czekając, aż pies cię znajdzie.

– Wezmę komórkę.

– Odpada. – Clay pokręcił głową.

– Aha, no tak. Pies usłyszy. – Mackenzie wsunęła widelec do ust i przełknęła kęs biriani. – Ale esemesy mogę pisać, prawda?

– Tak. Żeby tylko telefon nie brzęczał i nie wydawał żadnych dźwięków.

– Super. – Mackenzie odłożyła widelec. – Mogę wstać od stołu? – Spojrzała na Lacey, która ni stąd, ni zowąd poczuła się, jakby jej pilnowała. – Chcę sprawdzić mejle. Później powycieram naczynia i zamiotę, dobrze?

– Oczywiście – zgodziła się Lacey.

Dziewczyna odeszła od stołu i dopiero na progu kuchni przypomniała sobie, że jej talerz został na stole. Cofnęła się i zabrała go, razem ze szklanką po mleku, do zlewu.

– Gina, to było pyszne – powiedziała, ruszając w kierunku schodów na piętro.

– No, no... – powiedziała Lacey do brata, kiedy Mackenzie nie mogła już nic usłyszeć. – Zdaje się, że trafiłeś do jej serca.

Clay wzruszył ramionami.

– To wrodzony talent. I ma rękę do psów, a one to wyczuwają.

– Tak, trening z tym goldenem sprawił jej wiele radości – zgodził się Rick.

– Przyglądałem się z werandy – dodał Bobby. – Świetnie się bawiła.

A więc jednak obserwował, pomyślała Lacey. Czy zauważył dłoń Ricka na moich plecach i moja dłoń na jego udzie? A jeśli zauważył, to co?

– Wiesz co, Clay? – Rick otarł usta chusteczką, poruszył się na krześle. – Mówiłem już o tym Lacey, ale powtórzę też tobie: jeśli wy albo wasz ojciec chcecie, abym wam pomógł napisać te oświadczenia do sądu, dajcie mi znać. Chętnie rzucę okiem.

Lacey jęknęła w duchu. Dla Ricka ten temat był, zdaje się, uniwersalnym kluczem do kontaktu z całą jej rodziną i z nią też.

– Dzięki – odparł Clay. – Ale ja i tata wysłaliśmy już nasze oświadczenia do adwokatki, z którą

współpracujemy. Kilkoro miejscowych też ma przysłać swoje. Ale jeśli wszystko stoi w miejscu, to głównie przez flegmatyczną pannę O'Neill. – Lekko kopnął Lacey pod stołem. – Może tobie uda się ją zdopingować.

Lacey westchnęła, odsuwając od siebie pusty talerz.

– Staram się – powiedziała, zirytowana zarówno na Ricka, jak i na swojego brata. – Po prostu nie potrafię dobrze pisać.

– Talent pisarski raczej nie ma tu znaczenia – zauważyła Gina, która wstała z krzesła, aby wytrzeć ściereczką umorusaną buzię Rani.

– A twoje oświadczenie jest najważniejsze, młoda – dodał Clay. – Przecież wiesz.

– Może Lacey nie będzie w ogóle musiała go składać, skoro zebraliście mnóstwo innych oświadczeń – wtrącił Rick, czym zaskoczył Lacey, której wydawało się, że dostrzegła w jego oczach współczucie. Nie mogło to raczej rozbudzić w niej pociągu fizycznego, ale z całą pewnością sposób był dobry, aby trafić do jej serca.

– Pobożne życzenia, Rick – mruknął Clay. – Nasza adwokatka powiedziała, że jedno dobre oświadczenie od Lacey jest warte więcej niż cała reszta. Może wręcz przesądzić sprawę.

Rick obejrzał się i spojrzał jej prosto w oczy.

– Może dlatego tak trudno ci coś napisać, bo masz ambiwalentne uczucia wobec skazanego człowieka, który w więzieniu przeszedł głęboką przemianę wewnętrzną.

– Nie mam żadnych ambiwalentnych uczuć – ucięła, bo miała dosyć tej rozmowy. – Po prostu beznadziejnie piszę i już. Dzisiaj trochę nad tym popracuję.

\* \* \*

Rick i Bobby pożegnali się i pojechali do siebie, a Lacey poszła na górę. Zastukała do pokoju Mackenzie.

– Proszę – dobiegło ze środka. Dziewczyna jak zwykle siedziała przy komputerze. Obie dłonie trzymała na klawiaturze.

Lacey oparła się o framugę.

– Ja dopiero w szkole średniej opanowałam pisanie na maszynie – wyznała.

– A mnie nauczyła mama, kiedy byłam mała – odparła Mackenzie, sprawnie bębniąc palcami po klawiszach.

– Świetnie się dzisiaj bawiłaś z tym psem, którego tresuje Clay, co?

– No, fajnie było – bąknęła Mackenzie, nie odrywając oczu od monitora. A więc nie zamierzała ustąpić nawet o pół kroku. Cały entuzjazm, który bił od niej przy obiedzie, wyparował, kiedy zamiast szerokiej publiczności miała tylko swoją opiekunkę.

– No dobrze, dobranoc. – Lacey dała za wygraną. Cofnęła się na korytarz i z braku innych pomysłów dorzuciła jeszcze: – Nie siedź za długo.

Zamknęła drzwi, wyobrażając sobie, jak zręczne palce Mackenzie śmigają po klawiszach, a mejl do jej znajomych brzmi mniej więcej tak: „Mam nie siedzieć za długo, bo tak mi kazała kierowniczka tego więzienia, ta biedna ofiara losu”...

Wróciła do swojego pokoju, wzięła z biurka notatnik, po czym usiadła na łóżku i oparła się plecami o poduszki.

„Bardzo tęsknię za moją mamą”, napisała. Ale czy to prawda? Tęskniła za Annie O'Neill, którą znała, a nie za tamtą fałszywą kobietą, która w tajemnicy prowadziła niktzemne życie. A teraz należało się skupić właśnie na tej pierwszej, napisać, jaką była matką – przedtem, zanim wszystko się wydało. Lacey znów ścisnęła w palcach długopis. „Mama przyjaźniła się ze wszystkimi moimi przyjaciółmi. Wszyscy uwielbiali do nas przychodzić. Piekla ciasta i chleb, śpiewała i miała wielki talent artystyczny. Była miła dla wszystkich. Dla marynarzy, rybaków, turystów i...”

Co z tobą, zganiła się w myślach. Czemu odbiegasz od tematu? Dlaczego nie możesz napisać paru głupich słów?

Wstała i podeszła do biblioteczki, aby zdjęć z półki album ze zdjęciami. Otworzyła go na stronie

z portretem matki, małą odbitką fotografii wiszącej w pracowni w Kill Devil Hills.

– Jak mogłaś? – wyszeptwała. – Myślałam, że jesteś wspaniała. Byłam zachwycona, kiedy mówili o tobie „święta Anna”. Jak mogłaś zrobić tacie coś takiego? Tacie, nam wszystkim?

Wyjęła zdjęcie z albumu i przedarła je starannie, najpierw wzdłuż, potem w poprzek. A potem jeszcze raz.

– Nie chcę być taka jak ty, mamo – powiedziała. – Nigdy nie chcę być taka jak ty.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

To niemożliwe, że Mackenzie jest moją córką, myślał Bobby. Jeśli żywił jeszcze w tym względzie jakieś wątpliwości, to właśnie się ich pozbył, patrząc, jak próbuje narysować psa ze zdjęcia w jakimś czasopiśmie. Talent plastyczny był w jego rodzinie zjawiskiem tak samo powszechnym jak alkoholizm, a to dziecko nie miało go za grosz.

Był zachwycony, kiedy poprosiła go o lekcję rysunku, ale jej pies bardziej przypominał królika. Bobby z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Mackenzie miała dopiero jedenaście lat. Możliwe, że on w jej wieku też nie radził sobie z ołówkiem, ale jakoś trudno mu było w to uwierzyć.

– Coś nie bardzo mi to idzie – nadąsała się. Siedziała nad kartką na słonecznej werandzie, przy dużym stole roboczym, z którego Bobby starannie uprzątnął szklane elementy przycięte przez Lacey do nowego witraża. Krótka spiłowana paznokcie miała polakierowane na mdlący kolor fuksji, a na serdecznym palcu Bobby namalował, na jej własną prośbę, maleńki, lekki słonecznik. Teraz co kilka minut unosiła dłoń do oczu, podziwiając jego dzieło.

– Za bardzo się starasz – rzucił, odrywając wzrok od kościanej klamry z psami, nad którą pracował, szkicując cienkim ostrzem futro jednego ze zwierząt. Do takich detali najlepiej nadawało się naturalne światło: gdyby nie słońce na werandzie, nie poradziłby sobie na pewno. Miało to jednak swoją cenę: był nią upał. Bobby otworzył wszystkie okna, ale i tak gęste, parne powietrze przelewało się z kąta w kąt, a kartka, na której rysowała Mackenzie, zmarszczyła się od wilgoci.

– Rozluźnij się trochę – poradził jej. – Nie musisz rysować każdego szczegółu. Zaczynaj od kształtu.

Ale dziewczynka pokręciła głową i odsunęła się od stołu.

– Chyba dam sobie spokój – odparła.

– Nie da się być dobrym we wszystkim. – Bobby uśmiechnął się do niej, przesuając dłonią po tysej czaszce. Ten zwyczaj został mu jeszcze z dawnych lat, kiedy miał włosy i lubił przeczesać je palcami. Czasem wciąż zdumiewało go, że zniknęły. – Pomyśl, jak świetnie ci idzie ze zwierzętami – dodał. – Psy cię uwielbiają. Clay powiedział, że kiedyś sama mogłabyś zostać treserką.

Odkąd przyjechał do Outer Banks, widział Claya i Ginę zaledwie parę razy; wczorajszy obiad był jego pierwszym prawdziwym spotkaniem z nimi. Clay wyglądał znajomo. Bobby nie przypominał sobie, co prawda, aby się poznali podczas wakacji w dziewięćdziesiątym pierwszym roku, ale nie mógł tego wykluczyć. Cieszył się, Clay wziął Mackenzie pod swoje skrzydła.

– Chciałabym zostać weterynarzem – odparła, unosząc dłoń i przyglądając się uważnie słonecznikowi na paznokciu. – Tak jak ojciec Claya.

Claya i Lacey, dodał w myśli. Lacey było bardzo przykro, że Mackenzie odcina się od niej; wiedział o tym i szczerze jej współczuł. Im bardziej się starała, tym mniej zyskiwała.

– To jest też ojciec Lacey – zauważył. – Może kiedyś wybierzesz się z nią do jego przychodni.

Mackenzie wzruszyła ramionami, postukując wymalowanymi paznokciami w kartkę ze zdjęciem psa.

– Widzę cię w tym zawodzie – dodał Bobby, idąc za ciosem. – Jak ci idzie z matematyki?

– Nieźle – powiedziała. – A z innych przedmiotów ścisłych jeszcze lepiej.

Nagle jęknęła, głośno i dramatycznie, a potem rzuciła się na stół, kładąc na blacie głowę i ramiona.

– Nie wierzę, że już za trzy tygodnie muszę iść do szkoły! Osiemnastego sierpnia? Co za głupota! W Phoenix szkoła zaczyna się dopiero we wrześniu, po Świącie Pracy.

Bobby odłożył nóż, nauczony doświadczeniem, że trudne detale wymagają całkowitej koncentracji, inaczej praca będzie do wyrzucenia.

– Boisz się nowej szkoły? – zapytał.

– Nie. Tylko cholernie mnie to wkurza.

No pewnie, że się bała. Kto by się nie bał.

– Tutejsze dzieciaki są naprawdę fajne – zapewnił.

– Skąd wiesz? Ty też nie jesteś stąd.

– Bo tak już jest w tych stronach – odparł. – Ludzie są mili.

– Ale wszystkie dzieciaki już się znają.

– Na pewno znajdzie się kilka nowych osób. – Bobby odwrócił się do niej na obrotowym krześle.

– Ciągle ktoś się tutaj sprowadza. A nawet jeśli będziesz jedyna, to szybko się odnajdziesz. Mam tylko jedną radę-ostrzeżenie.

– Jaką? – Uniosła głowę jakby odrobinę zaniepokojona.

– Przestań powtarzać „W Phoenix to, w Phoenix tamto...”. To jest denerwujące i ludzie będą cię obgadywać za plecami.

– Nic nie poradzę, że w Phoenix jest lepiej niż tutaj. W ogóle bez porównania.

– Kiedy byłem dzieckiem, przeprowadziliśmy się z Norfolk do Richmond i wpadłem właśnie w taką pułapkę – odparł. – Wciąż mówiłem: „A w Norfolk moja szkoła była nowa, a ta jest stara”, „A w Norfolk na stołówce była pizza” i szybko usłyszałem: „Dobra, to wracaj do Norfolk”.

Mackenzie parsknęła śmiechem.

– W porządku – zgodziła się. – Postaram się tak nie mówić.

– Kiedy pomyślisz „Phoenix”, ugryź się w język.

– Dobrze.

Na tyłach domu trzasnęły zewnętrzne drzwi z siatki. Bobby domyślił się, że wróciła Lacey. Mackenzie doszła do tego samego wniosku, bo nagle zabrała się z powrotem do rysowania swojego psa.

Kiedy Lacey pojawiła się na werandzie, w jednej chwili przesłoniła sobą cały świat – ale chyba tylko Bobby’emu, bo Mackenzie raczej nie czuła tego, co on. Nie mógł oderwać wzroku od jej rudych włosów związanych czarną gumką, od jej jasnej skóry usianej piegami i lśniacej od potu po jeździe w upale. Długa, jasnoniebieska zakładana spódnica ciasno opinała biodra, a granatowa, przykrótka góra dyskretnie podkreślała krągłość piersi. Od pierwszej chwili w Kiss River Bobby marzył o tym, aby pocałować Lacey, zdjąć z niej wszystko, co ma na sobie, i kochać się z nią. Odesłać w niebyt tamtą noc sprzed lat, kiedy tak na łapu-capu pozbawił ją dziewictwa. Teraz umiałby to zrobić znacznie lepiej, bo jego szczerą, czułą sympatią do tej kobiety jednocześnie temperowała i podsyciała pożądanie, które budziło się w nim, gdy patrzył na jej ciało. Cenił ją za to, że zawsze potrafi być łagodna dla ludzi, podziwiał jej talent artystyczny, a do tego z głębokim współczuciem obserwował zmagania z Mackenzie.

– Cześć pracy – przywitała się Lacey. – Jak wam idzie lekcja rysunku?

– Świetnie – odpowiedział Bobby szybko, żeby Mackenzie nie zdążyła zaprzeczyć.

Dziewczynka siedziała zgarbiona nad stołem, wodząc ołówkiem po kartce i udając, że ją to pochłania. – Pozwolił mi się zawłaszczyć twój stół, nie gniewaj się.

– Nie ma sprawy. – Lacey spojrzała na Mackenzie. – Mogę zobaczyć, nad czym pracujesz?

Odpowiedzią było odwrócenie kartki rysunkiem do dołu, a potem pewien zaskakujący postulat.

– Bobby powinien mieszkać tutaj, a nie u Ricka – oznajmiła dziewczynka. – I tak ciągle tu siedzi.

– U Ricka niczego mi nie brakuje – powiedział Bobby zaskoczony, ale też ujęty jej słowami.

Gdyby przeprowadził się do domu latarnika, trudniej byłoby widywać się z Elise, ale pomyślał, trzeba przyznać, był kuszący.

– Właściwie ja też o tym myślałam. – Lacey oparła się o ścianę, zakładając ręce na piersi. – To byłoby dla ciebie sensowne rozwiązanie. Tutaj pracujesz, Mackenzie też jest tutaj. A rano zawsze parzymy duży dzbanek kawy. – Uśmiechnęła się, jak gdyby to miała być pokusa nie do odparcia. – Zastanowisz się?

– Bardzo chętnie – zgodził się bez namysłu, na chwilę zapominając o Elise. Podobało mu się, że będzie bliżej Mac-kenzie. No i bliżej Lacey, jeśli miał być szczerzy. – Kiedy mogę się wprowadzić? – zapytał.



## Rozdział trzydziesty

Faye leżała w ramionach Jima. Tego wieczoru miał cudowny nastrój i był dla niej w łóżku tak czuły, że w końcu się popłakała. A teraz przepelniało ją rozkoszne poczucie spełnienia. Po kąpieli w jacuzzi ciało miała wciąż jeszcze lekko rozleniwione, a serce przepelniała błogość, której nie spodziewała się zaznać, nigdy, przenigdy. Jedno z założeń jej programu leczenia przewlekłego bólu, stanowczo przez nią podkreślane, mówiło, że spokój i szczęście można odnaleźć tylko i wyłącznie w sobie; ani żelazne zdrowie, ani milion dolarów, ani druga osoba nie mają mocy, aby dać komuś szczęście lub też je odebrać. Teraz jednak Faye zaczynała się zastanawiać, czy w kwestii tej „drugiej osoby” jej teoria aby na pewno jest słuszna. W każdym razie posiadanie w życiu kogoś wyjątkowego nikomu nie mogło zaszkodzić.

Jim przycisnął wargi do jej skroni.

– A ty nie wiesz, co ja wiem – powiedział jak mały chłopczyk, który ma jakąś tajemnicę. Zaintrygował ją ten dziecinny, przekorny ton w jego głosie.

– A co ty wiesz? – zapytała.

– A nie powiem.

Lekko trąciła go pięścią w pierś.

– Jesteś podły.

– Masz rację. Ale i tak ci nie powiem.

– No cóż... – westchnęła. – A czy mogę przynajmniej spodziewać się czegoś dobrego?

– Możesz się spodziewać, czego tylko chcesz.

– Kiedy mi powiesz?

– Jutro.

– Z samego rana?

– Raczej nie.

Gdyby nie była w nim zakochana, zaczęłaby się już irytować, ale tylko zachichotała.

– No dobrze, więc kiedy? – dopytywała się.

– Jeszcze nie wiem.

– Jim!

– Przepraszam – odparł ze śmiechem. – Naprawdę. Powinienem ugryźć się w język, zanim się odezwałem.

Faye chciała wycisnąć z niego coś więcej, ale położył kres wszelkim pytaniom, odnajdując ustami jej usta.

\* \* \*

Następnego dnia Faye była na wizytacji zajęć w ramach terapii leczenia bólu, prowadzonych przez jedną z młodych pielęgniarek. Nagle drzwi uchyliły się, do sali zajrzała Judy i skinęła głową, prosząc ją bezgłośnie, aby wyszła na korytarz. Faye cicho wymknęła się z sali.

– Telefon do ciebie – powiedziała Judy.

– Nie mogłaś z tym poczekać? – zapytała, zdziwiona, że koleżanka fizjoterapeutka wyciąga ją z zajęć, kiedy przecież świetnie zdaje sobie sprawę, jak decydujące znaczenie w szkoleniu pielęgniarskim ma fachowa ocena umiejętności.

– Mówili, że to ważne – odparła Judy. – Przepraszam.

Faye poszła do swojego gabinetu, który mieścił się w tym samym korytarzu. Telefon leżał na biurku.

– Mówi Faye Collier – powiedziała do słuchawki, starając się ukryć irytację.

– Dzień dobry – odpowiedział kobiecy głos. – Nazywam się Sharon Casey, jestem przewodniczącą Towarzystwa Pielęgniarskiego Hrabstwa San Diego.

To nazwisko już obito się Faye o uszy.

– Tak – odparła. – Kojarzę panią. W czym mogę pomóc?

– W niczym – padła odpowiedź. – Dzwonię, aby poinformować, że została pani laureatką nagrody Pielęgniarki Roku, przyznawanej przez władze naszego hrabstwa.

W pierwszej chwili Faye nie zrozumiała.

– Naprawdę? – zapytała z niedowierzaniem.

– Kandydatura została zgłoszona przez wielu lekarzy, jak również pielęgniarki, w uznaniu dla pani pracy na rzecz leczenia przewlekłego bólu. Czytałam pani nową książkę. Mało który autor potrafi w tak piękny sposób przemówić zarówno do fachowca, jak i do laika. Moje gratulacje.

– Dziękuję. – Faye usiadła za biurkiem. Irytację zastąpił już uśmiech. – Nie wiem, co powiedzieć. Jestem szczerze zdziwiona... i bardzo się cieszę.

Domyśliła się od razu, że właśnie to chciał jej wczoraj powiedzieć Jim. Musiał należeć do grona wtajemniczonych.

– Nagrodę odbierze pani, wraz z pozostałymi laureatami, dwudziestego września podczas dorocznej ceremonii. Proszę zapisać sobie tę datę w kalendarzu.

– Tak zrobię – odparła. – Dziękuję za telefon.

Odłożyła słuchawkę i przesłała Jimowi wiadomość na pager. Oddzwonił natychmiast.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała na wstępie.

Roześmiał się.

– Znamy się z Sharon Casey od lat. Ona wie, że się z tobą spotykam, i wygadała mi się o wszystkim.

– Mam tylko nadzieję, że nie maczałeś w tym palców. – Ta nagła myśl na moment podcięła jej skrzydła.

– Kochanie – odparł Jim. – Sama, własnymi rękami, zapracowałaś sobie na tę nagrodę.

Noc spędzili u niego. Oboje pracowali do późna, ale on nalegał, aby koniecznie uczcić ten dzień, i zabrał Faye na kolację. Homarowi nie mogła się oprzeć i chociaż było już późno, pochłonęła go tyle, że teraz ciążył jej w nabitym żołądku jak kamień. Nie mogła zasnąć, więc wstała z łóżka i narzuciwszy szlafrok, przeszła przez cały dom, wychodząc rozsuwanymi drzwiami na zewnątrz. Minęła basen i jacuz-zi, aż wreszcie dotarła do ławki z widokiem na panoramę La Jolla. Noc była jasna i chłodna, a światła miasta rozpościerały się przed nią niczym olbrzymi kobierzec.

Pielęgniarka roku. Wciąż to do niej nie docierało.

– Hej – dobiegł ją głos Jima.

Odwróciła się. Zbliżał się, powiewając połami atlasowego szlafroka.

– Cześć. – Uśmiechnęła się do niego.

– Nie możesz zasnąć z wrażenia? – Usiadł obok i czule ją objął.

Faye oparła mu głowę na ramieniu.

– Kiedyś mieszkałam w przyczepie kempingowej – wyznała. – Nie powiedziałam ci o tym, bo za bardzo się wstydziłam. Byłam wtedy żoną Zacha. Mieszkałam w przyczepie na kempingu, mój mąż zabił człowieka, wyrzucili mnie z pracy – byłam szkolną pielęgniarką – bo całkiem się rozsypałam i miałam problemy z koncentracją, a mój syn, najkrócej mówiąc, wyparł się mnie. – Pokręciła głową. – A teraz jakimś cudem jestem pielęgniarką roku.

Jim sięgnął wolną ręką i ujął jej dłoń.

– To nie jest żaden cud – odparł. – Nie potrafisz zaakceptować, że zasłużyłaś na to? Że jesteś tego warta? To prawda, było ci trudno. Nie miałaś pieniędzy. Nie miałaś poczucia stabilizacji. Tym większy masz powód do dumy. Bo osiągnęłaś naprawdę wiele.

Zamknęła oczy i pomyślała: On ma rację. Rzeczywiście, ciężko pracowałam. Postawiłam sobie cele i osiągnęłam je. Tylko że te wszystkie sukcesy nie mogły powetować tamtej jednej porażki: utraty syna.

– Chcę z tobą porozmawiać o Freddym. – Jim, zdawało się, czytał w jej myślach.

– A o co chodzi?

– Może już czas? – zapytał. – Żeby go odnaleźć? Chyba chciałabyś go zobaczyć na ceremonii, kiedy będziesz odbierać swoją nagrodę?

Zaśmiała się gorzko.

– Jasne. Zadzwońię do człowieka, który mnie nie znosi, i powiem mu: „Hej, zobacz, udało mi się. Zostawiłam cię samego, poszłam w świat i zdobyłam sławę, przyjeźdź podziwiać, jak odbieram nagrodę”.

– Nigdy go nie zostawiłaś.

– Jestem pewna, że on właśnie tak myślał.

Jim milczał przez chwilę.

– Wiem, że zależy ci na kontakcie z nim – powiedział wreszcie. – Nie możesz nawet być pewna, czy on wciąż jest na ciebie zły, a prawdę mówiąc, nieźle się przed nim ukryłaś. Trudno by mu było cię znaleźć. Kilka razy zmieniłaś adres. Wróciłaś do panińskiego nazwiska. A ja jestem skłonny się założyć, że Freddy dorósł i zrozumiał, że podjęłaś słuszną decyzję, zabierając go w tamte święta z domu.

– Wątpię – odparła.

– Myślisz jeszcze o nim?

Kobierzec światła miasta rozmył się nagle przed jej oczami i rozpląnął w szklistej mgle.

– Codziennie – powiedziała. – Modlę się za niego. Żeby wyleczył ranę, którą nosi od tamtego dnia. Żeby dał sobie radę. Ale jakie ma perspektywy po takim starciu w życie?

– Jeśli odziedziczył po tobie wolę walki, na pewno sobie poradzi – zapewnił ją Jim.

Boże, pomyślała Faye, jak bardzo bym chciała zobaczyć mojego syna! Przytulić go. Błagać, aby mi wybaczył, że zrobiłam to, co uważałam za słuszne.

– Gdybym zaczęła go szukać, co powinnam zrobić? – zapytała. – Wynająć detektywa?

Wstał z ławki.

– Chodź ze mną. – Wyciągnął do niej rękę.

Podala mu dłoń i poszli razem do domu. Zaprowadził ją na dolny poziom, do małego gabinetu, gdzie stał komputer. Jim wskazał jej krzesło obok biurka, a sam usiadł przed monitorem.

– Poszukamy przez Google – oznajmił.

Faye przechyliła się w bok, aby lepiej widzieć.

– To znaczy wpisujemy jego nazwisko do wyszukiwarki?

– Próbowalaś już? – Zalogował się do internetu.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy.

Potrafiła godzinami szukać w sieci informacji do pracy nad leczeniem przewlekłego bólu, a nigdy nie pomyślała, że w ten sam sposób może dowiedzieć się czegoś o swoim synu.

Jim wystukał w okienku wyszukiwarki imię „Fred”, po czym obejrzał się na nią.

– Jakie nazwisko, przypomnij mi?

– Pointer. – Przesunęła krzesło za jego fotel, aby śledzić to, co działo się na ekranie. Patrzyła, jak w okienku pojawia się nazwisko, które kiedyś nosiła, a którego teraz nie mogła ścierpieć. Jim kliknął „Szukaj” i przewinał długą listę trafień. Kilka linków zawierało oba słowa kluczowe: „Fred” oraz „Pointer”, ale zawsze osobno, nigdy jako jedno nazwisko.

– Wpisz „Frederick Pointer” – doradziła.

Tym razem znalazło się całe nazwisko, i to kilka razy, ale wyglądało na to, że ktoś po prostu prowadził jakieś badanie genealogiczne, a poza tym każdy z tych mężczyzn zmarł na długo, zanim jej Freddy przyszedł na świat. Kiedy na liście pojawiła się wzmianka o biegu na dziesięć kilometrów, Faye wstrzymała oddech. Jim wyświetlił więcej informacji: rzeczywiście, niejaki Frederick Pointer wziął udział w biegu i nawet zajął piąte miejsce, ale okazało się, że ma trzydzieści pięć lat. Potrząsnęła głową.

– Freddy ma teraz dopiero dwadzieścia siedem – powiedziała zniechęcona.

– Nie poddawaj się – odparł Jim. – Sprawdźmy, czy uda się go znaleźć przez wyszukiwarkę.

Jego palce tańczyły po klawiaturze, jakby robił takie rzeczy codziennie. Po chwili na monitorze pojawiło się nazwisko „Frederick L. Pointer”, a obok niego – adres. Princeton, stan New Jersey. Faye uniosła dłoń do ust.

– O Boże – szepnęła.

– Jak on ma na drugie imię? – zapytał Jim.

– Leonard. – Wbiła wzrok w ekran, szukając pod adresem jakichś dodatkowych informacji, czegoś, co pozwoliłoby potwierdzić, że to naprawdę jej syn. Znalazła tylko telefon, nic więcej, żadnej wskazówki odnośnie do tożsamości tego człowieka.

Wyprostowała się, odsuwając twarz od monitora.

– Princeton? – powiedziała. – To nie ma sensu. Czego on by tam szukał?

– Możemy zadzwonić i się dowiedzieć.

Gwałtownie potrząsnęła głową, przerażona samą myślą. Jeśli to rzeczywiście był telefon jej syna, on przecież mógł rzucić słuchawką, a wtedy straciłaby jedyną szansę na rozmowę z nim. Wołała po prostu wyobrazić sobie, że to naprawdę Freddy, że dzwoni do niego, a on serdecznie ją przywita. Lepsza taka fikcja niż smutna prawda.

Jim przełączył się z powrotem na Google.

– Sprawdźmy, czy jest w sieci jakieś zdjęcie – zaproponował, wpisując najpierw „Pointer”, a potem „Princeton”. Na ekranie pojawiło się kilka obrazów, ale były to tylko jakieś rysunki techniczne. Jim przewinął obraz w dół i nagle zobaczyli zdjęcie trzech młodych mężczyzn. Faye zachłysnęła się powietrzem.

– To on! – zawołała, wskazując palcem monitor. – O Boże, Jim! To chyba naprawdę on!

Wstał z fotela i puścił ją na swoje miejsce, aby miała monitor wprost przed oczami. Siadając, zauważyła, że dygoczą jej ręce. Położyła dłonie na kolanach, zaciskając je mocno, i uważnie przyjrzała się zdjęciu. Freddy stał w środku.

– Ma ciemniejsze włosy – powiedziała po chwili. – W dzieciństwie był blondynem. Ale te oczy, popatrz! Och, jaki on jest piękny.

Już od wielu lat nie myślała o tym, że kocha tego chłopca, ale teraz jej pierś wezbrała miłością. Dotknęła monitora, wodząc palcami po jego włosach, po ramieniu okrytym ciemną marynarką. Po policzkach płynęły jej łzy.

– Wiesz co? – Jim stanął z boku i pochylił się, mrużąc oczy. – W tle jest chyba kaplica uczelni w Princeton.

Dopiero teraz Faye zauważyła, że Jim i dwaj towarzyszący mu panowie stoją przed kościołem.

– Trochę za duża na kaplicę – odparła.

Jim roześmiał się szczerze.

– O ile mnie pamięć nie myli, należy do największych w kraju. Byłem w Princeton wiele razy, na różnych konferencjach naukowych.

Faye też tam jeździła. Czy to możliwe, że w tym samym czasie, w tym samym mieście przebywał jej własny syn?

Jim sięgnął nad jej ramionami, kładąc palce na klawiaturze. Oparła głowę o jego brzuch, chłonąc ciepło ciała.

Na stronie Uniwersytetu Princeton fotografia uczelnianej kaplicy znalazła się w mgnieniu oka. Tak, to był ten sam kościół.

– On naprawdę tam mieszka – powiedziała Faye. Nie spuszczać wzroku z monitora, sięgnęła jedną ręką za siebie, chwytając mocno połę szlafroka, który miał na sobie Jim. – Chcę wiedzieć wszystko, wszystko! – zawołała. – Czy tam studiował? Czy to jego najbliżsi przyjaciele? Co się z nim działo, odkąd straciliśmy kontakt? Możesz jeszcze raz otworzyć to zdjęcie?

Chciała napatrzeć się na swojego syna, który był już dorosłym mężczyzną. I wciąż nie miała dość.

Jim nacisnął kilka klawiszy, by wyświetlić zdjęcie Freddy’ego, a potem wyprostował się i położył dłonie na ramionach Faye.

– Zadzwonisz do niego? – zapytał. – A może napiszesz?

Potrząsnęła głową zatopiona w myślach. Układała plan.

– Pojadę tam – zdecydowała. – Przez telefon tego nie załatwię. – Opadła na oparcie fotela

i zacisnęła palce na dłoniach Jima. – Pragnę tylko jednego: odzyskać syna. Chcę dostać drugą szansę.  
Pochylił się, by pocałować ją w głowę.  
– To zrozumiałe, że chcesz dostać szansę – powiedział. – I dostaniesz ją.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Lacey leżała w łóżku i gapiała się w sufit. Czowała przez ściany, czowała w kościach, że Bobby jest blisko, w pokoju na końcu korytarza. To był błąd, zapraszać go, aby tutaj zamieszkał. Uległa wewnętrznej presji: może chciała sprawić przyjemność Mackenzie, a może wystawić swoją silną wolę na próbę. Kiedy Mackenzie wyskoczyła z tym pomysłem, sił jej nie brakowało. Spotykała się przecież z Rickiem, była zaangażowana w tę relację, skupiała się na nim i czekała, aż w czarodziejski sposób jej serce i zmysły nagle rozpalą się dla niego. Tylko że prawda była inna: jej ciało płonęło pożądaniem do mężczyzny w pokoju na końcu korytarza.

O pierwszej w nocy zrozumiała, że nie zaśnie, i wstała z łóżka. Boso, ubrana tylko w bokserki i koszulkę bez rękawów – często spała w takim stroju – bezszelestnie zeszła po schodach do kuchni. W szafce obok zlewu znalazła spray na owady i latarkę. Zabrała je ze sobą i wymknęła się na dwór, cichutko zamykając drzwi.

Nigdy nie bała się tutaj mieszkać. Chociaż widziała na własne oczy, jak ktoś zastrzelił jej matkę, to jakoś nie miała obaw, że ją mogłoby spotkać to samo. W takim miejscu jak Outer Banks tragiczna śmierć Annie O'Neill była kompletną anomalią, potwornym wręcz odchyleniem od normy. A w Kiss River, gdzie rzadko kiedy docierali turyści, Lacey czuła się bezpiecznie. Boże, pomyślała, będę strasznie tęsknić za tym domem!

Noc była bardzo ciepła, ale wietrzna. Na niebie jaśniał srebrzysty półksiężyc, oświetlając Lacey drogę na brzeg morza i do latarni. Piasek, niemalże tak drobny jak pył, wciąż jeszcze oddawał ciepło słonecznych promieni, a palce jej stóp grzęzły w nim głęboko. Ocean był spokojny; słyszała, że szepcze, zamiast ryczeć, a zbliżywszy się do latarni, zobaczyła, jak fale delikatnie głaszczą schodki prowadzące do wejścia, choć zwykle smagały je bezlitośnie. Woda sięgała jej do łydek, a za progiem rozlewał się mrok. Rozległy ośmiokąt posadzki przyjemnie chłodził stopy. Czasami przychodziła tutaj, by odsapnąć od upału, ale tej nocy chciała wejść na górę.

Nie włączyła latarki, chociaż wewnątrz wieży zalegał gęsty mrok. Pięła się po schodach zalanych bladą poświatą. Na ostatnim stopniu odwróciła się i usiadła, spoglądając na ocean. W wodzie odbijały się gwiazdy, a księżycowa poświata ostrą kreską rysowała w ciemnościach poszczerbiony kontur ceglaneanego muru wieży, biegnącego kręgiem dookoła.

Lacey często zastanawiała się, jak by to było, gdyby latarnia w Kiss River przetrwała huragan. Najprawdopodobniej po remoncie zostałaby otwarta dla zwiedzających. Dom latarnika pewnie już dawno zmieniłby się w muzeum, a żwirowa droga przez las zostałaby porządnie utwardzona. Nagle uderzyła ją straszna myśl: przecież kiedy powstanie muzeum i zjadą się turyści, Straż Wybrzeża zamknie dostęp do latarni. Wtedy nawet ona nie będzie mogła tutaj wejść. To było niewyobrażalne, nie do zniesienia. Zabawne, pomyślała Lacey, że tak pokochałam coś, czego przedtem z całego serca nienawidziłam.

Przypomniała sobie, że Bobby – tamten Bobby, którego знаła w dziewięćdziesiątym pierwszym roku – dziwił się jej zajadłej niechęci do tej latarni morskiej.

– Co ona ci zrobiła? – zapytał ją pewnego razu, gdy wygłosiła dziesięciominutową tyradę wymierzoną przeciwko Kiss River ogólnie i latarni w szczególności. To było w wesołym miasteczku. Czekali na wolne miejsca w kolejce górskiej, którą zapragnęli zjechać już po raz czwarty tego wieczoru. Była tam też, oczywiście, Jessica: Bobby obejmował ją władczyim gestem posiadacza, trzymając dłoń na jej karku. Jej długie jasne włosy opadały mu aż na przedramię, a Lacey na ten widok żałowała, że obcięła się tak krótko. Wystarczyło tylko je ufarbować, na czarno albo blond, mogły zostać długie, ale gdy wzięła nożyczki do ręki, pojechała po całosci, wściekła na ojca, który chyba zapomniał imienia jedynej córki, bo ciągle nazywał ją „Annie”. Nie chciała w niczym przypominać swojej matki.

Był z nimi jeszcze jeden chłopak; zapomniwała, jak się nazywał, chociaż przespała się z nim tej samej nocy, na plaży. Pamiętała, że jego oddech cuchnął alkoholem i że chciała seksu, cielesnej

bliskości, ludzkiego ciepła, ale kompletnie nie miała ochoty się z nim całować.

– Zabrała mi ojca – odpowiedziała Bobby’emu. – Najpierw zabili mi matkę, a potem on dostał świra na punkcie tej głupiej latarni.

– Jak to dostał świra? – zaciekawił się.

– Ona przypomina mu o mojej matce, więc w kółko tam jeździ i robi zdjęcia. Kieruje komitetem, który ma uratować latarnię przed zawaleniem. Wie o niej wszystko. Absolutnie wszystko. Zna na pamięć jej historię, ale cały czas stara się dowiedzieć jeszcze więcej. To jakiś obłąd.

– I przez tę latarnię zapomniał o jej urodzinach – dodała Jessica, dolewając jeszcze oliwy do ognia.

– Nie zwraca na nic uwagi, bo ciągle o niej myśli – prychnęła Lacey.

– To chyba jakiś świr – wtrącił drugi chłopak, a ją wtedy lekko ruszyło sumienie, że obgaduje swojego ojca, pogrążonego w żałobie po stracie żony.

– Nie chyba, tylko na pewno – przytaknęła mimo wszystko. – Naprawdę, naprawdę bardzo bym chciała, żeby ta głupia latarnia po prostu się zawałała do oceanu. Niech już będzie po wszystkim. Może wtedy on wróci do prawdziwego świata.

Bobby puścił Jessicę i położył dłoń na ramieniu Lacey.

– Potrzebujesz czegoś na odprężenie – zawyrokował, jakby był lekarzem, a ona, czując ciepło jego gładkich palców, przypomniała sobie, jak dotykał jej małych piersi i wewnętrznej strony ud; to było zaledwie kilka tygodni wcześniej, tamtej nocy, kiedy straciła z nim dziewictwo.

Wyciągnął z kieszeni koszulki kilka tabletek i pokazał jej, trzymając dłoń tak, żeby tylko ona mogła je zobaczyć.

– Weź sobie dwie – powiedział cicho. – Poczujesz się lepiej.

Lacey potrząsnęła przecząco głową. Piła alkohol, ale od narkotyków stroniła. Kilka razy tylko udawała, że coś połyka, żeby nie wyjść na frajerkę; wszystkie prochy trafiały do kieszeni jej skąpych szortów.

– To raczej jej ojcu by się przydały – odezwał się ten drugi chłopak. – Niech mu je wrzuci kiedyś do soku albo coś.

Nagle gdzieś w dole trzasnęły drzwi od samochodu, a Lacey otrząsnęła się ze wspomnień. Obejrzała się w stronę parkingu pod domem. Stał tam bus Bobby’ego, a obok jakiś inny samochód, który z całą pewnością nie należał do nikogo z rodziny. Nawet w mroku dostrzegła, jak Bobby wysiada ze swojego auta i bierze w ramiona jakąś szczupłą blondynkę. Aż do tej pory Lacey była pewna, że śpi w swoim pokoju... Czyżby spędził pół nocy poza domem, z tą obcą kobietą? A teraz co, całowali się? Z daleka nie widziała. Pewna mogła być tylko jednego: że dopadła ją ta sama zazdrość co kiedyś, gdy widziała Bobby’ego i Jessicę razem. Obudziła się głęboko w piersi i rozlała szeroko, sięgając gardła i zaciskając na nim swoje sztywne palce.

Kobieta cofnęła się do auta, otworzyła drzwi. W świetle samochodowej lampki Lacey dostrzegła, jak Bobby wręcza jej gruby plik zielonkawych banknotów. W pierwszej chwili pomyślała, że to prostytutka. Druga myśl była znacznie gorsza: przywozła Bobby’emu narkotyki. Tak czy inaczej, Lacey miała niezbity dowód, że zaproszenie tego człowieka do domu było pomyłką. Może należało wziąć pod uwagę nie tylko potrzeby Mackenzie, ale także własne?

Nieznajoma wsiadła do samochodu i wyjechała z parkingu. Bobby, z dłońmi wbitymi głęboko w kieszenie dzinsów, pomaszerował w stronę domu. Myślał pewnie, że kryją go ciemności. Lacey siedziała jak wmurowana na ostatnim stopniu schodów latarni. Nie była w stanie się poruszyć. Rozmyślała nad tym, co zobaczyła: może chodziło o niewinne uregulowanie należności. Może Bobby był winien tamtej kobiecie pieniądze na przykład za karton papierosów.

A może jednak Jessica miała rację, decydując się trzymać Bobby’ego z dala od Mackenzie. Może, wbrew swoim zapewnieniom, pozostał jednak tym samym człowiekiem co kiedyś.

## Rozdział trzydziesty drugi

Rano, przy śniadaniu, Lacey przyglądała się, jak Bobby nalewa sobie trzecią kawę do popicia drugiej miski płatków, i zastanawiała się, czy on jej przypadkiem nie wykorzystuje. Karmiła go, dała mu dach nad głową, udostępniła pracownię i załatwiła kartę do siłowni, a on miał tylko spędzać czas z jedenastoletnim dzieckiem, które, jak sam twierdził, nawet nie było jego. Zanim mu zaproponowała, aby dzielił z nimi życie, powinna odwiedzić raz czy dwa psychologkę i zastanowić się nad prawdziwymi motywami swojego postępowania.

To było wyjątkowe śniadanie, ponieważ przy stole zasiedli wszyscy domownicy. Zwykle brakowało co najmniej jednej osoby, bo zjadła wcześniej, sama, albo w ogóle odpuściła sobie poranny posiłek i o tej porze była już w drodze do pracy. Tymczasem tego poranka padał deszcz, a niebo tak pociemniało, że w kuchni musieli zapalić światło, więc nikomu nie spieszyło się do wyjścia. Lało jak z cebra, powietrze było parne, a przez drzwi z siatki dobiegało młócenie grubych kropli w piasek na podwórzu. Zamknęli wszystkie okna od wschodu, ale przy takiej temperaturze drzwi do kuchni musiały zostać otwarte.

Rani była niezadowolona. Skończyła już jeść i teraz wymachiwała bosymi brązowymi stópkami, maleńkimi jak u lalki. To był znak, że chce, aby ją wyjąć z wysokiego krzesła.

– Mogę wziąć ją na kolana? – Mackenzie zapytała Ginę, która skinęła głową. Mała bez oporów usiadła sobie wygodnie na kolanach starszej dziewczynki; Mackenzie zaczęła się z nią bawić płatkami Cheerios leżącymi na stole.

Bobby przyglądał się dzieciom z uśmiechem na twarzy, a Lacey poczuła wyrzuty sumienia, że tak źle o nim myślała. Po co robić z igły widły? Niewątpliwie był dobry dla Mackenzie, co do tego nie mogło być wątpliwości, a ona też, bez dwóch zdań, nawiązała z nim bliższy kontakt. Tom był alkoholikiem, kiedy dowiedziałam się, że jest moim ojcem, upomniała się w myślach Lacey, a przecież i tak chciałabym poznać prawdę. Miał swoje problemy i był mocno skrzywiony, ale przyjął ją do serca jak własną córkę. A Bobby zrobił to samo dla Mackenzie. Postanowiła, że bez względu na to, jakim on jest człowiekiem, nie będzie ingerować w relację pomiędzy ojcem i dzieckiem.

Bobby uśmiechał się, ale od samego rana był zamyślony. Lacey nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ten nastrój ma coś wspólnego z tamtą kobietą, która przyjechała w nocy. Czy to z nią prowadził swoje tajemnicze rozmowy przez komórkę? Im bardziej starała się go rozgryźć, tym bardziej bolała ją głowa, aż wreszcie zrozumiała, że trzeba się przestawić na inny tor myślenia, skupić na bieżących sprawach. Powinna już wyjść, i to szybko, bo inaczej spóźni się do pracy w przychodni weterynaryjnej. Obejrzała się na Mackenzie.

– Bierzesz do babci tę książkę, którą teraz czytasz? – zapytała.

– Dzisiaj nie muszę – odparła dziewczynka, turlając cheeriosy po stole według zasad gry znanych tylko jej i Rani. – Jedziemy na zakupy.

Nola odkryła w końcu ulubione zajęcie swojej wnuczki.

– Ale chciałabym wrócić dzisiaj do domu trochę wcześniej – poprosiła Mackenzie, spoglądając na Lacey. – Czy mogłabyś mnie zabrać od babci po pracy w przychodni? Chcę pomóc Clayowi w treningu. – Odwróciła wzrok na Claya, siedzącego po drugiej stronie stołu. – Masz dzisiaj trening, prawda?

– Dzisiaj przyjeżdża Bączek – przytaknęła.

– Och, on jest cudny! – Rozpromieniła się. – Więc mogę wrócić wcześniej?

– Cem malować paluszkami! – pisnęła Rani, najwidoczniej znudzona zabawą w turlanie cheeriosów.

– Mam ją zabrać? – Gina zapytała Mackenzie.

– Ja ją wezmę. – Clay podniósł się z krzesła.

– Po południu pomalujemy razem – obiecała Mackenzie, podając małą tacie. – Teraz nie mogę,



bo muszę już iść.

Rani zrobiła nadąsaną minkę, wtulając główkę w ramię Claya.

– Idziemy się umyć – zapowiedział, stając nad zlewem, aby opłukać jej ręczki i buzię. Dopiero od niedawna była w stanie znieść taką operację. Skończywszy, postawił ją na podłodze. – Obejrzyj sobie jakąś książeczkę – zaproponował i dziewczynka pobiegła do salonu, a Sasza podreptał u jej boku.

Mackenzie obejrzała się na Lacey.

– Mogę? – powtórzyła pytanie. Clay dolał sobie jeszcze kawy. Lacey musiała przyznać Bobby'emu jedno: zauważył, że sam wypił prawie cały dzbanek, i miał na tyle kultury, aby nastawić drugi.

– Żaden problem – odparła. – Ale wszystko zależy od twojej babci. Pogadaj z nią i zadzwoń do mnie do pracy.

Była prawie pewna, że Nola z chęcią skróci wizytę wnuczki. Przed kilkoma dniami posunęła się wręcz do tego, że podziękowała Lacey, że przyjęła Mackenzie pod swój dach, chociaż i tak jasno dawała do zrozumienia, że wciąż jest na nią zła za kontakt z Bobbym. O Jezus, westchnęła w myślach Lacey. A może Nola ma rację?

– Skoro mowa o telefonach – wtrącił Clay, siadając z powrotem przy stole. – Wczoraj zadzwoniła do mnie właścicielka psa, którego tresowałem kiedyś, dawno temu. – Odchylił się na oparcie krzesła, gładząc palcami leżącą przed nim serwetkę. – To był jeden z najlepszych psów, jakie do mnie trafiły. Wabi się Wilk. Susan, jego pani, świetnie się z nim rozumiała, ale kilka miesięcy temu doszło do wypadku. Wezwano ich do poszukiwań dziewczynki, która zaginęła na biwaku z rodzicami. Wszyscy myśleli, że zablądziła, ale okazało się, że została porwana. Wilk ją znalazł. Była cała i zdrowa, ale porywacz go skopał, a potem wyciągnął broń i strzelił do niego.

– Och, nie! – Mackenzie zasłoniła usta dłonią, a jej twarz wykrzywiła się w bolesnym grymasie. – Zabił go?

Clay potrząsnął głową.

– Susan powiedziała, że rana się zagoiła, i przez jakiś czas wydawało się, że wszystko jest w porządku. Tylko że Wilk nagle się zmienił. Całkiem niespodziewanie. Warczał na ludzi i rzucił się na znajomą Susan, która przyszła w odwiedziny.

– Rzucił się na nią? – zapytała Mackenzie.

– Tak mocno ugryzł ją w rękę, że wyrwał kawałek ciała.

– Kurna... – westchnął Bobby. – I co, uśpili go?

Clay znów zaprzeczył.

– Ta znajoma na szczęście też kocha psy. Wspólnie doszły do wniosku, że z Wilkiem jest problem. Zawsze był bardzo łagodny. Susan boi się, że jest stracony jako pies ratowniczy, a przede wszystkim nikt oprócz niej nie będzie przy nim bezpieczny.

Kiedy tylko Clay zaczął o tym opowiadać, Lacey od razu wiedziała, że chce podjąć się rehabilitacji tego psa, ale do Giny, zdaje się, dotarło to dopiero teraz.

– Chyba nie myślisz o tym, żeby go przyjąć na szkolenie? – zapytała męża.

Clay odwrócił do niej głowę.

– Gina, to naprawdę jest jeden z najlepszych psów, z którymi pracowałem. On po prostu ma jakiś... stres pourazowy.

– Och, proszę cię – jęknęła błagalnie. – Nie sprowadzaj go tutaj.

– Nic się nie stanie – zapewnił Clay. – Będzie zamknięty na wybiegu.

Gina chyba chciała jeszcze coś powiedzieć, ale uznała, że rozsądniej będzie rozmówić się z mężem w cztery oczy.

– Powinieneś poprosić tatę, żeby go zbadał – podsunęła Lacey. – Może coś mu dolega fizycznie.

Clay skinął głową.

– Od tego zacznę.

Bobby zerknął na zegarek, po czym sięgnął po pudełko otrybów z rodzynkami i nasypał sobie dokładkę.

Lacey zwróciła się w jego stronę.

– Od rana jesteś bardzo cichy – powiedziała. Zabrzmiało to podejrzliwie; ciekawe, tylko dla niej czy dla innych też?

Bobby posłał jej uśmiech, ten uśmiech, po którym zawsze od stóp do głów przechodziły ją ciarki, niezależnie od tego, czy akurat myślała o nim dobrze, czy źle.

– Tyle mówiliśmy przy śniadaniu o psach, że postanowiłem dziś zacząć kolorowanie klamry, nad którą teraz pracuję.

– Mogę popatrzeć? – zapytała Mackenzie.

Zaśmiał się wesoło.

– Masz na dzisiaj sporo fajnych planów, co? – zauważył. – Zakupy z babcią. Trening z Clayem. Malowanie z Rani. Oglądanie mojej pracy.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, chowając się w sobie, jakby bała się pokazać domownikom, że ma w życiu coś, co sprawia jej radość.

– Wpadnij po południu, zobaczysz, jak to się robi, w porządku? – zaproponował Bobby, a ona skinęła głową.

\* \* \*

Przed południem do przychodni zajrzał Rick. Przywiózł kwiaty dla Lacey. Wzbudziło to wielką sensację; Lacey czuła się trochę zażenowana takimi publicznymi deklaracjami i wiedziała, że nie uniknie pytań koleżanek z pracy, ale mimo wszystko zrobiło się jej miło. Rick to był naprawdę kochany facet.

– Rozpieszczasz mnie – powiedziała, wstawiając bukiet do wazonu na blacie biurka recepcjonistki.

– Zaslugujesz na to – odparł Rick, który stał po drugiej stronie.

Lacey ułożyła kwiaty tak, że wyglądały jak eksplozja kolorowych fajerwerków.

– Chcę cię o coś zapytać – wymknęło jej się, zanim zdążyła się zastanowić. Odszukała wzrokiem koleżankę, także asystentkę weterynaryjną. – Zastąpisz mnie na chwilę? – poprosiła.

Koleżanka zgodziła się i przeszła przez pełną psów i kotów poczekalnię, aby stanąć w recepcji, a Lacey wyprowadziła Ricka na zewnątrz. Przestało już padać, powietrze po deszczu było gęste i parne. Zatrzymała się na chodniku na samym skraju parkingu i stanęła przed Rickiem, krzyżując ramiona na piersi.

– Kiedy Bobby mieszkał u ciebie – zaczęła – rzuciły ci się może w oczy jakieś... objawy typowe dla narkomana?

Zmarszczył czoło i potrząsnął głową.

– Czemu pytasz? Zauważyłaś coś?

– A widziałeś go z jakąś kobietą? Blondynką?

– Raz przyjechała do nas jakaś kobieta – przytaknął. – Wysoka. Szczupła. Ładna. Bobby wyszedł do niej na chwilę. Moim zdaniem to nic takiego.

– Widziałam, jak dawał jej pieniądze.

Rick uniósł brwi.

– Za co? – zapytał.

– Nie mam pojęcia, ale martwi mnie to.

Zacisnął usta i odwrócił oczy w stronę szumiącego oceanu. Zastaniały go niskie parterowe domy, ale dudnienie fal bijących o plażę niosło się wyraźnie.

– Może powinnaś zapytać go wprost – odezwał się po chwili.

Lacey wiedziała, że powinna tak zrobić. Zamiast katować się domysłami, należało po prostu zapytać Bobby'ego, kim była tamta kobieta. Coś jednak jej mówiło, że nie ma prawa wtykać nosa w jego prywatne sprawy, nie mając konkretnych dowodów, że zrobił coś złego. Poza tym wcale nie była pewna, czy rzeczywiście chce poznać prawdę.

– Jestem w kropce – westchnęła. – On tak dobrze dogaduje się z Mackenzie.

Na parking zajechały dwa duże auta typu SUV. Z jednego wyskoczył dog niemiecki, a z drugiego

– złoty labrador. To oznaczało, że zaraz będzie potrzebna.

– Muszę wracać do pracy – powiedziała, wspinając się na palce, aby pocałować Ricka w policzek. – Dziękuję za kwiaty. Naprawdę mnie rozpieszczasz.

\* \* \*

Wieczorem Lacey i Bobby pracowali na werandzie, przy lampach. Lacey próbowała narysować projekt nowego witraża, ale trudno jej było się skupić i tylko ciągnęła ołówek raz za razem po tych samych liniach. W końcu zrozumiała, że musi zadać mu dręczące ją pytanie, bo nigdy nie ruszy z pracą.

Bobby siedział pochylony nad drugim stołem, cyzelując wzór na kościanej klamrze w kręgu światła halogenowej żarówki.

Westchnęła z rezygnacją i odłożyła ołówek.

– Dzisiaj w nocy nie mogłam spać – powiedziała. – Wstałam i poszłam do latarni, na samą górę.

– Mhm – mruknął Bobby, skupiony na pracy. Niczego nie podejrzewał. Niewinny?

– Widziałam, jak spotkałeś się na parkingu z jakąś kobietą – dodała i tym razem zobaczyła, że jego ręce nieruchomieją. Odłożył narzędzie, które trzymał w palcach. Odwrócił się do niej razem z krzesłem. Miał minę małego chłopca przyłapanego z ręką w słoju z ciastkami.

– I zastanawiasz się, kim była? – zapytał.

Lacey przytaknęła.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale po prostu...

– To znajoma z grupy AA – wyjaśnił. – Zwykła znajoma. Zadzwoiła do mnie w nocy, bo miała mocny ciąg, żeby się napić. Przyjechała po mnie, pojeździliśmy trochę i... no wiesz, odwiodłem ją od tego. Przykro mi, jeśli cię wystraszyłem.

– Ja tylko... – Patrzyła w bok, unikając jego wzroku. – Nie musisz mi się z niczego tłumaczyć – ucieła. – Po prostu mnie zaskoczyłeś. Myślałam, że jesteś u siebie i śpisz, więc trochę się zdziwiłam na twój widok.

– W AA jest tak, że kiedy ktoś potrzebuje twojej pomocy, żeby się nie napić... To po prostu musisz mu pomóc – wyjaśnił.

Skinęła głową, chociaż nie uwierzyła mu do końca. Kolejne pytania cisnęły jej się na język: czy to ona ciągle do ciebie wydzwaniała? Dlaczego dałaś jej pieniądze? Ale niepokój i zazdrość buzujące w jej piersi były niczym mieszanka wybuchowa, uznała więc, że łatwiej, znacznie łatwiej będzie po prostu się wycofać.

– Przepraszam za wścibstwo – bąknęła.

– Nic się nie stało – zapewnił Bobby. – Rozumiem. To jest twój dom. Masz prawo wiedzieć, kto tutaj bywa.

Odwrócił się z powrotem do stołu. Widząc, jaki jest zadowolony z wyczerpującej odpowiedzi na jej pytanie, zrozumiała, że też musi jej wystarczyć.

\* \* \*

Zasnęła szybko pomimo natłoku myśli kłębiących się w głowie. Nieznośne, parne powietrze ustąpiło wreszcie miejsca chłodnemu wiatrowi, który zamienił jej pokój z piekarnika w sypialnię o idealnej temperaturze.

Obudziła się w środku nocy. Śniło jej się, że gdzieś na plaży wyje kot; dźwięk był tak przeraźliwy, że natychmiast wyrwał ją ze snu. Uniosła się i usiadła na łóżku. Głowę miała ciężką, była półprzytomna. To tylko Rani, pomyślała. Ale w tej chwili ten odgłos się powtórzył i teraz, kiedy już nie spała, Lacey poznała, co to takiego: to krzyk. Krzyk dziecka.

Mackenzie.

Wyskoczyła z łóżka i wybiegła na korytarz. Bobby wychodził już ze swojego pokoju, zapinając dzinsy. Jego widok przyniósł jej niespodziewaną, zaskakującą ulgę. No tak, przecież on mógł pójść do Mackenzie; przy nim dziewczynka na pewno czuje się swobodniej. On będzie wiedział, co jej powiedzieć.

Ale Bobby na jej widok zatrzymał się w pół kroku.

– Idź – powiedział niemalże bezdźwięcznym szeptem, wskazując drzwi pokoju Mackenzie.

Chciała mu powiedzieć, żeby to on poszedł, ale coś w jego twarzy przekonało ją, że to jednak ona powinna przy niej być. Krzyki ucichły, ale teraz z pokoju dobiegał szloch. Lacey skinęła głową Bobby'emu i otworzyła drzwi.

Mackenzie siedziała skulona przy wysokim wezglówiu łóżka. Twarz wcisnęła pomiędzy podciągnięte wysoko kolana, a zgięte nogi obejmowała kurczowym uściskiem. Kiedy Lacey przysiadła na skraju łóżka, dziewczynka, ku jej niebotycznemu zdziwieniu, wyciągnęła do niej rękę, tak samo jak Rani, kiedy chciała, żeby ją podnieść. Lacey przysunęła się bliżej, przygarnęła ją do siebie, a Mackenzie, wciąż zapłakana, wtuliła się w nią, zwiijając ciało w kłębek. Lacey objęła mocno jej ramiona i oparła policzek o jej głowę. Skóra dziecka była wilgotna i rozpalona, włosy miękkie w dotyku. Coś musiało ją rzeczywiście bardzo dręczyć, skoro pozwoliła na tak intymny kontakt i w ogóle go chciała.

– Zły sen? – mruknęła Lacey niewyraźnie, z ustami zanurzonymi we włosach dziewczynki.

Drobnym ciałem Mackenzie wstrząsał szloch.

– Coś mi się przyśniło – wyjąkała. – Tylko że to nie był do końca sen, bo przecież to naprawdę się stało.

Wyrzucała z siebie słowa przez łzy, dygocząc w ramionach Lacey.

– Widziałam wypadek. Tak jakby znów się powtórzył.

Lacey zacisnęła powieki, ale przed oczami, zamiast pijanego kierowcy taranującego samochód Jessiki, stanął jej Zachary Pointer w drzwiach schroniska dla kobiet, mierzący z pistoletu do swojej żony.

– Wszystko się ułoży – szepnęła, chociaż dobrze wiedziała, że życie Mackenzie już nigdy się do końca nie ułoży, a na pewno nie będzie takie jak kiedyś.

– Kiedy to się stało, patrzyła na mnie – jęknęła dziewczynka. – Gdyby nie ja, może dałaby radę zjechać z drogi temu pijanemu... pijanemu gnojowi.

Co ona by czuła, pomyślała Lacey, gdyby się dowiedziała, że Bobby też kiedyś usiadł nietrzeźwy za kierownicą i uśmiercił dwie osoby. Pewnego dnia prawdopodobnie będzie musiała się dowiedzieć.

– W życiu człowiek często się zastanawia: co by było gdyby – powiedziała. Gdyby moja matka nie zabrała mnie akurat tamtego dnia do schroniska dla kobiet. Gdybym to ja zamiast niej zasłoniła żonę Zachary'ego Pointera. Może nie strzeliłby do dziecka. – Niestety, nie można cofnąć tego, co się stało.

– W takim razie życie jest do kitu – syknęła Mackenzie.

– Racja – zgodziła się Lacey. – Czasami naprawdę jest.

– Jak to było z tobą, kiedy zginęła twoja matka? – zapytała dziewczynka, nie unosząc głowy wciśniętej w obojczyk Lacey. Po raz pierwszy chciała się dowiedzieć czegoś o stracie, którą przeżyła jej opiekunka.

– Słabo – odparła Lacey. – Buntowałam się, tak samo jak ty teraz.

– Ja się wcale nie buntuję.

– Nie? – Uśmiechnęła się pod nosem. – Bywasz opryskliwa jak mało kto. Kradniesz w sklepie. Podbierasz mi pieniądze z torebki. Wyciągasz mi z szafki wibrator i stawiasz go na stole w kuchni, żeby wszyscy widzieli.

Tym razem dźwięk, który wydała z siebie Mackenzie, przypominał bardziej chichot niż szloch.

– Co to znaczy „opryskliwa”? – zapytała.

– Nieuprzejma. Arogancka.

Dziewczynka westchnęła.

– Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Nigdy taka nie byłam.

– Moim zdaniem kompletnie się pogubiłaś – powiedziała Lacey. – W twoim życiu zaszła zmiana, gwałtowna i radykalna zmiana. To cię przeraża. A kiedy człowiek się boi, to ten strach wychodzi z niego na przeróżne sposoby.

Dziękuję ci, Bobby, dodała w myśli.

– Ty też byłaś opryskliwa?

– Bywałam znacznie gorsza – przyznała. – A potem mój ojciec zaczął spotykać się z Olivią –

wiesz, z mamą Jacka i Maggie. To było dla mnie straszne. Z początku jej nie lubiłam, ale nie tylko ze strachu, że próbuje zająć miejsce mojej matki. Coś mi mówiło, że gdybym polubiła Olivię, w pewnym sensie zdradziłabym mamę.

– Tak... – powiedziała Mackenzie z przekonaniem i od razu stało się jasne, że stoi przed podobnym dylematem.

– A potem uświadomiłam sobie, że miłości, którą mam w sobie, wystarczy i dla mojej mamy, i dla wszystkich innych ludzi.

Mackenzie pociągnęła nosem, wtulona w ramię Lacey.

– Kochasz Olivię? – zapytała.

– Bardzo. Zupełnie inaczej, niż kochałam mamę. Olivia wcale mi jej nie zastąpiła. Stała się po prostu nową ważną osobą w moim życiu.

Przez chwilę obie milczały. Nagle Mackenzie znów zaczęła się trząść od płaczu. Lacey instynktownie pogładziła ją po plecach.

– Będzie dobrze – powiedziała, marząc o tym, żeby mieć taką władzę, aby móc to sprawić. Po każdym gwałtownym spazmie, który wstrząsał ciałem dziewczynki, Lacey przytulała ją mocniej, a jej serce zalewała nagła fala uczucia. Powiedziałyby, że to miłość, ale o tym przecież nie mogło być mowy. Bardzo wyraźnie czuła za to, jak jej własny ochronny mur, o którym dotąd nie miała nawet pojęcia, choć przecież sama się nim otoczyła, pęka i wali się w gruzy. Przed czym tak się broniła? Właśnie przed tym, odpowiedziała sobie, przed tym, żeby na nowo nie przeżywać tego cierpienia. A także przed tym, żeby nie być wrażliwą i troskliwą dla innych, jak moja matka, bo to jest najgorsza zbrodnia.

W końcu Mackenzie przerwała ciszę.

– Myślisz, że naprawdę nic się nie dzieje bez przyczyny? – zapytała. – Tak powiedziała Amelia. I inni też. „To się nie stało bez przyczyny, Mackenzie. Nie wiemy, o co chodziło, ale zaufaj, że tak właśnie miało być”. Ale jakoś nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dlaczego mama miała umrzeć.

– No cóż, wielu ludzi tak mówi – odparła Lacey. – To im chyba pomaga, kiedy pomyślą, że ich życiem nie rządzi przypadek.

– Ty też tak myślisz?

Doszła do wniosku, że jeśli takie przekonanie dodawało Mackenzie otuchy, lepiej go nie podważać. Uważała jednak, że powinna być szczerą.

– Osobiście raczej w to nie wierzę – wyznała. – Ale wiesz, kochanie... – Czułe słowo uleciało z jej ust z niespodziewaną łatwością; jeśli zdziwiło Mackenzie, to ją sto razy bardziej. – Myślę, że ludzie, których spotkało straszne nieszczęście, muszą starać się żyć jak najlepiej. Takie jest nasze zadanie. To trudniejsze, niż powiedzieć sobie, że nic się nie dzieje bez przyczyny i już, prawda? Znacznie trudniejsze. Kiedyś, gdy miałam podjąć jakąś decyzję, myślałam tak: „Czego mama wymagałaby ode mnie w takiej sytuacji?”

Już od dawna tego nie robiła, bo przestała ufać poglądom swojej matki, ale ta koncepcja mogła się sprawdzić dla Mackenzie.

– To mi bardzo pomogło – dodała. – Czułam się tak, jakby mama wciąż była przy mnie.

Ta dobra mama. Ta, która jeszcze nie wypadła z moich łask.

– Czasem sobie myślę, że to wszystko była jakaś pomyłka – powiedziała Mackenzie. – Że mama żyje i wróci.

– Wiem. – Lacey bardzo dobrze pamiętała takie fan-tazje.

Nagle Mackenzie puściła ją i usiadła prosto, ocierając mokrą od łez twarz palcami. W nikłym świetle błysnęły paznokcie koloru fuksji.

– Boże, jaki wstyd... – jęknęła.

– Czego się tak wstydzisz? – Lacey wciąż trzymała dłoń na ramieniu dziewczynki. Nie chciała jej puszczać.

– Że obudziłam się z krzykiem. Ale że mnie ofiara losu.

– Nie miej do siebie pretensji. Sny potrafią niezle człowieka wystraszyć.

– Tobie też to się kiedyś zdarzało? – zapytała Mackenzie. – Budziłaś się z krzykiem?

W pierwszych miesiącach po zabójstwie matki Lacey chyba nigdy nie spała aż tak długo, aby coś zdążyło się jej przyśnić.

– Nie pamiętam, żebym krzyczała na głos – wyznała. – Ale często krzyczałam w myślach. Na próżno, bo nikt mnie nie słyszał, nikt nie przybiegł, aby pobyć ze mną.

Mackenzie odchyliła głowę i zmierzyła Lacey uważnym spojrzeniem. A potem powoli uniosła rękę i dotknęła jej policzka. Dopiero wtedy Lacey uświadomiła sobie, że płacze.

– Kocham cię, Mackenzie – powiedziała. Przygarnęła dziewczynkę do siebie, a te dwa magiczne słowa wypełniły cały pokój. I nagle, całkiem niespodziewanie, Lacey zrozumiała, że to prawda.

## Rozdział trzydziesty trzeci

– Chcę iść zobaczyć tego nowego psa – oznajmiła Mackenzie, wyglądając przez okno na słonecznej werandzie. Od pół godziny przyglądała się, jak Bobby pieczołowicie nakłada farbę na wygrawerowany obrazek. Grzecznie udawała zainteresowaną, ale on i tak widział, że nie wkłada w to serca.

Uniósł głowę znad klamry, nad którą pracował. Na podwórzu za domem stał Clay, a obok niego kobieta z długim siwym warkoczem przecinającym plecy. Przy jej nodze siedział duży i piękny owczarek niemiecki. Słońce świeciło mocno, a sylwetki dwójki ludzi i psa rzuciły na piasek ostre cienie.

– To jest Wilk, o którym mówił Clay? – zapytał Bobby. – Ten ze stresem pourazowym?

Mackenzie skinęła głową, nie odrywając wzroku od tej grupy.

– Przyjechali – powiedziała. – Biedny pies.

Była sobota, więc siedziała cały dzień w domu, bo Nola w weekendy zajmowała się nieruchomościami. Obdzwoniła już znajomych w Phoenix, napisała do nich mejle i poczytała Rani książeczkę, a teraz nudziła się jak mops, bo Gina zabrała małą i pojechała załatwić różne sprawy. Aż ją nosiło z nudów.

– Zastanawiam się, czy to dobry pomysł, żebyś zbliżała się do tego psa – odparł Bobby. – Pamiętaj, że on rzucił się na człowieka.

– Zadzwoń do Claya i zapytam. – Mackenzie błyskawicznie wyciągnęła komórkę i wybrała numer. W pierwszej chwili chciał ją powstrzymać, powiedzieć, żeby nie przeszkadzała Clayowi w pracy, ale wiedział, że jemu to wcale nie będzie przeszkadzać. Zaproszenie Mackenzie do treningów z psami okazało się strzałem w dziesiątkę, a oprócz tego wyglądało na to, że jej pomoc naprawdę mu się przydaje.

Patrzyli oboje, jak Clay sięga po telefon wiszący na pasku od spodni i przykłada go do ucha.

– To ja – powiedziała Mackenzie. – Jestem w pracowni.

Clay odwrócił się twarzą w kierunku domu, a ona pomachała mu przez okno.

– Mogę przyjść poznać Wilka? – zapytała, po czym przez chwilę słuchała odpowiedzi i wreszcie jej buzię rozjaśnił promienny uśmiech. – Super! – Zamknęła klapkę i odwróciła się do Bobby'ego. – Zgodził się.

– Pójdę z tobą, dobrze? – zaproponował. Udawał, że też interesuje go ten pies, ale tak naprawdę po prostu chciał ją chronić. W sumie nie znał się na psach i prawdę mówiąc, nigdy nie czuł się przy nich swobodnie. Z drugiej strony Clay pozwolił jej przyjść, bo wiedział, że jest bezpieczna.

Wyszli razem na werandę z tyłu domu, a stamtąd po schodkach na piaszczyste podwórko. Gdy się zbliżali, Wilk podniósł się z ziemi. Bobby zauważył ze zdziwieniem, że merda ogonem. Tak czy inaczej, był zadowolony, że pies jest na smyczy.

– Odwróć wzrok – szepnęła Mackenzie.

– Co?

– Nie patrz mu w oczy. Psy odbierają to jako groźbę, wyzwanie do walki.

– Jasne. Dzięki.

To akurat wiedział, chociaż słabo znał się na psach, ale chciał, aby myślała, że jest lepiej zorientowana. Uśmiechnął się do Claya i jego klientki, patrząc im prosto w oczy i omijając wzrokiem Wilka.

Właścicielka psa była kobietą niezwyklej urody. Dobiegała sześćdziesiątki, ale po grubości warkocza na plecach widać było, jak gęste są jej włosy. Miała też bardzo szeroki uśmiech, olśniewający bielą zębów.

– To jest Bobby, a to jego córka, Mackenzie – przedstawił ich Clay.

Bobby i jego córka Mackenzie. Mój Boże. Po raz pierwszy ktoś powiedział to na głos. W zasadzie był pewien, że to nieprawda, lecz mimo wszystko te słowa sprawiły mu niezaprzeczalną radość i napełniły dumą. Ojcowskim gestem położył dłoń na ramieniu dziewczynki. Po prostu nie mógł się

oprzeć.

– A to jest Susan. – Clay wskazał gościa.

Kobieta wyciągnęła rękę do Bobby'ego. Uścisnęła jej dłoń z niejakim wahaniem, nie wiedząc, jak Wilk zinterpretuje ten gest wobec swojej pani. Ale pies wydawał się wcieleniem łagodności. Jakby dostał coś na uspokojenie.

– Mackenzie to moja asystentka – wyjaśnił Clay.

– Mogę go pogłaskać? – zapytała dziewczynka.

– Daj mu dłoń do powąchania – zgodziła się Susan. – Potem pogłaszcz go po piersi. W żadnym wypadku nie po łbie.

Mackenzie skinęła głową, podeszła i dała Wilkowi obwąchać swoją dłoń. Kiedy skończył, pochyliła się nisko, aby podrapać go po klatce piersiowej. Poddał się pieszczocie, wręcz naparł na jej rękę i widać było, że ten dotyk sprawia mu przyjemność. Bobby odetchnął spokojniej.

– Clay mówił, że kiedyś tresowaliście Wilka razem – zwrócił się do Susan, a ona przytaknęła.

– To był świetny pies do poszukiwań, ale od dwóch miesięcy nie mogę już na nim polegać. – Opisała mu przerażające wydarzenia ostatnich tygodni, o których opowiadał Clay. – Kiedy zaatakował moją znajomą, zastanawiałam się nad uspieniem go, ale jeśli jest jeszcze szansa, aby w pełni odzyskał dawną formę, po prostu nie mogę tego zrobić.

– Jaki on kochany. – Mackenzie usiadła na piasku, a Wilk przewrócił się na grzbiet i wystawił brzuch do głaskania.

– Jest nieprzewidywalny – odparła Susan. – Szkoda, że nie wiem, co się dzieje w jego głowie.

– Zanim zacznę z nim pracować, chciałbym, żeby mój ojciec rzucił na niego okiem – poinformował ją Clay. – Po gruntownym badaniu będziemy mogli wykluczyć problemy ze zdrowiem.

– Czyli go przyjmiesz? – zapytała.

– Tak. Zostawisz go tutaj, żeby mógł codziennie z nim pracować? Będzie zamknięty na ogrodzonym wybiegu. – Wskazał siatkę w pobliżu parkingu.

– Oczywiście – przytaknęła Susan. – Ale będę za nim straszliwie tęsknić.

Usiadła na ziemi obok Mackenzie i podrapała Wilka po klatce piersiowej. Dziewczynka zajęła się brzuchem. Widać było, że zwierzak jest w psim siódmym niebie.

– Ile czasu twoim zdaniem tutaj spędzi? – Susan zwróciła się do Claya.

– Zależy od jego postępów – odparł. – Będę pracował z nim codziennie, używając wyłącznie pozytywnego wzmocnienia, ma się rozumieć.

Susan skinęła głową.

– I dlatego chciałam, żeby trafił właśnie do ciebie.

Na zwirowej drodze zgrzytnęły opony samochodu. Bobby obejrzał się: na parking przyjechała Lacey. Mackenzie pomachała jej na powitanie. Wszystko wskazywało, że w nocy zdarzył się mały cud, a chwile, które Lacey spędziła w jej pokoju, okazały się przełomowe dla nich obu. Od Lacey nie dowiedział się zbyt wiele, ale podziękowała mu, że zachęcił ją, aby poszła do Mackenzie. Rano, kiedy zajrzał do kuchni, zobaczył, jak w najlepszej komitywie szykują razem francuskie grzanki.

Przez kilka ostatnich dni peszył się trochę w obecności Lacey; poruszony tym, że widziała go z Elise nocą na parkingu. Wydawało mu się, że noc to bezpieczna pora na spotkanie, a tymczasem okazało się, że musi zachować większą ostrożność. Lacey nie uwierzyła w kity, które jej wcisnął – z całą pewnością nie – lecz chyba była skłonna zapomnieć o całej sprawie, a on nie miał zamiaru jej o tym przypominać.

Po wyjściu z auta Lacey wyciągnęła z kieszeni swoich rybaczków gumkę do włosów i uniosła rękę, aby zawiązać sobie kucyk. Potem ruszyła w ich stronę.

I w jednej chwili wszystko się zmieniło. Wilk zerwał się z ziemi, warcząc głucho z głębi gardła. Susan mocno zacisnęła dłoń na smyczy, a Mackenzie skoczyła na równe nogi.

– Cześć! – zawołała Lacey z szerokim uśmiechem. Najwidoczniej nie usłyszała ostrzegawczego warczenia. Gdy była już mniej więcej trzy metry od nich, Wilk skoczył w jej stronę. Jego właścicielka chwyciła smycz obiema rękami, wykrzykując komendy: „Do mnie! Siad! Leżeć!”, ale pies nie



zareagował, jakby nagle ogłuchł. Lacey zastygła w miejscu, a Clay podszedł do Susan i pomógł jej trzymać smycz. Bobby, pchnięty uderzeniem pulsu, który w jednej chwili wszedł na najwyższe obroty, chwycił Mackenzie za ramię i odciągnął ją od psa.

– Aha. – Lacey uśmiechnęła się, ale tym razem już nerwowo. – To pewnie jest sławetny Wilk. Susan spojrzała na Claya.

– Widzisz, o co mi chodzi? – zapytała, szamocząc się z psem, który wciąż warczał, szczerząc olbrzymie, ostro zakończone zęby. Bobby, chociaż trzymał tylko dłoń na ramieniu Mackenzie, czuł wyraźnie pod palcami, jak mocno bije jej serce.

Clay skinął głową.

– Ciekawe – skomentował, drapiąc się wolną ręką w głowę. Miał przy tym taką minę, jakby usiłował rozwiązać jakąś zagadkę.

– Chyba pójdę do domu – powiedziała Lacey, wycofując się powoli.

– Jesteś podobna do znajomej, którą zaatakował – oznajmiła Susan. – Ona też ma rude włosy.

– Psy nie widzą barw – zauważyła Lacey.

– Odróżniają czerwień od innych kolorów – uściślił Clay. – Ale w każdym razie jest oczywiste, że Wilk z jakiegoś powodu czuje z twojej strony zagrożenie. To świetnie, że będziemy mieć na miejscu osobę, która budzi w nim takie emocje. Pomożesz mi go znieczulać na bodźce, kiedy dojdziemy do tego etapu.

– Och, cudownie. – Lacey skrzywiła się sarkastycznie. – Jak miło, że na coś się przydam.

Wilk powoli się uspokajał. Sądząc po wyglądzie, nagły wybuch agresji chyba go wyczerpał, ale z głębi jego gardzieli wciąż dochodziło stłumione warczenie.

Nagle gdzieś w pobliżu trzasnęły drzwi od samochodu i wszyscy odwrócili głowy. Gina właśnie wypinała Rani z fotelika na tylnym siedzeniu furgonetki.

– Lacey, powiedz jej, żeby tutaj nie podchodziła, dobrze? – poprosił siostrę Clay.

Skinęła głową, po raz ostatni rzuciwszy okiem na Wilka, po czym odeszła powoli w kierunku domu. Spotkała się z Giną tuż przy werandzie i zamieniła z nią parę słów, wyjmując jej przy tym z rąk torbę z zakupami. Bobby zauważył, że Gina błyskawicznie chwyciła Rani za rączkę i spojrzała w ich stronę.

Clay odwrócił się i pomachał do żony i córeczki. Blask słońca bił mu prosto w oczy, które zalśniły niczym dwie kulki ze szkła w najdelikatniejszym odcieniu błękitu. Bobby nie mógł oderwać od niego wzroku. Nagle zrozumiał, dlaczego Clay od samego początku wyglądał znajomo. On znał te oczy i dobrze pamiętał skąd. Takich oczu się nie zapomina.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Gdy Lacey otworzyła drzwiczki swojego samochodu, las otaczający domek Ricka powitał ją gęstym gwarem cykad. Zanim wysiadła, włożyła sandały; bolesne doświadczenie nauczyło ją, że po tym lesie lepiej nie chodzić boso. Kiedyś spróbowała i nadepnęła na kłujący kłosek kolczatka.

Przywiozła ze sobą kanapki i nawet z torebki, starannie owinięte w papier, wydzielają zapach cebuli. Do domku było blisko; weszła po dwóch schodkach na werandę i zajrzała przez drzwi z siatki. Rick siedział nad komputerem przy biurku w kącie mikroskopijnego salonu. Oby tylko się nie zezłościł, że przeszkadzam mu w pracy, pomyślała Lacey.

– Cześć! – przywitała się.

Odwrócił się i uśmiechnął na jej widok, a ona zrozumiała, że ten facet nigdy nie będzie na nią zły, że mu w czymś przeszkadza.

– Niespodzianka! – zawołała, otwierając drzwi. – Mam nadzieję, że jesteś głodny. – Wiedziała, że kiedy pracuje, czasami zapomina o jedzeniu.

Rick nacisnął kilka klawiszy i wstał od biurka.

– Umieram z głodu. – Wyglądał, jak zwykle, czysto i schludnie. – Jak to miło z twojej strony. – Podszedł i pocałował ją w usta.

Owszem, starała się być miła. Nie przekonały jej wyjaśnienia Bobby'ego odnośnie do jego relacji z kobietą, która odwiedziła go nocą, a tak czy inaczej, tamto zajście utwierdziło ją w przekonaniu, że lepiej poświęcić uwagę Rickowi.

– Siadaj, będę dzisiaj twoją kelnerką. – Podeszła do tyciego stolika w kuchni i odsunęła mu krzesło. Rick usiadł, uśmiechając się do niej szeroko, a ona zaczęła otwierać szafki w poszukiwaniu talerzy.

– Nie przywiozłam nic do picia, zapomniałam – powiedziała. – Masz coś u siebie?

– Piwo korzenne – odparł. – Wino. Sok pomarańczowy. Wodę. Do wyboru.

Lacey wyjęła z szafki dwa talerze, po czym zajrzała do lodówki. Stał tam sześciopak piwa korzennego, trzy butelki wina, karton soku pomarańczowego i dwie duże butelki z wodą. Poza tym półki były niemalże puste.

– Na co masz ochotę? – zapytała.

– Poproszę piwo korzenne.

Napełniła jego szklankę, a później swoją.

– Nie czułeś się dziwnie, kiedy Bobby tutaj mieszkał, a w domu był alkohol? – zagadnęła, stawiając szklanki na stole.

– Jak to? – Duże oczy i długie rzęsy nadawały mu wygląd absolutnej, prostolinijnej wręcz uczciwości.

– No wiesz. – Wzruszyła ramionami. – Pod jednym dachem ze zdrowiejącym alkoholikiem...

– Jeśli pytasz, czy podkradał mi wino, odpowiedź brzmi: nie. Co prawda nie pilnowałem go całą dobę, ale raczej bym zauważył.

Lacey przyniosła talerze i usiadła przy stole.

– Mam lekką paranoję na jego punkcie – przyznała.

– Potrafię cię zrozumieć, ale moim zdaniem on jest w porządku.

– Powiedział mi, że tamta blondynka to znajoma z AA.

– I pewnie mówił prawdę – odparł Rick.

Odwinęła kanapki z papieru, przełożyła je na talerze.

– Cebula – mruknął Rick, wdychając aromat bagietki, warzyw i całej reszty. – U ciebie też jest, mam nadzieję?

– Jest. – Uśmiechnęła się, lecz po chwili z zakłopotaniem odwróciła wzrok. Czyżby dawał jej do zrozumienia, że potem będą się całować? Albo pójda krok dalej, kilka kroków? Może uznał, że taka

niezapowiedziana wizyta ma oznaczać: jestem gotowa na więcej? A przecież nie była.

– Wpadłam na chwilę – powiedziała, biorąc w palce plasterek pomidora, który wysunął się z kanapki, i włożyła go z powrotem. – W drodze z przychodni do pracowni. Muszę ruszyć z robotą. Za rzadko się tam pokazuję i Tom już suszy mi o to głowę.

Rzeczywiście, Tom był już na nią trochę zły. Mieli się dzielić wszystkimi mniej artystycznymi pracami związanymi z prowadzeniem pracowni, a tymczasem ostatnio sam musiał zajmować się sprzedażą i obowiązkami administracyjnymi. Lacey tworzyła witraże u siebie, popołudniami; trudno jej było powiedzieć, czy stara się mieć oko na Bobby'ego, czy po prostu chce być blisko niego. Może jedno i drugie.

Rick przełknął kęs swojej kanapki, popił piwem korzennym.

– Opowiadaj – poprosił. – Co z twoją małą domową buntowniczką?

– W porządku – uśmiechnęła się.

Uniósł brwi zaskoczony. Lacey wzruszyła ramionami.

– Po prostu lepiej nam idzie.

Uczucia, które obudziły się w niej tamtej nocy, kiedy przysłała do pokoju Mackenzie, po kilku dniach jeszcze przybrały na sile. Z początku bała się, że jej podopieczna z samego rana po starym będzie na nią warczeć, zła, że zwróciła się o wsparcie do osoby, którą wcześniej lekceważyła, tak się jednak nie stało.

– Czyżby nastąpiło ocieplenie uczuć? – zapytał Rick.

Lacey skinęła głową.

– Chyba tak. Po obu stronach.

– To wspaniale, Lacey – powiedział. – Wiem, że było ci ciężko.

– I na pewno jeszcze nie raz będzie, ale robimy postępy. – Ugryzła kęs swojej kanapki. Przez chwilę jedli w milczeniu. Przedłużająca się cisza powoli zaczynała ciążyć Lacey. Co ją właściwie łączyło z tym mężczyzną, oprócz tego, że chciała być dobrze traktowana, a on tak właśnie ją traktował? Czy to nie za mało?

– Powinieneś zobaczyć psa, z którym pracuje teraz Clay. – Opowiedziała mu o Wilku i jego przemianie z łagodnego psa ratowniczego w nieobliczalną bestię. – Przyznam ci się szczerze, że boję się go jak ognia. Po drodze z samochodu do domu muszę minąć wybieg, a on wtedy rzuca się ku mnie i skacze na siatkę.

– Czy ten wybieg jest właściwie zabezpieczony? – zapytał Rick.

– Jasne. Wiem, że on się nie wydostanie, ale i tak mam stracha. Ale poza tym on chyba tylko na mnie tak reaguje. Clay jest zachwycony. Mówi, że kiedy Wilk przestanie się rzucać na mój widok, to będzie znak, że się udało.

– O, świetnie – mruknął Rick.

– Gina jest na niego zła. – Lacey zdawała sobie sprawę, że plecie, co jej ślina na język przyniesie, ale czuła potrzebę, aby zagadać uciążliwą ciszę. – Jej zdaniem to źle, że trzymamy groźnego psa w pobliżu dzieci, a ja się z nią zgadzam.

Nie dalej jak rano Gina i Clay pokłócili się o to przy śniadaniu. Lacey po raz pierwszy słyszała tak ostrą wymianę zdań pomiędzy bratem a bratową i bardzo ją to zmartwiło.

– Pozwól mi go wziąć na dwa tygodnie – powiedział Clay. – Z wybiegu się nie wydostanie, wykluczone, a jeśli będę chciał popracować z nim bez smyczy, na pewno cię uprzedzę, żebyście zostały z Rani w domu.

Ostatecznie Gina uległa, ale Lacey widziała, że jest niezadowolona. To właśnie Gina przekonała Claya, aby wrócił do tresury psów, bo wiedziała, że wyjdzie mu to na dobre, więc chyba powinien wziąć sobie do serca jej obawy. A może Lacey chciała, aby bratowa wygrała w tym sporze, bo sama w głębi serca bała się Wilka. Nie podobał jej się ten pies, bez względu na jego osiągnięcia w pracy poszukiwawczo-ratowniczej.

Clay rano przywiózł Wilka do przychodni, aby ich ojciec go zbadał. Na widok Lacey pies zawarczał i wyszczerzył zęby. Cieszyła się, że siedzi w recepcji, osłonięta wysokim, zabudowanym

biurkiem, ale dłonie na klawiaturze komputera i tak się jej trzęsły. Na ogół nie bała się zwierząt, ale też rzadko które z nich zachowywało się wobec niej agresywnie. Pociuszające było to, że nie była jedyną osobą, na którą Wilk patrzył złym okiem. Mike, jeden z techników weterynarii, też od razu wzbudził jego niechęć; szybko postanowiono, że przed badaniem trzeba psu założyć kaganiec.

Lacey nie odważyła się asystować ojcu przy tej pracy. Pobrano krew i wysłano ją do laboratorium, a wspaniale rozwinięte ciało owczarka poddano dokładnym oględzinom i zbadano palpacyjnie. Ojciec stwierdził, że stan zdrowia psa nie budzi zastrzeżeń, i przyznał Clayowi rację: Wilk prawdopodobnie doznał urazu psychicznego i wymagał ponownej tresury. Zalecił jednak badanie neurologiczne, aby zyskać pewność, że w grę nie wchodzi coś jeszcze. W tym celu Clay miał zawieźć psa do Norfolk, ale dopiero za dwa tygodnie, bo tyle trzeba było poczekać na wizytę u specjalisty.

– A co z rozprawą? – zagadnął Rick, odrywając Lacey od pieskich myśli. – Postanowiłaś już, co zrobisz z tym oświadczeniem o doznanej krzywdzie?

Westchnęła.

– Pytasz, czy w ogóle zamierzam je napisać?

Skinął głową.

– Muszę to zrobić, naprawdę muszę – przyznała. – Ale zabrakło mi weny czy jak to tam nazwać.

– W takim razie niech oni sami robią dalej to, co mieliście zrobić, bez twojego oświadczenia.

Z tego, co wiem, amunicji wam nie brakuje.

– Ale wszyscy czekają na to, co ja napiszę – powiedziała. – Wczoraj zadzwoniła do mnie nasza adwokatka i powiedziała, że mogę przyjechać do niej i opowiedzieć... o tym, co się stało, a ona nagra to na dyktafon i zleci spisanie swojej sekretarce.

Miała jej za złe, że się wtrąca. Po tej rozmowie wpadła w panikę. Chcieli wyciągnąć od niej to oświadczenie takim czy innym sposobem.

– Lacey. – Rick nakrył jej dłoń swoją. – Bierzesz na siebie za dużo, słyszysz? Pozwalasz sobą dyrygować. Popatrz, z iloma zadaniami musiałaś się zmierzyć tego lata. Opuść sobie to jedno. Czujesz ulgę?

Zamknęła oczy. Tak, to byłaby ulga. Nie musiałaby powracać myślami do tamtej chwili. Nie zmuszałaby się do opisywania wszystkich wspaniałych cech swojej matki, wiedząc przy tym, że prawdziwa Annie O'Neill była dwulicowa, jednakowo święta, jak i grzeszna.

Rick przesunął kciukiem po jej dłoni. Ten dotyk był łagodny, czuły, więc nie broniła się przed nim. Nie miał w sobie ani śladu zmysłowości. Właśnie tego naprawdę potrzebuję, pomyślała. Wsparcia i opieki.

– Tylko ty jeden rozumiesz, jak trudno mi napisać to przekłete oświadczenie, które wciąż mi wisi nad głową – powiedziała.

Rick przytaknął, uśmiechając się smutno.

– Co ci mogą zrobić, jeśli go nie złożysz? – zapytał. – Przecież nie wsadzą cię do więzienia.

– Ale wszyscy będą na mnie źli – odparła. Nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to jak skarga małej dziewczynki.

– Przejdzie im.

– A jeśli Zachary Pointer wyjdzie z więzienia, powiedzą, że to przeze mnie.

To byłoby najgorsze, przeraziła się: sprawić zawód rodzinie. Westchnęła głęboko, otrząsając się z tych myśli, i spojrzała na zegarek.

– Muszę już iść – powiedziała. – Obiecałam Tomowi, że przyjadę o wpół do drugiej.

– Nie tknęłaś kanapki – zauważył Rick.

– Zabiorę ją ze sobą. – Zawinęła jedzenie z powrotem w papier. Pochyliła się nad stołem, żeby dosięgnąć ustami jego ust. – Dziękuję. Pogadamy później.

\* \* \*

W pracowni natknęła się na Bobby'ego. Siedział na jej krześle i rozprawiał z Tomem, a trzy klientki z małym dzieckiem podziwiałał witraże i fotografie. Kiedy stanęła w drzwiach, Tom uniósł

wzrok.

– O, jest moja zguba: koleżanka z pracy i córka w jednym – powiedział. Kobiety obejrzały się na Lacey. Jedna uśmiechnęła się pod nosem.

Lacey zmierzyła wzrokiem Bobby'ego.

– Czekasz na mnie? – zapytała, nie kryjąc zdumienia jego wizytą.

– No cóż, oczywiście cieszę się, że cię widzę – odparł dyplomatycznie. – Ale wpadłem przywitać się z Tomem.

Zmarszczyła brwi, starając się przypomnieć sobie, skąd oni mogą się znać.

– Jesteśmy razem w grupie AA – odpowiedział Tom, zniżając głos.

– O – mruknęła z zadowoleniem. A więc Bobby naprawdę chodził na te spotkania. Myśl o tym, że uczestniczą w nich razem, dodała jej otuchy.

– Możesz zrobić sobie przerwę – oznajmiła wspaniałomyślnie Tomowi. – Zastąpię cię.

– Jadę do Noli po Mackenzie. – Bobby wstał z krzesła. – Zadzwoń do mnie z pytaniem, czy może znowu wrócić wcześniej, żeby pracować z Clayem. Zgadzasz się, mam nadzieję?

– Oczywiście – odparła. – O ile Clay się zgadza.

Usiadła przy swoim stole roboczym, a mężczyźni wyszli na zewnątrz. Klientki, które przechadzały się po pracowni, kupiły dwa małe witrażowe ptaszki i jeden kalejdoskop. Zawijając ostrożnie ich nowe nabytki w bibułę, Lacey dostrzegła przez okno, że na parkingu stoi Bobby. Pochylony nad jakimś małym, ciemnym samochodem, zaglądał przez okno od strony pasażera i rozmawiał z jakąś blondynką. Szybko odwróciła wzrok i skupiła się na pakowaniu. Nie mogła na to patrzeć. Bała się zobaczyć coś, czego wcale nie chciała widzieć.

## Rozdział trzydziesty piąty

– Powiedzieć ci coś naprawdę super?

Bobby oderwał się od pracy. W drzwiach słonecznej werandy stała Mackenzie, oparta o framugę. Przez ramię miała przerzucone trampki, związane razem sznurowadłami, a u jej nogi stał Sasza i zadzierał łeb, wpatrując się w nią z uwielbieniem wielkimi brązowymi ślepiami.

– A co jest naprawdę super? – zapytał, chociaż można się było domyślić, że ma to coś wspólnego z psami.

– Będę dzisiaj pozorować ofiarę zaginięcia z Wilkiem!

Zabrzmiało to tak zabawnie, że Bobby parsknął śmiechem.

– Brawo, Mackenzie! – zawołał. – Robisz dzisiaj za ofiarę!

Mackenzie pokazała mu minę i weszła do środka.

– Nic nie kumasz – oznajmiła, siadając przy roboczym stole Lacey. – To jest przełomowa chwila – wyjaśniła, gestykulując dramatycznie, jak to miała w zwyczaju. – Clay mówi, że Wilk może już wznowić trening ratowniczy, więc ja schowam się w lesie, a on mnie znajdzie.

Clay pracował z Wilkiem już od tygodnia. Bobby był pełen podziwu dla jego niestrudzonego uporu, a także fachowych umiejętności. Poza tym dziwił się, że poświęca temu psu aż tyle czasu, bo przecież miał też swoje biuro architektoniczne, ale sam Clay jakoś się tym nie przejmował. A Wilk w niczym nie przypominał już psa, który zaraz po przyjeździe zaatakował Lacey. Zrobił się niemalże potulny. Przytyło mu się też trochę, bo Clay w nagrodę za dobre sprawowanie karmił go skrawkami suszonej wątróbki. Potrafił nawet zachować spokój w obecności Lacey, podczas ćwiczenia polegającego na tym, że ona dzielnie zbliżała się do niego, a Clay, na wszelki wypadek, trzymał go na luźnej smyczy. Jedno się nie zmieniło: zamknięty na wybiegu wciąż wpadał w prawdziwy szal, gdy obok przechodziła Lacey.

– To jest jego terytorium – wyjaśnił Clay przy kolacji kilka dni wcześniej. – Nikt oprócz mnie nie może wejść za siatkę. Nikt, czy to jasne? – zapytał, patrząc na Mackenzie, która z powagą skinęła głową.

Wydawało się jednak, że Wilk i Mackenzie założyli coś w rodzaju dwuosobowego towarzystwa wzajemnej adoracji. Miło było popatrzeć, jak pies wita się z nią, merdając ogonem tak szybko, że aż rozmazywał się w oczach. Kiedy Bobby pierwszy raz zobaczył, jak Wilk do niej biegnie, wpadł w prawdziwą panikę. Widział to przez okno w kuchni; był pewien, że zerwał się Clayowi ze smyczy i chce pogryźć dziewczynkę. Puścił się pędem do drzwi i otworzył je szarpnięciem – i w tym momencie zobaczył, że Mackenzie ma rozpromienioną buzię, a Wilk wesoło bryka wokół niej. Rozluźnił palce, kurczowo zaciśnięte na gałce od drzwi, i odetchnął z ulgą. Nie miał najmniejszej ochoty zbliżyć się do tego psa. Chociaż bardzo się starał, wciąż czuł się przy nim nieswojo.

– Clay powiedział, że możesz przyjść i popatrzeć – poinformowała go Mackenzie, wstając z krzesła.

– Chętnie – odparł. W ciągu godziny zamierzał ostatecznie skończyć klamrę, ale to mogło poczekać.

Wyszli razem na dwór. Wilk siedział przed Clayem. Widząc, że nie jest na smyczy, Bobby przeżył lekki wstrząs. Pies łypnął okiem w ich stronę, ale nawet nie drgnął.

– Clay wydał mu komendę „zostań” – wyjaśniła Mac-kenzie. – Spójrz, jaki on jest piękny! To taki dobry pies. Nie do wiary, że chcieli go uśpić.

– To świetna próba! – zawołał do nich Clay, kiedy podeszli bliżej. – On rwie się do ciebie, Mackenzie, ale wie, że musi zostać.

– Mogę go zawołać? – zapytała.

– Nie, kochanie – odparł. – Sam go puszczyć, dobrze? Ty stój tam, gdzie stoisz, żeby dalej go korciło, a ja go tu potrzynam jeszcze przez pół minuty.

Bobby stanął obok Mackenzie, zafascynowany tą sceną. Wilk doskonale nad sobą panował, nie spuszczał oczu z Claya, a wzrok miał spokojny, chociaż drżał na całym ciele; Mackenzie była tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

– No, ruszaj! – zawołał w końcu Clay, a pies pognął prosto do niej. Mackenzie rzuciła trampki na piasek i razem pobiegli nad morze.

– Stary, dokonałeś cudu z tym zwierzakiem – powiedział Bobby do Claya, który obserwował, jak dziewczynka bawi się z Wilkiem w płytkiej wodzie u stóp latarni.

– No cóż, nie musiałem zaczynać od zera. – Clay trzymał dłonie na biodrach i przez cały czas miał oko na psa. – On ma już wpojone wszystkie reguły treningowe. Po prostu zapomniał o tym po traumie, którą przeżył.

– Masz już do niego absolutne zaufanie?

Clay westchnął i potrząsnął głową.

– Na razie mocno ograniczone. Robi postępy, ale kto wie, co tam jeszcze mu nie styka w łepetynie. Odetchnę dopiero po badaniu neurologicznym w przyszłym tygodniu. Mackenzie! – zawołał, przykładając złożone dłonie do ust. – Przyrowadź go. Bierzemy się do pracy.

Wróciła Mackenzie. Wilk truchtał u jej boku.

– Gotowa na zabawę w chowanego? – zapytał Clay.

– Mhm – przytaknęła, siadając na piasku, żeby włożyć buty. Błądziła przy tym spojrzeniem pomiędzy drzewami. – Daleko mam odejść? – Uniosła wzrok na Claya, mrużąc oczy, bo raziło ją słońce.

– Tak daleko, żebyś się nie bała – odpowiedział. – Masz przy sobie telefon w razie czego?

Mackenzie wstała i skinęła głową, zarzucając biodrem w taki sposób, żeby Clay mógł zobaczyć komórkę zaczepioną na niskiej talii jej szortów. Rośnie z niej uwodzicielka, pomyślał Bobby, jej matka była taka sama. Za parę lat miejscowe chłopaki będą się o nią zabijać.

Clay klepnął się po udzie i gwizdnął, by przywołać do siebie Wilka.

– Pójdę z nim za dom na jakieś dziesięć minut – poinstruował Mackenzie. – I puszczę go twoim tropem.

– Dobra. – Dziewczynka pobiegła w stronę lasu, gdzie zniknęła w gęstych zaroślach. Później trzeba sprawdzić, czy nie złapała kleszczy, pomyślał Bobby, notując sobie w pamięci, żeby wspomnieć o tym Lacey.

Ruszył za Clayem, który szedł z Wilkiem w stronę domu, oddalając się od lasu. Wyciągnął z kieszeni koszuli papierosa.

– Mogę? – zapytał, a Clay przytaknął.

– Tutaj jest mnóstwo świeżego powietrza – odparł. Wilk biegł kilka metrów przed nimi, pochwyciwszy jakiś niewidzialny trop na piasku. – Do nogi! – zawołał Clay łagodnie, nie unosząc nawet głosu, i pies natychmiast się z nim zrównał.

Za domem Bobby przystanął, żeby zapalić. Musiał odwrócić się plecami, żeby osłonić zapałkę przed wiatrem.

– Staram się nie palić przy Mackenzie – powiedział, wypuszczając dym, kiedy ruszyli dalej. Została mu jeszcze jedna przywara, może dwie, ale ona nie musiała o tym wiedzieć. Jego rodzice palili i pili przy nim, a kiedy jeszcze raczkował, ojciec dawał mu spróbować mocnego alkoholu, bo uważał, że to zabawne.

Odkąd tydzień temu przypomniał sobie, skąd kojarzy Claya, Bobby'ego koczyło, by zapytać go o tamtą noc, kiedy się poznali. „Pamiętasz? Już się kiedyś spotkaliśmy” czy coś w tym stylu. Zrezygnował jednak, bo i po co?

Rozmawiali więc o adopcji Rani, powoli okrążając dom. Wprost niewiarygodne, co to był za koszmar! Bobby wiedział, że Clay i Gina mieli z tym mnóstwo problemów, ale do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak mało brakowało, aby dziecko przepadło, i to nie tylko im, ale dosłownie: Rani rzeczywiście otarła się o śmierć, ponieważ w Indiach nie miała szans na operację serca, której bardzo pilnie potrzebowała.

– Cieszę się, że wszystko wam się w końcu ułożyło – powiedział. – Rani ma sporo szczęścia.

Clay nie patrzył na niego, ale uśmiechnął się pod nosem.

– Mackenzie też – odparł. Słyszając ten niespodziewany komplement, Bobby poczuł pod powiekami ukłucia łez.

Stanęli na skraju lasu. Wilk zatrzymał się, czujnie wodząc wzrokiem od linii drzew do Claya i z powrotem, czekając na sygnał. Clay pochylił się nisko i powiedział coś do niego – Bobby nie dosłyszał co – a potem wskazał ręką las.

– Szukaj! – zawołał.

Wilk pobiegł przed siebie, a Clay ruszył za nim.

– Za chwilę będziemy z powrotem – rzucił przez ramię do Bobby'ego. – Razem z naszą zaginioną.

Bobby skinął głową.

– Powodzenia! – powiedział, patrząc, jak sylwetki mężczyzny i psa nikną w leśnej gęstwinie. Potem odwrócił się i ruszył w kierunku domu.

Kiedy był już prawie na werandzie, na zwirowej drodze zazgrzytały opony samochodu. Obejrzał się; na parking wjechała Lacey. Pomachał do niej, a w następnej chwili przypomniało mu się, że po lesie, tuż obok parkingu, biega Wilk. Samopas, nie na smyczy.

– Lacey, czekaj! – krzyknął, zakręcił w miejscu i rzucił się biegiem w jej stronę. – Zostań w samochodzie!

– Co? – odkrzyknęła. Nie dosłyszała go i zdążyła już wysiąść. Stała teraz w drzwiach, wydając coś ze środka, a jemu stanął przed oczami straszny obraz: Wilk wypada z lasu, przewraca ją na ziemię i sięga zębami do gardła.

– Wsiadaj! – zawołał, podbiegając. – Wilk jest w lesie!

Słyszając to, Lacey w jednej chwili znalazła się za kierownicą i zatrzasnęła drzwi.

Bobby wskoczył z drugiej strony, zabrał z siedzenia torbę z zakupami i postawił ją sobie na kolanach.

– Wilk jest w lesie? – zapytała.

Serce waliło mu jak oszalałe, choć w rzeczywistości sytuacja nie była aż tak poważna.

– Szuka Mackenzie – odpowiedział.

Oczy Lacey pociemniały od niepokoju.

– Udaje zaginioną – wyjaśnił szybko, a na jej twarzy rozlał się wyraz ulgi.

– Ale mnie nastraszyłeś – zachichotała. – I chyba troszeczkę przesadziłeś. – Uśmiechnęła się do niego, pokazując dołeczki w policzkach. – Jeśli Wilk szuka w lesie Mackenzie, to znaczy, że pracuje. Raczej nie porzuci zadania po to, żeby puścić się w pogoń za mną, kiedy tylko zwietryży mój zapach.

Bobby też się roześmiał. Było mu głupio.

– Pewnie masz rację – przyznał i w tym samym momencie zauważył kropelki potu na piegowatych policzkach i czole Lacey. Prędzej groziło im śmiertelne przegrzanie w tym samochodzie niż pogryzienie przez psa.

– Chodźmy. – Otworzył drzwi. – Zabiorę zakupy.

Po drodze do domu nie bardzo wiedział, jak się odezwać, bo wciąż był jednak trochę wstrząśnięty. Obserwował Lacey kątem oka. Na bosaka, w letniej sukience sięgającej kostek, zaledwie sugerującej kształt ciała, wyglądała bardziej seksownie niż w bikini. Chciał jej powiedzieć, że jest piękna. Że ją podziwia. Że myśli o niej nocami, kiedy leży w łóżku, i że chciałby się z nią kochać, już, teraz. I tym razem zrobić to tak, jak należy.

Czy Lacey sypiała z Rickiem? Bobby zdawał sobie sprawę, że Rick jest i zawsze będzie dla niej lepszą partią. Miał do zaoferowania pieniądze, status społeczny i zapewniał poczucie bezpieczeństwa, nie wspominając już nawet o tym, że był przystojny i miał włosy. Bobby nie powiedział więc ani słowa i zamiast tego objął Lacey ramieniem, niby to dla ochrony przed psem, choć nigdzie w pobliżu nie było go widać.



## Rozdział trzydziesty szósty

– Fajne miejsce – skomentował Bobby, kiedy stary volkswagen skręcił na podjazd domu Aleca i Olivii.

– Fajne – przytaknęła Lacey. Duży, żółty dom ojca i macochy stał nad samą cieśniną, do połowy skąpany w słońcu, do połowy ukryty w cieniu. Z podjazdu widać było narożnik szerokiego tarasu, zajmującego znaczną część przestrzeni za domem. – Ja w dzieciństwie też mieszkałam nad cieśniną – powiedziała.

– Pamiętam. – Bobby uśmiechnął się do niej. Chyba raz czy dwa podrzucił ją do domu po imprezie. Często była tak urznięta, że nie pamiętała nawet, jak wróciła.

– Dalej nie rozumiem, dlaczego nie mogłam zostać w domu i pisać mejli – burknęła Mackenzie z tylnej kanapy. Została już tylko jedna, bo drugą Bobby wyrzucił razem ze starym materacem, aby zyskać miejsce do wożenia swoich narzędzi i wyrobów.

Lacey odwróciła się do niej.

– Jest piękna pogoda i pomyślałam, że dobrze ci zrobi zmiana otoczenia – wyjaśniła. – Mieszkaś w Outer Banks już pięć tygodni i nie widziałas jeszcze Jockey's Ridge.

– No, kto by pomyślał – prychnęła Mackenzie. – Nie widziałam Jockey's Ridge i żyję.

Z każdym przejechanym kilometrem robiła się coraz bardziej uszczypliwa. Bobby wybierał się na spotkanie grupy AA, więc zabrały się z nim. Lacey i Olivia umówiły się, że wezmą dzieci do Jockey's Ridge; Bobby w drodze powrotnej miał zajechać po Lacey i Mackenzie.

– Poza tym przecież lubisz Jacka i Maggie – ciągnęła Lacey. – Pamiętasz, jak fajnie było na kręglach?

– Aha, normalnie nigdy w życiu się tak nie bawiłam – skrzywiła się Mackenzie. Widać było wyraźnie, jak wraca na starą ścieżkę. Zabrać ją z Kiss River i znów zamienia się we wredną gówniarę, pomyślała Lacey. I natychmiast się zmytygowała: To ze strachu, ona się boi. W Kiss River, tej oazie spokoju, gdzie ludzie troszczyli się o nią, psy ją uwielbiały, a dla jednej małej dziewczynki była ósmym cudem świata, Mackenzie odnalazła poczucie bezpieczeństwa. Z dala od tego miejsca znów ogarniał ją strach. Przez ostatni miesiąc Lacey zrozumiała przynajmniej jedno: pod wpływem strachu to dziecko robi się ponure i opryskliwe.

Wyciągnęła rękę i lekko uściśnęła szczupłe przedramię Mackenzie.

– Będzie dobrze – zapewniła łagodnie. – Zobaczysz, że tam jest fajnie.

Mackenzie nie dała się pocieszyć. Odsunęła się i westchnęła z irytacją.

Bobby mrugnął do Lacey ze szczerym ubolewaniem.

– Więc w końcu poznam Olivię i resztę twojego rodzeństwa – zagadnął, otwierając drzwiczki.

Lacey już chciała mu powiedzieć, że kiedyś spotkał Olivię, i to kilka razy, gdy miał siedemnaście lat. Rozmyśliła się jednak. Sama wolała zapomnieć o tamtych niezręcznych chwilach.

Wysiadła w ślad za nim, ale Mackenzie nie ruszyła się z miejsca. Bobby otworzył tylne drzwi.

– Możesz spędzić ten czas na dwa sposoby: przyjemnie albo nieprzyjemnie – poradził jej. – Wybór należy do ciebie.

Mackenzie przewróciła oczami i zsunęła się z siedzenia, a gdy ruszyli w stronę domu, wlokła się za nimi, jakby szła na ścięcie.

Otworzyła im Maggie, która z miejsca złapała ją za rękę, podskakując z całym swoim wigorem dziewięciolatki.

– Zobaczysz, jak tam latają lotnie! – wykrzykiwała. – A z wydmy można sturlać się na dół tak szybko, że nie wiesz, co się z tobą dzieje!

Mackenzie mruknęła coś w odpowiedzi.

Do salonu weszła Olivia z Jackiem. Trzymała dłoń na ramieniu syna, jakby nie chciał przyjść bez specjalnej zachęty. Chłopiec miał tak samo nieszczęśliwą minę, co Mackenzie; Lacey domyśliła się, że

nie jest zachwycony perspektywą spędzenia niedzieli z dziewczynami.

Olivia z uśmiechem wyciągnęła rękę do Bobby'ego.

– Olivia Simon – przedstawiła się. Jej zielone oczy były ciepłe i serdeczne. – A to jest Jack.

Maggie, zdaje się, już poznałeś?

Bobby uściskał jej dłoń.

– Bobby Asher. – Spojrzał na Jacka ze współczuciem. – Masz słaby dzień, co, Jack?

– Wszystko w porządku – wymamrotał chłopiec i obejrzał się na Olivię. – Mogę iść na górę?

– Tak, jeśli zabierzesz ze sobą Mackenzie i Maggie – odparła.

– Maamo... – jęknął, posyłając jej błagalne spojrzenie zza szkieł swoich okularów.

– No, już. – Trąciła go lekko palcami.

Jack zaprosił dziewczynki na górę i zgarbiony powłókł się po schodach, ale Maggie szybko go wyprzedziła.

– Chodź! – zawołała do Mackenzie. – Gramy w „Puszkę Pandory”!

Lacey patrzyła za nimi z uśmiechem.

– No cóż, przynajmniej ona jedna się cieszy z tego spotkania – zauważyła.

– Co to jest „Puszka Pandory”? – zainteresował się Bobby.

– Gra komputerowa. – Olivia pokręciła głową. – Taki piękny dzień, a oni wolą zamknąć się w pokoju i grać.

– Mackenzie też nie sposób oderwać od komputera. – Lacey chętnie dołączyła się do chóru wspólnych żalów. – Kiedy, oczywiście, nie rozmawia przez komórkę.

– Podobno świetnie sobie radzisz z córką? – Olivia zagadnęła Bobby'ego, ale Lacey wyręczyła go w odpowiedzi.

– To prawda. On... – Spojrzała na niego i zanim zdążyła się powstrzymać, musnęła palcami jego rękę. – Sama nie wiem. Jakoś od początku potrafi wyczuć jej potrzeby.

– Dzięki. – Bobby wyglądał na zakłopotanego tyłoma pochwałami. Zerknął na zegarek. – No dobrze, muszę zdążyć na spotkanie – powiedział, ruszając w stronę wyjścia. – O której po was przyjechać?

– Do czwartej powinniśmy już wrócić – odpowiedziała Olivia.

– W porządku. – Otworzył drzwi i wyszedł za próg. – Do zobaczenia.

Chociaż Mackenzie wciąż się dąsała, a Jack dalej kręcił nosem, niezadowolony, że musi się bawić z dziewczynami, to cała trójka hasała po wydmach z dziką radością. Lacey doskonale pamiętała to uczucie. W dzieciństwie uwielbiała tutaj przyjeżdżać, szczególnie z tatą, nielegalnie, bo w środku nocy. Zdarzyło się to wszystkiego raptem kilka razy, ale w jej wspomnieniach urosło do rangi rodzinnej tradycji.

Wlokły się w ślad za dziećmi, dysząc ciężko i nawet nie próbując rozmawiać, dopóki nie stanęły na szczycie najwyższej wydmy. Lacey była rozczarowana, że pomimo tylu ćwiczeń ma aż tak słabą kondycję. Kiedy usiadły na szczycie, dzieci już turlały się po stromym zboczu: rozwiane włosy fruwały w powietrzu, a do nasmarowanej kremem skóry przywierały ziarenka piasku.

– Co u niej? – zapytała Olivia, opierając dłonie na kolanach i wskazując głową w kierunku rozbawionej trójki. Jej zielone oczy kryły się za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych, a twarz – w cieniu daszka czapki base-ballowej. Lacey żałowała, że nie zabrała nakrycia głowy.

– No cóż... – uśmiechnęła się. – Powiedzmy, że teraz znacznie lepiej rozumiem, jak wyglądało to z twojej strony, kiedy byłam nastolatką.

Wiedziała, że co najmniej kilka z pogłębiających się zmarszczek na twarzy Olivii to jej własna wątpliwa zasługa.

– Zmagalaś się ze straszny ciężarem – zauważyła Olivia.

– Tak samo jak ona teraz. – Lacey wyciągnęła z kieszeni szortów tubkę kremu z filtrem. – Ale jest już o niebo lepiej. Dzisiaj ma focha, ale tylko dlatego, że wołała zostać w domu i pisać mejle do znajomych w Phoenix.

– Clay mówił, że pomaga mu w pracy z psami.

Lacey rozprowadziła krem po twarzy.

– Clay trafił w dziesiątkę – powiedziała. – A ona uwielbia to robić. To naprawdę pomogło jej się otworzyć.

– Bobby też chyba sporo pomógł.

– Boże... – rozculiła się Lacey. – On jest dla niej fantastyczny. Wyobrażasz sobie, żeby facet tak po prostu wziął coś takiego na klatkę? Przyjął odpowiedzialność za dziecko, o którym nie miał zielonego pojęcia?

– To rzadkość – zgodziła się Olivia. Roześmiane dzieci wspinały się już z powrotem na wydnię, rzucając w siebie piaskiem. – No, to powiedz: zakochałaś się w nim czy tylko masz na niego ochotę?

– Co...? – Lacey zrobiła wielkie oczy.

Olivia parsknęła śmiechem.

– Wybacz. Kiepsko zabrzmiało, co? – Otrzeпаła piasek z odsłoniętych łydek. – Po prostu zauważyłam, że nie możesz oderwać od niego wzroku. A teraz, kiedy o nim mówiłaś, słychać było wyraźnie, jak bardzo go szanujesz.

Lacey westchnęła, przeciągle i głęboko.

– To prawda, on mnie pociąga – przyznała, zamykając tubkę z kremem, po czym schowała ją z powrotem do kieszeni. Do tej pory nie mogła zapomnieć, jak objął ją poprzedniego dnia, kiedy szli razem do domu, wciąż jeszcze czuła na ramionach ciężar jego ręki. Ciekawiło ją, czy na dzisiejszym spotkaniu AA zobaczy się z tamtą blondynką. A może w ogóle nie ma żadnego spotkania? Może po prostu się z nią umówił i skłamał?

– Pociąga mnie dokładnie tak samo jak każdy niegrzeczny chłopiec, którego w życiu poznałam. I staram się, jak mogę, aby zwalczyć w sobie tę pokusę. Zaczęłam spotykać się częściej z Rickiem Tenleyem.

– Uważasz, że Bobby ma w sobie coś z niegrzecznego chłopca? – zapytała Olivia.

Lacey zamknęła oczy ukryte za ciemnymi szklami. Nie była pewna, jak wiele może wyznać.

– Pamiętasz, jak miałam czternaście lat i myślałam, że jestem w ciąży, a nie wiedziałam, kim jest ojciec?

Olivia skinęła głową.

– Bardzo dobrze to pamiętam.

– No więc on był jednym z kandydatów.

– Mmm. – Olivia zmarszczyła nos. – Fuj.

– No właśnie. – Lacey wołała jej nie przypominać, że tamtego lata ona też się z nim zetknęła, raz u siebie w pracy, na pogotowiu, pewnej nocy, kiedy całą trójką: ona, Bobby i Jessica, przywieźli znajomego, który przedawkował prochy. Przemilczała to, żeby jej do niego nie zrazić.

– No cóż – westchnęła Olivia. – Ale to przecież było dawno. Ty się zmieniłaś i on pewnie też.

– Olivia! – Lacey nie mogła zapanować nad śmiechem. – Czemu tak naciskasz? Przecież wiesz, jak ciężko pracowałam przez cały rok, żeby zerwać ze starymi nałogami.

– No wiem, wiem. – Olivia machnęła dłonią w powietrzu. – Dobra robota, Lace. Tylko że... kiedy na niego patrzysz, masz w oczach coś takiego...

– Jak długo nas razem widziałaś? Minutę? Nawet krócej.

– Nie wiedziałam, że Rick tak przypadł ci do serca.

– Dał mi mnóstwo wsparcia. I niczego ode mnie nie wymaga.

– Ale co do niego czujesz?

Lacey wzięła w dłoń garść drobnego piasku i powoli przesypała go przez palce.

– Mniej, niżbym chciała – przyznała się.

– Wiesz co... Zdarza się, że osoba, do której czujemy pociąg fizyczny, jest dla nas odpowiednia – powiedziała Olivia. – Tobie się chyba wydaje, że skoro w młodości trochę szalałaś, twój facet musi być stateczny i nudny.

Lacey nie wierzyła własnym uszom. Ona i takie rady?

– Tak mi przyszło do głowy... – zamyśliła się Olivia. – Bo on jest ojcem Mackenzie, a ty jesteś

teraz jej... jej opiekunką, więc w sumie miło by było... – urwała i wzruszyła ramionami. – No, wiesz.

– Nie miałam pojęcia, że taka z ciebie romantyczka – zaśmiała się Lacey. – A wiesz, że Gina doradziła mi coś zupełnie przeciwnego? Według niej powinnam wybrać mężczyznę statecznego i w końcu nauczę się go kochać.

Olivia też parsknęła śmiechem.

– Nie słuchaj mnie – powiedziała. – I Giny też nie słuchaj. Zaufaj sercu, Lacey. Ty sama wiesz, co jest dla ciebie dobre.

– Cóż... – odparła Lacey, znów sięgając po garść piasku. – Jeśli mam być szczerą, nie mam zielonego pojęcia.

## Rozdział trzydziesty siódmy

Odkąd zamieszkała w domu latarnika, tak ciepłej nocy Lacey nie pamiętała. Na dodatek, chociaż na wydmach starannie zabezpieczała się filtrem przeciwsłonecznym, miała spieczoną skórę i nie mogła wygodnie ułożyć się w łóżku. W pewnym momencie na korytarzu skrzypnęły otwierane drzwi. Nastawiła uszu, starając się odgadnąć, skąd dobiegł dźwięk. Czyżby z pokoju Mackenzie?

Wstała i uchyliła własne drzwi. Na korytarzu paliła się mała lampka, którą zawsze zostawiali na noc; w jej świetle zobaczyła Mackenzie idącą w kierunku schodów.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Nie mogę spać – odpowiedziała dziewczynka. – Za gorąco.

Miała na sobie bokserki w szkocką kratę i przykrótką koszulkę bez rękawów, na tyle obcisłą, że widać było zarysy jej ledwie pączkujących piersi. Włosy, zmierzwione od niespokojnego przewracania się w łóżku, kleiły się do czoła, mokrego od potu. Wyglądała jak mały, chuchrowaty dzieciak, który nie wie, co ze sobą zrobić.

– Mam pomysł. – Lacey zniżyła głos do szeptu, aby nikogo nie obudzić, o ile komuś w ogóle udało się zasnąć. – Przeberzmy się w kostiumy i chodźmy się wykąpać.

– Po ciemku? – zapytała niepewnie Mackenzie. – Żartujesz.

– Cicho. – Lacey przyłożyła palec do ust. – Nie żartuję. Jak myślisz? Cudownie byłoby wskoczyć do wody?

– Może i tak. – Dziewczynka wciąż się wahała. – Ale chodźmy tam, gdzie jest płytko.

Od przyjazdu do Kiss River nie zamoczyła nawet stopy w oceanie, nie licząc zabaw z Rani na twardym piasku obmywanym przez fale.

– Wejdziemy tylko do kolan – obiecała jej Lacey. – No, zgódź się. Będzie fajnie.

– W porządku. – Mackenzie skinęła głową.

– To wskakujemy w kostiumy.

– Dobra. – Obróciła się na pięcie i ruszyła do swojego pokoju. – Zaraz wracam.

Lacey też cofnęła się do siebie, włożyła zielony kostium kąpielowy, wyjęła z szafy dwa plażowe ręczniki i wyszła po Mackenzie na korytarz. Cichutko zeszły po schodach, a na dole przekonały się, że nie tylko one dwie nie śpią w środku nocy; w pracowni paliło się światło.

– Zdaje się, że Bobby jeszcze pracuje – zauważyła Lacey; widziała, że przez całe popołudnie fotografował niedawno skończoną klamrę, aby wysłać zdjęcia klientce.

– Spytajmy go, czy pójdzie z nami – zaproponowała Mackenzie.

Weszły na werandę, gdzie Bobby rysował właśnie kolejny wzór, który zamierzał wyrzeźbić w kości. Na ich widok uniósł wzrok znad kartki.

– Widzę, że wy też nie możecie spać – powiedział.

– Idziemy się wykąpać – oznajmiła Mackenzie. – Wybierzesz się z nami?

– Dobry pomysł, cholera. – Bobby przeciągnął się na krześle i jedną ręką przetarł oczy, a drugą wyłączył halogenową lampę na stole. – Przebiorę się i dogonię was na miejscu.

Nocne powietrze było nieruchome i duszne.

– Tylko cicho – szepnęła Lacey, kiedy zeszły z ganku i ruszyły w stronę plaży. – Żeby Wilk się nie obudził.

Rano, kiedy przechodziła obok wybiegu, pies dosłownie wskoczył na siatkę. Jakimś cudem udało mu się zaczepić wszystkimi czterema łapami i wisiał tak dobrą chwilę, a ona stała jak wryta, zdrętwiała ze strachu, że uda mu się przedostać na drugą stronę i wtedy ją dopadnie. Myśl o tym, że mogłaby teraz usłyszeć, jak na nią szczeka i warczy, nie mając pewności, czy jest dokładnie zamknięty, mroziła jej krew w żyłach.

Minęły latarnię i ukazał się im ocean, zastygły w bez-ruchu jak powietrze tej nocy. Wydawało się, że upał wyssał z niego całą energię, jak z mieszkańców domu latarnika; pół tarczy księżyca

przeglądało się w tafli niczym w lustrze. Fale łagodnie obmywały szklisty piasek. To była wymarzona noc, aby Mackenzie wreszcie się przełamała i weszła do wody.

– Patrz! – zawołała Lacey, rzucając ręczniki niedaleko linii wody. – Widziałas kiedyś, żeby tutaj było piękniej?

– No, nieźle to wygląda – zgodziła się Mackenzie, ruszając w stronę pływnicy. Zanurzyła stopy i zaczęła chodzić w kółko, rozchlapując słoną wodę. – Och, jakie to przyjemne!

Lacey minęła ją i zatrzymała się w miejscu, gdzie woda sięgała jej ud.

– Wejźmy głębiej – powiedziała, odwracając się do Mackenzie. – Ocean jest płaski jak stół.

Dziewczynka usiadła na mokrym piasku. Fale leniwie lizały ją po stopach.

– Tutaj mi dobrze – rzuciła. – A ty stoisz plecami do morza. Tak nie wolno.

– To prawda – przyznała Lacey. – Ale dzisiaj nie ma fal, więc jestem bezpieczna.

W tym momencie na ścieżce prowadzącej na plażę dostrzegła Bobby'ego. Był bez koszulki, tylko w workowatych szortach, i niósł ze sobą ręcznik. Wyglądał dobrze; Lacey była bardzo zadowolona, że zgodził się do nich dołączyć, tak bardzo, że aż się tego wystraszyła.

– Podobało ci się dzisiaj na wydmach? – zagadnęła, spoglądając na Mackenzie, aby oderwać uwagę od niego. Po wycieczce do Jockey's Ridge humor jej podopiecznej znacznie się poprawił.

– Super – przyznała dziewczynka.

– Jak woda?! – zawołał Bobby, przedzierając się z pluskiem przez płytką, słoną kałużę otaczającą latarnię. Mackenzie, nie wstając z piasku, wykręciła się w tył, aby go widzieć.

– Super! – powtórzyła.

– Czasami w wannie bywa zimniejsza. – Bobby dotarł do miejsca, gdzie siedziała, i stuknął ją palcem w czubek głowy. – No, dawaj, Mack – powiedział, nie zatrzymując się. – Trzeba się zamoczyć.

Szedł prosto na Lacey, ze swoim krzywym uśmiechem. O Boże, jęknęła w myślach. Widziała go już w co najmniej pięciu różnych T-shirtach, ale jeszcze nigdy bez – to znaczy widziała, ale miała wtedy czternaście lat. Był szczupły, ale mięśnie klatki piersiowej rysowały się wyraźnie, a na widok włosów zbiegających się na brzuchu w ciemną kreskę, która zaczynała się poniżej pępka i zniknęła pod szortami, Lacey poczuła, że budzi się w niej pragnienie. Powędrować palcami po tej ścieżce. Wsunąć dłoń za pasek tych szortów. Cały rok opierała się podobnym uczuciom. Odpychała je z całej siły, kiedy w zasięgu wzroku pojawiał się mężczyzna, który byłby w stanie je wywołać. A teraz buzowały w niej niczym ogień pod kotłem. Ten facet jest po to, żebym mogła się sprawdzić, przypomniała sobie, ale kiedy ta myśl błysnęła jej w głowie, wraz z nią przyszła pewność: Tym razem polegnę.

– Nie wiem jak wy, ale ja przyszedłem tutaj się ochłodzić – oznajmił Bobby i dał nura do wody tuż za plecami Lacey. Po chwili ukazał się z powrotem i odwrócił się w ich stronę. – Stąd wszystko wygląda przepięknie – zapewnił. – Chodźcie, dziewczyny.

– Skusisz się? – Lacey zerknęła na Mackenzie.

Dziewczynka pokręciła głową i wstała z piasku.

– W ogóle mi już nie jest gorąco – bąknęła. – Wracam spać.

– Na pewno? – zapytała Lacey, a widząc potakujące skiniecie, pomachała do Bobby'ego, który zdążył wejść jeszcze głębiej. – Odprowadzę Mackenzie do domu! – zawołała.

– Ale wrócisz? – upewnił się i nawet w skąpym blasku księżycy widać było wyraźnie jego krzywy uśmiech.

Gdy szły do domu, usłyszał je Wilk i szczechnął parę razy. Oby tylko nie obudził Rani, Claya ani Giny, pomyślała Lacey. Zatrzymały się przed tylnym wejściem, aby wytrzeć ręcznikami piasek ze stóp.

– Nie musisz ze mną wchodzić do środka – powiedziała Mackenzie.

– Nie, ale muszę iść do łazienki, zanim wrócę nad wodę – skłamała Lacey. Idąc po schodach, czuła, jak serce szarpie się jej w piersi. Na gorze objęła dziewczynkę ramieniem i pocałowała w skroń.

– Dobranoc, kochanie – szepnęła. – Mam nadzieję, że teraz już zaśniesz.

Potem poszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi i oparła się o nie, zaciskając mocno powieki. Co ty wyprawiasz? – zadała sobie pytanie. Co ty, do diabła, wyprawiasz?

Ale nie mogła się zbyt długo zastanawiać. Otworzyła oczy i zdjęła z górnej półki szafy niedużą

walizkę. Tam znalazła to, czego szukała: paczkę prezerwatyw. Dygoczącymi palcami wyciągnęła jedną. Było za ciemno, żeby sprawdzić datę przydatności do użytku, a ta paczka przeleżała nietknięta cały rok, ale w tej chwili Lacey miała głęboko w nosie wszelkie daty. Zawinęła prezerwatywę w ręcznik i wyszła z pokoju.

Na plaży rzuciła ręcznik na piasek i wmaszerowała do wody. Bobby kołysał się na plecach, ale gdy była już blisko, stanął na dnie, zanurzony po pas. Szła tak szybko, że zostawiała za sobą trójkątny ślad, a on, jak gdyby wiedział, co chodzi jej po głowie, zrobił krok do przodu i wyciągnął ręce, aby przygarnąć ją do siebie.

– Boże... – westchnął, zanurzając usta w jej włosach, a dłonią otulając tył głowy. – W tym kostiumie wyglądasz zabójczo.

Odchyliła się lekko, aby spojrzeć mu prosto w oczy; chyba po raz pierwszy, odkąd się tutaj zjawiał, nabrała na to szczerej ochoty. Od tygodni broniła się przed pokusą, a teraz jej uległa. Bobby przesunął opuszkami po jej ustach, po dolnej wardze; przechyliła lekko głowę, aby jego palec zniknął w środku. Poczowała smak soli i myślała już tylko o tym, żeby ten słony palec dotykał jej piersi, sutków, żeby znalazł się w niej, głęboko. Wtedy Bobby ujął jej twarz w obie dłonie i też przechylił głowę, szukając ustami jej ust. Pocałunek zapadł w nią niczym ziarno, zatrzymał się gdzieś nisko, w głębi brzucha, i tam wyrosło z niego coś, co było olbrzymie i głodne, coś, co wycisnęło z Lacey głuchy, gardłowy jęk. Przywarła do Bobby'ego, bojąc się, że morski prąd, choć tak łagodny, zaraz ją porwie, a gdy pocałowali się ponownie, jej ciałem wstrząsnął dreszcz, jak gdyby od zimna.

Bobby pomasaował dłońmi jej ramiona.

– Masz gęsią skórę – zauważył. – Zmarzłaś?

Lacey potrząsnęła głową.

– Wręcz przeciwnie – odparła. Stali, patrząc sobie w oczy, a w jego oczach widziała płomień pożądania. Dłoń, którą trzymała mu na ramieniu, osunęła się niżej, obrócona wierzchem, aby musnąć kostkami palców najpierw środek piersi, potem mostek, a na koniec dotrzeć do miejsca, gdzie kreska ciemnych włosów zniknęła za paskiem szortów. Bobby z cichym świstem wstrzymał oddech, położył dłonie na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie, by mogła poczuć jego wzwód.

Uśmiechnęła się i puściła go, po czym zsunęła ramiączka kostiumu kąpielowego. Potem zanurzyła się po szyję i zdjęła go z siebie, a chłodna woda obmywała jej rozżarzone ciało. Wypuściła kostium z palców, oddając go falom. Było jej wszystko jedno, czy się znajdzie, czy zgubi. Wyprostowała się. Bobby wypuścił wstrzymywany oddech i uniósł dłoń, aby dotknąć jej piersi. Zamknęła oczy, rozkoszując się dotykiem jego palców, kreślących kółka wokół brodawek, raz za razem, jedno po drugim. Drażnił się z nią tak przez chwilę, aż wreszcie pochylił głowę i wziął sutek do ust.

Lacey wsunęła palce za pasek jego szortów.

– Chcę więcej – szepnęła i unosząc się na wodzie, oplotła go nogami, z całej siły przywierając ciałem do twardej wypukłości.

– Jezu... – Bobby objął dłońmi jej uda, podtrzymując ją na tej wysokości, a jego palce zaczęły sunąć ku temu miejscu, gdzie tak bardzo chciała je poczuć. Bardzo, ale nie tutaj.

– Przyniosłam prezerwatywę, jest na plaży – powiedziała, znów odchylając głowę, aby zobaczyć jego twarz, która, przed chwilą ściągnięta namiętym grymasem, teraz pojaśniała rozbawieniem.

– Ty przebiegła mała rozpustnico... – Błysnął zębami w uśmiechu.

Jego słowa sprawiły jej przykrość; nie mogła nic na to poradzić. Może dlatego, że były zbyt bliskie prawdy.

– Nie nazywaj mnie tak, dobrze? – poprosiła. Zdawała sobie sprawę, że żartował, ale dawniej często słyszała to określenie w odniesieniu do siebie.

Bobby wychwycił nagły smutek w jej głosie. Między jego brwiami pojawiła się zafrasowana bruzda.

– Przepraszam – powiedział, cofając ręce z jej ud. Lacey opuściła się, oparła stopy na piaszczystym dnie.

– Nic się nie stało. – Z uśmiechem wzięła go za rękę. – Chodźmy.

Kochali się już raz na plaży. Minęło dwanaście lat, lecz wydawało się, że całe życie. A teraz, kiedy było już po wszystkim, Lacey ułożyła się po ciemku w ramionach Bobby'ego, splotła nogi z jego nogami i ułożyła mu głowę na piersi. Wstyd ciążył jej na sercu. Bezgłośnie, żeby niczego nie zauważył, opłakiwała zagubioną czternastolatkę, którą kiedyś była. Czy to wszystko się zaczęło tamtej nocy? Czy to był początek jej upadku? Tamta dziewczyna, właściwie dziewczynka, nie miała pojęcia, co robi i dlaczego. Wiedziała tylko, że potrzebuje, aby ktoś ją przytulił. Ale Bobby nie myślał wtedy o takich rzeczach: wykorzystał i zostawił. Teraz ją przytulił, ale to było za mało, aby uśmierzyć ból, który w sobie nosiła. Wciąż jestem tamtą dziewczynką, pomyślała. Lepiej znam się na seksie niż wtedy, ale wciąż nie mam pojęcia, co robię i dlaczego.

– Wszystko w porządku? – zapytał nagle.

Lacey nie miała ochoty mu wyjaśniać, skąd te łzy, więc zdobyła się na silny ton głosu i odpowiedziała:

– Nic mi nie jest.

Bobby milczał przez chwilę.

– Nieprawda – oznajmił wreszcie, gładząc ją po plecach.

Lacey zamknęła oczy. Marzyła o tym, żeby znaleźć się w domu, we własnym łóżku, pogrążona w głębokim śnie. Najchętniej by go zostawiła, jak wszystkich jego poprzedników, ale zdawała sobie sprawę, że tym razem będzie trudniej.

– No... – Bobby objął jej ramiona, ścisnął delikatnie. – Mów.

Odetchnęła głęboko, sycąc się zapachem morza zalegającym na jego skórze.

– To za trudne – wybąkała stłumionym głosem, tak cicho, że chyba nawet nie usłyszał. – To jest za trudne, nie umiem tego wyjaśnić.

– Chodzi o Ricka?

– Nie – zaprzeczyła natychmiast. – Nie łączy mnie z Rickiem taka relacja. Przynajmniej na razie.

– Więc o co?

Czuła, jak rozgarnia palcami jej włosy, bawi się nimi.

– O moją matkę – odparła.

Palce Bobby'ego nagle znieruchomiały.

– Nie rozumiem – powiedział. Nerwowo oblizwała wargi.

– Rok temu – zaczęła – dowiedziałam się, że moja matka była niewierna. Zdradziła tatę.

– Z Tomem – domyślił się.

– Tak, z Tomem, ale też z innymi mężczyznami. Wieloma innymi. – Uniosła głowę i spojrzała na niego. – Tom o niczym nie wie. Proszę cię, nie mów...

Bobby położył jej palec na ustach.

– Nie powiem – obiecał. – Skąd wiesz takie rzeczy o swojej matce?

– Od ojca. Sam nie miał o tym pojęcia, dowiedział się od Mary Poor, starej latarniczki z Kiss River, która kiedyś mieszkała w tym domu.

– A skąd ona mogła o tym wiedzieć?

– Bo to tutaj moja matka przywoziła swoich kochanków – wyjaśniła Lacey. – Miała z Mary jakąś... nie wiem... jakąś umowę. Mary pozwalała jej tu przyjeżdżać z facetami. I tak moja matka zdradzała ojca, raz po raz, ciągle na nowo. Była... Była dziwką. Inaczej nie można tego nazwać. To dlatego mam taki problem z napisaniem oświadczenia do sądu. Kiedy próbuję opisać, jaką tragedią dla dzieci jest stracić matkę, a dla męża – stracić ukochaną żonę, myślę o tym, że ona była fałszywą, obłudną, kłamliwą świnią.

Aż się skrzywiła, wyrzucając z siebie te słowa. Zabrzmiały jak bluźnierstwo.

– Skoro chciała mieć innych mężczyzn, to dlaczego nie poprosiła twojego ojca o rozwód?

– Myślisz teraz logicznie, a ona zawsze była na bakier z logiką – odparła Lacey. – Miała niewiarygodnie skomplikowaną osobowość. Wiedziałam o tym od dawna, ale dopiero rok temu zrozumiałam, jak bardzo to wszystko było u niej zamotane. Kochała tatę. Wierzę w to, że naprawdę kochała go całym sercem. A jednak coś ją ciągnęło do tych innych facetów. – Zaciśnęła powieki jeszcze



mocniej. – A najgorsze jest to – dodała – że ja chyba odziedziczyłam po niej ten... gen rozpusty.

Bobby parsknął śmiechem, co wcale jej nie zdziwiło.

– To raczej niemożliwe – stwierdził.

Lacey przełożyła głowę tak, żeby móc na niego spojrzeć.

– Wiem, że to brzmi niedorzecznie – przyznała. – Ale uwierz mi, Bobby, robiłam dokładnie to samo, co ona, nie wiedząc nawet, że taka była.

– Jak to robiłaś dokładnie to samo?

Usiadła i zarzuciła sobie na ramiona duży plażowy ręcznik. Nadal było gorąco, ale poczuła nagłą potrzebę, aby ukryć się przed wzrokiem Bobby'ego.

– Jeszcze rok temu zmieniałam kochanków jak rękawiczki – odpowiedziała. – Unikałam każdego, kto chciał się do mnie zbliżyć. I wszelkich głębszych uczuć. Było już tak źle, że cała rodzina martwiła się o mnie, wiem też, że niektórzy ludzie – a może wszyscy – plotkowali na mój temat. Ale w zeszłym roku poznałam prawdę o matce i postanowiłam z tym skończyć.

– Byłaś u psychologa? – Bobby patrzył na nią, ale najwidoczniej zdawał sobie sprawę, że lepiej jej teraz nie dotykać.

– Tak. U psycholożki.

– Powiedziała, że jesteś uzależniona od seksu?

– Powiedziała, że nie spełniam kryteriów uzależnienia.

– Wytrzymałaś w abstinencji? – Zasypał ją pytaniami, ale Lacey uznała, że jest mu winna szczerość.

– Tak – odparła. – Aż do dzisiaj.

Bobby uśmiechnął się do niej.

– Śmiem twierdzić, że dzisiaj to było coś wyjątkowego – odparł. – Mam rację czy tylko się łudzę? Potrząsnęła głową.

– Wybacz mi, Bobby, ale po prostu nie wiem – szepnęła. – Wiem jedno: chciałam, żebyś się ze mną kochał. Z tobą to już nie jest takie proste jak z tamtymi, bo jesteś ojcem Mackenzie. Mam też dla ciebie wiele innych uczuć. Zbyt wiele. One wszystko komplikują.

– I tak właśnie ma być, Lace. – Bobby pogładził ją po ramieniu. – To nie może opierać się wyłącznie na seksie.

– Zawsze mnie ciągnęło do facetów w twoim typie – przyznała się. – Takich szalonych. Niegrzecznego chłopca zawsze wypatrzę w tłumie.

– Tylko że ja wcale nie jestem niegrzecznym chłopcem – powiedział Bobby. – Może kiedyś byłem, ale teraz już nie. A jeśli chodzi o ciebie, interesuje mnie znacznie więcej niż seks.

Lacey westchnęła i opuściła głowę. Czuli się pokonana.

– Chyba muszę znów odwiedzić moją psycholożkę.

– Dobry pomysł.

Położyła policzek na podciągniętych wysoko kolanach, wpatrując się uważnie w twarz Bobby'ego.

– Sądysz, że jestem seksoholiczką?

– Nie wiem – odparł. – Kręci cię pornografia?

– A fuj. Ani trochę.

– Często masz fantazje seksualne?

Zaprzeczyła bez słowa, nie mogąc się nadziwić, że siedzi tutaj i rozmawia z nim o takich sprawach.

– Zawsze po seksie czujesz się tak źle jak teraz? – Tym razem na ustach Bobby'ego pojawił się smutny uśmiech.

– Kiedyś było inaczej – przyznała. – Ale dzisiaj... zawiodłam się na sobie. Czuję się słaba.

Bobby westchnął, usiadł prosto i wbił wzrok w morze. W oddali lśniło światło – jakiś statek przemierzał nocne mroki.

– Nie sędzę, abyś była klasyczną seksoholiczką – oznajmił wreszcie, spoglądając na Lacey. – Ale

moim zdaniem masz parę problemów, z którymi musisz się zmierzyć.

Lacey przytaknęła skinieniem głowy.

– I dlatego właśnie spotykam się z Rickiem. Chociaż wcale mnie do niego nie ciągnie.

Bobby się zaśmiał.

– Jesteś kobietą zjawiskowej wręcz urody – odparł. – Obawiam się jednak, że masz coś nie tak z tą swoją piękną główką.

– Wiem – zgodziła się Lacey. – Chodzi o to... – Odszukała wzrokiem światło na horyzoncie, powoli przemierzające swoją trasę. Usiłowała pozbierać myśli, ale opornie jej to szło. – Chodzi o to, że ty jesteś jak ci wszyscy kochankowie mojej mamy, a Rick jest jak mój ojciec.

Nie odpowiedział. Zrozumiała, że należało wyrazić się trochę oględniej. Sprawiała mu przykrość.

– Przepraszam – powiedziała. – Strasznie to zabrzmiało.

– Nie ma sprawy – odparł.

– Boję się ciebie – przyznała szczerze. – A może raczej tego, co przy tobie czuję. Boję się stracić panowanie nad sobą, tak jak teraz. A Rick nie budzi we mnie takich lęków.

– Tak, przy nim nie ma się czego bać. – Bobby potwierdził oczywisty fakt.

– On chyba byłby dla mnie dobry.

– Mówisz, jakby to nie był człowiek, tylko tran – zauważył. – Kiedy ostatnio piłaś tran?

– Bobby, naprawdę cię przepraszam – powtórzyła. – Mam wyrzuty sumienia, że potraktowałam cię instrumentalnie. Wykorzystałam.

Uśmiechnął się, ale po chwili spoważniał.

– Chciałem ci zaproponować, że możesz mnie wykorzystywać do woli, kiedy przyjdzie ci ochota, ale po tym wszystkim, co przed chwilą powiedziałaś, wiem, że nie to chcesz usłyszeć.

Wstał, żeby włożyć szorty. Lacey odwróciła wzrok ku ciemnej linii wybrzeża, myśląc o tym, co się stało z jej kostiumem kąpielowym.

– Chodź. – Bobby podał jej rękę.

Zanim podała mu dłoń, zsunęła ręcznik z ramion i owinęła się nim. Ruszyli razem w stronę domu.

– Między nami wszystko w porządku? – zapytała, gdy było już widać ganek. – Damy radę się dogadać? Bo musimy, ze względu na Mackenzie.

– Oczywiście, że damy radę, Lacey – przytaknął Bobby. – Ale jeśli oczekujesz, że usunę dzisiejszą noc z pamięci... – Potrząsnął głową. – Nic z tego.

Nie nalegała, zresztą nigdy by go nie poprosiła o coś takiego. Nawet nie przyszłoby jej to do głowy, bo chociaż to, co się stało tej nocy, kosztowało ją wiele bólu, ona też nie chciała zapomnieć.

## Rozdział trzydziesty ósmy

Faye zaparkowała wypożyczony samochód przed pięknym starym domem w stylu wiktoriańskim, kilka przecznic od kampusu Uniwersytetu Princeton. Wzdłuż ulicy rosły drzewa; ich gałęzie zwisały się tak nisko, że jechało się jakby tunelem o dachu z zielonych liści, a gdy wysiadła z samochodu, powitał ją donośny chór cykad. Od pierwszego spojrzenia rzucało się w oczy, że dom jest starannie wyremontowany: ściany pomalowano łagodnym odcieniem błękitu, wykończenie było rdzawoczerwone, a na piętrze, po prawej stronie, wznosiła się wieżyczka. Długi ganek biegł wzdłuż całej fasady i przechodził dalej, za róg; pod wysokim sufitem wisiała tarasowa huśtawka na łańcuchach. Jeśli to naprawdę był dom Freddy'ego, to chyba świetnie mu się powodziło. No i na pewno się ożenił. Samotni mężczyźni nie mieszkają w takich dużych domach. Czyżby to miało oznaczać, że Faye ma już wnuki? Z miejsca, gdzie stała, nie widziała ogródka za domem, ale spodziewała się tam huśtawki dla dzieci albo jakiegoś gustownego placu zabaw, ewentualnie domku w podobnym stylu, co duży dom. Przez całą drogę z San Diego do Princeton prowadziła w myślach rozmowę ze swoim synem, a teraz pojawił się w niej nowy wątek: Freddy, proszę cię, bez względu na przeszłość nie odcinaj mnie od moich wnuków.

A może, przyszło jej do głowy, ten dom, tak blisko uczelni, wynajmują studenci, może Freddy jest na studiach podyplomowych i mieszka tutaj z kolegami?

Mogła się o tym przekonać tylko w jeden sposób. Uniosła ręce do piersi, złożyła płasko wilgotne dłonie i odetchnęła głęboko, jak przed skokiem z trampoliny, a następnie ruszyła chodnikiem przed siebie.

Zamiast dzwonka na drzwiach wisiała olbrzymia mosiężna kołatka, miniaturowa kopia domu. Po blisko minucie, kiedy chciała zastukać po raz drugi, otworzył jej młody mężczyzna, który w niczym nie przypominał jej syna. Uznawszy, że teoria o domu dla studentów jest najprawdopodobniej trafna, Faye szybko pożegnała się z fantazjami na temat wnuków.

– W czym mogę pomóc? – zapytał mężczyzna. Był mniej więcej jej wzrostu, miał lekką nadwagę i ciepły uśmiech. Uniósł brwi, czekając na odpowiedź.

– Szukam Freda Pointera – wyjaśniła Faye.

– Och, bardzo mi przykro, ale wyjechał na jakiś czas. – Mężczyzna przechylił głowę, a na jego okrągłej twarzy pojawiło się szczere zaciekawienie. – Czy coś mu przekazać?

– On mieszka w tym domu? – Zajrzała mu przez ramię, chcąc zobaczyć, jak jest w środku. Nagle poraziła ją okropna myśl: Freddy zobaczył ją z okna na piętrze i oznajmił koledze, że nie chce jej widzieć na oczy.

Mężczyzna przytaknął z uśmiechem.

– Pani z uczelni? – zapytał.

– Jestem jego matką – odparła, przenosząc spojrzenie na niego.

Gdy to usłyszał, opadła mu szczęka, chociaż oczy wciąż się uśmiechały.

– Pani Pointer?

– Używam teraz nazwiska panieńskiego: Faye Collier.

Potrząsnął głową.

– Nie mogę uwierzyć, że panią widzę. – Odsunął się od drzwi. – Proszę wejść.

Jego reakcja wprawiła ją w zakłopotanie, lecz jednocześnie zrobiło się jej miło.

– Dziękuję – powiedziała i przestąpiła próg. Korytarz miał marmurową podłogę i ściany pomalowane na kolor złota, ale zorientowała się od razu, że domu nie wyremontowano zgodnie z duchem epoki, bo powietrze w środku było przyjemnie chłodne. Za drzwiami zobaczyła salon, bogato umeblowany antykami, a przynajmniej ich imitacjami. W rogu stał fortepian buduarowy. Wystrój w ogóle nie pasował do jej wyobrażeń o studenckich stancjach.

– Mam na imię Christian – przedstawił się mężczyzna, który zaprosił ją do środka. – Proszę się rozgościć. – Zaprowadził Faye do salonu, gdzie usiadła na czerwonej sofie, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że jej szorty i sandały to stanowczo zbyt swobodny strój.

– Ten dom należy do Freda? – zapytała. – Chodzi mi o to, że może on tylko wynajmuje tutaj pokój albo...

– To jest jego dom. – Christian usiadł na drugim końcu sofy. – Jego i mój.

– Aha. – Skinęła głową. Trudno jej było się w tym połapać. – Kupiliście go na spółkę, żeby wyremontować i sprzedać, czy... – urwała w pół słowa, bo nagle ją olśniło.

– Fred to mój partner – wyjaśnił, a rozczulający, radosno-przepraszający wyraz jego twarzy natychmiast wzbudził w Faye serdeczne, ciepłe uczucia.

Przycisnęła palce do ust, powoli oswajając się z tymi nowinami. Christian pochylił się lekko, mierząc ją badawczym wzrokiem.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Jakimś cudem zdołała się uśmiechnąć.

– Po prostu... Nie miałam o tym pojęcia – wyznała. – On... – Chciała powiedzieć, że jako nastolatek jej syn interesował się dziewczynami, ale czy tak naprawdę mogła być tego pewna? Może od zawsze czuł coś do innych chłopców i nigdy nie umiał jej tego wyznać? – Kiedy był młodszy, myślałam, że podobają mu się dziewczęta.

– No cóż – odparł Christian. – Gwoli ścisłości, on jest bi.

– Bi? Aha, biseksualny. – Faye potrząsnęła głową, przyglądając drżącą dłonią swoje krótkie włosy. – To dla mnie spora niespodzianka – wyznała, siląc się na uśmiech.

Jej reakcja, zdaje się, trochę go bawiła.

– Może przyniosę coś do picia, a pani oswoi się z tym szokiem? – zaproponował. Gdy wstawał, zwróciła uwagę na jego dłonie.

– Noś pan obrączkę – zauważyła.

Christian opadł z powrotem na sofę.

– Zawarliśmy związek partnerski.

Faye nie wiedziała, co to dokładnie oznacza, było jednak pewne, że pomiędzy jej synem a tym sympatycznym człowiekiem istnieje szczerą, wzajemną więź. Co prawda zaskoczyła ją wiadomość, że Freddy jest homoseksualistą, ale skoro potrafił zaangażować się w głęboką, uczuciową relację, nie musiała się już martwić, że Zachary upośledził go pod tym względem.

– Jak długo jesteście razem? – zapytała.

– Pięć lat.

Nagle Faye coś sobie uświadomiła.

– Czyli jestem pańską teściową – zaśmiała się.

– Możliwe – zgodził się, ale zaraz spowaźniał. – Ale przede wszystkim jest pani... matką Freda. Poczula się delikatnie przywołana do porządku; niestety, chyba słusznie.

– Czy on wciąż mnie nienawidzi? – zapytała cicho.

– O nienawiści nigdy nie mogło być mowy – odparł Christian. – Fred po prostu uważał, że pani zwróciła się przeciwko jego ojcu. A on bardzo go kochał.

Faye wymazała Zachary'ego z pamięci, myślała o nim tylko i wyłącznie podczas rozmów z Jimem, teraz jednak stanęły jej przed oczami sceny z przeszłości: jak grał z Freddyem w piłkę na plaży, jak razem łowili ryby na molo w pobliżu kempingu, gdzie stała ich przyczepa. Zach kiedyś był dobrym człowiekiem.

– Czy on kontaktuje się jeszcze z ojcem? – zapytała Christiana.

– Tak, często.

– Mój Boże. – Z niedowierzaniem pokręciła głową. Dla niej Zachary już nie istniał; nawet nie myślała o nim w czasie teraźniejszym.

– A może... – Christian wstał z sofy – ...chciałaby pani zobaczyć Freda na zdjęciach?

– Och, tak! – zgodziła się ochoczo.

Młody człowiek wyszedł z salonu, a po chwili wrócił, niosąc w dłoni album fotograficzny. Usiadł z powrotem na sofie, trochę bliżej Faye.

– To są zdjęcia sprzed paru lat – wyjaśnił, otwierając album. – Z ceremonii zawarcia naszego związku.

Na pierwszej stronie wklejono grawerowane na papierze zaproszenie.

– Takie mieliśmy zaproszenia – powiedział. – Nasz znajomy je zaprojektował.  
Faye przeczytała oba nazwiska: Christian Tenley i Rick Pointer.  
– Rick? – powtórzyła, nie rozumiejąc.  
– Tego imienia używa – odparł Christian. – To drugi skrót od Frederick. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś zwracał się do niego „Fred”.  
– Aha. – Przypomniała sobie, że Freddy już w szkole średniej prosił, aby nazywać go „Rick”. – Nigdy nie przepadał za tym imieniem – przyznała.  
– Coś o tym wiem – uśmiechnął się.  
Na jednej z kartek dostrzegła zdjęcie, które znalazła z Jimem w internecie: trzech mężczyzn przed kaplicą uniwersytecką w Princeton. Teraz w jednym z nich rozpoznała Christiana.  
– Studiujecie w Princeton? – zapytała. – Pewnie już piszecie magisterki?  
– To już dawno za nami – zaśmiał się. – Obaj tam uczymy. Ja wykładam biologię, a Rick – prawo.  
– Prawo! – Faye pokręciła głową, zastanawiając się, czy w ten albo inny sposób nie była dla swojego syna kulą u nogi, ciężarem, który musiał odrzucić, aby odnaleźć własną ścieżkę. – Ileż on osiągnął... – westchnęła. – Zdaje się, że wcale mnie nie potrzebował.  
– To nieprawda – zaproponował Christian. – Potrzebował pani i nadal potrzebuje.  
Przerzuciła następną stronę albumu, potem jeszcze jedną. Na każdym zdjęciu Freddy był szeroko uśmiechnięty.  
– Jest szczęśliwy, prawda? – właściwie bardziej stwierdziła fakt, niż zapytała.  
– Tak, tylko... – Christian urwał w pół słowa.  
– Tylko co?  
Położył dłonie na kartach albumu.  
– Chce wydostać ojca z więzienia – powiedział. – Wziął urlop naukowy na całe lato i wyjechał do Karoliny Północnej. Pisze tam książkę o procedurach udzielania zwolnienia warunkowego. Inspiracją tej pracy był, oczywiście, jego ojciec, który złożył wniosek o przedterminowe zwolnienie.  
– Nie wiedziałam. – Faye zamyśliła się. Chyba ktoś powinien ją poinformować? No cóż, gdyby choć trochę łatwiej było ją znaleźć, może ta wiadomość by do niej dotarła. – Jakie są szanse – zapytała – że Zachary... że ojciec Freda wyjdzie na wolność?  
– Nie mam pojęcia – odparł Christian. – Wiem tylko, że powinien wyjść. To nie jest miejsce dla niego.  
– Zabił człowieka – przypomniała mu.  
– Jest całkowicie zresocjalizowany. – W tych słowach było tyle przekonania, że postanowiła nic już nie mówić. Zamiast tego zajrzała z powrotem do albumu, podziwiając piękny uśmiech Freddy’ego.  
– Kiedy wróci do Princeton?  
– Zagląda do domu mniej więcej co drugi tydzień, ale zostanie tam co najmniej do jesieni.  
– Chcę się z nim spotkać – oznajmiła Faye. – Pojadę do Karoliny Północnej.  
Z lękiem myślała o powrocie do miejsca, z którym wiązały się tak tragiczne wspomnienia, ale w tej chwili liczyło się co innego.  
– On się bardzo ucieszy, Faye, naprawdę – zapewnił Christian, po raz pierwszy zwracając się do niej po imieniu. – Szczerze żałuje, że tak się między wami ułożyło.  
– Ja też – przyznała.  
– Zadzwońmy, żeby go uprzedzić? – zapytał.  
Ale ona bała się rozmawiać z synem przez telefon.  
– Lepiej nie – postanowiła. – Wolę zrobić mu niespodziankę, dobrze?  
– Jasne. – Christian skinął głową.  
– Jak tam dojechać? – spytała, sięgając do torebki po kluczyki. Chciała natychmiast powiedzieć Jimowi o wszystkim, czego dowiedziała się o swoim synu.  
– To daleko – zauważył. – Może przenocujesz u nas i jutro wyruszysz?  
Potrząsnęła głową.  
– Teraz, kiedy już wiem, gdzie go szukać – odparła – nie dam rady czekać ani chwili dłużej.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

– A może pizza na kolację? – zaproponował Rick.

Pływali na materacach za jego domkiem. Co jakiś czas fundowali sobie tę przyjemność. Leżeli na brzuchach, cali wysmarowani środkiem na owady, bo zapadał już zmrok i komary były spragnione krwi. Lacey podłożyła ręce pod brodę, aby móc odwrócić głowę i spojrzeć na niego.

– Pizza? – powtórzyła. – Świetnie. Dowiozą ją tutaj?

– Raz próbowali, ale dostawca się zgubił i wszystko wystygło, zanim do mnie trafił. – Leżał z policzkiem na materacu, więc głos miał trochę niewyraźny. – Szybciej będzie, jak sam po nią pojedę.

Lacey lekko poruszała zanurzonymi w wodzie stopami, rozmyślając o wszystkim, co chciała mu powiedzieć. Rano zadzwoniła do Judith, swojej dawnej terapeutki. Zrobiła to dyskretnie, zamknięta we własnym pokoju. Judith, co prawda, nie miała wolnego terminu, ale przegadała z nią dobre pół godziny; Lacey bez żadnych oporów opisała jej wszystko, co się działo przez ostatnich kilka miesięcy, kończąc na zeszłej nocy z Bobbym.

– Och, Lacey – westchnęła Judith. – To musiało być dla ciebie bardzo trudne przeżycie.

Fala łez napłynęła jej do oczu. Judith była jedyną osobą, która nigdy nie próbowała jej osądzać.

– Ten Bobby to uosobienie twojego dawnego wzorca autodestrukcji – ciągnęła terapeutka. – Od niego wszystko się zaczęło, kiedy miałś czternaście lat, więc jak teraz mogłabyś się oprzeć tej pokusie? Szkoda, że nie przyszedł do mnie, kiedy tylko pojawił się w Kiss River.

– Myślałam, że dam sobie radę – odparła Lacey.

– I spisałaś się na medal – pochwaliła ją Judith. – Jestem pełna uznania. Owszem, spałaś z nim. Owszem, dałaś się wciągnąć, ale opamiętałaś się i powiedziałaś mu, że to się nie powtórzy. I od razu, z samego rana, zadzwoniłaś do mnie po pomoc. Skupmy się więc na tym, co robisz dobrze.

– Czuję się tak, jakbym oblała egzamin.

– Najwyżej kartkówkę – poprawiła ją terapeutka. – A tyle się działo, że nie miałaś szans się do niej pouczyć.

Lacey parsknęła śmiechem, ale łzy wciąż kręciły się jej w oczach.

– Chciałabym zaproponować ci udział w grupie wsparcia – powiedziała Judith. – Przychodzą tam kobiety jak ty, które... no wiesz, kiedyś miały kłopoty z samooceną.

Lacey zmarszczyła nos. Raczej nie była w stanie wziąć sobie teraz kolejnego obowiązku na głowę.

– Przemyślę to i odezwę się, dobrze? – zapytała.

– Oczywiście. Aha, ten drugi facet, o którym mówiłaś...

– Rick?

– Z tego, co usłyszałam, on zawsze dobrze cię traktował. Zależy mu na tobie. Dbaj o to.

I tak wieczorem Lacey pojechała do Ricka z mocnym postanowieniem, że dzisiaj wszystko szczerze mu wyzna. Wyjaśni, skąd się biorą jej problemy z bliskością, opowie o swoim upodobaniu do niegrzecznych chłopców i o pragnieniu, aby zacząć wszystko od nowa. Z nim. Wiedziała, że on może stać się dla niej atrakcyjny, jeżeli sama dopuści do siebie taką możliwość. Zamierzała mu powiedzieć, że naprawdę chce być z kimś takim jak on: inteligentnym, wykształconym, statecznym, dającym poczucie bezpieczeństwa. I właśnie ta chwila wydawała się odpowiednia do rozmowy – kiedy kołysali się na wodzie, odprężeni, kiedy było im ze sobą tak dobrze.

– Nie wracajmy jeszcze – poprosiła. – Chcę z tobą pogadać.

Rick uniósł głowę i wpatrywał się w nią przenikliwie.

– Zabrzmiało poważnie – powiedział.

– Chciałam ci wytłumaczyć, dlaczego byłam taka... oziębła. W sensie fizycznym.

– Nic nie musisz tłumaczyć – zapewnił. – Po prostu potrzebujesz więcej czasu, aby poczuć się bezpiecznie i...

– Rick, proszę cię – przerwała mu. – Nie utrudniaj. Chcę ci o tym powiedzieć. Pozwól mi. Proszę. Przyciągnął jej materac do swojego, aby położyć dłoń na jej karku. Zacisnął palce, lekko, z czułością. Kochany facet.

– Dobrze – odparł. – Mów.

Cofnął rękę i podłożył splecione dłonie pod brodę. Wiedziała, że poświęci jej całą swoją uwagę. Postanowiła opowiedzieć mu wszystko w skrócie, bez takich szczegółów jak seks z obcymi mężczyznami. Nie zamierzała też wspominać o swojej matce.

– Zawsze ciągnęło mnie do nieodpowiednich facetów – zaczęła. – Wiesz, o co chodzi. Takich trochę nieokrzesanych.

Rick przytaknął.

– I zawsze kończyło się tak... – Zabrakło jej słów, więc klepnęła się w ramię, udając, że zabija komara. – Kończyło się tak, że szliśmy do łóżka i do widzenia.

– Co to znaczy „do widzenia”? – zapytał, marszcząc brwi.

– Nie było mowy o prawdziwej relacji. Tylko seks.

– Lacey. – Rick odetchnął głęboko. – Nie musisz mi mówić o tym wszystkim. Naprawdę wolałbym tego nie słyszeć.

Zaskakująca reakcja. Przez półtora miesiąca, odkąd się poznali, zawsze był gotowy jej wysłuchać. Co prawda nigdy nie rozmawiali o seksie. Może ten temat go krępuje.

– Jesteś zupełnie inny od mężczyzn, którzy do tej pory mnie pociągali – podjęła po chwili.

– W jakim sensie?

– Jesteś... no cóż, bardzo konserwatywny – odparła, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to jak obelga. – Poza tym, z tego, co mi wiadomo, nie masz ani jednego tatuażu...

– To prawda – uśmiechnął się.

– Prawdopodobnie nigdy w życiu nie próbowałeś narkotyków.

– Paliłem marihuanę, gdy byłem nastolatkiem. I zeznam prawdę: zaciągałem się.

– Nie masz nigdzie kolczyków.

Rick przekrzywił głowę.

– Typ faceta, który mi opisujesz, podejrzanie przypomina Bobby’ego – zauważył.

Opuściła wzrok pod jego spojrzeniem i poczuła, że jej twarz oblewa się rumieńcem.

– Tak – przyznała. – To prawda, że Bobby świetnie się sprawdził przy Mackenzie, ale... nie potrafię mu zaufać. Nie ufam takim ludziom jak on. Czym skorupka za młodu przesiąknie...

– Nasiąknie – poprawił.

– Proszę, nie utrudniaj.

Rick wyciągnął do niej rękę, wysupłał jej dłoń spod brody i splótł palce z jej palcami, już w wodzie.

– Nie musisz mi o tym opowiadać, Lacey – powtórzył. – To już przeszłość.

– To było dziś w nocy – wypaliła i natychmiast się skrzywiła. Szczegóły mogła sobie darować.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał.

– Dziś w nocy spałam z Bobbym.

Rick przez chwilę milczał, przyswajając tę informację. Lacey była pewna, że puści jej dłoń, ale nie zrobił tego.

– To był błąd – odparła. – Błąd, który już nigdy się nie powtórzy.

– A popełniłaś go dziś w nocy. – Pokiwał głową. – I to też już przeszłość.

Uśmiechnęła się do niego.

– Jesteś niesamowity. Akceptujesz mnie taką, jaka jestem. Masz tyle cierpliwości. Zawsze umiesz mnie wysłuchać. Chcę... Chcę poczuć...

– Nie ciągnie cię do mnie, bo nie mam żadnej skazy – podsunął.

– I chcę to zmienić – zapewniła. – Nie to, że nie masz skazy – dodała szybko. – Chcę poczuć, że cię pragnę.

– Tego chyba nie da się tak po prostu sprawić.

– Ja to sprawię – powtórzyła z uporem. Bardzo jej zależało, aby to było możliwe.

Rick uśmiechnął się, słysząc ten żarliwy ton.

– Moim zdaniem i tak nie powinniśmy się spieszyć – odparł. – Żałujesz, że zeszłej nocy przespałaś się z Bobbym. Nie chcę, żebyś tak samo żałowała, jeśli dzisiaj prześpisz się ze mną.

– Nie dzisiaj – sprostowała. – Ale może jakoś niedługo. Musiałam po prostu szczerze wyznać ci, co czuję. Wyjaśnić, dlaczego tak to odwlekałam, żebyśmy mogli zacząć od nowa, od szczerości. W porządku?

Rick wciągnął jej rękę głęboko pod wodę, a gdy oba materace zsunęły się razem, pocałował ją w usta.

– W porządku – powiedział. – Chodźmy już do domu, a ja pojedę po pizzę.

Powiosłowali rękami w kierunku brzegu, a z materaców zeszli dopiero na piasku, żeby uniknąć kontaktu z długimi mackami wodorostów. Lacey czuła, że coś nie gra. To mogła być tylko jej wyobraźnia, lecz chociaż Rick ją pocałował, wiało od niego chłodem. Nie wiedziała, co zrobić, aby naprawić sytuację, ponieważ jasno dał do zrozumienia, że chce zakończyć tę rozmowę, i musiała to uszanować. Ostatecznie przed chwilą usłyszał, że spała z innym facetem, który pociąga ją w taki sposób, w jaki on nigdy jej nie pociągał. Trudno było wymagać od niego entuzjazmu.

Stanęli na niewielkim tarasie z tyłu domu, żeby się wytrzeć plażowymi ręcznikami, które czekały na nich zawieszane na barierce. Rick milczał; cisza powoli gęstniała i zaczynała przeszkadzać, lecz nagle Lacey przypomniała sobie, że jeden temat zawsze otwierał mu usta.

– Czy po kolacji moglibyśmy popracować trochę nad moim oświadczeniem? – zapytała, kiedy wchodzili do środka. Rick, który szedł trzy kroki przed nią, odwrócił się.

– Myślałem, że nie chcesz go pisać – odparł.

– Uznałam, że jednak muszę.

– Nie – sprzeciwił się. – Nie musisz.

Oparł dłonie na biodrach. Nagle w jego oczach po raz pierwszy zobaczyła złość.

Wykręciła końce mokrych włosów w ręcznik.

– Nie dziwię się, że masz mnie już dosyć – powiedziała. – Wiem, że cały czas zmieniam zdanie. Ale naprawdę muszę to napisać, Rick.

Po południu adwokatka dzwoniła do niej dwa razy i Lacey zrozumiała, że się nie wykręci. Musiała dostarczyć swoje oświadczenie o doznanej krzywdzie, ale sama nie była w stanie zabrać się do pisania.

– Nie musisz – powtórzył Rick. Ściągnął z oparcia kuchennego krzesła swój T-shirt i wciągnął go przez głowę. – Spójrz na siebie, Lacey. – Niemalże wbił dłonie w krótkie rękawy. – Jesteś... udręczona. A cały ten cyrk z oświadczeniem jest za to w dużej mierze odpowiedzialny. Włożyłaś mnóstwo energii w nienawiść do Zachary'ego Pointera, że zaczęło cię to pochłaniać.

Lacey potrząsnęła głową.

– To nie jest nienawiść – odparła. – On nie zasługuje, żeby...

– Rozumiem, że tak ułożyło się twoje życie – wszedł jej w słowo. – Rozumiem, że straciłaś matkę. Że masz problemy z mężczyznami. Rozumiem wszystko, co przeszłaś z Mackenzie, ale tego jednego nie potrafię zrozumieć. Wszystko wskazuje, że ten człowiek jest już zresocjalizowany.

Mówił coraz głośniej, prawie krzyczał, a ściany małego domku aż się trzęsły. Lacey cieszyła się, że na takim odludziu nie ma żadnych sąsiadów i nikt go nie słyszy.

– Poza tym to jest oczywiste, przynajmniej dla mnie – dodał Rick – że przymus napisania tego cholernego oświadczenia odbija się na tobie. Tak więc po prostu nie jestem w stanie pojąć, czemu się na to zgadzasz.

Milczała zaskoczona. Pierwszy raz podniósł przy niej głos. To już nie była złość, ale prawdziwy gniew. Dotąd zakładała, że zawsze może powiedzieć mu wszystko, a on w swojej wspaniałomyślności będzie słuchał w nieskończoność. Wykorzystywała go w ten sposób przez całe lato. Teraz rozumiała, że to było egoistyczne z jej strony.

– Chyba masz do mnie pretensję o Bobby'ego – powiedziała. – Rozumiem. Też bym była zła.



Nie powinnam ci o tym mówić.

– Co się stało, to się nie odstanie, prawda? – rzucił przez ramię, ruszając w stronę drzwi. – Jadę po pizzę.

Patrzyła za nim, a gdy trzasnęły drzwi z siatki, przygryzła wargę. Gdyby mogła cofnąć to, co się stało tego wieczoru – i przy okazji to, co się wydarzyło poprzedniej nocy. Ta chwila zapomnienia mogła zaszkodzić wszystkim – jej, Bobby’emu, Mackenzie. Lacey pomyślała o kobiecie, z którą go widziała. O jego przygodach z narkotykami. O alkoholizmie. O busie, którym wciąż jeździł, tak starym, że aż śmiesznym. I o tym, że zarabia raczej marnie, pewnie jeszcze mniej niż ona.

Żałowała, ale mimo wszystko ten żal jakoś bardzo szybko mijał.

## Rozdział czterdziesty

Lacey zdjęła mokry kostium w pokoju, gdzie przez krótki czas mieszkał Bobby. Wydawało jej się, że wciąż jeszcze czuć tam jego zapach, tę zabawną mieszankę miłego aromatu szamponu i dosadnej woni tytoniu. To chyba jednak było tylko dziełem jej wyobraźni. Potem wyciągnęła się na łóżku nakrytym starą, cienką, wypłowiałą narzutą, pod którą zapewne leżał niejeden spocony, oblepiony piaskiem przyjezdny lokator. Oby Rick zdążył ochłonąć, zanim wróci z pizzą, myślała. Gdy przypominała sobie przebieg ich rozmowy, coraz bardziej traciła apetyt. Co za idiotka mówi facetowi numer jeden, że spała z facetem numer dwa? Postąpiła tak, bo chciała zacząć z Rickiem od początku, na czysty rachunek. I to prawdopodobnie było nie w porządku. Myślała wyłącznie o własnych potrzebach, on się dla niej nie liczył.

Chyba się zdrzemnęła, bo gdy ktoś zapukał do drzwi, miała wrażenie, że to sen. Po chwili pukanie się powtórzyło. Poczowała delikatne ukłucie strachu: była całkiem sama, w środku lasu, a Rick nie zamknął drzwi na klucz. Podczas gdy spała, zapadła już noc i w domku panowała ciemność, tak samo jak za oknami.

Zza drzwi dobiegł cichy kobiecy głos.

– Fred? Jesteś tam?

Lacey wstała z łóżka i wyszła z pokoju do ciemnego salonu, stąpając jak najciszej po szorstkim od piasku linoleum. Zamknięte były tylko zewnętrzne drzwi z siatki, a na werandzie paliło się światło, więc przekonała się, że stoi tam nieznajoma kobieta. Jej krótko obcięte włosy miały kolor złota.

– Dobry wieczór – powiedziała Lacey, pstrykając włącznikiem w kuchni, aby nie było, że głos słychać, a osoby nie widać. – Chyba źle pani trafiła – powiedziała przez drzwi z siatki. – Tutaj nie mieszka żaden Fred.

Nieznajoma uniosła do światła kartkę, którą trzymała w dłoni.

– Pewnie ma pani rację – zgodziła się. – Ale już kompletnie się zakręciłam. Szukam tego domu nie wiem ile i...

Lacey otworzyła drzwi.

– Proszę – zaprosiła kobietę do środka. – Może pomogę pani znaleźć właściwy adres.

Kobieta spojrzała na nią z wdzięcznością i przekroczyła próg. Na oko dobiegała pięćdziesiątki i w innych okolicznościach prawdopodobnie byłoby lepiej widać jej urodę, teraz jednak była lekko oszołomiona, twarz miała opuchniętą i ogólnie wyglądała jak ktoś, kto zgubił drogę i z wielkim trudem usiłuje ją odnaleźć.

Lacey włączyła lampę nad stołem w jadalni i wskazała gościowi starą kanapę.

– Proszę usiąść.

– Tutaj są wskazówki, które dostałam. – Kobieta podała jej kartkę zapisaną starannym pismem. Była tam też odręczna mapa, wyrysowana równie starannie; autor uwzględnił nawet morze pod postacią falistych kresek, symbolizujących fale na wodach cieśniny, i małe drzewka oznaczające las. Lacey usiadła na brzegu kanapy, jak najbliżej światła, i przyjrzała się wskazówkom.

– Wygląda na to, że jednak chodzi o ten dom... – Nagle ją olśniło. – Właściciel wyjechał na wakacje, a ja nie wiem, jak się nazywa. Może o niego chodzi?

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Nie sądzę. Szukam mojego syna. Nazywa się Fred Pointer.

Lacey pokręciła głową.

– Nie znam... – Nagle po plecach przebiegł jej lodowaty dreszcz. – Pointer?

Kobieta przytaknęła.

– Zna go pani? Ach, zapomniałam! On teraz używa imienia Rick. Ale ja zawsze mówiłam na niego Fred.

Lacey chwyciła się dłonią za gardło, czując nagłą falę mdłości wzbierającą w żołądku. Bała się,

że zwymiotuje. Nieznajoma wyglądała coraz bardziej znajomo. Przed oczami Lacey stanęła scena sprzed lat: ta sama kobieta, po drugiej stronie stołu, w dłoni trzyma talerz, na który ona sama przed chwilą nałożyła porcję fasolki szparagowej.

– O Boże. – Poderwała się z kanapy.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się kobieta.

– Posłużył się mną... – wyszeptała Lacey.

„Nie musisz pisać tego oświadczenia, Lacey. Niech oni sami robią dalej to, co mieliście zrobić”.

– O kim pani mówi? – zapytała jasnowłosa kobieta. – O Fredzie? O Ricku?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Strach chwycił ją za gardło, przed oczami wirowało. Usiłowała ogarnąć, uporządkować myśli.

Kobieta też wstała.

– Niech pani lepiej usiądzie – powiedziała, biorąc ją pod rękę. – Nie wiem, co tak panią wstrząsnęło, ale chyba zaraz pani zemdleje.

Musiała prawie siłą usadzić ją z powrotem na kanapie. Lacey cała zeszywniała.

– Sprawiam pani przykrość, przepraszam bardzo. – Kobieta usiadła obok.

Lacey odwróciła się do niej.

– Poznaje mnie pani? – zapytała.

Nieznajoma potrząsnęła głową.

– Chyba... No tak, kogoś mi pani przypomina – przyznała. – Ale obawiam się, że ta osoba już dawno nie żyje.

– To była moja matka – powiedziała Lacey. – Annie O’Neill.

Teraz z kolei to tamta kobieta pobladła i ze zdumienia otworzyła usta.

– Och, moja droga... – wyjąkała, dotykając ręki Lacey. – Boże... Tak, ty też tam byłaś. Pamiętam. Często o tobie myślałam. Ale... – Bezradnie rozejrzała się dookoła. – Nie rozumiem, co się dzieje. Skąd wzięłaś się w tym domu, razem z Fredem? Czy to... tylko zbieg okoliczności?

– O nie. – Lacey wstała z powrotem. Szok i mdłości ustąpiły, a w ich miejsce pojawił się gniew. Przypomniała sobie książkę o wybaczeniu, którą jej podarował. Kwiaty. To, że każdą rozmowę kierował na temat zwolnienia warunkowego Zachary’ego Pointera. – Niech go szlag! – Porwała ze stolika pusty kubek i cisnęła nim o ścianę z taką siłą, że kobieta aż się skuliła. – Przez całe lato mnie wykorzystywał. – Zakrzywionymi palcami rozgarnęła włosy opadające na twarz. Dopiero teraz uświadamiała sobie, co naprawdę ją spotkało. – Pani też brała w tym udział?

– Jak to?

– Pani mąż złożył wniosek o zwolnienie warunkowe.

– Mój były mąż. Dopiero dziś się o tym dowiedziałam.

Lacey usiadła na rozklekotanym krześle w pobliżu okna.

– No więc było tak – zaczęła. – Pani syn pewnego dnia pojawił się w mojej pracowni. Ani słowem nie wspomniał, że Zachary Pointer to jego ojciec. Przedstawił mi się jako Rick Tenley i...

– Tak ma na nazwisko jego partner. Christian Tenley.

Lacey uniosła brwi.

– Partner... z kancelarii prawniczej?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Partner... życiowy.

– On jest... gejem? – Lacey pomimo całej wściekłości zanosła się śmiechem. – No, to by wyjaśniało kilka spraw.

– A więc... – nieznajoma powróciła do tematu – ...czy Fred pojawił się w twojej pracowni przypadkiem?

– Wykluczone – odparła Lacey. – Doskonale wiedział, co robi. Zaczął... zalecać się do mnie. Przysyłał mi kwiaty. Zapraszał na randki. A gdy już się do mnie zbliżył... Nie, nie poszliśmy do łóżka – dodała szybko. – Może pani powiedzieć temu Christianowi, że Rick był mu absolutnie wierny.

Wróciła myślami do ich dzisiejszej rozmowy. Teraz wszystko nabrało sensu: Rick nie był na nią

zły za to, że przespała się z Bobbym. Rozgniewało go co innego: że mimo wszystko postanowiła napisać oświadczenie do sądu.

– Gdy się już do mnie zbliżył – powtórzyła – opowiedziałam mu, jak zginęła moja matka i o tym, że jej zabójca złożył wniosek o przedterminowe zwolnienie, a moja rodzina zamierza do tego nie dopuścić. Wtedy on zaczął rozmawiać ze mną na ten temat. Przekonywał, że nie powinnam się sprzeciwiać zwolnieniu... pani męża, czy kim on teraz dla pani jest, i że najlepiej by było, abym postarała się mu wybaczyć. Bardzo mnie ujęło, że tak wziął sobie do serca moje sprawy. Wspaniale umiał słuchać. Boże, naprawdę jadłam mu z ręki! – Obejrzała się na stół w rogu pokoju, gdzie stał komputer, a obok leżał stosik papierów. – Powiedział mi, że to jest dom jego kolegi, a on przyjechał tutaj, żeby mieć spokój, bo pisze podręcznik z prawa podatkowego.

– Chyba rzeczywiście pisze podręcznik – powiedziała cicho kobieta. – Ale Christian mówił, że temat dotyczy zwolnienia warunkowego.

Lacey wstała z krzesła i podeszła do stołu. Wzięła w rękę kilka kartek, przebiegła je wzrokiem. Termin „zwolnienie warunkowe” powtarzał się wszędzie, aż bił po oczach.

– A to gnój! – Zgarnęła z blatu wszystkie papiery i rzuciła w powietrze. Po chwili zasłały podłogę, rozrzucone w beładzie. Czuła, że ogarnia ją szal. Chciała coś zniszczyć.

Kobieta, zgięta wpół, patrzyła na jej wybuch. Przyciskała do ust kurczowo zaciśniętą pięść, a pomiędzy jej brwiami ciemniała głęboka bruzda. W końcu nagle opuściła rękę i usiadła prosto.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Lacey O’Neill.

– Faye Collier – przedstawiła się. – Po rozwodzie z Zacharym powróciłam do panińskiego nazwiska, a mój syn zerwał ze mną kontakt, kiedy był jeszcze nastolatkiem. Przyjechałam tutaj, aby go odnaleźć i odnowić nasze relacje. Mieszkam teraz w Kalifornii, ale udało mi się ustalić, że Fred osiedlił się w Princeton, więc...

– Princeton? – powtórzyła Lacey. Stała jak wmurowana w podłogę, a biel papierów otaczała ją niczym morze. – Powiedział mi, że mieszka w Chapel Hill i wykłada prawo na Uniwersytecie Duke’a.

– To prawda, że wykłada prawo – potwierdziła Faye. – Ale w Princeton. Znalazłam adres i pojechałam do niego. Na miejscu poznałam Christiana, który powiedział mi, gdzie szukać Freda. Nie uprzedziłam go, że się zjawię. Przez dziesięć lat nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, Lacey, więc to jest już dla mnie zupełnie obcy człowiek. Ale mimo wszystko, chociaż... – Zamrugnęła oczami, połykając łzy, a w jej spojrzeniu Lacey widziała ból. – Mimo wszystko, chociaż już go nie znam, czuję się w obowiązku przeprosić cię za to, co zrobił.

Jej głos działał uspokajająco. Lacey usiadła z powrotem na kanapie, ale bokiem, podciągnęła kolana pod brodę i oplótła je ramionami.

– To nie pani jest mi winna przeprosiny – odparła.

Nagle skrzypnęły drzwi z siatki. Obie kobiety odwróciły głowy: w progu stał Rick, trzymając w rękach pudełko z pizzą. Minęła chwila, zanim rozpoznał swoją matkę, ale kiedy to już się stało, Lacey zobaczyła, jak krew odpływa mu z twarzy. Płaski karton z głuchym plaśnięciem upadł na podłogę.

– Mama?

Momentalnie stało się jasne, że wszystko, czego Faye dowiedziała się o swoim synu, jest w tej chwili całkowicie nieistotne. Zerwawszy się z kanapy, ruszyła w kierunku Ricka; macierzyństwo wzięło górę. A on, chociaż z pewnością rozumiał, że jego gra wyszła na jaw, rozłożył szeroko ramiona. Padli sobie w objęcia, ściskając się tak czule, że Lacey nie była w stanie na to patrzeć. Oparła czoło o kolana, czując się jak intruz. Upłynęła pełna minuta, zanim matka i syn wypuścili się z objęć.

– Jak mnie znalazłaś? – zapytał.

– Christian – wyjaśniła krótko.

Oboje przez chwilę milczeli, a potem Rick jakby przypomniał sobie, że nie są sami.

– Lacey – powiedział, a gdy uniosła wzrok, zobaczyła łzy w jego oczach i płonący na policzkach rumieniec. – Przepraszam. Naprawdę bardzo mi przykro.

Bez słowa potrząsnęła głową. W tej chwili miała w sobie więcej żalu niż złości.

– Straciłem rozum – przyznał. – Przepraszam. Chciałem tylko, żeby mój ojciec odzyskał wolność. On nie był przy zdrowych zmysłach, kiedy zabił twoją matkę. Potrzebował pomocy, a nie zamknięcia w więzieniu. Muszę go stamtąd wydostać. Muszę go...

– W tej chwili musisz porozmawiać ze swoją matką – przerwała mu, wstając energicznie z kanapy. – A ja muszę wrócić do domu i napisać oświadczenie o doznanej krzywdzie. Zapewniam cię, że będzie dobre.

Przemaszerowała między nimi, z rozmysłem depcząc rozrzucone po podłodze strony książki o zwolnieniu warunkowym, a po wyjściu na werandę nie przytrzymała drzwi z siatki, ale pozwoliła im się zatrzasać. Przypomniała sobie, że w drugim pokoju został jej kostium kąpielowy – w ciągu doby udało jej się stracić już drugi – ale nie obchodziło jej to.

Rozpłakała się, dopiero gdy wsiadła do samochodu, który czekał na podjeździe, skryty w ciemności zalegającej pod drzewami. Przez otwarte okna wdzierał się ogłuszający gwar cykad, a Lacey siedziała bez ruchu za kierownicą; nie obracała kluczyka w stacyjce i nawet nie ocierała łez. Wiele razy, zbyt wiele, aby je zliczyć, różni mężczyźni wykorzystywali ją seksualnie, ale Rick – ten, którego nie podejrzewała o jakiegokolwiek złe zamiary – wykorzystał ją inaczej, gorzej, zranił do żywego.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

Nigdy, nigdy nie tnij szkła, kiedy masz jakieś zmartwienie.

Tom wiele razy powtarzał to Lacey, ale ona potrzebowała zająć myśli, zatracić się w czymś, a praca nad witrażem zawsze przynosiła jej ulgę. Poszła na werandę, ale tym razem nic z tego nie wyszło. Elementy, które przycinała, były za długie albo za krótkie. Stłukła kawałek najdroższego szkła, jakie miała, a kiedy oparła rękę na stole, odprysk wbił się jej pod skórę.

Miała nadzieję, że praca pomoże jej wyrzucić z pamięci cały wieczór u Ricka, ale szanse wydawały się raczej marne. Kiedy wróciła do domu, Gina, Clay i Bobby oglądali razem film na wideo. Tym razem Lacey była zadowolona, że Mackenzie woli siedzieć przy komputerze niż z dorosłymi w salonie, bo musiała się wypłakać i nie chciała robić tego przy niej.

Wszystko odbyło się o wiele spokojniej, niż się spodziewała. Usiadła na kanapie i po prostu przedstawiła im fakty, starając się nie ubarwiać ich emocjami. Za to Clay aż posiniał z wściekłości.

– Włazł tutaj jak do siebie, manipulował nami... – Wstał z kanapy i krążył po pokoju, tak samo jak ich ojciec, kiedy się czymś denerwował. – Gdzie on mieszka, Lacey? Zaraz do niego pojedę.

Musiały go uspokajać we dwie, razem z Giną.

– Teraz jest u niego matka – tłumaczyła Lacey. – To kiepski pomysł.

– Spał z tobą? – wypalił Clay, a w tym krótkim pytaniu było tyle szlachetnej furii, że jej serce wezbrało siostrzaną miłością. Nie zadał go w sposób znacznie bardziej w jej odczuciu oskarżycielski: „Spałaś z nim?”. Zapewniła brata, że do niczego nie doszło, ale fakt, że Rick okazał się gejem, przemilczała.

Bobby odzywał się bardzo zdawkowo, a Lacey unikała jego wzroku, jak mogła, bojąc się zdradzić przed Giną i Clayem, że ich relacja się zmieniła.

Później, kiedy była sama w kuchni i nalewała sobie lemoniady, Bobby podszedł do niej i po prostu ją objął. Myślała, że usłyszy kpiący komentarz, choćby najłagodniejszy, ostatecznie przecież sama mu powiedziała, że nie boi się Ricka, a jego tak, i że to Rick byłby dla niej odpowiedni, a nie on. Bobby miał prawo rzucić jej w twarz jej własne słowa.

– Przykro mi – powiedział tylko, uściskał ją i wyszedł. Była przekonana, że te słowa płynęły z głębi serca.

Idąc spać, zajrzała do Mackenzie, żeby powiedzieć jej dobranoc, a potem wzięła notatnik i położyła się do łóżka. Chciała przelać na papier całą swoją wściekłość, ale szybko okazało się, że w dalszym ciągu nie potrafi znaleźć słów. Jeśli więc gniew nie mógł pomóc jej w pisaniu, to oznaczało, że złożenie oświadczenia o doznanej krzywdzie przekracza jej możliwości. Dała za wygraną po dziesięciu minutach i próbowała zasnąć, ale wydarzenia tego dnia wciąż do niej powracały. W końcu wstała z łóżka i zapukała do pokoju Bobby’ego. Nie spał jeszcze; gdy otworzyła drzwi, spojrzał na nią ze szczerą ciekawością.

– Chciałam zapytać, czy masz coś na sen – wyjaśniła pośpiesznie, aby nie pomyślał, że przyszła po coś więcej.

Bobby potrząsnął głową.

– Przykro mi. Biorę już tylko aspirynę.

Wycofała się za próg.

– Lacey...?

Obejrzała się.

– Chcesz porozmawiać?

– Dzięki – odparła. – Ale nie teraz.

Rozmowa z Bobbym, w jego pokoju, w środku nocy, kiedy czuła się tak podle – to by się źle skończyło. Poza tym chciała pobyć sama. Mogła zaufać tylko sobie – i to też, zdaje się, nie zawsze.

\* \* \*

W końcu udało jej się równo i czysto przyciąć kawałek szkła. Kiedy gratulowała sobie po cichu, skrzypnęły drzwi z siatki, a chwilę później na werandzie zjawiała się Mackenzie z Saszą u nogi. Krążyła wokół domu, szukając zasięgu, który tego dnia był pod dachem bardzo słaby.

– Dodzwoniłaś się? – zapytała Lacey, unosząc okulary ochronne wysoko na czoło.

– Już rozmawiałam ze wszystkimi – przytaknęła.

– To pewnie jesteś zadowolona?

Mackenzie usiadła przy drugim stole roboczym, tam, gdzie zazwyczaj pracował Bobby, i zaczęła się obracać na krześle, to w prawo, to w lewo.

– Chyba zaczynają o mnie zapominać – powiedziała.

– Nie – zaprzeczyła Lacey ze współczuciem. Sasza podszedł do niej, a ona przeczesywała palcami jego lśniąca czarną sierść. – Robią teraz różne rzeczy, w których ty nie możesz brać udziału, ale nigdy o tobie nie zapomną.

Mackenzie westchnęła.

– Brakuje ci ich, co? – zagadnęła Lacey.

– I to jest właśnie dziwne – powiedziała dziewczyna. – Wydaje mi się, że powinno, ale to już przechodzi. – Musnęła palcem kawałek kości leżący na blacie roboczym. – Na przykład opowiadałam Sherry o Wilku i tak dalej, ale ona nie lubi psów, więc nie bardzo ją to interesowało. Z kolei Marissa gada tylko o tym chłopaku, który chodzi z nią na basen, i nie potrafi zrozumieć, co jest fajnego w tym, że chowam się w lesie i czekam, aż jakiś pies mnie znajdzie. A najbardziej wkurzające jest to, że na wszystko mówi: „srogie”.

– Srogie?

– Aha. To takie nowe słówko, które teraz jest na topie czy coś. Jak jakiś chłopak jej się podoba – to od razu jest „srogi”. Nowy sklep w galerii handlowej też jest srogi. Głupio to brzmi, nie uważasz?

Lacey nie mogła powstrzymać się od śmiechu; zalały ją ciepłe, serdeczne uczucia do tego dziecka, wypłukując z jej serca trujący osad niechęci.

– Ale jesteś milutka, wiesz? – zapytała.

– Aha. – Mackenzie skinęła głową i też się uśmiechnęła. Wyjrzała przez okno, a potem, wsparłszy się dłońmi o blat stołu roboczego, przyłożyła policzek do szyby. – Nie widać stąd wybiegu – zauważyła.

– Nie widać.

– Wiesz, kiedy wraca Clay? – Dziewczyna usiadła z powrotem.

– Nie wiem – odparła Lacey. Był weekend, więc Gina i Clay pojechali do knajpy Shorty's Grill i zabrali ze sobą Rani, bo Henry, Walter i inni bywalcy bardzo lubili małą. Bobby był prawdopodobnie na spotkaniu AA, lecz tego mogła się tylko domyślać. – Miałas dzisiaj pomagać Cla-yowi?

– Nie, ale Wilk nie może wyciągnąć kości, która wpadła mu za budę – powiedziała Mackenzie.

– Przechodziłam przed chwilą obok wybiegu i on normalnie płakał, tak próbował się do niej dostać. Strasznie mi go żal.

– Nic mu nie będzie – uspokoiła ją Lacey i poklepała Saszę po łbie na znak, że koniec pieszczot. Pies wydał z siebie ciężkie westchnienie i ułożył się obok jej warsztatu.

– A może bym weszła do środka i ją wyciągnęła? – zapytała Mackenzie. – On mnie uwielbia.

– Clay powiedział, że nikt oprócz niego nie może tam wchodzić.

– Ale to było już dawno – sprzeciwiła się Mackenzie. – A teraz Wilk po prostu szaleje za mną.

– To prawda – uśmiechnęła się Lacey. – Ale wiesz, co powiedział Clay.

– No dobrze. – Mackenzie wstała z krzesła. – Może dosięgnę jakimś patykiem przez siatkę i wyciągnę mu tę kość.

– Dobry pomysł – pochwaliła Lacey. – Bądź ostrożna.

Mackenzie zeszła z werandy i w tym samym momencie zadzwonił telefon. Lacey zerknęła na wyświetlacz: Rick, już trzeci raz od rana. Lacey nie czuła się na siłach z nim rozmawiać i nie była w stanie powiedzieć, czy kiedykolwiek się poczuje. Zsunęła okulary z powrotem na oczy, po raz kolejny

powracając myślami do oświadczenia. I wtedy ją olśniło: a gdyby tak darowała sobie dywagacje na temat charakteru matki? Osoby poproszone o złożenie takiego oświadczenia będą się rozpisywać o „świętej Annie”, jej wspaniałym charakterze i bezinteresowności. Natomiast nikt oprócz Lacey nie był w stanie opisać jej śmierci z pierwszej ręki, ze wszystkimi szczegółami. Pomysł wydawał się doskonały; aż dziw, że nie wpadła na to wcześniej: przedstawić czyste fakty z tamtego wieczoru w schronisku dla kobiet. Opinia na temat moralności swojej matki była całkowicie zbędna.

Wzięła nóż do szkła i przyłożyła do kobaltowej szybki. Nagle powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk, a Sasza skoczył na równe nogi. Mackenzie! Lacey upuściła nóż na stół, zerwała się z krzesła i wybiegła z pracowni, ściągając po drodze okulary, które rzuciła na podłogę. Krzyk nie ustawał. Lacey myślała, że Wilk zdołał jakimś cudem przeskoczyć przez dwumetrową siatkę i teraz ugania się za Mackenzie po podwórzu. Gdy jednak pchnęła drzwi z siatki i wypadła na werandę, przekonała się, że jest znacznie gorzej.

Mackenzie leżała na ziemi, za siatką ogradzającą wybieg. Wilk stał nad nią, warcząc wściekle, i szarpał zębami jej ubranie. Ubranie albo – nie daj Boże – ciało. Z tej odległości Lacey nie miała pewności. Owczarek miotał łbem w taki sposób, jakby chciał rozszarpać wszystko, co wpadnie mu w paszczę. W przeraźliwych krzykach Mackenzie słychać było czystą groźbę.

– Już idę! – zawołała Lacey, zeskoczyła ze schodków werandy i popędziła w kierunku wybiegu, wyrzucając stopami piasek w powietrze. Wyprzedził ją Sasza, który warczał i szczekał tak samo jak Wilk. – Zostaw ją! Zostaw ją! – krzyczała, wymachując rękami w powietrzu. Nagle dostrzegła krew na nodze Mackenzie, na piasku. Boże, błagam, żeby tylko nic jej się nie stało!

Dobiegła do wybiegu i uderzyła pięściami o siatkę.

– Odejdź od niej!

Ale pies nie zwrócił na nią uwagi. Na oczach Lacey chwycił paszczą długie włosy Mackenzie i chociaż próbowała opędzać się przed nim pięściami, pociągnął ją za sobą po piasku, szarpiąc tak, że jej głowa poderwała się na kilkanaście centymetrów. On ją zagryzie, pomyślała Lacey. Nie pozwolę mu na to.

Szarpnęła furtkę z siatki i pobiegła w głąb wybiegu, jak najdalej od wejścia. Wiedziała, że Wilk od razu rzuci się na nią. Sasza też wszedł za siatkę, ale to był pies tak łagodnego usposobienia, że tylko stał bezradny i poszczekiwał żałośnie. Zgodnie z przewidywaniami owczarek wypluł włosy Mackenzie i skierował wściekle spojrzenie na Lacey, podciągając wysoko górną wargę, i całym ciałem dobitnie dawał do zrozumienia: ty będziesz następna.

– Uciekaj, Mackenzie! – zawołała do dziewczynki, która z wysiłkiem dźwignęła się na kolana. – Wyjdź stąd!

Mackenzie, zgięta wpół, pokuśtykała do furtki, powłócząc zakrwawioną nogą, a Wilk, który zdążył już o niej zapomnieć, rzucił się na Lacey, błyskając zębami, które były jak olbrzymie, ostre sztylety. Uniosła wysoko ręce, aby wydawało się, że jest większa, i krzyknęła na całe gardło, chcąc go odstraszyć, ale on nie zawahał się nawet na moment. Przywarła plecami do siatki i patrzyła, jak szeroko rozwarte psie szczęki zamykają się na jej udzie. Przeszył ją potworny ból; zęby wbiły się głęboko w mięśnie, a mocne szarpnięcie obaliło ją na ziemię. Modliła się tylko o jedno: żeby ktoś zjawił się szybko i pomógł Mackenzie, bo ona już nie będzie mogła. Wybiła jej ostatnia godzina.



## Rozdział czterdziesty drugi

Ktoś trzymał ją za rękę. Ktoś szeptał jej imię. Lacey z wysiłkiem uchyliła powieki, ale szybko pozwoliła im opaść. Światło w pomieszczeniu było zbyt jasne.

– Już dobrze, Lacey – usłyszała męski głos. – Ocknij się.

Zmusiła się do otwarcia oczu i zobaczyła tuż nad sobą twarz Toma. Cienki jasny kucyk zwisał mu z ramienia. Chyba leżę na podłodze w naszej pracowni, pomyślała.

Tom uśmiechnął się do niej.

– Wróciłaś, kochanie – powiedział. Miał łzy w oczach. Czują, że głaszczesz ją po głowie i układają potargane włosy.

A potem przypomniało jej się, jak Wilk skoczył na nią z otwartą paszczą. Jego pysk, nos, oczy – to wszystko zniknęło, była tylko ta przepastna czeluść pełna ostrych kłów. Skrzywiła się na samą myśl. Ktoś jęknął boleśnie, wręcz zaskomlał i dopiero po kilku chwilach dotarło do niej, że to ona.

– Jesteśmy... w pracowni? – zapytała szeptem.

– W pracowni? O nie, kochana. Nie. – Tom pogładził ją po skroni swoją dużą, szorstką dłonią, a potem znów poczuła ją wyżej, na włosach. Już od ponad dziesięciu lat wiedziała, że ten człowiek jest jej ojcem, ale nigdy nie czuła jego ojcowskiej troski bardziej niż w tej chwili, kiedy gładził ją po głowie i połykał łzy. – Jesteś w szpitalu – wyjaśnił. – Tamten pies trochę cię pogryzł.

Bardziej niż trochę, tego była pewna. Wszystko ją bolało i piekło, jakby ktoś włożył jej ręce i nogi w imadła i zacisnął tak mocno, aż skóra popękała.

– Boli... – szepnęła.

Tom skinął głową.

– Zawolałam pielęgniarkę. – Podniósł się, ale złapała go za koszulkę na ramieniu.

– Nie idź – jęknęła wystraszona. W głowie miała mętlik. Bała się, że jeśli Tom wyjdzie, ten obcy, mroczny świat, z którego zaledwie przed chwilą się wydostała, znów ją wciągnie.

– Dobrze – zgodził się, siadając z powrotem.

Nagle Lacey przypomniała sobie Mackenzie i krew na piasku.

– Mackenzie? – zapytała z wysiłkiem; miała wrażenie, że nie zdoła wypowiedzieć więcej niż jednego słowa naraz.

– Uratowałaś jej życie. – Tom uśmiechnął się szeroko. – Wykazałaś się niesamowitą odwagą, kochanie. Zawsze wiedziałem, że jesteś wyjątkowa, ale o coś takiego nigdy bym cię nie podejrzewał. Ja bym się na to nie zdobył.

Nawet dla mnie? – chciała go o to zapytać, ale trzy słowa to było stanowczo za dużo, a zresztą знаła odpowiedź. Zrobiłby to. Dla niej zrobiłby wszystko.

– Była krew... piasek – wypowiadała słowa z olbrzymim wysiłkiem, usta nie chciały słuchać komend płynących z mózgu. – Mackenzie.

– Ugryzł ją w nogę, i to porządnie – odparł Tom. – Nabiła sobie parę siniaków. Ale nie zatrzymali jej nawet w szpitalu na noc.

– A mnie? – zapytała. Odpowiedział jej ten sam szeroki uśmiech.

– Leżysz tutaj już od dwóch dni, skarbie. Siedzimy przy tobie na zmianę: Alec, Olivia, Gina, Clay i Bobby. A ja miałem to szczęście, że ocknęłaś się akurat przy mnie.

– Dwa dni? – powtórzyła. Jak to możliwe, że umknęły jej dwa dni?

– Mówią, że musiałaś uderzyć głową o róg psiej budy czy o coś – odpowiedział Tom. – Straciłaś przytomność. I może na całe szczęście, bo nie zdawałaś sobie sprawy, co to cholerne zwierzę z tobą robiło.

To by wyjaśniało ten ból głowy, jakby ktoś wbił jej nóż w czaszkę.

– Nie zagryzł mnie – stwierdziła ze zdziwieniem. Oprócz zdziwienia czuła jeszcze coś innego: dziwną, niespodziewaną euforię.

– Gdyby Bobby wrócił później, nie miałabyś szans – odparł Tom.  
– Ile razy mnie ugryzł...? Powiedz prawdę – poprosiła.  
Zawahał się, po czym najwidoczniej postanowił spełnić jej prośbę.  
– Dziewięć – powiedział. – Tych konkretnych ran było dziewięć, a do tego kilka mniej poważnych.  
– Nogi? – Uda i łydki paliły ją żywym ogniem. Tom przytaknął.  
– Nogi. Pośladki. Lewa ręka. Ale twoja śliczna buzia jest nietknięta.  
– Uśpią go? – zapytała.  
– Już jest po sprawie – odparł krótko. – Była sekcja. Miał jakąś... sam nie wiem... padaczkę czy coś takiego. Twój ojciec pluje sobie w brodę, że nie załatwił mu tego badania neurologicznego wcześniej, jakoś po znajomości. Może wtedy udałoby się mu pomóc.  
Lacey wysłuchiwała tego z zaciśniętymi powiekami.  
– Biedny pies – westchnęła.  
– Wiesz co? – zagadnął Tom, który ewidentnie próbował zmienić temat.  
Spojrzała na niego, bo nawet krótkie „Co?” ją przerastało.  
– Wydaje mi się, że wpadłaś Bobby’emu w oko – oznajmił. – Praktycznie tu nocował.  
Próbowała się uśmiechnąć, ale nie umiała powiedzieć, czy się udało.  
– A jak tam z wzajemnością? – chciał wiedzieć Tom.  
– Tak, że... – Lacey oblizwała wargi. Były przesuszone. – Walczę z tym.  
– Dlaczego, skarbie?  
– Z wielu powodów – odparła. Chciała mu opowiedzieć o chudej blondynce, której Bobby wręczył zwitek banknotów na parkingu przed domem latarnika, ale uświadomiła sobie, że to ponad jej siły.  
– Hej. – Z innej strony dobiegł ją drugi głos. Odwróciła głowę: w drzwiach stał jej ojciec i uśmiechał się szeroko.  
– Cześć, Alec. – Tom wstał i cofnął się o kilka kroków, by ustąpić miejsca mężczyźnie, który był ojcem Lacey prawie pod każdym względem, z jednym tylko wyjątkiem.  
Ojciec pochylił się i cmoknął ją w policzek.  
– Wspaniale, że już się obudziłaś – powiedział. – Wszyscy byliśmy w szoku.  
Tom położył mu dłoń na ramieniu.  
– Będę już leciał. – Lacey była pewna, że wcale nie ma ochoty wychodzić, ale uznał, że powinien zostawić ją samą z ojcem.  
– Cieszę się, że byłeś przy niej. – Alec skinął mu głową i mężczyźni podali sobie ręce.  
– Do zobaczenia, Tom – pożegnała go, wzruszona powściągliwą serdecznością, którą sobie okazali. Dobrze wiedziała, jak trudne było dla nich dziewięć ostatnich lat: obaj zmagali się z własnymi demonami i obaj dokładali wszelkich starań, aby Lacey nie musiała wybierać pomiędzy nimi. Wiedziała też, że zarówno Alec, jak i Tom kochali jej matkę czystą, nieskażoną miłością, nawet jeśli miłość Annie do każdego z nich była zatruta jej kłamstwami.  
Ojciec nie usiadł od razu na krześle zwolnionym przez Toma; najpierw uniósł szpitalną kołdrę i obejrzał opatrunki na nogach Lacey, a potem rzucił okiem na bandaż na lewym ramieniu. Zamknęła oczy; nie czuła się jeszcze gotowa, aby zobaczyć swoje ciało.  
– Zostanie ci trochę blizn, skarbie, ale lekarze mówią, że zachowasz pełną sprawność. To świetnie. Miałaś wielkie szczęście. Jedna rana była niebezpiecznie blisko tętnicy udowej. A skoro już o tym mowa, to jak tam u ciebie z bólem?  
– Beznadziejnie – mruknęła Lacey, a on się uśmiechnął i dotknął palcami torebki wiszącej na stojaku do kroplówki obok łóżka, by uważnie przeczytać tekst na naklejce.  
– Porozmawiam z pielęgniarką – obiecał. – Zobaczymy, co da się zrobić.  
– Zostań jeszcze chwilę. – Bała się, że po lekach znowu odpłynie, a na razie tego nie chciała. Bolało ją, ale przynajmniej czuła, że żyje. – Tom mówił, że uśpięś Wilka.  
Alec potrząsnął głową i w końcu usiadł na krześle obok łóżka.

– Nie musiałem go usypiać – odparł. – Bobby mnie wyręczył.

– Jak to?

– Tom ci nie mówił?

Lacey zaczęła mozolnie szukać w pamięci, ale tamta rozmowa, chociaż tak świeża, już zdążyła się zatrzeć.

– O czym? – zapytała.

– Bobby przyjechał do domu zaraz po tym, kiedy Wilk się na ciebie rzucił – wyjaśnił ojciec. – Wpadł do wybiegu, złapał go za obrożę, poderwał z ziemi i cisnął nim o ścianę budy. Złamał mu kręgosłup. Śmierć na miejscu.

– O Boże. – Lacey zasłoniła dłonią usta. – Gdyby nie on, byłoby już po mnie.

– Nie chcę nawet o tym myśleć – odparł. – Jestem mu bardzo wdzięczny. Ale wszyscy i tak mówią tylko o tobie. Jesteś bohaterką. Uratowałaś życie Mackenzie. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

– Tak samo zrobiłaby mama, co? – mruknęła pod nosem.

Alec wyprostował się na krześle, założył ręce na piersi.

– Twoja mama nie była ani do końca dobra, ani do końca zła – odparł. – Chciałaś zdusić w sobie wszystko, co po niej odziedziczyłaś: i to, co dobre, i to, co złe. Od dnia, kiedy zginęła, analizujesz każdy swój krok i starasz się zgadnąć, co ona by zrobiła w tej czy innej sytuacji. Najpierw próbowałaś być „świętą Lacey”, a potem dowiedziałaś się o jej... wyskokach i uznałaś, że im mniej będziesz do niej podobna, tym lepiej.

– Wiem o tym – szepnęła.

Alec pochylił się nad nią. Jego wyblakłe błękitne oczy przepelniała ojcowska miłość.

– Masz teraz drugą szansę, Lace – powiedział. – Nie myśl o tym, co w twojej sytuacji zrobiłaby mama. Wszyscy chcą, żebyś po prostu była sobą.

## Rozdział czterdziesty trzeci

Po lekach to zasypiała, to budziła się ponownie, a we śnie nachodziły ją koszmary z Wilkiem w roli głównej na zmianę z absurdalnymi zwidami. Późno w nocy, gdy światła były przygaszone, a ból przestał kojarzyć się z miażdżącym kończyny imadłem i już tylko dokuczliwie palił, nagle przemknęło jej przez głowę, że przyszła do niej zakonnica. Zza półprzymkniętych powiek widziała postać w czarno-białym stroju, siedzącą obok łóżka.

– Witaj, piękna.

Głos był znajomy. I nie należał do zakonnicy.

– Bobby?

– Poznałaś mnie w tych ciuchach? – zaśmiał się.

Otworzyła oczy nieco szerzej, z wysiłkiem zebrała myśli i dostrzegła, że Bobby ma na sobie smoking, a do tego czarny krawat i czerwoną szarfę w pasie.

– Co ty...? – Próbowała unieść głowę, ale tylko skrzywiła się z bólu. – Wybierasz się na bal? Po co się tak przebrałaś?

– To z wypożyczalni – wyjaśnił. – Wiesz, jakie to trudne, wypożyczyć w tych stronach smoking w sierpniu?

Chyba mam halucynacje, przemknęło jej przez głowę.

– Nie rozumiem, o co chodzi – powiedziała.

– Postanowiłem sprawdzić, czy spodobam ci się jako porządny człowiek. Rozumiesz: kiedy zniknie niegrzeczny chłopiec. Zobacz. – Odwrócił głowę bokiem i wskazał palcem ucho. – Nawet kolczyk wyjąłem.

Lacey zachichotała. Nie robiła tego, odkąd odzyskała przytomność; ból poczuła aż w stopach.

– Mógłbyś... no wiesz... – Zatoczyła dłonią małe kółko, szukając właściwego słowa. – Możesz podkręcić trochę moje łóżko? Chcę cię lepiej widzieć.

Bobby sięgnął za jej głowę, gdzie znajdowała się korbka do zagłówka; obrócił ją kilka razy, aż Lacey uniosła się prawie do pozycji siedzącej.

– W porządku? – Zmierzył ją wzrokiem.

– A teraz zapal światło – poprosiła, zmieniając odrobinę ułożenie ciała. Nowa pozycja uświadomiła jej bardzo boleśnie, że Wilk rzeczywiście dobrał się do jej pośladków. – Ciemno tutaj – dodała. – Myślałam, że odwiedziła mnie jakaś zakonnica.

Bobby parsknął śmiechem i podniósł się z krzesła, aby dosięgnąć włącznika. Potem stanął obok łóżka, żeby mogła mu się przyjrzeć. Trzymał się pod boki ze swoim krzywym uśmiechem na ustach. Wyglądał w każdym calu tak samo fantastycznie, co w dzinsach, z kolczykiem i tatuażem na wierzchu. Lacey uśmiechnęła się.

– Ty nawet w sukni ślubnej wyglądałbyś niegrzecznie – oznajmiła.

– Fuj – skrzywił się. – Już ten garniak jest lepszy. Czyli co, cały trud poszedł na marne?

– Jesteś kochany, że to zrobiłeś – odparła.

Bobby spoważniał.

– Jak się czujesz, Lacey? – zapytał.

Przez chwilę milczała, starając się znaleźć wygodną pozycję i jednocześnie szukając właściwych słów, aby wyrazić swoje myśli.

– Mam jeden problem – wyznała wreszcie.

– Przyprowadzić pielęgniarkę?

– Nie o to mi chodzi. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Kilka razy widziałam cię z tamtą kobietą i... muszę wiedzieć... Dałeś jej... – Skrzywiła się, bo w tej chwili nowa igła bólu przeszła jej głowę.

Bobby usiadł na krześle obok łóżka.

– Leki przeciwbólowe chyba szkodzą na mózg – skomentował.

- Przestań, proszę cię – jęknęła. – Nie udawaj, przecież wiesz, o czym mówię.
- Lacey... Pomóż mi trochę, dobrze? Widziałaś, że jej coś dałem, ale co?
- Cśś! – syknęła szeptem. Jego głos był jak wiertło udarowe wkręcające się pod czaszkę.
- Kochana. – Położył jej dłoń na czole. – Mówiłem ci już: to tylko znajoma.
- Jak się nazywa?

Bobby pochylił się ku niej, opierając łokcie na kolanach. Na jego twarzy malowało się wahanie. Białka oczu miał poprzecinane siateczką czerwonych żyłek; Lacey wiedziała, że ostatnie dni też były dla niego trudne.

– No więc... – podjął i urwał w pół słowa. – Dobrze, Lace, powiem ci. Masz prawo wiedzieć, ale to zostanie między nami, w porządku?

Nie odpowiedziała. Miała tylko nadzieję, że Bobby nie będzie znów jej wciskał wyswanej z palca historyjki.

– Nazywa się Elise – zaczął. – To moja kuzynka.

– Kuzynka?

Przytaknęła.

– Kiedyś, wiele lat temu, wciągnąłem ją w alkohol i palenie cracku. Heroinę odkryła już sama. Żeby mieć forszę na nałóg, zaczęła się puszczać. Wpadła w złe towarzystwo, naprawdę fatalne znajomości. Pomagałem jej rzucić ćpanie, ale oprócz tego szukał jej alfons i dilerzy, groźni faceci. Zrobiło się niebezpiecznie. Wiedziałem, że będą jej szukać u mnie, więc ją wywiozłem. Kiedy ty odezwałaś się po latach i postanowiłem przyjechać tutaj, wszystko ułożyło się idealnie. Elise miała dawnych znajomych w Kitty Hawk, więc zamieszkała u nich, ale wciąż utrzymuję z nią bliski kontakt, bo dalej jest... słabo. W każdej chwili może popłynąć albo, co gorsza, tamci ją tu znajdą. Nie wiem, co jej wtedy robią.

Lacey poczuła ulgę, a oprócz niej, już po raz drugi tego dnia, dziwną euforię.

– Wierzysz mi? – zapytał Bobby.

– Tak. – Skinęła głową. Powiedziała to szczerze.

Opuścił metalową poręcz biegnącą wzdłuż łóżka i ujął jej dłoń obiema rękami.

– Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem jak wtedy, gdy zobaczyłem, że ten pies cię szarpie. I chyba nigdy w życiu nie byłem taki wściekły – dodał. – Leżałaś bez ruchu. Myślałem, że umarłaś, Lace.

– Tata powiedział, że zabiłeś tego psa.

– Tak. I wcale nie żałuję – przyznał Bobby. – Uważasz, że to nie w porządku?

W innych okolicznościach uważałaby, że to bardzo nie w porządku. Ale wtedy, w przypadku tego psa...

– Nie – odparła.

– Mackenzie uparła się, że musi cię zobaczyć – poinformował ją Bobby. – Jeszcze cała jest obolała, więc prosiłem, żeby poczekała do jutra, ale ona strasznie się boi, że umrzesz, i choćbym tysiąc razy jej obiecał, że wyzdrowiejesz, i tak mi nie uwierzy.

– Oczywiście. – Lacey zmarszczyła brwi. Wiedziała, że takie zapewnienia to dla Mackenzie puste słowa. – Jej matka też miała wyzdrowieć. Wszyscy to powtarzali.

Bobby ścisnął jej dłoń w swoich.

– Pamiętasz, jak przyjechałem tutaj i rozmawialiśmy o związkach? Powiedziałaś, że jesteś romantyczką i wciąż czekasz na taką miłość, kiedy będziesz gotowa oddać życie za osobę, którą kochasz?

Przytaknęła.

– Ostatnio dużo o tym myślałem – uśmiechnął się. – I założę się o każde pieniądze, że nie spodziewałaś się, że właśnie taką miłością pokochasz to dziecko.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– To prawda – przyznała. – Nie spodziewałam się.

Bobby wstał z krzesła i pochylił się, aby pocałować ją w czoło.

– Prześpij się trochę, kochana. – Sięgnął pod zagłówek i opuścił go z powrotem. – Przyjadę rano.  
– Ruszył do drzwi.

Ze wzruszeniem patrzyła na jego smoking i lśniące czarne buty.

– Bobby? – zawołała za nim cicho.

Odwrócił się, spojrzał na nią.

– Dla ciebie zrobiłabym to samo.

\* \* \*

Następnego dnia w pokoju Lacey pojawiła się wysoka, szczupła blondynka – kobieta, z którą spotykał się Bobby. Usiadła na krześle obok łóżka, a półprzytomna Lacey przez chwilę myślała, że to przywidzenie.

– Jestem Elise – przedstawiła się kobieta. – Przykro mi, że pies cię pogryzł.

Z bliska Lacey od razu zauważyła jej znużone, zapadnięte oczy. Tlenione włosy, nierówne, połamane jak włosie od szczotki, którą długo się zamiatało. Żebra wyraźnie rysujące się pod skórą w zdecydowanie zbyt głębokim dekolcie.

– Dziękuję – odpowiedziała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy. Ból się nasilił, był jeszcze gorszy niż poprzedniego dnia.

– Bobby prosił, żebym cię odwiedziła – powiedziała Elise. Głos miała chropawy, zniszczony papierosami. – Wyjaśniła ci, kim jestem i w ogóle. Rozumiesz.

– Jesteś jego kuzynką.

Elise przytaknęła.

– Mówił, że to przez niego zaczęłaś pić i ćpać – dodała Lacey.

Blondynka uśmiechnęła się, a na jej wynędzniałej twarzy ukazały się ślady dawnej urody.

– Tak mu się wydaje, ale bez niego też bym się wciągnęła. Bez jego pomocy.

– Ale podobno teraz jesteś czysta. – Lacey miała sucho w ustach i bolało ją gardło przy przetykaniu. – To dobrze.

Blondynka wydała z siebie ni to śmiech, ni to prychnięcie.

– Tak, jestem czysta – przyznała. – Ale czasem wydaje mi się, że łatwiej byłoby po prostu wrócić do tamtego życia. Jasne, laliby mnie na pewno, ale mogłabym znów być na haju. – Rozmarzyła się, a Lacey dopiero wtedy zauważyła ślady na jej chudych ramionach. – Bobby myśli, że przesrałam sobie życie – dodała. – Wcale nie było aż tak źle.

Lacey chciała jej powiedzieć, że postąpiła słusznie, zrywając z życiem na ulicy, ale wypowiedzenie tylu słów było w tym momencie ponad jej siły. Spożytkowała energię inaczej: musiała zmienić pozycję, znaleźć taką, żeby nogi trochę mniej bolały.

– Aha, gdybyś nie wiedziała, to Bobby się w tobie zakochał – powiedziała Elise. – Za każdym razem, jak z nim gadam, to najpierw pyta: „Co u ciebie? Jesteś czysta? Potrzebujesz czegoś?”, a potem zaczyna nawijać o tobie.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. – Lacey próbowała się uśmiechnąć. – I że do mnie przyszłaś.

Elise wstała z krzesła i przez chwilę przyglądała się jej uważnie.

– Boli jak cholera, co? – domyśliła się.

Lacey z trudem znalazła w sobie siłę, aby skinąć głową.

– Jak poprosisz, dostaniesz więcej. – Blondynka wskazała stojak do kroplówek obwieszony torebkami, z których do żył pacjentki powoli sączyły się różne płyny. – Korzystaj, póki możesz. Zamieniłabym się z tobą bez namysłu.

## Rozdział czterdziesty czwarty

Rick przysłał do szpitala gigantyczny bukiet kwiatów. Dobrze wiedział, do czego służą kwiaty. Były sprawdzonym sposobem na każdy problem, tym razem zdawał sobie jednak sprawę, że same kwiaty to za mało. Mimo to wysłał je. Nawet gdyby Lacey nie pogryzł ten pies, i tak by to robił. I zamierzał robić dalej, być może do końca jej życia. Był jej to winien. Przynajmniej tyle, jeśli nie więcej.

O wypadku dowiedział się od Claya. Dzwonił do domu latarnika chyba czwarty czy piąty raz z nadzieją, że Lacey w końcu odbierze i pozwoli się przeprosić, ale słuchawkę podniósł Clay. I zmieszał go z błotem. Poinformował go, że Lacey trafiła do szpitala, pokąsana przez psa, a Rick, chociaż w żaden sposób nie ponosił winy za ten straszny incydent, i tak miał wyrzuty sumienia.

– Lacey to naprawdę dobry człowiek – powiedział Cla-yowi. – Nie zasłużyła sobie na takie cierpienie. Ani na to, co ja jej zrobiłem.

– Mam nadzieję, że twój ojciec nigdy nie wyjdzie z więzienia – odparł Clay i rzucił słuchawkę.

Mimo to Rick nie rezygnował. Dwa dni później zadzwonił znowu. Wolałby, żeby odebrała Gina, ale niestety, trafił na Claya. Zapytał, czy może odwiedzić Lacey w szpitalu, i usłyszał, że jest ostatnią osobą, którą jego siostra ma ochotę oglądać. A potem Clay znów rzucił słuchawką, z taką siłą, że przez kilka minut Rick czuł w uchu kłujący ból.

– Nie chce mnie widzieć – powiedział swojej matce, odchodząc od telefonu. Był to już czwarty dzień jej wizyty.

– Trudno się jej dziwić – odparła. – Skrzywdziłeś całą jej rodzinę, chociaż w zasadzie próbowałeś tylko pomóc swojej.

– Mam straszne wyrzuty sumienia. – Potrząsnął głową. – Z początku Lacey nic do mnie nie czuła i dzięki temu wszystko było łatwiejsze. Nie chciałem... no wiesz, zastanawiałem się, co zrobić, jeśli ona zapragnie czegoś więcej. Tamtego wieczoru rozmawiała ze mną poważnie i... chyba dobrze, że prawda wyszła na jaw. Dobrze dla wszystkich oprócz taty – dokończył.

Rick pragnął, aby jego ojciec odzyskał wolność, ale było wiele, bardzo wiele innych, lepszych sposobów, aby to osiągnąć. Teraz już rozumiał, że człowiek, który zaplątał się w swoich emocjach, nie cofnie się przed niczym – jak on z Lacey. Kiedy dowiedział się, że jego ojciec złożył wniosek o zwolnienie warunkowe, zdawał sobie sprawę, że rodzina Annie O'Neill zostanie poproszona o złożenie oświadczeń o doznanej krzywdzie, a najważniejsze będzie to, co napisze Lacey. Pamiętał ją z tamtego koszmarne świętecznego wieczoru w schronisku dla kobiet. Wiedział, że są mniej więcej równi sobie wiekiem, i pomyślał, że mógłby ją poznać i zaprzyjaźnić się z nią, nie zdradzając, kim jest, a potem oczarować i w ten sposób uzyskać na nią wpływ. Zawsze podobał się kobietom, chociaż zupełnie go nie interesowały. Na co dzień był człowiekiem z gruntu uczciwym, ale w tym przypadku wszystko wskazywało na to, że warto skłamać. Tymczasem Lacey okazała się zupełnie inną osobą, niż się spodziewał. Mógł odwołać się do jej poczucia sprawiedliwości, ale początkowo nie miał o tym pojęcia, a kiedy zrozumiał, że ta kobieta to chodząca dobroć i uczciwość, było już za późno. Gra się zaczęła.

Rick obawiał się, że jego plan przyniesie odwrotny skutek: Lacey przeleje na papier całą złość na niego i ostatecznie Rick, zamiast pomóc ojcu, tylko go pograży.

To był kiepski tydzień i jedyną pociechą mogła być dla niego obecność matki. Ale i w tym kryła się kropla goryczy: po tylu latach rozłąki dowiedziała się, że jej syn to oszust i manipulant. Pierwszego wieczoru, po wyjściu Lacey, rozmawiali do samego rana. Starannie unikając tematu ojca Ricka, opowiadali sobie, co działo się z nimi przez te wszystkie lata. Był pod sporym wrażeniem, gdy usłyszał, że jego matka zdobyła renomę jako autorka świetnie przyjętej książki o leczeniu bólu. Miała dobre wykształcenie i była piękną kobietą. Uświadomił sobie, że jego ojciec ją ograniczał. Nie celowo, rzecz jasna, nie złośliwie. Po prostu chciał mieszkać w Manteo, a tam dla takiej kobiety nie było żadnych perspektyw, aby mogła rozwinąć skrzydła. Niechętnie dopuszczał do siebie myśl, że bez męża radziła sobie znacznie lepiej, ale wszystko wskazywało, że to jednak prawda.

Jego ojciec był prostym człowiekiem, wystarczyła mu praca w sklepie, gdzie sprzedawał turystom tanie deski surfingowe, i mieszkanie w małej wiosce, gdzie praktycznie wszystkich

miejscowych znał po imieniu, i prowadził życie na tyle proste, żeby zapanować nad swoją chorobą psychiczną. Rick podejrzewał, że kiedy matka zabrała go z domu i uciekła do schroniska dla kobiet, ojciec stracił równowagę psychiczną, której utrzymanie kosztowało go wiele trudu, i przeżył załamanie nerwowe.

Okazywał synowi swoją miłość, choć nie powiedział mu „Kocham cię”, teraz natomiast powtarzał to bardzo często. Zabierał go jednak ze sobą na ryby i nie opuścił żadnego meczu syna w małej lidze baseballowej; Rick zawsze czuł się dla niego ważny.

Opowiedział mamie o tym, jak skończył studia, i zwierzył jej się, że wykładanie prawa daje mu wiele radości. Wyznał też, że już od czasów szkoły podstawowej zdawał sobie sprawę ze swojej orientacji seksualnej. I opowiedział jej o Christianie.

– Czy on wie, po co naprawdę tutaj przyjechałeś? – zapytała Faye.

– Nie. – Zwiesił głowę, po raz kolejny przytłoczony wyrzutami sumienia, które zdawały się nie mieć końca. – Próbowałby mnie od tego odwieść. Usłyszałbym od niego, że takie zachowanie jest irracjonalne, a przecież sam dobrze o tym wiedziałem. Nie chciałem, żeby mi o tym przypominał.

Pierwszego wieczoru matka nie skomentowała ani słowem jego zachowania wobec Lacey; zachowała swoje zdanie dla siebie, jakby rozumiała, że muszą unikać drażliwych tematów, jeśli mają poznać się na nowo.

Najtrudniejszy z nich, czyli ojciec Ricka, pojawił się w ich rozmowie dopiero dzień później, kiedy razem szykowali kolację w małej kuchni domku zaszytego w lesie nad cieśniną.

– Jaki on jest? – zapytała Faye. Nie musiała precyzować nawet, kogo miała na myśli.

– Skruszony – odpowiedział, nie odrywając oczu od sałaty, którą mył w zlewie. – Całym sercem. Już od wielu lat. On był chory, mamó. – Obejrzał się na nią; kroїła właśnie cebulę do chili. – Oddałby wszystko, aby cofnąć czas. Nawet własne życie.

Milczała. W kuchni słychać było tylko syk tnącego ostrza i szum bieżącej wody.

– Moim zdaniem on czuł, że musi mieszkać w Manteo – podjął Rick. – Wiedział, że coś z nim jest nie tak. Mówił mi kiedyś, że trudno mu było znieść każdą zmianę codziennej rutyny, choćby zwyczajny wyjazd, nawet do Elizabeth City. Wpadał wtedy w panikę i tracił panowanie nad sobą.

– Nie miałam o tym pojęcia – odparła Faye. – Wiedziałam, że trudno go wyciągnąć z Manteo, ale wydawało mi się, że po prostu jest uparty.

– Chciałabyś się z nim zobaczyć? – zapytał.

– Nie – zaprzeczyła szybko. – Czy naprawdę zmienił się na lepsze, czy nie, to już nie moja sprawa. Ten człowiek to dla mnie przeszłość, Fred. – Przestała kroїć cebulę, jej ręce znieruchomiały. Spojrzała na niego. – Ale wiem, że dla ciebie on jest i będzie kimś ważnym. Rozumiem, ale ja nie chcę i nie potrzebuję go w moim życiu.

Skinął głową zawiedziony, ale tego się spodziewał. Był pewien, że gdyby się spotkała ze swoim byłym mężem, zauważyłaby od razu przemianę, która w nim zaszła. O to jednak nie mógł jej poprosić, to było zbyt wiele; nie powinien też prosić Lacey, aby wybaczyła człowiekowi, który spowodował w jej życiu takie spustoszenie.

– Czy wciąż jesteś na mnie zły, że zabrałam cię wtedy do schroniska? – zapytała.

Otrząsnęła sałatę z wody i zaczęła drzeć liście na kawałki nad miską.

– Wiem, że myślałeś, że to konieczne – powiedział. – Nasłuchiłaś się różnych rzeczy od sąsiadów i uwierzyłaś, że naprawdę coś nam grozi. Po prostu uważam, że gdybyśmy zostali w domu, nie wpadłby w taki szal.

Matka zsunęła pokrojoną cebulę z deski do garnka stojącego na kuchni.

– Tego chyba nigdy się nie dowiemy – odparła.

Gdy odwoził ją na lotnisko w Norfolk, czuł wewnętrzny spokój. Możliwe, że odebrał ojcu nadzieje na zwolnienie warunkowe, i podejrzewał, iż stracił szansę, aby szczerze przeprosić Lacey, lecz jednego był pewien: już nic nie rozdzieli go z matką. Cokolwiek by zrobił, ona nigdy się od niego nie odwróci.



## Rozdział czterdziesty piąty

– No i jak było? – zapytał Bobby, kiedy Mackenzie wyszła ze szkoły i wsiadła do jego busa.

– Super! – zawołała, tuląc plecak do piersi. Pomyślał, że chyba jeszcze nigdy nie widział w jej oczach takiego blasku. Pomachała dwóm dziewczynkom na chodniku; obie były ubrane tak samo nieodpowiednio jak ona, w kuse bluzeczki i szorty ze stanowczo zbyt niską talią. One też do niej pomachały, a jedna zawołała: „Zadzwoń do mnie!”.

– Widzę, że masz koleżanki – zauważył Bobby, włączając się do ruchu.

– Mogę je zaprosić? – zapytała Mackenzie, wciąż machając i wykręcając głowę do tyłu, aby nie stracić ich z oczu. – Chcą zobaczyć dom latarnika.

– Jasne – przytaknął z uśmiechem. Nagle okazało się, że stary dom ma jednak swoje zalety.

– A chłopaki są tutaj fajne – dodała. – Słyszałam, jak o mnie mówili. Jeden powiedział do drugiego, że ta nowa to niezła laska.

O Boże, pomyślał Bobby. Zaczyna się. Lacey będzie musiała odbyć z młodą pogadankę o seksie, i to jak najszybciej.

– Pamiętałam, żeby nie mówić, że w Phoenix jest lepiej – pochwaliła się Mackenzie. – Ale sami mnie o to pytali. Jedna dziewczyna kiedyś tam mieszkała.

– A jak lekcje? – zapytał.

– Ekstra. Nauczyciele są fajni. Oprócz jednego. Kompletny frajer. – Zmarszczyła nos.

– Jeden zawsze musi się znaleźć – powiedział. – Takie są szkolne wymogi.

Mackenzie sięgnęła po telefon, ale nie było go na miejscu, przy pasku. Jęknęła rozpaczliwie.

– No nie mogę... To bez sensu, żeby zakazywać komórek w szkole!

– To chyba jednak ma sens.

– A jeśli się zdarzy, nie wiem, jakaś katastrofa i będę musiała zadzwonić do ciebie albo do Lacey?

Bobby znów błysnął uśmiechem, domyślając się, że to jest argument, którego używają uczniowie w rozmowach z dyrekcją, walcząc o zniesienie szkolnego zakazu.

– Wtedy chyba wszyscy zrobimy to samo, co kiedyś się robiło – odparł. – Usiądziemy i będziemy się zamartwiać, a potem się przekonamy, że jesteście cali i zdrowi.

– Połowa chłopaków nosi kolczyki – rzuciła jeszcze Mackenzie i zerknęła na zegarek. – O czwartej do Claya przyjeżdża nowy pies. Border collie, suczka, osiem miesięcy. Nie mogę się doczekać, żeby ją zobaczyć.

Jednym tchem o chłopakach i psach. Jedenastoletnie dziewczęta to skomplikowane istoty.

– Masz coś zadane? – zapytał, nie mogąc się nadziwić, że przemawia głosem troskliwego ojca. – Sporo tego przyniosłaś – zauważył, zerkając na wypchany plecak.

– Trochę – przyznała Mackenzie. – Odrobię po obiedzie, dobrze? Najpierw chcę opowiedzieć wszystko Lacey. Potem pies. Potem zjemy. Potem odrobię część lekcji. Potem poczytam Rani na dobranoc. A potem odrobię resztę.

Była z siebie taka zadowolona, że Bobby najchętniej zjechałby na pobocze, zatrzymał wóz i ją uściskał.

– A kiedy załatwisz wszystkie swoje obowiązkowe telefony? – zapytał, drażniąc się z nią trochę. Przewróciła oczami.

– Robi się z ciebie normalny tatuś, już nawet sadzisz tatusiowe suchary.

Ciekawe, pomyślał, gdzie ona słyszała „tatusiowe suchary”, skoro nigdy nie miała ojca.

– Nie musisz mnie jutro odwozić – dodała. – Wszyscy jeżdżą gimbusem. Tak jest fajniej.

Rano prosiła, żeby zabrał ją samochodem. Była nowa i bała się jechać szkolnym autobusem.

Przez całą drogę do Kiss River trajkotała jak nakręcona, a kiedy dojechali na miejsce, wyskoczyła z „ogórka” i pobiegła do domu, aż plecak podskakiwał jej na ramieniu. Bobby wiedział, skąd ten pośpiech: chciała już opowiedzieć Lacey, jak minął jej pierwszy dzień w szkole.

On sam poruszał się wolniej: wyjął z tylnego siedzenia dwie torby z zakupami, bo jadąc po Mackenzie, wstąpił do sklepu. Kiedy mijał cudownie pusty wybieg dla psów, po raz kolejny naszła go myśl, czy to miejsce kiedykolwiek przestanie mu się kojarzyć z wydarzeniami ubiegłego tygodnia, kiedy po powrocie do domu zobaczył uwielbiane dziecko zalane krwią i ukochaną kobietę bliską śmierci. Wiedział jednak, że to niemożliwe, że nigdy nie zapomni wielkich plam krwi na piasku ani olbrzymiej siły, którą czuł w mięśniach, podrywając Wilka z ziemi, a tym bardziej trzasku pękających kręgow, kiedy ciało psa uderzyło w ścianę budy. Nie; mógł liczyć jedynie na to, że kiedyś przestanie przewracać mu się w żołądku na widok tego miejsca. To byłby już jakiś postęp.

Wszedł do domu; Mackenzie w salonie rozmawiała z Lacey, siedzącą na fotelu z podnóżkiem, który kupili specjalnie, aby zapewnić jej wygodną pozycję z uniesionymi nogami. Przed dwoma dniami miała operację i niewykluczone, że czeka ją kolejna, ale wszystko wskazywało, że szybko dochodzi do zdrowia.

Bobby zaniósł zakupy do kuchni, przysłuchując się, jak Mackenzie powtarza Lacey dokładnie to samo, co przed chwilą opowiadała jemu. Lacey lepiej umiała rozmawiać o takich sprawach: zadawała mnóstwo pytań, a słuchając odpowiedzi, akcentowała różnymi półsłówkami uznanie i zaciekawienie, dając do zrozumienia, że Mackenzie jest najcudowniejszym, najbardziej interesującym dzieckiem na świecie.

Kiedy dziewczynka poszła już na górę, do swojego pokoju, Bobby przyniósł Lacey szklanekę lemoniady i usiadł obok niej na kanapie.

– Pierwszy dzień szkoły można uznać za udany – powiedział.

– Nadspodziewanie – zgodziła się.

Była bardzo blada. Bobby wiedział, że wciąż jeszcze musi zmagać się z silnym bólem, którego nie da się uśmierzyć lekami. A raczej to sama Lacey przyjmowała mniej leków, niż było trzeba, bo duże dawki ją usypiały, a chciała być przytomna przez cały czas, jakby się bała, że ominie ją coś ważnego.

Stała się, całkiem zasłużenie, oczkiem w głowie wszystkich domowników; rozpieszczali ją, pielęgnowali chorą rękę i nogę. W domu było aż gęsto od wyrzutów sumienia. Clay nie mógł sobie darować, że przyjął Wilka, a Mackenzie, Bobby słyszał to na własne uszy, przez co najmniej dwie albo trzy noce po wypadku płakała w łóżku, dopóki nie zasnęła; tak bardzo przeżywała to, że wbrew zakazom i ostrzeżeniom weszła do wybiegu. Tymczasem Lacey, wydawało się, do nikogo nie miała pretensji. „Jestem szczęśliwa, że w ogóle żyję”, powtarzała często i z zapalem, aż Bobby zaczął się zastanawiać, czy leki nie pomieszały jej z lekka w głowie.

– Będziesz musiała pogadać z Mackenzie o seksie – poinformował ją teraz.

– Już?

– Chłopaki w szkole są fajne, noszą kolczyki i mówią o niej „niezła laska”.

Lacey zachichotała.

– Coś mi się zdaje, że zawojowała tam wszystkich – dodał Bobby.

Uśmiechnęła się do niego.

– Czyżbym słyszała ojcowską dumę?

Skinął głową.

– Jestem z niej dumny – przyznał, powoli odmierzając słowa. – I kocham ją. Ale to nie jest moja córka, Lace. – Westchnął. – Żałuję, ale jednak nie.

Lacey lekko uniosła głowę spoczywającą na oparciu fotela.

– Jesteś pewien?

Już czas jej o tym powiedzieć, pomyślał.

– Jakie ona ma oczy, a jakie mam ja? – zapytał.

Zmarszczyła brwi.

– Oboje macie niebieskie.

– A przypomnij sobie – powiedział, a serce zabiło mu gwałtownie – jakie oczy ma twój brat.

## Rozdział czterdziesty szósty

Lacey już chciała powiedzieć Bobby'emu, że to jakaś bzdura, że Clay absolutnie nie może być ojcem Mackenzie. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, połączyła kilka faktów. Nie chodziło tylko o kolor oczu, chociaż owszem, Mackenzie miała te same bladobłękitne, półprzezroczyste oczy, co Alec i Clay, natomiast u Jessiki barwa tęczyówek wpadała raczej w zieleń. Drugą charakterystyczną cechą była szczupła, wręcz chuda sylwetka O'Neillów, której nie posiadała ani Jessica, ani Bobby. Kształt zębów i łuku brwiowego. Lecz nawet mimo to taka myśl wydawała się wręcz oburzająca.

– Clay nigdy w życiu nie poszedłby do łóżka z Jessicą – oznajmiła Lacey dobitnie. – Nie znosił jej. I mnie też, skoro już o tym mowa. W tamte wakacje byliśmy dla niego dwiema smarkatymi zmorami i tyle. Poza tym miał dziewczynę. Terri. Ożenił się z nią po studiach.

Bobby przygryzł wargę, jakby zastanawiał się, czy powiedzieć coś jeszcze, czy raczej zamilczeć.

– Czemu uważasz, że to on? – drażyła Lacey.

Pochylił się ku niej, opierając łokcie na kolanach.

– Clay wydał mi się znajomy, ale nie skojarzyłem, gdzie go spotkałem. W końcu uznałem, że musieliśmy jakoś zetknąć się wtedy, tamtego lata, bo przecież widywałem się z tobą. Ale kilka tygodni temu, kiedy razem z Mackenzie rozmawialiśmy przed domem z Clayem i z... właścicielką Wilka, to był dzień, kiedy go przywiozła... – Zrobił taką minę, jakby chciał przeprosić, że wspominał o tym psie, i to po imieniu. – Dzień był bardzo słoneczny. W którymś momencie Clay odwrócił się w stronę domu i spojrzał w górę, a gdy słońce zaświeciło mu prosto w twarz, jego oczy zrobiły się...

– Aha, wiem, o co chodzi – Lacey wpadła mu w słowo; nie musiał już kończyć. – W świetle słońca oczy Claya robią się przezrocyste.

– Dokładnie – przytaknął Bobby. – Rzadko spotykana cecha, prawda? I wtedy przypomniałem sobie, że kiedyś już widziałem te oczy.

– Gdzie?

– Na jakiejś imprezie, właśnie w tamte wakacje. Pamiętasz, co się działo na tamtych imprezach, prawda?

Lacey skinęła głową. Prochy, seks i rock'n'roll, przy czym muzyka zdecydowanie na ostatnim miejscu. Uwielbiała te imprezy i równie mocno ich nienawidziła. Szybki seks, którego nie odmawiała prawie nikomu, i olbrzymie ilości pochłanianego alkoholu ciążyły jej na sumieniu. Bywał tam też jej brat. Krzyczał na nią i powtarzał, że ani Lacey, ani Jessica nie mają czego szukać na imprezach starszych klas. Miał absolutną rację, ale ona stawiała mu się i mówiła, żeby się odczepił. Nie lubiła, kiedy pojawiał się na imprezach, bo musiała wtedy kryć się z tym, co robi, żeby nie naskarżył ojcu, co Lacey znowu wyprawia.

– W jednej sypialni była Jessica – ciągnął Bobby. – Akurat się pokłóciliśmy czy coś, już nie pamiętam, i postanowiliśmy odpocząć od siebie. Strasznie mnie to gryzło, bo wiedziałem, że ona poszła tam z innym facetem.

Lacey tak mocno zaciskała palce na szklance z lemoniadą, że w końcu ją rozboleły. Bała się nawet myśleć, jak ta opowieść się skończy.

– W domu było dość ciemno, ale w salonie paliło się światło – powiedział Bobby. – Usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi do tamtej sypialni. Dokładnie już nie pamiętam, ale snułem się w pobliżu i sililem na luz, a tak naprawdę chciałem zobaczyć, z kim ona tam była. Facet wyszedł, a światło z salonu uderzyło go prosto w oczy. Zmrużył je od razu, ale zdążyłem zauważyć, że są bardzo dziwne. Patrzył na mnie, ale chyba nie wiedział, że jestem chłopakiem Jessiki.

Lacey zakryła usta dłonią i przez chwilę trwała w kompletnym odrętwieniu, zapominając nawet o bólu.

– Jesteś pewien, że to był Clay? – wyszeptwała.

Bobby przytaknął.

– Na dziewięćdziesiąt osiem procent.

Głęboko odetchnęła, układając głowę z powrotem na oparciu fotela. Naprawdę Clay poszedł do łóżka z Jessicą? Niewiarygodne. Ona miała dopiero piętnaście lat, on – siedemnaście. Z perspektywy czasu taka różnica wieku wydaje się bez znaczenia, ale wtedy to była wręcz przepaść. A Terri? Lacey nie mieściło się w głowie, że Clay mógł ją zdradzić. W tamtych czasach postrzegala brata jako zasadniczego, nadętego nudziarza z zapędami do moralizatorstwa. Może się myliła.

– Jeśli on naprawdę przespał się z Jessicą... – urwała, oszołomiona gonitwą myśli. – Jak sądzisz, domyśla się, że Mackenzie jest jego?

– Raczej nie ma takiej możliwości – odparł Bobby. – Wszyscy od samego początku byli przekonani, że Jessica wpadła ze mną, a ona nie zaprzeczała, więc pewnie nie przyszło mu to do głowy. Ale uważam, że właśnie dlatego stanowczo obstawała przy tym, aby Mackenzie była z tobą. – Usiadł prosto, a jego dłonie przecinały powietrze, podkreślając każde słowo. – Ona wiedziała, że jej córka jest z O’Neillów, i chciała, aby w wypadku jej śmierci trafiła do twojej rodziny. Waszej rodziny – poprawił się. – Twojej i Claya. Uznała, że to jedyny sposób.

– To by też wyjaśniało, dlaczego cię nie poinformowała, że masz córkę – zamyśliła się Lacey. Nagle wszystko nabrało upiornego sensu.

– I dlatego zataiła przed tobą prawdę, Lace – dodał Bobby. – Nie mogła się przyznać, że spała z twoim bratem.

– O Boże... – Te nowiny z wielkim trudem mieściły się jej w głowie. – Przez ostatnie tygodnie bardzo się do siebie zbliżyli...

– Bardzo się z tego cieszę. Teraz naprawdę zależy im na sobie.

– Chyba musimy z nim porozmawiać – postanowiła.

Bobby spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Czujesz się na siłach? Może poczekamy, aż lepiej się poczujesz?

– Nie uspokoję się, dopóki z nim nie pogadam – oznajmiła. – Oczywiście bez oskarżeń – dodała szybko. – Bo kto wie, może jednak się pomyliliśmy. Ale muszę wiedzieć, co on o tym myśli. – Nagle coś ją tknęło i zamknęła oczy. – Och, Bobby – jęknęła. – Jeśli to Clay jest ojcem Mackenzie, przeze mnie wpłatałeś się w coś, co w ogóle cię nie dotyczy.

Bobby odpowiedział uśmiechem i znów się pochylił, tym razem sięgając po jej rękę.

– Myślisz może, że tego żałuję? – zapytał.

## Rozdział czterdziesty siódmy

Postanowili odczekać i dopiero wtedy poprosić Claya o rozmowę; chcieli mieć czas na zastanowienie. Zamierzali wykorzystać moment, kiedy w pobliżu nie będzie ani Giny, ani Mackenzie. Plan był dobry, ale nawet najlepsze plany potrafią spalić na panewce: tak się złożyło, że jeszcze tego samego dnia Gina i Rani pojechały do dziadka Henry'ego, Mackenzie zamknęła się w swoim pokoju i odrabiała lekcje, a Clay wmaszerował do salonu, włączył wiadomości w telewizorze i usiadł na kanapie.

– Co u was? – zapytał tonem swobodnej pogawędki, zerkając z ukosa na Lacey i Bobby'ego. Spojrzeli po sobie. Lacey wiedziała, że oboje myślą o tym samym: skorzystać z okazji czy nie? Podjęła decyzję na własną rękę, pocieszając się nadzieją, że Bobby nie będzie miał jej tego za złe.

– Chcemy z tobą o czymś porozmawiać – zaczęła tak grobowym tonem, że Clay natychmiast się zaniepokoił.

– Martwicie się, że Mackenzie chce pracować z psami w trakcie roku szkolnego? – zapytał.

Lacey potrząsnęła głową.

– To coś poważniejszego – odparła. Clay pstryknął pilotem i wyłączył telewizor.

– Niech gra – odezwał się Bobby, spoglądając na Lacey. – Przyda się trochę hałasu w tle.

Zrozumiała. Bał się, żeby Mackenzie czegoś nie usłyszała.

Brat Lacey z powrotem włączył program. Prezenterka mówiła o pierwszym dniu szkoły w Karolinie Północnej, a na ekranie widać było zapłakane przedszkolaki w nowych klasach, żegnające się ze swoimi mamami.

– No dobra – powiedział Clay. – Co się dzieje?

Lacey wołałaby, żeby Bobby ją wyręczył, ale pomyślała, że lepiej, jeśli brat usłyszy to od niej.

– Bobby i ja sądzimy, że możesz być ojcem Mackenzie.

Clay pobielał na twarzy. Spodziewała się, że zaprzeczy, ale czekało ją zaskoczenie.

– Też o tym myślałem – przyznał cicho. – Ona ma moje oczy.

Lacey czuła się rozdarta pomiędzy zdumieniem i ulgą. Już wiedział. Nie trzeba mu będzie opowiadać ze szczegółami, jak to Bobby dawno temu widział go wychodzącego z sypialni na imprezie.

Clay rzucił mu spojrzenie.

– Logika wskazuje raczej na ciebie – powiedział. – Byłeś z Jessicą przez całe wakacje, a ja tylko ten jeden raz.

– Jestem dumnym posiadaczem wyjątkowo leniwych plemników – odparł Bobby. – Nigdy nie dałem rady spłodzić dziecka, nawet kiedy się szczerze starałem. Kocham Mackenzie, ale od samego początku miałem wątpliwości w kwestii mojego ojcostwa.

Policzki Claya zaczęły odzyskiwać kolor; pojawiły się na nich jaskraworóżowe plamy.

– Wiedziałaś, że się... spotykałem z Jessicą? – Spojrzał na Lacey. – Mówiła ci o tym kiedyś?

Potrząsnęła głową. Chciała poznać szczegóły. Dowiedzieć się, co w niego wstąpiło, że poszedł do łóżka z piętnastolatką, a do tego z jej najlepszą przyjaciółką. Ale to, co było dwanaście lat temu, nie miało już znaczenia. Najmniejszego. W tej chwili liczyło się tylko, że w tamtym łóżku mogła zostać poczęta Mackenzie.

– Nigdy mi o tym nie powiedziała – odparła. – Ale jestem przekonana, że dlatego właśnie postanowiła mi powierzyć swoją córkę. Aby była jak najbliżej ciebie.

Clay zabębnił palcami w klawisze pilota leżącego na poręczu kanapy. Lacey zauważyła, że dłoń drży mu lekko.

– Mackenzie to świetny dzieciak – powiedział. – Nieważne, czyja to córka: moja czy Bobby'ego. Należy do naszej rodziny.

– Powinniśmy zrobić badanie DNA – odezwał się Bobby, opierając łokcie na kolanach i wodząc wzrokiem od Claya do Lacey i z powrotem. – Obaj troszczymy się o nią, ale moim zdaniem trzeba mieć

pewność.

Clay przytaknął.

– A co jej powiemy, jeśli się okaże, że to ja? – zapytał.

W tym momencie Lacey zrozumiała, dlaczego ojciec, chociaż od dawna wiedział, że jej biologicznym rodzicem jest Tom Nestor, powiedział jej o tym dopiero, kiedy miała szesnaście lat. Nie byłaby w stanie poradzić sobie z tym jako czternastolatka.

– Prawdę – zdecydowała. – Ale nie teraz. Przez tych ostatnich kilka miesięcy dość już przeszła.

– Odwróciła głowę spoczywającą na oparciu fotela, aby spojrzeć Bobby'emu prosto w oczy. – O ile dasz radę jeszcze przez jakiś czas odgrywać ojca.

– Dam radę aż do śmierci – odparł krótko.

## Rozdział czterdziesty ósmy

– W Karolinie Północnej brakowało mi tych rześkich letnich wieczorów – powiedziała Faye, z rozkoszą wyciągając się w jacuzzi. Naprzeciwko niej siedział Jim, a ciepła, bulgocząca woda obmywała im ramiona. Ciężkie ołowiane chmury, typowe dla wybrzeża, wisiały tak nisko, że miało się wrażenie, iż muskają dach domu Jima, widocznego stąd w całej okazałości.

– U Freda nie było klimatyzacji? – zapytał.

– Aż dziw, że w tamtej chałupie była bieżąca woda – prychnęła. – A komary cięły jak oszalałe! Do dzisiaj wszystko mnie swędzi.

Spędziła z Fredem pięć dni. Wspaniały czas, bo udało jej się rozpoznać swojego syna w tym obcym człowieku. Od powrotu do San Diego minęło już półtorej doby, a ona wciąż mówiła tylko o nim, bez przerwy go analizowała i roztrząsała każdy szczegół swojego wyjazdu. Jim nie protestował. Wiedział, że to silniejsze od niej. Teraz też wróciła do tematu.

– To takie dziwne, Jim – powiedziała. – Gdybym spotkała Freda w Princeton i zobaczyła, że ma wspaniałe życie, zrobił karierę, został prawnikiem i mieszka w pięknym domu, chyba zaniemówiłabym z wrażenia, że tak świetnie sobie poradził. Ale nie: dotarłam do niego w chwili, kiedy wydało się jego wielkie kłamstwo. Pokazał mi się z najgorszej strony. I martwię się teraz, że odziedziczył jakieś problemy psychiczne po ojcu.

– Rozmawiałaś z nim o tym? – zapytał Jim.

Pokręciła głową.

– Kiedyś to zrobię, ale teraz najważniejsze było, żebyśmy poznali się od nowa po tylu latach.

– A ja – przesunął palcami stopy po jej łydce, niewidocznej pod bulgoczącą wodą – chętnie bym poznał się z tobą od nowa po tak długiej rozłące.

– Później – uśmiechnęła się. – Obiecuję.

– Mocno cię to wzięło, co? – mruknął, dając za wygraną. – No cóż, to właśnie nieustępliwość tak mi się w tobie spodobała, więc chyba nie mogę teraz narzekać.

– Dziękuję – odparła. – Że nie narzekasz. I że mnie przez cały czas słuchasz, chociaż gadam bez przerwy.

– Śmiało, gadaj – zachęcił.

– Pamiętasz, jak mówiłam, że każdy młody mężczyzna, który przychodzi do nas na leczenie bólu, kojarzy mi się z Fredem?

– Mhm.

– No więc dzisiaj przyjęliśmy nowego pacjenta. Chłopak, osiemnaście lat.

– Aha – domyślił się Jim. – I przypomniał ci się Fred.

– No właśnie to jest dziwne. – Faye rozgarnęła dłonią wodę, która miękko muskała jej palce. – W ogóle o nim nie pomyślałam. Wreszcie zobaczyłam go we własnej osobie i chyba udało mi się przełamać ten urok. Pomyślałam za to o tamtej młodej kobiecie. O Lacey O'Neill.

– Dlaczego? – zainteresował się.

– Bo tego nowego pacjenta też ugryzł pies. Rok temu, w ramię. Ładnie się zagoiło, ale pozostał ostry przewlekły ból. Czy to nie jest dziwne? – Spojrzała na niego, unosząc brwi. – Jeszcze chyba nigdy nie miałam ani jednego pacjenta pogryzionego przez psa, a teraz nagle proszę: jest.

Jim zanucił pod nosem melodię ze *Strefy mroku*.

– I zaczęłam się zastanawiać, czy Lacey wróciła już do zdrowia, i po napaści psa, i po... kłamstwie Freda.

Często o niej myślała; nie mogła zapomnieć twarzy ściągniętej furii, kiedy Lacey wychodziła z domu jej syna, trzaskając za sobą drzwiami. Faye jak mało kto wiedziała, czym jest gniew. Wielu jej pacjentów cierpiało, ponieważ ich ból karmił się tym właśnie uczuciem. Byli źli na swoją chorobę. Na kierowcę, który zderzył się z nimi i uszkodził im kręgosłup. Na Boga, który kazał im cierpieć. Ich

gniew podsycił tylko ból. Jednym z elementów opracowanego przez nią programu leczenia – najbardziej znienawidzonym przez pacjentów, dopóki nie zrozumieli, do czego naprawdę to służy – była nauka świadomego wyzbycia się tego gniewu.

– Słabo ją znam – powiedziała Faye, mając na myśli Lacey O’Neill. – I możliwe, że po prostu wyobrażam sobie, jak sama bym się poczuła w takiej sytuacji. Ale ona wyszła od Freda z taką furią w oczach...

– Nie dziwię jej się – wtrącił Jim.

– Ja też nie, oczywiście, że nie – przytaknęła. – Ale ona chciała przelać cały ten gniew na papier, opisać śmierć matki w taki sposób, aby Zachary już nigdy nie wyszedł z więzienia. Naprawdę się zawzięła, żeby komisja zwolnień warunkowych dostała do przeczytania coś mocnego. A potem pogryzł ją pies i...

– Kochanie, co ty chcesz powiedzieć? – Jim przesiadł się obok niej i objął ją ramieniem. – Uważasz, że Zach powinien wyjść na wolność?

Faye pokręciła głową. Nie umiała wysłowić się jasno, bo jeszcze dokładnie nie wiedziała, co właściwie o tym sądzi.

– Nie chodzi mi o to, żeby on wyszedł – odparła – tylko o to, żeby Lacey dobrze się czuła. Moja rodzina zafundowała jej wiele, stanowczo zbyt wiele cierpienia i wręcz nie mieści mi się w głowie, że Fred jeszcze się do tego dołożył, i to w taki sposób. Lacey ma słuszne powody do gniewu, tak samo jak każdy z moich pacjentów, ale w ostatecznym rozrachunku gniew jej tylko zaszkodzi.

– Wiesz, czego się właśnie o tobie dowiedziałem, Faye? – zapytał Jim.

– Czego?

Uniósł dłoń i nakreślił palcem małe kółko na jej skroni.

– Kiedy coś chodzi ci po głowie, nie spocznesz, dopóki czegoś z tym nie zrobisz.

I miał rację. Dzięki temu udało jej się sprawić, że prosty pomysł na terapię leczenia przewlekłego bólu stał się sprawdzonym w praktyce programem. Temu też zawdzięczała spotkanie z synem po latach. I dlatego, dotarło to do niej w tej właśnie chwili, musiała zadzwonić do Lacey O’Neill.



## Rozdział czterdziesty dziewiąty

– Myślisz, że dobrze im tam idzie? – zapytał Bobby, wmasowując delikatnie olejek z witaminą E w bliznowaciejące szramy na nogach Lacey. Po rozmowie z Clayem poszli we dwoje do niej, usiedli na łóżku i rozmawiali, świadomi, że w pokoju obok Clay mówi swojej żonie, że Mackenzie może być jego córką, nie Bobby’ego.

– Myślę, że Clay ma szczęście, bo Gina jest w nim zakochana do szaleństwa. Dadzą sobie radę – odparła Lacey, krzywiąc się z bólu. Wiedziała, że blizny trzeba masować, żeby nie tworzyły się zrosty, ale bólu bynajmniej to nie łagodziło. Leżała na wznak, w samej bieliźnie i koszulce z krótkim rękawem. Zdawała sobie sprawę, że jej poharatane nogi nie wyglądają ani trochę seksownie.

Nagle zachichotała pod nosem.

– Ale to romantyczne, co? – powiedziała. – Masowanie moich wstrętnych, zmasakrowanych nóg?

– Moim zdaniem to bardzo romantyczne – odparł. – A mogłoby być jeszcze lepiej, gdybyś pozwoliła mi pomasować resztę.

Zmienił pozycję, żeby dosięgnąć rąbka jej koszulki i unieść go o kilka centymetrów. Przesunął śliską dłoń po brzuchu Lacey, od łuku żeber po tasiemkę cienkich fig. Przyjemność była ogromna, bo to było jedno z niewielu miejsc na jej ciele, gdzie dotyk nie sprawiał jej bólu. Od wypadku Bobby był dla niej cudowny, ale pocałował ją dopiero dziś; wcześniej chyba się bał, że jest zbyt słaba i krucha, aby ją tknąć.

– Lacey! – zawołał nagle, a ona natychmiast szeroko otworzyła oczy, bo zabrzmiało to tak, jakby coś go wystraszyło.

– Co?

– Ty diablico! Masz przekłuty pępek!

Roześmiała się, spoglądając w dół, na sztyfcik z maleńkim tygrysim okiem, sterczący ze skóry ponad pępkiem.

– Niespodzianka – odparła.

– I ty mi wytykałaś, że noszę kolczyk?

Uniosła dłoń, aby dotknąć złotego kółeczka w jego uchu.

– Kocham ten twój kolczyk – powiedziała. I ciebie też, chciała dodać, ale jeszcze nie nadszedł ten moment. Ani ona, ani Bobby nie byli gotowi na te słowa. Za jakiś czas. Wiedziała, że w końcu się doczeka, i była cierpliwa.

Zadzwoił telefon; Bobby podniósł słuchawkę i po chwili oddał ją Lacey.

– Halo. – Zamknęła z powrotem oczy, a on zabrał się od nowa do masowania jej brzucha.

– Czy rozmawiam z Lacey? – zapytał kobiecy głos.

– Tak.

– Mówi Faye Collier. Matka Freda... Ricka.

Lacey nie miała pojęcia, co matka Ricka chciałaby jej powiedzieć. Od czasu ich spotkania w domku nad cieśniną tak wiele się wydarzyło, że ledwie była w stanie przypomnieć sobie jej twarz. Zresztą z każdym dniem sam Rick też zacierał jej się w pamięci, z czego była bardzo zadowolona. Jeśli ostatnie dwa tygodnie przyniosły jej coś dobrego, to chyba tylko rozeznanie, który z dwóch nowych mężczyzn w jej życiu jest dla niej najlepszy.

– Dlaczego pani do mnie zadzwoniła? – zapytała. Oby tylko nie zabrzmiało to niegrzecznie.

– Żeby zapytać, jak się czujesz? – wyjaśniła Faye. – Myślę o tobie codziennie i mam nadzieję, że wracasz do zdrowia. Bardzo cię boli?

– Zależy, jak pani rozumie słowo „bardzo” – burknęła Lacey, zdenerwowana pytaniem i w ogóle tym telefonem. W tej chwili uświadomiła sobie jednak, że to już naprawdę było niegrzeczne. – Przepraszam – powiedziała do słuchawki. – Udało mi się mniej więcej zapomnieć o Ricku i zastanawiam się, po co pani zadzwoniła. A jeśli chodzi o ból, to owszem, bardzo boli.

Bobby zrobił zaniepokojoną minę.

– Kto to? – szepnęła, a Lacey bezgłośnie przekazała mu: „matka Ricka”.

Faye milczała długą chwilę.

– Nie dzwonię po to, aby bronić Ricka – odezwała się wreszcie. – Zachował się karygodnie. Zdaję sobie sprawę, jak wiele wycierpiałas z powodu mojej rodziny, i właśnie dlatego postanowiłam się do ciebie odezwać. Zapytać, jak się czujesz. Chyba po prostu musiałam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Lacey cisnęły się na usta ostre, niemiłe słowa, ale przecież ta kobieta nie ponosiła żadnej winy za to, co ją spotkało.

– Czuję się dobrze – odparła. – Mój doktor mówi, że ładnie się goi. To po prostu wymaga czasu.

– Jakie leki bierzesz? – chciała wiedzieć Faye. Lacey wyrecytowała długą listę preparatów, które jej przepisał.

– W porządku – skomentowała Faye. – Zapytałam, bo pracuję w szpitalu w San Diego, prowadzę tam program leczenia przewlekłego bólu i wiem, co działa, a co nie. Dużo przyjmujesz tych leków?

– Staram się jak najmniej – przyznała się Lacey. – Nie lubię być zależna od pigułek.

– To bardzo ważne, żeby panować nad bólem, Lacey – poradziła pielęgniarka. – Nie czekaj, aż cię dopadnie. Kiedyś mówiło się ludziom, że trzeba wytrzymać, i wydaje mi się, że tak właśnie jest z tobą, ale to tylko pogarsza ból. Denerwujesz się i napinasz, a ból się wzmacnia i na dłuższą metę jest trudniejszy w leczeniu.

Lacey przypomniała sobie, że lekarz zalecał jej to samo, ale puściła jego rady mimo uszu; może jednak on i ta pani Collier znali się na tym lepiej od niej.

– Niech będzie – zgodziła się. – Postaram się poprawić.

– A gniew? Jak z tym u ciebie jest?

Te pytania naprawdę zaczęły ją drażnić, aż musiała zatrzymać dłoń Bobby’ego – nawet jego łagodny dotyk zrobił się niemiły.

– Nie rozumiem – odparła.

– Wyszedł z domu Freda bardzo wzburzona, czemu trudno się dziwić. Na odchodnym zapowiedziała, że napiszesz miażdżące oświadczenie... o poniesionej krzywdzie czy jak to się nazywa. Zastanawiałam się więc...

– Nie zdążyłam nic napisać – przerwała jej Lacey. – Rzucił się na mnie czterdziestokilowy pies i straciłam wątek. Ale zabiorę się do tego.

Faye przez chwilę milczała z wahaniem.

– Nie wiem, jaki teraz jest Zach. – W jej głosie nagle dało się słyszeć olbrzymie zmęczenie. – Wiem tylko, że kiedyś był dobrym człowiekiem. Musiał doznać jakiegoś strasznego załamania psychicznego. Nie mam pojęcia, czy powinien zostać w więzieniu, czy wyjść na wolność. Nie mnie zresztą o tym rozsądzać. Uważam jednak, że tego, co o nim napiszesz, nie powinien dyktować ci gniew, który budzi w tobie Fred. Czy też Rick. Nie tędy droga.

– Proszę pani... – zaczęła Lacey, z każdą chwilą coraz bardziej zła. – Mnie naprawdę nie zależy na tym, żeby być w porządku wobec pani byłego męża.

– To nie o niego mi chodzi, tylko o ciebie.

– Jak to?

– Chcę powiedzieć, że jeśli podsycasz w sobie gniew, trzymasz się tej... chęci odwetu... To jest tak, jakbyś połknęła truciznę, bo życzysz komuś śmierci. Rozumiesz?

– Rozumiem. Nie wiem tylko, po co mi pani to mówi.

– Ponieważ koniec końców to ty się otrujesz, Lacey. Potrzebny ci spokój ducha, abyś mogła powrócić do zdrowia, zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym.

– Rick mówił to samo – mruknęła Lacey. – Wybaczyć i zapomnieć.

– Zapomnieć? Ależ nie – odparła natychmiast Faye. – Rick tak powiedział, bo miał w tym ukryty motyw. Przecież wiesz. Nie, nigdy nie powinnaś zapomnieć o tym, co się stało.

– Przepraszam panią... ale naprawdę jestem bardzo zmęczona. Muszę kończyć.

– Jeszcze chwileczkę – poprosiła gorączkowo kobieta. – Kiedy byłam u was, nie odwiedziłam Zachary’ego w więzieniu. Nie umiałam się do tego zmusić, więc nie mam pojęcia, czy ojciec Freda jest już w pełni zresocjalizowany. Uważam jednak, że ty powinnaś się tego dowiedzieć, aby napisać swoje oświadczenie. Nie słuchaj gniewu, Lacey. Opisz rzeczywistość. I cokolwiek napiszesz, upewnij się, że kierują tobą właściwe pobudki.

Lacey jeszcze raz wymówiła się zmęczeniem, pożegnała i oddała słuchawkę Bobby’emu.

– O co chodziło? – zapytał, kiedy ją odłożył.

Lacey spojrzała mu w oczy.

– Myślisz, że człowiek naprawdę może się zmienić na lepsze?

Uśmiechnął się szeroko.

– Kochanie... – odpowiedział. – A ja to co?

\* \* \*

Kiedy następnego dnia Lacey zeszła rano do kuchni, zastała tam tylko Ginę i Rani. Przyjrzała się uważnie bratowej, szukając śladów jakichś emocji po rozmowie, podczas której dowiedziała się, że Clay może być ojcem Mackenzie, ale Gina tylko przywitała ją uśmiechem i postawiła przed Rani miseczkę płatków śniadaniowych.

– Jak się dzisiaj czujesz? – zapytała.

– Dobrze – odparła Lacey, siadając przy stole. – A w sumie znacznie lepiej.

Po raz pierwszy, gdy się obudziła, nie miała wrażenia, że ktoś porozrywał ją na cząstki, a później posklejał z powrotem. Może po prostu wracała już do zdrowia, a może jednak dobrze zrobiła, że posłuchała rady matki Ricka i wzięła leki przed snem oraz po przebudzeniu, nie czekając, aż zacznie boleć. Niewykluczone też, że zadziałało jeszcze coś innego: Bobby, który spędził całą noc w jej łóżku tylko po to, żeby nie była sama, bez żadnych wymagań ani oczekiwań.

– Clay pojechał już do pracy? – zapytała Ginę.

– Aha – przytaknęła bratowa, po czym nalala kawy do kubka i podała jej go do rąk. – A Bobby odwozi Mac-kenzie na szkolny autobus.

Lacey wiedziała też, że potem wybiera się do Elise, która obiecała się odzywać, a tymczasem milczała już tak długo, że zaczął się niepokoić.

– Idem dzisiaj na basen! – oznajmiła Rani.

– Tak? – powiedziała Lacey. – Będziesz pływać jak rybka?

Dziewczynka skinęła główką, wyjmując z miseczki plasterek banana, który wepchnęła do ust.

– Świetnie jej idzie – pochwaliła Gina. – Bardzo lubisz wodę, prawda, Rani?

Dziecko znów przytaknęło, nie mogąc mówić z buzią pełną bananowego miąższu.

– Chyba raczej to ja powinnam zapytać ciebie, jak się czujesz – zauważyła Lacey, zerkając z ukosa na bratową.

Gina usiadła obok wysokiego krzeselka Rani. Opuściła wzrok i przesunęła palcem po uchu swojego kubka z kawą.

– Szkoda mi Claya – powiedziała po chwili, spoglądając szwagierce prosto w oczy. – Mszczą się na nim wszystkie jego błędy.

Lacey skinęła głową w milczeniu. Wiedziała, jak bardzo jej brat gryzł się tym, że wbrew woli Giny przyjął Wilka pod ich wspólny dach. A teraz musiał jeszcze odpokutować za grzech młodości popełniony z Jessicą Dillard.

– Byłaś w szoku? – zapytała.

Gina uśmiechnęła się trochę tajemniczo i odpowiedziała dopiero po chwili.

– Clay już wcześniej powiedział mi o Jessice. Jej śmierć przygnębiła go bardziej, niż wam pokazywał, bo znał ją trochę lepiej, niż ci się wydawało. To nie był żaden poważny związek, ale wydaje mi się... że jako dorosły człowiek zrozumiał, że ją wykorzystał. Pierwszego wieczoru po jej śmierci opowiedział mi, że kiedy miał siedemnaście lat, poszedł z nią do łóżka na jakiejś imprezie. Była fajnym dzieciakiem, tylko trochę pogubionym, a on po prostu skorzystał z okazji. Innymi słowy, na wypadek

gdybym sama nie umiała się tego domyślić, przyznał mi się, że postąpił jak świnia.

– Cieszę się, że jesteście sobie bliscy. – Lacey była zdumiona, że jej brat zdobył się na takie wyznanie przed żoną.

– Ja też – odparła Gina.

– Ja też! – zawtórowała jej Rani. Roześmiały się obie.

– Wypij sok. – Gina przysunęła kubeczek małej trochę bliżej miseczki z płatkami. Potem obejrzała się na Lacey. – Wiesz, że Clay i wasz ojciec wybierają się dzisiaj do adwokata? – zapytała. – Postanowili przystąpić do sprawy bez twojego oświadczenia. Nie będzie ci to już dłużej wisieć nad głową.

– Aha – mruknęła Lacey, zastanawiając się w duchu, dlaczego nie czuje ulgi.

– Teraz będziesz już trochę spokojniejsza – dodała Gina. – Wiem, jak ci to ciążyło.

– Chyba coś zrozumiałam. – Lacey pociągnęła długi łyk kawy. – Nie mogłam nic napisać, bo zamiast na zabójcy skupiałam się na mojej matce i rodzinie. Matka nie żyje, rodzina goi rany, ale los Zachary'ego Pointera zależy od tego, co my powiemy. To jego przede wszystkim powinno dotyczyć to oświadczenie.

Gina spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi.

– Jak mam to rozumieć, Lace? – zapytała.

– Że chcę napisać to oświadczenie. – Wstała od stołu, zabierając swój kubek z kawą. – Ale najpierw muszę jeszcze coś zrobić.

## Rozdział pięćdziesiąty

Spodziewała się, że na rozmowę z Zacharym Pointerem zaprowadzą ją do sali przedzielonej grubą szybą z pleksiglasu, tak jak na filmach, ale po wejściu na blok, gdzie go przetrzymywano, strażnik w mundurze zabrał ją prosto do gabinetu więziennego kapelana.

– Księdza McConnella dzisiaj nie ma – powiedział, oparłszy dłoń na drzwiach. – Ale pozwolił, żeby zobaczyła się pani z panem Pointerem u niego. Zach już czeka w środku.

Lacey nagle poczuła strach. Sam na sam w małym pokoju z mordercą jej matki – teraz wydawało jej się, że to prawie to samo, co stanąć oko w oko z rozjuszonym psem, przed którym nie ma dokąd uciec. Mogła mieć pewność, że nie dostałaby zgody na to spotkanie, gdyby ktoś miał choć cień wątpliwości odnośnie do jej bezpieczeństwa, lecz mimo to zawahała się w progu.

– Śmiało – zachęcił ją strażnik. – Proszę tylko pamiętać, żeby przed wyjściem wpisać się do książki.

Lacey otworzyła drzwi i weszła do niedużej poczekalni. Pod gołymi ścianami stało pięć krzeseł z siedzeniami i oparciami obitymi turkusowym winylem. Kiedy strażnik zamknął za nią drzwi, poczuła się tak, jakby ich ciche trzaśnięcie wyparło z czterech ścian całe powietrze.

– Dzień dobry – zawołała cicho.

Gdzieś w głębi szurnęło odsuwane krzesło, a po chwili w drzwiach prowadzących do następnego pomieszczenia, odziany w niebieski więzienny drelich, stanął człowiek, którego od tak dawna miała w pogardzie. Cofnęła się odruchowo, ale to on poszarzał na twarzy, a w jego oczach odbił się strach.

– Annie? – zapytał z niedowierzaniem.

Lacey głos uwiązł w gardle. Dlaczego powiedział do niej „Annie”? Jej matka była dla niego tylko żywą tarczą, która stanęła mu na drodze, kiedy chciał zabić swoją żonę. Pamięć rzuciła jej przed oczy obraz tamtej nocy w schronisku dla kobiet, kiedy ten człowiek w zielonym marynarskim płaszczu wypełniał sobą drzwi. Przypomniało jej się, jak uniósł broń, krzyżąc: „Dziwka! Suka!”, i nagle zrozumiała, że te wyzwiska wcale nie były przeznaczone dla Faye Collier.

– Był pan jednym z nich – powiedziała z całym spokojem. Nikt by nie uwierzył, że wewnątrz aż się gotuje. – Był pan jednym z kochanków mojej matki.

Na te słowa więzień jakby zapadł się w głąb swojego niebieskiego kombinezonu, a głębokich zmarszczek i bruzd na jego twarzy nagle przybyło.

– Pani jest jej córką – powiedział. – Lacey, zgadza się?

Stała oparta plecami o drzwi, nie z wyboru, ale raczej z konieczności. Miała zawroty głowy.

– Włamał się pan do tamtego schroniska, żeby zabić moją matkę? – zapytała. – Tak naprawdę to o nią panu chodziło?

Odwrócił na chwilę wzrok, obliznął wargi; widziała, że zastanawia się, co zrobić. Wreszcie zaprosił ją gestem do gabinetu za poczekalnią.

– Niech pani wejdzie, porozmawiamy.

– Usiądę tutaj. – Osunęła się powoli na krzesło tuż przy drzwiach. Z winylowego pokrycia wydobył się syk jak z opony, kiedy spuszcza się powietrze.

Mężczyzna zajął miejsce pod przeciwną ścianą, blisko, bo pomieszczenie było niewielkie. Lacey przyjrzała mu się uważnie. Gdyby stanął przed nią za weneckim lustrem podczas okazania podejrzanych na policji – nie rozpoznałaby go. Włosy, wtedy ciemne, przez tych dwanaście lat całkiem posiwiały i chyba rzeczywiście był mniejszy, a może tylko taki się wydawał bez grubego płaszcza i pistoletu w dłoni.

– Nie spodziewałem się... – Opuścił oczy, jak gdyby nie mógł się zdecydować, co powiedzieć.

– To znaczy uprzedzono mnie o pani wizycie. – Uśmiechnął się do niej i tym razem to ona musiała odwrócić wzrok: ten uśmiech był zaskakująco ciepły, nie chciała się na niego nabrać. – Myślałem, że porozmawiamy i powiem pani, jak bardzo jest mi przykro, że pani matka usiłowała bronić mojej żony.

Ale coś mi się zdaje, że prawdę mam wypisaną na twarzy.

Lacey nie mogła oddychać. Zawroty głowy nasiliły się tak, że miała wielką ochotę zgiać się wpół i opuścić głowę jak najniżej, pomiędzy kolana. Czy chcę tutaj siedzieć, myślała, i słuchać tego człowieka, od którego z całą pewnością usłyszę coś, po czym poczuję się jeszcze gorzej, czy powinnam raczej pożegnać się, mówiąc, że to był błąd, ta prośba o widzenie z nim, i uciec stąd, gdzie pieprz rośnie?

– Przepraszam – mruknął mężczyzna. – Nie chciałem uwłaczać pani matce.

– Proszę mówić – wykrztusiła, bo doszła do wniosku, że jeśli ucieknie, do końca życia będzie się gryźć tym, że go nie wysłuchała. – Wiem już, że była... niewierna mojemu ojcu.

Spojrzał na nią ciężkim wzrokiem i znowu oblizał wargi.

– Pracowałem kiedyś jako sprzedawca i tak właśnie ją poznałem – zaczął. – To był mały sklepik z różnościami, w Kill Devil Hills, przy... zresztą nieważne gdzie. Nie wiem nawet, czy jeszcze istnieje. Ona wypatrzyła kiedyś na wystawie parę sandałów i weszła do środka, żeby je kupić. Porozmawialiśmy sobie trochę. Potem zaglądała niemalże codziennie, tak tylko, żeby pogadać, i krótko mówiąc, zakochałem się w niej. Miałem chorobę afektywną dwubiegunową, ale wtedy jeszcze nikt tego u mnie nie rozpoznał. Wiedziałem tylko, że raz mam mnóstwo energii i świat wydaje mi się całkiem w porządku, a potem, całkiem nieoczekiwanie, wpadam w emocjonalną przepaść. Na samo dno i jeszcze niżej. Ale dopóki w moim życiu panowała względna równowaga, zawsze udawało mi się ukryć, co się ze mną dzieje, i byłem w stanie nad tym zapanować. – Ponownie opuścił wzrok. Dłonie miał złożone na kolanach i pocierał jednym kciukiem o drugi. – Kiedy poznałem pani matkę, przechodziłem epizod manii – dodał. – Trwał bardzo długo. I z początku było cudownie.

– Zabierała pana do domu latarnika?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– A więc pani wie?

Skinęła głową.

– Tam się spotykaliśmy – przyznał ze skruchą. – Wolałbym o tym nie rozmawiać.

– Proszę mówić dalej. – Lacey zobaczyła oczyma duszy swojego ojca w przychodni weterynaryjnej; zawsze ciężko pracował, żeby zarobić na dom i najbliższych, a tymczasem jego żona sprowadzała sobie do Kiss River kochanków i nawet nie przyszło jej do głowy, jaką krzywdę robi swojej rodzinie.

– Czulem, że postępuję źle – podjął mężczyzna. – Ale byłem gotowy na wszystko. Trudno mi wyjaśnić, jak ta kobieta na mnie działała.

– Tak samo jak na wielu innych mężczyzn – skomentowała Lacey, aby go trochę przygasić.

– Owszem, wiem – odparł. – Ale wtedy nie wiedziałem. Byliśmy w sobie zakochani do szaleństwa – tak mi się wydawało – i to w jakiś sposób usprawiedliwiało te zdrady. Wmówiłem sobie, że wszystko jest w porządku. – Znowu opuścił oczy i tylko nieustający ruch kciuków zdradzał jego zdenerwowanie. – Jak już powiedziałem, w stresie sobie nie radziłem, a samopoczucie zaczęło mi się pogarszać. Chyba przestałem ją bawić i postanowiła zakończyć nasz romans. Nie mogłem znieść myśli, że będę żył bez niej, a ponieważ byłem wtedy bardzo... bardzo chory, zagroziłem, że jeśli odejdzie, zabiję i ją, i siebie. Straciłem rozum, myślałem tylko o sobie, nic się dla mnie nie liczyło. Annie – pani matka – chyba przestraszyła się, że zrobię krzywdę mojej żonie i synowi, więc zmyśliła jakąś historię, że niby zadzwonił do niej mój znajomy czy sąsiad, a potem ściągnęła ich do schroniska dla kobiet, gdzie pracowała. Ja, oczywiście, wiedziałem, gdzie to jest, sama mi powiedziała, kiedy jeszcze dobrze się między nami układało. Jadąc tam, Lacey, byłem po prostu obłąkany. Chciałem zabić ich wszystkich, całą trójkę, a potem siebie, ale ma pani rację: pierwszą kulę przeznaczyłem dla pani matki.

– I ona o tym wiedziała – szepnęła Lacey. – Musiała zdawać sobie sprawę, że jeśli zasłoni pana żonę własnym ciałem, to pan na pewno ją zabije.

Westchnął głęboko.

– Głęboko wierzę i dopóki żyję, nie przestanę w to wierzyć, że ona myślała tak: jeśli najpierw strzelę do niej, to nie zdążę już zabić żony i syna. Była przekonana, że zdążą uciec, zanim zrobię im krzywdę. Wszyscy potem mówili, że zasłoniła Faye – moją żonę – własnym ciałem, bo chciała uratować

ją i jej dziecko. To prawda. Z tym że Annie wiedziała coś, czego nie wiedział nikt inny: ja chciałem zabić ich wszystkich, nie tylko ją. Żonę i syna też. A kiedy do niej strzeliłem, to coś we mnie pękło i zrozumiałem ogrom mojego szaleństwa. To dlatego już nikt inny nie ucierpiał.

Uniósł oczy na Lacey, były pełne łez.

– Och, Lacey – powiedział. – Bardzo tego żałuję. Bo naprawdę dojrzałem w tych murach. Nie tylko powróciłem do zdrowia, ale jestem teraz lepszym człowiekiem, a to, co mnie tutaj spotkało... – Zakreślił w powietrzu krąg. – Lekarze, ksiądz kapelan... Gdybym tutaj nie trafił, nie wiem, co by się ze mną stało. Ale oddałbym wszystko, absolutnie wszystko, żeby pani matka żyła, żeby między nami nic nie zaszło i żeby mogła wrócić cała i zdrowa do pani i do waszej rodziny.

Nie ufała mu, nie chciała uwierzyć, że mówi szczerze. Ostatecznie Rick był jego rodzonym synem. Dostrzegła jednak w jego oczach coś takiego, co przekonało ją, że to wszystko prawda, że ten człowiek ma już dosyć kłamstw.

– Długo to trwało – powiedział. – Badało mnie wielu psychiatrów, próbowałem wielu różnych leków, ale w końcu znaleźli właściwy. I wtedy dopiero dotarło do mnie, co zrobiłem. Zabiłem człowieka, a wielu innych unieszczęśliwiłem na zawsze. Chciałem umrzeć. Próbowałem odebrać sobie życie, ale w więzieniu to nie takie łatwe. – Uśmiechnął się smutno. – Pomógł mi ksiądz McConnell. To dzięki niemu przetrwałem. Ale tego pewnie woli pani nie słuchać – dodał szybko. – Że przetrwałem. Pani matka odeszła, a ja dalej tu jestem. Wiem, że według pani to ogromna niesprawiedliwość.

– Co pan robi, jeśli wyjdzie pan na wolność? – zapytała.

– Wstąpię do seminarium duchownego. – Znów uśmiechnął się przepraszająco. – Myśli pani, że to tylko tania sztuczka?

Odwróciła głowę. Tak właśnie by pomyślała, gdyby Rick jej o tym nie powiedział.

– Zostanę więziennym kapelanem – dodał. – A jeśli nie wyjdę, to w sumie bez znaczenia, bo tutaj też mogę pracować i robię to od dawna. Może nawet jako więzień będę bardziej wiarygodny niż jako człowiek wolny. Tutaj wielu ludzi potrzebuje porady duchowej. Mój syn bardzo chce, abym wyszedł. Uważa, że tylko na wolności mogę robić to, na czym mi zależy. Ale on tego nie rozumie.

– Czego?

– Że tutaj jestem tak samo wolny, jak byłbym tam – odparł. – Niezależnie od tego, gdzie się znajduję, mam w sercu pokój. – Pochylił się i oparł łokcie na kolanach. – A pani, Lacey? – zapytał. – Jak pani serce?

To był już kres jej wytrzymałości. Pochyliła nisko głowę i zaczęła płakać.

## Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

*Lacey O'Neill*

*Oświadczenie o doznanej krzywdzie*

„Święta Anna”. Tak mówili o mojej matce, osobie chyba najbardziej znanej i lubianej w okolicy. Kochała zwierzęta, dzieci i przyrodę. Dla znajomych i sąsiadów była wyjątkowo życzliwa, ceniła sobie każdego człowieka, którego spotykała na swojej drodze, i na przeróżne sposoby starała się uczynić ten świat lepszym; o tym prawdopodobnie napisali już dość wyczerpująco autorzy innych złożonych oświadczeń.

Nie ma tam jednak, jak sądzę, wzmianki o jeszcze jednej bardzo ważnej jej zdolności, mianowicie o tym, że moja matka doskonale umiała przebaczać. Nigdy nie nosiła w sercu żadnej urazy. Kiedy kogoś się czepiałam, stawała po jego stronie. Nikt nie potrafił łagodniej niż ona przemawiać do rozsądku ludziom, którzy zrobili coś nie tak. Widziałam kiedyś, jak zatrzymała na ulicy nastolatka, który rzucił rasistowskie wyzwisko. Zamiast na niego nakrzyczeć, wygłosiła krótką, spokojną pogadankę o tym, że strach i niewiedza prowadzą do nienawiści wobec innych. Innym razem, gdy usłyszała, jak jakaś matka krzyczy na swoje małe dziecko, podeszła i powiedziała jej, że maluchy rzeczywiście są wymagające i trudno to wytrzymać, a potem dała jej swój numer telefonu, prosząc, aby zadzwoniła do niej, gdy znowu zdenerwuje się na swojego synka. Jeszcze kiedy indziej na moich oczach zwróciła uwagę chłopcu, który pod sklepem rzucił na chodnik paperek od batonika. Nie robiła mu żadnych wyrzutów, tylko powiedziała, że chodnik w tym miejscu co wieczór pracowicie zamiata pewien starszy pan, właściciel tego sklepu.

Nie zamierzam dopisywać kolejnych opowieści o tym, jaka święta była moja matka. Ona nie była święta. Była po prostu człowiekiem, zawsze starała się zrozumieć, dlaczego ludzie popełniają błędy, i zawsze umiała im wybaczyć.

Gdybym mogła ją teraz zapytać, co myśli o zwolnieniu warunkowym dla Zachary'ego Pointera, wiem, co bym usłyszała. Odpowiedziałyby, że on jest tylko człowiekiem i że strzelił do niej w szczególnym momencie, kiedy bardzo cierpiał. Że zapłacił za swoją zbrodnię i zrehabilitował się. Powiedziałyby, że jeśli nie stanowi dla nikogo zagrożenia, powinien odzyskać wolność, żyć wśród ludzi i działać na rzecz wspólnoty.

Z uwagi na to, co napisałam powyżej, popieram wniosek pana Pointera o zwolnienie warunkowe. Chciałabym, aby zyskał szansę czynienia dobra, szansę, którą moja matka bezpowrotnie straciła.



## Epilog

W wigilijny wieczór, o dziesiątej, Lacey, Bobby, Clay, Gina i Mackenzie zegnali się w kuchni domu latarnika ze świątecznymi gośćmi. To była cudowna, wręcz niezwykła Wigilia. Spotkało się na niej piętnaście osób, a każda z nich miała w tym gronie co najmniej jednego bliskiego krewnego, od Noli Dillard po Toma Nestora i Paula Macellego – był to pierwszy mąż Olivii oraz ojciec Jacka, przyjechał z Waszyngtonu. Obecność tych wszystkich ludzi, tak od siebie różnych, a mimo to umiających się jakoś ze sobą dogadać, sprawiała Lacey największą przyjemność. Główną atrakcją wieczoru była Rani, wszyscy po prostu rozpływali się nad dwuipółletnim maleństwem. Jack, Maggie i Mackenzie, po odśpiewaniu kolęd ze wszystkimi – bynajmniej nie dobrowolnym – popędzili na górę pograć na komputerze.

Na świątecznej kolacji zabrakło tylko Elise, kuzynki Bobby'ego, która zniknęła jeszcze przed Halloween. Znajomi, u których mieszkała, powiedzieli Bobby'emu, że któregoś dnia po prostu wyszła z domu i nie wróciła; obawiał się, że odnaleźli ją ludzie z Richmond i zabrali ze sobą – albo jeszcze gorzej – lecz Lacey uważała, że Elise z własnej woli wróciła do dawnego życia. Tak czy inaczej, zamierzała pomóc Bobby'emu rozwikłać zagadkę jej tajemniczego zniknięcia, o ile to tylko było możliwe.

W tym roku Lacey po raz pierwszy zgodziła się na prawdziwą choinkę. W schronisku dla kobiet, gdzie zginęła jej matka, wszystkie pomieszczenia były przesycone sosnowym aromatem; od tamtego czasu nie była w stanie nawet przejść obok placyku, gdzie sprzedawano choinki, bo od razu żołądek podjeżdżał jej do gardła. Ale Mackenzie bardzo prosiła o żywe drzewko. Mówiła, że w Arizonie nigdy takiego nie miała, a Lacey poczuła, że mogłaby spróbować. Kiedy choinka stanęła w salonie, okazało się, że aromat jest całkiem przyjemny. Świeży i zachęcający. Wiedziała, że będzie go jej brakować, kiedy przyjdzie pora rozstania.

Naprzeciwko, w drugim rogu salonu, stała olbrzymia poinsecja, którą Rick przysłał Lacey w ostatnim tygodniu przed świętami. Wciąż nie przestawał obsypywać jej prezentami i korzystał z każdej okazji. Napisała do niego, że mu wybaczają; odpisał i podziękował, ale nadal przysyłał kwiaty, a także inne rośliny. Może tak miało już być do końca jej życia.

Za dwa tygodnie Lacey czekała wyprowadzka z domu latarnika. Na zawsze. Pod koniec wiosny zaplanowano otwarcie tutejszego muzeum. Miała tam pracować jako przewodniczka, wiedziała jednak, że wszystko się zmieni. Historia tego domu, którą znała, to nie było to, co turyści chcieli usłyszeć za swoje pieniądze. Nie mogłaby im opowiedzieć, jak jej rodzice poznali się na plaży pod latarnią morską. O tym, że stara latarniczka Mary Poor pozwoliła matce Lacey urządzić u siebie dom schadzek. Ani też że jej ojciec wysypał prochy zamordowanej żony do oceanu z pobliskiego mola, a latarnia w Kiss River długo była jego obsesją, po której zostały pudła z setkami, jeśli nie tysiącami zdjęć, schowane gdzieś w jego obecnym domu. Że sama Lacey mieszkała w domu latarnika przez dwa lata, że ukryła się tutaj, aby ułożyć sobie życie od nowa.

Po wyjściu gości zaczęło się sprzątanie: papiery po prezentach trafiły do kosza, a talerze i szklanki, porozstawiane po całym domu, zniesiono do kuchni.

– Czy w nowym domu będziemy w końcu mieć zmywarkę? – zapytała Mackenzie, dobitnie akcentując „w końcu”.

– Tak – odpowiedziała Lacey, podając jej kolejny talerz do wytarcia.

– My też – dodała Gina. – Bobby, a ty?

– U mnie zmywarki nie będzie – odparł. – Chyba że Mackenzie wpadnie z wizytą.

Dziewczynka dopiero po dłuższej chwili zrozumiała żart.

– Ale tatusiowy suchar... – prychnęła.

Lacey uśmiechnęła się do niego, spoglądając ponad głową Mackenzie. W tej rodzinie już zawsze będą tajemnice, pomyślała. O niektórych nawet ona mogła nie mieć pojęcia, ale dwie z nich znała na

pewno. Tylko Clay, Bobby, Gina i ona sama wiedzieli, że prawdziwym ojcem Mackenzie jest młodszy z panów O'Neill. Wyniki badania DNA były jednoznaczne; Clay nie posiadał się ze szczęścia, natomiast Bobby posmutniał. Obaj jednak byli tak samo bliscy Mackenzie i Lacey zamierzała zrobić wszystko, co w jej mocy, aby to się nie zmieniło. Wiedząc, że pewnego dnia trzeba będzie powiedzieć Mackenzie, jak jest naprawdę, mogła tylko mieć nadzieję, iż jej więź z ojcami zdąży już tak okrzepnąć, że kwestia tego, który z nich ją począł, nie ochłodzi uczuć do żadnego z nich.

Ostatnia tajemnica miała jednak pozostać już na zawsze udziałem dwóch osób: Lacey i Zachary'ego Pointera. Ujawnienie tamtego romansu nikomu nie mogło wyjść na dobre, przeciwnie: skrzywdziłoby wszystkich, bez wyjątku.

Pointer zadzwonił do Lacey w Wigilię, około dwudziestej pierwszej, kiedy rozdano już wszystkie prezenty, a domownicy oraz goście siedzieli syci i zadowoleni. Zabrała telefon do pracowni na werandzie, bo w salonie panował gwar i zgiełk.

– Dziękuję za kalejdoskop. – Pointer odezwał się pierwszy. – Jest niesamowity.

– Bardzo proszę – odparła. Miło było usłyszeć jego głos. Brzmiała w nim siła.

– Myślałem o pani i modliłem się za panią przez cały dzień – dodał. – Wiem, że w Wigilię przeżywa pani szczególnie trudne chwile.

Nie musiał jej tłumaczyć, że myśli o tamtej Wigilii, dawno temu. O dniu, który nieodwołalnie zmienił jej życie, tak samo jak i jego.

– Pańskie modlitwy zostały wysłuchane – poinformowała go. – Lepszej Wigilii nie miałam od wielu, wielu lat.

– Wie już pani, gdzie zamieszkacie po wyprowadzce?

– Znalazłyśmy świetny mały domek do wynajęcia. W takim miejscu, że Mackenzie nie będzie musiała zmieniać szkoły, a to najważniejsze.

– Bardzo się cieszę. A Bobby?

– Znalazł dom w pobliżu – odparła i roześmiała się nagle. – Bliżej już nie da rady.

Ich domy stały tuż obok siebie i były identyczne: maleńkie i stare, może nawet trochę zbyt stare, ale za to w przystępnej cenie. Jedyna różnica polegała na tym, że u Lacey była zmywarka, a u Bobby'ego nie.

– Clay i Gina kupują teraz dom w Pine Island – dodała.

– Świetnie – powiedział.

– A co u pana? – zapytała Lacey. – Kiedy zaczyna pan naukę w seminarium?

– Piątego stycznia – odparł. – Wspaniały początek nowego roku. Nowego życia. Dziękuję pani, Lacey.

– Ależ bardzo proszę.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza.

– Jest pani już gotowa na pożegnanie z Kiss River? – odezwał się w końcu Pointer.

– Będzie mi trudno – przyznała. – To była moja kryjówka, schroniłam się tutaj, żeby nauczyć się, jak nie pójść w ślady mojej matki.

– Wciąż jest pani na nią zła – zauważył.

– Nie... nie do końca – zaprzeczyła, ale oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

– Jeśli potrafiła pani wybaczyć mnie, to jej także.

– Pan był chory psychicznie – odparła szybko.

– Ona też, kochana – odparł. – Ona też.

W kuchni, przy zmywaniu, wycieraniu i chowaniu naczyń po wigilijnej kolacji, była mowa właśnie o niej, ale do Lacey docierało co drugie słowo. Dom latarnika opuścili goście, piątka mieszkańców była razem, w ciepłym pomieszczeniu, a ona nagle poczuła, jak przenika ją żal, żal straty; musiała pożegnać to miejsce na zawsze. Odeszła od zlewu, chociaż był pełen brudnych naczyń, a obok stało ich jeszcze więcej. Wytarła dłonie papierowym ręcznikiem.

– Idę do latarni – powiedziała.

– Co? – zapytał Clay z niedowierzaniem. – Tyłek sobie odmroisz.

– Czekaj, pójdę po kurtkę – powiedział Bobby, ale Lacey zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Chcę iść sama, w porządku? – poprosiła.

Zrozumiał.

– Jasne.

Wyjęła z szafy w przedpokoju puchową kurtkę i rękawiczki. Nie zdejmując spodni, nałożyła wodery, długie, sięgające ud gumowce. W kuchni zrobiło się cicho, dobiegał stamtąd tylko brzęk naczyń w zlewie; to Bobby zastąpił ją przy zmywaniu.

– Niedługo wrócę – powiedziała, przechodząc tamtędy do tylnego wyjścia. Już na werandzie dobiegło ją jeszcze pytanie Mackenzie szeptem zadane Bobby’emu.

– Co jej się stało?

– Czasami człowiek potrzebuje побыć sam – wyjaśnił.

Clay miał rację; na zewnątrz panował straszny ziąb. Wyjęła z kieszeni kurtki swoją czapkę zrobioną na drutach i naciągnęła ją na głowę, dokładnie zasłaniając uszy. Potem ruszyła na brzeg oceanu, z trudem krocząc pod wiatr. Już za kilka tygodni latarnię miało otoczyć ogrodzenie, przez które mogła się przedostać tylko woda. Lacey miała niecny zamiar przychodzić tam nawet wtedy, ale jej plan spalił na panewce, kiedy dowiedziała się, że furka w ogrodzeniu będzie zamykana na kłódkę. Nadszedł czas, aby zerwać więź z latarnią w Kiss River.

Ocean tego wieczoru był bardzo wzburzony. Kiedy Lacey brnęła przez fale, idąc w stronę wieży, mało brakowało, aby woda wlała się jej do wysokich woderów. W środku było zimno, a grube ceglane ściany tłumiły głos morza. Weszła na spiralne schody i ruszyła w górę. Gdy stanęła na odsłoniętych stopniach ponad krawędzią zburzonego muru, wiatr omal jej nie przewrócił. Mocno chwyciła poręcz i odwróciła się, żeby usiąść.

Boże, jak ciemno! Porywisty wicher niósł ze sobą maleńkie, ostre kryształki lodu, które kłuły ją w policzki. Ale za to niebo było pełne gwiazd. Czasami zapominała, że w zimie też widać gwiazdy, nie tylko w lecie. Nie jest to trudne, kiedy człowiek spędza pod gołym niebem tylko tyle czasu, ile potrzeba na przebiegnięcie z samochodu do domu.

Odchyliła głowę, aby ogarnąć wzrokiem wysokie gwiazdziste sklepienie, i nagle poczuła, mocniej niż kiedykolwiek, obecność swojej matki. Siła tego uczucia była wręcz porażająca. Lacey w pierwszej chwili chciała zejść z powrotem na dół i wrócić do ciepłego domu, ale coś zatrzymało ją na miejscu. Siedziała jak przyklejona na najwyższym stopniu schodów, z dłońmi zaciśniętymi na pręcie poręczy i twarzą zwróconą ku niebu.

– Niedługo stąd odejdę, mam – powiedziała głośno, lecz nie usłyszała ani jednego słowa, bo wszystkie momentalnie porwał wiatr. O dziwo, nie tknął łez, które toczyły się po jej policzkach. Poczowała strach, jak gdyby wyprowadzka z Kiss River miała równać się zerwaniu więzi z matką. Do tego właśnie dążyła przez cały ubiegły rok – a teraz nagle uświadomiła sobie, że ten cel jest nieosiągalny.

– Chcę, żebyś zawsze była ze mną – skierowała te słowa do nieba. – Tylko bardzo cię proszę – na jej ustach pojawił się uśmiech – bez szaleństw, dobrze?

Otarła mokre policzki rękawiczką i wstała, aby zejść, lecz stopień niżej zatrzymała się jeszcze i znów uniosła głowę ku rozgwieżdżonemu niebu.

– Do widzenia, mam – powiedziała, błędząc wzrokiem wśród migotliwych okrucichów brylantowego blasku. – Kocham cię.

## Podziękowania

Zebranie materiałów do napisania powieści *Cień matki* zawdzięczam pomocy wielu osób. Dziękuję Rodneyowi Cashowi, Kimberly Cercie, Steve'owi Cookowi i Paulowi Hollandowi, którzy na wiele różnych sposobów służyli mi pomocą, a także znajomym z internetu, zawsze gotowym odpowiedzieć na każde moje pytanie, najbardziej nawet ezoteryczne. Za fachowo prowadzone burze mózgów dziękuję moim koleżankom po piórze: Emilie Richards oraz Patricii McLinn. Natomiast Bobby Asher z mojej książki zajmuje się rytowaniem kości, ponieważ kilka lat temu odkryłam rewelacyjną Cathy Guss i zachwyliły mnie jej kościane ozdoby.

Po raz kolejny składam specjalne podziękowania Sharon Van Epps, która starała się o adopcję dziecka z Indii i podzieliła się ze mną swoimi doświadczeniami. Sharon jest dziennikarką; opisuje sprawy dotyczące adopcji międzynarodowej i międzyrasowej, a także opieki społecznej.

Chciałabym również podziękować mojej dawnej agentce Ginger Barber, a także moim redaktorkom: poprzedniej, Amy Moore-Benson, oraz obecnej, Mirandzie Indrigo.

Bardzo chętnie dowiem się, co myślicie o moich książkach. Zapraszam na stronę:  
[www.dianechamberlain.com](http://www.dianechamberlain.com) oraz na Face-booka:  
[www.facebook.com/Diane.Chamberlain.Readers.Page](http://www.facebook.com/Diane.Chamberlain.Readers.Page).

## Pytania do dyskusji

Lacey i MacKenzie wcześniej straciły matkę. Czy obie tak samo przeżywały jej śmierć?

Jak Lacey radzi sobie w roli matki? Czy doświadczenia z przeszłości utrudniają jej wychowanie nastolatki czy może ułatwiają zadanie?

Czy według Ciebie ta powieść mówi o drugich szansach w życiu?

Jak Lacey poradziła sobie ze stresem pourazowym i czy udało jej się przezwyciężyć złe wspomnienia?

Dlaczego Twoim zdaniem Lacey miała słabość do niegrzecznych chłopców?

Czy umiałabyś przebaczyć Zachary'emu Pointerowi i uwierzyć w jego przemianę?

Jakie uczucia wzbudziła w Lacey wieść o zwolnieniu warunkowym mordercy jej matki?

Czy bycie mamą dla córki zmarłej przyjaciółki uczyniło z Lacey lepszą osobę?

Czy według Ciebie można ułożyć sobie życie po stracie ukochanej osoby? Czy Lacey wyszła z cienia matki i zaczęła żyć własnym życiem?

Czy można wybaczyć rodzonej matce, że oddała cię do adopcji?

Jak opisałabyś związek Giny i Claya?

Czy miałabyś odwagę zaopiekować się dzieckiem zmarłej przyjaciółki?

Czy po lekturze tej powieści inaczej postrzegasz najbliższych? Jak teraz patrzysz na swoją rodzinę?